

MAŁGORZATA
GUTOWSKA-ADAMCZYK

*Fortuna
i namiętności*



ZEMSTA

Małgorzata
Gutowska-Adamczyk

*Fortuna
i namiętności*

TOM 2

ZEMSTA

Nasza Księgarnia

Fortuna i namiętności. Zemsta

Spis treści


Okładka Strona tytułowa Zastrzyż na

strony: IIIIIIVVVIIVIIIXXXIXIIXIIIXIVXVXVIXVIIIXVIIIIXIX
XXXIXXIIXXIIIXXIVXXVXXVIXXVIIIXVIIIIXXXXXXXXXIXX
XIIXXXIIIXXXIVXXXVXXXVIXXXVIIXXXVIIIXXXIXXLXLIXLI
IXLIIIXLIVXLVXLVIXLVIIIXLVIIIXLIXLLILIIILIIILIVLVLVILVIL
VIIIIXLXLXILXIIIXIIIXIVLXVLXVILXVIIIIXVIIIIXIXLXXLX
XILXXIIIXXIIIIXXIVLXXVLXXVILXXVIIIIXXVIIIIXXIXLXXX

Epilog Strona redakcyjna

Zajrzyj na strony:

www.nk.com.pl

 Wydawnictwo
NASZA KSIĘGARNIA

Znajdź nas na Facebooku

www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Przeczytaj inne książki Małgorzaty Gutowskiej-Adamczyk
<http://nk.com.pl/malgorzata-gutowska-adamczyk/231/pisarz.html>

I

Gdyby okoliczności nie przymusiły kata do pośpiesznego opuszczenia Winnicy, nie byłby się on może nigdy dowiedział, czym w owym czasie żyła Rzeczpospolita. Nic go to zresztą nie obchodziło. Niemal całą zimę przeleżał beczynn timer w swej zrujnowanej chałupie, oddając się bezpłodnym dywagacjom dotyczącym spalonej na stosie Klementyny Furtak. Czekał na karę, w ostatniej bowiem chwili życia dziewczka posądzana o czary splunęła na miasto klątwą. Ta zdawała się już powoli wypełniać, dotykając na razie kasztelana Jandźwiłła i jego rodzinę, kat jednak domniemywał, że jako wykonawca wyroku również się nie wywinie. Od egzekucji interesy szły zresztą coraz gorzej, a on sam tracił siły i chęć do działania. Czuł się zrezygnowany, zmęczony, bezwolny.

Wiosna roku pańskiego 1734 właśnie się zaczynała i kat leżałby pewnie aż do lata pogrążony w melancholii, na którą nie znał i nie szukał lekarstwa, ale tuż przed Wielkanocą dowiedział się, że kasztelan szykuje rozprawę przeciwko zbójcy z puszczy winnickiej, Rabińskiemu, i jego ludziom. Chociaż Bartek okradał podróżnych na polecenie kasztelana, wyrok sądu dawał się łatwo przewidzieć. Perspektywa ścięcia jedyne go człowieka, który czasem znalazł dlań dobre słowo, a i w mariasza, zdarzało się, zagrał, była katu do tego stopnia wstrętna, że wyrwał się ze swego wielotygodniowego letargu, wsiadł na konia i ruszył, gdzie oczy poniosą.

Jako że w całym powiecie nikt inny nie mógłby go zastąpić, niebezpiecznie spodziewał się pościgu i niczym ognia unikał głównych traktów. Schwytny najpierw musiałby ściąć zbójców, a zaraz potem bez wątpienia sam by zawisł na szubienicy albo zdychał powoli z głodu, wtrącony do kasztelańskiego więzienia. Przedzierał się więc kat winnicki borami ku Prusom. Musiał sam na swój posiłek zapolować, bo gdzieżby jaką karczmę znalazł głęboko w lesie? Gdy kilka razy chybił, zarzucając sznur na zająca, i trzy dni nic w ustach nie miał, gotów był prawie wrócić na trakt i u podróżnych o kawałek chleba jak dziad proszalny zebrać. Wreszcie przemógł wstręt, w pobliżu małego jeziora

schwytał parę żab, nadział je na patyk i osmalił byle jak nad pośpiesznie skrzesanym ogniskiem, tym niegodnym jadłem głód zaspokajając.

Co prędzej zdeptał tłące się jeszcze patyki i ruszył dalej. Ale głodny koń pośpieszyć nie był skory. Lazła szkapina noga za nogą, pogryzając wiotkie gałązki, na których ledwie się pierwsze listki pokazywały. Kat miał nadzieję, że ślad leśnych ludzi doprowadzi go do jakiejś osady i może tam zdoła dostać strawę, a dla konia nieco siana za kilka psich skór, które przezornie do siodła przytroczył. W puszczy towar to lepszy od dukatów, bo srebrem głodu nie zdławisz. Jechał zatem powoli, wypatrując dymu i nasłuchując nawoływań, ale dookoła panowała cisza zmacona jedynie przez radosny świergot ptasi i szum wiatru w koronach drzew. Wspinał się kat na piaszczyste pagórki, przecinał młodniaki, krył w cieniu buczyny. Popijał wodę z leśnych strumyków i podążał wciąż przed siebie.

Zmęczony, postanowił wreszcie usiąść pod drzewem, aby odpocząć i dać wytchnienie koniowi. Popatrywał ku rozległej łące porośniętej przez rozkwitające właśnie kępy kaczeńców, wiązówki i niezapominajek. Fruwały nad nimi owady i motyle, roślinność falowała w podmuchach wiatru. Ciszę niespodziewanie zmaćcił dobiegający z oddali kobiecy śmiech. Kat zerwał się na równe nogi, powiódł wzrokiem dookoła, nikogo jednak nie spostrzegł. Wytężył słuch, ale przez dłuższą chwilę trwała cisza.

„Przywidziało mi się” – pomyślał i usiadł z powrotem.

Jednak wkrótce śmiech rozbrzmiał ponownie. A potem krzyk kobiecy straszliwy, przerażający, jakby w obliczu skonania. Poderwawszy się, kat zamarł w bezruchu. Ledwie dostrzegalnym gestem sięgnął po przytroczony do pasa nóż. Spięty, gotów do skoku, wyczekiwał. Po chwili znów usłyszał wołanie o pomoc. Nie namyślając się dłużej, ruszył pędem przez łąkę. Nagle poczuł, że trafił na trzęsawisko. Kiedy wyciągnął jedną nogę, druga zapadła się jeszcze głębiej. Rozejrzał się za czymś, czego mógłby się złapać, ale niczego nie dojrzał. Powoli, lecz nieodwołalnie, zapadał się w grząski grunt. Z błaganiem w oku popatrzył na konia, ale ten uwiązany do drzewa nie mógł się ruszyć.

Przerażony kat zaczął krzyczeć. Oddałby wszystko za ocalenie, ale

czy ktokolwiek go tu usłyszy i pośpieszy na ratunek? Odgłosy w głębi lasu umilkły. Kat zastanawiał się, co też mogło tam zajść? Śmiech, a potem krzyk wskazywały na to, że kobieta nie spodziewała się napaści. Czyżby została zgłodzona przez kogoś, z kim poszła do lasu? A może padła ofiarą rysia lub wilka?

Snując te rozważania, spróbował wyszarpnąć nogę z bagniska, jednak skutek był odwrotny do zamierzonego. Zanurzony po kolana, mógł się tylko przyglądać, jak z każdą chwilą bagno nieubłaganie wciąga go w mroczną otchłań. Co za ironia losu! Gdyby nie ruszał się z Winnicy, gotów spełniać swe katowskie obowiązki, siedziałby w chałupie, popijając piwo. Gdyby głuchy na wołania nie zerwał się z miejsca i nie rzucił, by ratować ową kobietę, leżałby pod bukiem, jechał przed siebie albo siedział na ławie w jakiej karczmie. Tymczasem nieświadomie uległ odruchowi serca i teraz ma za swoje! Został ukarany. Jeśli nikt się nie zjawi, być może swą dobroć przypłaci życiem! Sparaliżowany przez strach, stojąc po uda w zimnej wodzie, bał się nawet głębiej odetchnąć. Rozglądał się jeszcze w desperacji, ale widział tylko odległy las i trzęsawisko, które wcześniej wydało mu się łąką.

Czy naprawdę coś wtedy usłyszał? Może to była topielica? Zwabiła go na te bagna, omamiła. Czy musiał zajechać tak daleko, aby tu właśnie zakończyć żywot? Bez księdza, pogrzebu, bez grobu?

„Zostanie po mnie tylko koń i te parę psich skór przytroczonych do siodła” – pomyślał.

Dławił go lęk przed śmiercią. Ile to jeszcze potrwa? Jeden? Dwa? Trzy pacierze? Ile mu zostało czasu? Dzień się kończył. Słońce zachodziło z wolna, kąpiąc czubki drzew w złotej poświacie. Koń stał opodal, rżąc i parszcząc, jakby przeczuwał, co się zaraz stanie. Grzebał ziemię nogą i szarpał łbem, chcąc zerwać się z uwięzi.

Kat przypomniał sobie o nożu i doznał ulgi. Przerażało go utonięcie w błocie. Nigdy się nie zastanawiał, jaki ból towarzyszy umieraniu. Co myśli idący na ścięcie? Czy wieszany zdąży coś poczuć, zanim wyzionie ducha? Jako mistrz sprawiedliwości widział tylko efekt swej pracy: głowę spadającą do kosza, rzucającą się w drgawkach ciało na szubienicy, czuł swąd palonej skóry i słyszał ludzki krzyk, szybko przechodzący w bezsilne charczenie. Podobnie jak gawiedź

zgromadzona na rynku gapił się na powolne konanie skazańca. Potem razem z chłopakiem sprząkali. Przyzwyczaił się do torturowania ludzi, do krwi, rzygowin i gówna. Były jego chlebem powszednim, częścią sądowego ceremoniału. Aż do tamtej hardej dziewczki, zbyt dumnej, by prosić o łaskę. Pierwszej, którą chciał uratować. Wzgardziła nim, a swą mękę przyjęła ze złością, obarczając winą całe miasto. Kat nie miał już wątpliwości, że była wiedźmą. On, sprawca jej śmierci, teraz topił się w bagnie. I jego dosięgła zemsta.

Dygocąc z zimna, które przenikało go do szpiku kości, kilkadziesiąt razy wyobraził sobie własną śmierć. Na przemian żegnał się z życiem, krzyczał, płakał, przeklinał, błagał o litość. Wzywał na pomoc ludzi i Boga, któremu obiecywał poprawę, choć nie uważał się za winnego. Zapadł zmierzch i kat zrozumiał, że utopi się w ciemności. To go jeszcze bardziej przerażało. Szczekał zębami i drżał, bezsilny, samotny. Odwracając głowę, popatrywał na konia, jedyne świadka jego męki i upodlenia. Przemawiał doń jak do człowieka, a zwierzę parskło niespokojnie. Las rozbrzmiewał dźwiękami nocy. Zza drzew wyłonił się ogromny księżyc w pełni i rozproszył mrok. Odrętwiały kat, który myślami błądził już po tamtej stronie, ocknął się, słysząc tętent. Znow zaczął krzyczeć i machać rękoma, odzyskując nadzieję na ratunek. Jeźdźców było kilku: trzech, może czterech, nie potrafił ocenić. Usłyszawszy krzyki, podjechali bliżej.

Początkowo go nie zauważyli. Zatrzymali się obok konia i rozglądali zdziwieni.

– Mości panowie, ratujcie w imię Boga! – zawołał kat.

– Gdzieżeś jest, człowiecze?

– Tonę w bagnie, niczym dusza potępiona. Pomóżcie mi, błagam!

Zsiedli z koni i zbliżyli się nieco. Nie rwąc się do pomocy, patrzyli nań jak na jakieś dziwowisko. Widzieli tylko tył jego głowy, którą odwracał to w jedną, to w drugą, aby ich zobaczyć.

– Wyciągnijcie mnie, a wdzięczność dozgonną uzyskacie!

– Coś ty za jeden? – krzyknął któryś.

– Jam mieszczanin z Winnicy. W interesach podróżowałem

– skłamał kat. – Zlitujcie się, zacni rycerze, nie zostawiajcie mnie na

śmierć niechybną bez spowiedzi i rozgrzeszenia!

– I sam tak podróżujesz? Bez chłopaka do posługi? Bez wozów, bez sakw z towarem? – dziwili się.

– Bo mi uciekł, ladaco, zabierając i wóz, i sakwy!

– Pewnieś mu co przeskrobał! – zaśmiał się jeden z drugim. – Ale że konia zostawił?

– Pomóżcie chrześcijaninowi, na rany Chrystusa, a błogosławić was będę po wsze czasy i odwdzięczę się, jak potrafię najlepiej! Jam już ukarany, ratujcie choć życie! – załkał.

– Wyciągnąć go! – rzekł najstarszy rangą.

Gdy rzucili mu sznur, kat chwycił z całej siły swój koniec. Po chwili leżał już na ziemi. Mokry, brudny, oblepiony zielskiem.

Zziębnięty, oddychał ciężko. Dopiero teraz zobaczyli jego twarz.

A jeden z nich zawołał:

– Znam cię, tyś jest kat winnicki!

II

Zdrada! – zakrzyknęli pełni oburzenia rajcy gdańscy.

– Zdrada! – potoczyło się po zaułkach miasta i niedługo później nie było już innego tematu w dokach, karczmach, sklepach i składach, a także na wałach obronnych, w bogatych kamienicach i ubogich chatach. Wszyscy mówili tylko o zgodzie króla Fryderyka Wilhelma I na transport ciężkich dział rosyjskich przez terytorium Prus. Dopóki oblegająca Gdańsk armia moskiewska takich dział nie miała, ostrzał artyleryjski nie był dla miasta groźny. Z tego powodu jej głównodowodzącemu, hrabiemu Burkhardowi Christophowi von Münnichowi, nie udał się atak na leżący między Gdańskiem a Wisłoujściem Szaniec Letni, co pokazało zasadniczą słabość sił oblegających miasto. Teraz jednak, wobec przychylności króla Prus, który nagle zmienił front, Münnich mógł zdobyć upragnione armaty i przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę.

– Już je ponoć transportują na holenderskich statkach do Piławy¹. Potem popłyną Zalewem Wiślanym i odnogą Wisły do Kiezmarku, na Wielkanoc zaś wystrzelają nas jak kaczki! – Złowróźbna nowina niosła się po mieście, docierając również do odzyskującego powoli zdrowie rannego dwukrotnie Jana Jandźwiła.

Na wiadomość o zdradzie króla Prus Stanisław Leszczyński wpadł w desperację.

– To niemożliwe! Co za podłość! – zachnął się, gdy ambasador francuski, markiz Antoine Félix Monti, przyniósł mu ową przerażającą informację. – Dlaczego wszyscy się od nas odwracają? To przez kardynała Fleury’ego, który od kiedy stałem się teściem króla Francji, nienawidzi mnie i nie kiwnie palcem, aby mi pomóc!

– Wasza wysokość, jest jeszcze sam król... – wyszeptał szczerze zmartwiony Monti. On również widział fiasko swoich wielomiesięcznych działań i trudno mu było zaprzeczać. – Co prawda od kiedy Rosja zdobyła Szaniec Zimowy i przejęła kontrolę na Wiśle, dyplomacja bardzo kuleje. Oddaję korespondencję jakimś chłopom i ufam, że listy dotrą do adresata, pewności jednak nigdy nie ma. Nie

wiem zatem, czy Jego Wysokość Ludwik XV, wasz teść, panie, zdaje sobie sprawę z grozy naszego położenia – kłamał Monti.

Stanisław Leszczyński już go nie słuchał i w zadumie kontynuował rozpoczętą myśl:

– Szwecja też przeszła na stronę Rosji. Będzie się cieszyć z mojego upadku. Turcja ma problem z Persją, nie zaatakuje Rosji od południa, jakem dawniej mniemał. Ale żeby ten nieokrzesany sierżant odrzucił moją prośbę o pomoc?! Chciałem mu dać kawał Pomorza, połączyłby wreszcie Brandenburgię z Prusami, to godny dar, dlaczego się nie zgodził?

– Pomaganie słabszemu nie leży w jego naturze.

– Myślisz, markizie, że czeka na mój koniec?

– Fryderyk Wilhelm nie chce się mieszać w nasze sprawy, póki nie zostanie wyłoniony zwycięzca. Być może już nas spisał na straty, a carowa w imieniu rywala Waszej Miłości obiecała mu więcej, na przykład Kurlandię?

– Nie wspominaj mi o Auguście! Co za podłość! Co za małostkowość! – oburzał się król, a ambasador nie podejmował próżnych prób, by ugasić jego rozgoryczenie. – Jak mógł w ogóle starać się o koronę polską, kiedy szlachta niemal jednogłośnie w moje ją ręce złożyła?!

– I być może ona to właśnie Waszą Królewską Mość uwolni? Zawiąże konfederację i pokona Rosjan? Polacy są bitnym narodem, powstają już tu i ówdzie, aby bronić majestatu. W Krakowskim, na Kurpiach i w Koronie, ponoć też w Prusach Królewskich. Musimy wierzyć! – ambasador pocieszał Leszczyńskiego, choć sam liczył tylko na zbrojną pomoc Francji.

– Mój drogi Monti! Tyleś wysiłku włożył w tę elekcję, a teraz siedzisz tu z mojego powodu niczym więzień.

– Co też Wasza Wysokość! Służyć królowi Polski to dla mnie zaszczyt i szczęście!

– Może w jakichś innych okolicznościach... Choć przyznam, żeś oddany naszej sprawie bardziej niż większość polskich szlachciców. Sądzą, że jeśli się pozamykają w domach, to wojna do nich nie dotrze. Ach, wojna, wciąż o niej myślę... Czy naprawdę nie można jej uniknąć?

Jak wygrać wojnę bez wojska? Pierwsze, co trzeba by zrobić, to stworzyć armię! Polska nie ma nawet dwudziestu tysięcy żołnierzy, podczas gdy Rosja ma ich trzysta! Prusy więcej niż sto tysięcy! Czy Sas o to zadba?

– Na pewno nie! – żywołowo zapewnił Monti.

– Polska szlachta, nawet bitna i dzielna, jest niewyszkolona i niezdyscyplinowana. Stając na wprost zawodowych żołnierzy, może wygrać chyba tylko przez przypadek. Wojska potrzeba Polsce! Prawdziwego, zawodowego, dobrze przygotowanego żołnierza! Poniatowski siedzi przy mnie, zamiast armią dowodzić. Sam mu zresztą, głupiec, odebrałem referendarstwo! Dlaczego nikt nie staje w naszej obronie? Czyżby Polska nie miała już w Europie żadnych przyjaciół?

– Mamy jeszcze naszych oddanych gdańszczyzan... – powiedział w zamyśleniu ambasador.

– Prawda! Nad podziw są wytrwali i godni słów pochwały. Ich wierność dla naszego tronu nie ma sobie równych. Kiedy przejeżdżam ulicami tego wspaniałego miasta i widzę jego dzielnych obrońców, w me serce wstępuje nadzieja. Och, gdybyż ktoś ich wreszcie wspomógł!

Podobne rozmowy toczyły się w Radzie Miasta Gdańska, która mimo długotrwałego oblężenia nie zaniechała zabiegów dyplomatycznych u państw morskich: Anglii, Danii, Szwecji oraz Republiki Zjednoczonych Prowincji. Wobec tego ostatniego kraju walutą przetargową byli jego obywatele oraz ich statki uwięzione w oblężonym mieście.

– Komisarz holenderski Bleyswick negocjuje z dowództwem rosyjskim możliwość ewakuacji obcokrajowców z Gdańska. Ma już nawet zgodę na ich bezpieczny wyjazd między dwudziestym siódmym a dwudziestym dziewiątym kwietnia. Píše nam o tym właśnie porucznik Kieseling, informując jednocześnie, że wkrótce nastąpi wzmożony atak bombowy – rzekł Johann Gottfried von Diesseldorff.

– Właśnie dlatego, Wysoka Rado, nie możemy wyrazić zgody! Póki mamy tu Holendrów i ich statki, Niderlandy będą zabiegać u carowej i o jej odstąpienie od murów Gdańska. Pozwalając na wyjazd ich obywateli, pozbawiamy się ważnego atutu! – twardo stwierdził

Gabriel von Boemeln.

– Wyznaczone Holendrom dni wskazują wyraźnie, kiedy może zacząć się kolejny atak. Musimy być gotowi na trzydziestego kwietnia – skonstratował Abraham Grodeck.

– Tymczasem głównodowodzący wojsk rosyjskich Münnich zapytuje o możliwość zakupu u nas pewnej ilości wina, korzeni i innych towarów. W zamian oferuje zwrot przechwyconej korespondencji – poinformował zebranych Gottfried Bentzmann.

– Proponuję wystosować list do jego ekscelencji, wyrażający zgodę na tę propozycję – rzekł Johann Gottfried von Diesseldorff, a pozostali trzej burmistrzowie pokiwali głowami z aprobatą.

Podczas gdy Rada Miasta korespondowała z Münnichem, Jan Jandźwiłł, mieszkając w oberży Florentyny Grodeck, wracał do zdrowia. Lada moment znów mógł być potrzebny, mówiło się o bliskim już końcu Gdańska, ale wszak zanim to nastąpi, będzie jeszcze wiele okazji, aby odznaczyć się w walce o obronę polskiego króla. Od kiedy Stanisław Leszczyński osobiście się doń pofatygował, dziękując za przejście szpiegowskich raportów, kasztelanic żył jak w uniesieniu. Przekonany, że jego plan wkrótce się spełni i będzie mógł jeszcze bardziej zasłużyć się majestatowi, a tym samym bez udziału i wiedzy ojca osiągnąć cel, jakim było stanowisko na dworze, snuł fantazje o triumfalnym powrocie do Turowa.

Tu, w Gdańsku, cieszył się zasłużoną popularnością. Rozpoznawany podczas spaceru i zapraszany na kufel piwa, nie zdawał sobie sprawy, że o jego sławę zadbała obrotna karczmarka, dla której taki gość był na wagę złota. Klienci przychodzili choćby tylko po to, aby z daleka obejrzeć bohatera. Mimo oblężenia interes się kręcił. Do oberży zaglądali też, wcześniej tu niewidywani, bogatsi klienci, niektórzy być może z myślą upolowania szlacheckiego zięcia. Florentyna każdemu gotowa była ofiarować swe pośrednictwo. I kto wie, czy wreszcie nie przyłożyłaby ręki do jakiegoś lukratywnego mariażu, gdyby pewnego dnia nie weszła do karczmy młoda Holenderka.

Mogła mieć szesnaście lub siedemnaście lat. Niezbyt urodziwa, ruda i piegowata, ubrana była dość skromnie, w czystą, choć pozbawioną

ozdób suknię z szerokimi rękawami i cienki krótki płaszczyk oraz kapelusz. Nieczęsto przychodziły tu dziewczęta, więc zdziwieni goście patrzyli na nią, rozdziawiwszy gęby, ale ona zdawała się tego nawet nie zauważać. Podeszła wprost do szynkwasu. Mówiła wolno, z twardym, gardłowym akcentem, ale Florentyna ją rozumiała.

– Witajcie, pani! – dygnęła grzecznie. – Czy tu mieszka ten kawaler, o którym mówią, że uratował króla? – spytała po niemiecku.

– A wy co za jedna? – burknęła karczmarka.

Dziewczyna patrzyła na Florentynę z pytającym uśmiechem, jakby czekała na dalszy ciąg.

– Ktoście? I po co szukacie onego kawalera?

– Koniecznie muszę się z nim widzieć! Nazywam się Suzanne van der Dijk, jestem córką kupca korzennego.

Karczmarka uważnie się jej przyjrzała. Dobrze jej z oczu patrzyło, jakoś tak szczerze, chyba nie chodziło o ciążę? W takim przypadku dziewczka byłaby raczej skępowana, chociaż kto je tam wie, te młode teraz za grosz wstydu nie mają. Ciekawa, o cóż chodzi, dopytywała się dalej:

– Powiedzcie, co macie za sprawę, to może mu powtórzę.

I pewnie by coś od niej wyciągnęła, gdyby w tej chwili do oberży nie wszedł Jan.

Florentyna zamilkła na chwilę, a dziewczyna, podążając za jej wzrokiem, odwróciła się.

– To wy? – zapytała nieśmiało. – Wyście uratowali króla?

Jan uśmiechnął się lekko i już miał z wrodzoną skromnością pomniejszyć swoje zasługi, gdy ktoś z głębi karczmy zawołał:

– On, on! A bierz go panna i niech wreszcie koniec będzie tym pielgrzymkom, bo się piwa w spokoju napić nie można!

Towarzystwo zarechotało.

– Wyjdźmy, proszę. Nie zabiorę wam dużo czasu... – powiedziała cicho Holenderka i opuściła wzrok.

Na ulicy rozejrzała się bacznie i rzekła:

– Pochodzę z Antwerpii. Jestem córką kupca. Od stycznia Rada Miasta więzi nas tu jako zakładników i nie godzi się na żadne rozmowy! To okrutne, skoro wasi wrogowie chcą nas wypuścić. My się w tej

wojnie nie liczymy. Mój ojciec ze zgryzoty zachorował. Jeśli nie wrócimy, pewnie tu umrze! Damy wam złoto, przekonajcie króla, żeby pozwolił nam odpłynąć! Już tylko on może nam pomóc, a wy jesteście naszą ostatnią nadzieją! – mówiła szybko, trochę zbyt szybko. Jan, choć przyswoił sobie co nieco niemiecki podczas podróży ze Straszem po Europie, ledwie za nią nadażał. Dziewka chwyciła go nawet za rękę, ale zawstydził się tego gestu i wyciągnął dłoń z jej dłoni.

– Panienko, przecież król mnie nie przyjmie. A nawet jeśli, jak mam to uczynić?

– Dokonaliście już o wiele większej rzeczy. Uratowaliście Gdańsk, uratujcie teraz kilkunastu niewinnych kupców, nigdy wam tego nie zapomnimy!

Miasto i port morski na Mierzei Wiślanej, dziś w granicach Rosji (Bałtysk). [wróć]

III

Dopóki pułkownik Kondyriew ze swymi ludźmi przebywał w Turowie, nikt nie śmiał zakłócić atmosfery i krzywym spojrzeniem, szeptaniem po kątach czy innym jakim niestosownym zachowaniem pokazać, że na zamku trwa niewypowiedziana familijna wojna. Oto potężny kasztelan, Tadeusz Jandźwiłł, postanowił dać nauczkę dwojgu ze swych dzieci i za niesubordynację wtrącił ich do ciemnicy, aby cierpiąc niewygody i głód, zrozumieli popełnione błędy, ukorzyli się i swe winy wobec ojca wyznali. Oprócz zapalczywej Cecylii, która pragnęła uciec spod ojcowskiej kurateli, w zamknięciu przebywał również Stanisław, oskarżony o umizgi wobec młodej macochy, do której zapalał gorącą, odwzajemnioną miłością. Kasztelan nie baczył na chorobę syna ani na fakt, że córka dopiero co powiła mu wnuki. Czekał, aż oboje, umęczeni losem skazańców, schylą przed nim kornie czoła i obiecują poprawę. Oni jednak trwali w ślepym uporze i o posłuchanie nie prosili.

Poza tymi dwojgiem w lochu przebywali również Rabiński, zbójca z puszczy winnickiej, oraz Kettler, były grandmuszkieter króla Augusta II Sasa, niegdysiejszy amant Cecylii. Obaj pomagali jej w ucieczce z zamku, gotowi siłą odbijać jej dwór przez kasztelana podstępem zagarnięty. Na nieszczęście zaufany kasztelana, Wacław Strasz, odkrył intrygę i pokrzyżował plany spiskowców.

Zbójca Rabiński już po raz drugi popadł w niełaskę. Za pierwszym razem, niesłusznie oskarżony przez kasztelanekę, prawie żegnał się z życiem, kiedy najniespodziewaniej Strasz nakazał mu wracać do lasu i na podstarościego winnickiego, Kacpra Hadziewicza, zamach uczynić. Wolności posmakowawszy, zbójca z podstarościm się skumał i do konfederacji przeciwko Augustowi III razem z nim zamierzał przystąpić. Ale była zima i zanim się zdążyli wyprawić do Oszmiany, przyszło im kasztelanekę z rąk ojca uwolnić. Na tym to szlachetnym, acz nie do końca przemyślanym czynie przyłapani zostali wspólnie z Kettlerem. Podstarości zdołał się uratować, uwożąc z miejsca bitwy ranną miecznikową Niezgodzką, która również w ucieczce Cecylii brała udział, Rabiński

i Kettler zaś, pokonani przez wojsko, osadzeni w lochu czekali na wyrok.

Na szczęście w Turowie po Niedzieli Palmowej zainstalował się rosyjski pułkownik Kondyriew, aby dopilnować przysięgi, którą szlachta miała złożyć na wierność nowemu królowi. Na Litwie bowiem, ale też i w Koronie oraz chociażby pod Gdańskiem, wojsko rosyjskie pilnowało spraw saskich, nie chcąc dopuścić do zwycięstwa Stanisława Leszczyńskiego wspieranego przez Francję. Kasztelan, zajęty sprawami państwowymi, ani mógł, ani chciał zaprzętać sobie teraz głowę drobiazgami. Przyjdzie czas na wymierzenie sprawiedliwości niepokornym dzieciom.

Tymczasem w Grodzie Orłowym trwały przygotowania do konfederacji. Kacper Hadziewicz liczył dni do wyjazdu i tylko żał mu się było rozstawać z Zofią Niezgodzką, która dopiero co obiecała wyjść za niego za mąż. Ta myśl słodka psuła podstarościemu radość z planowanej wyprawy pod Oszmianę, bo choć miał pewność, że wróci, powstanie przeciwko Augustowi III mogło jakiś czas potrwać.

– Przybył posłaniec z Turowa – zameldował Witek. – Ale coś mi się on nie widzi.

– Czemuż to? – spytał podstarości.

– Bo sam jest i pieszo.

– To niegroźny, wpuść go.

I rzeczywiście. Do świetlicy Hadziewiczowego dworu, z dawien dawna zwanego Grodem Orłowym, co niezmienną dumą napawało jego właścicieli, wszedł sługa zbyt nikczemnej postury i za młody wiekiem, aby go można było uznać za posłańca kasztelańskiego.

– Ktoś ty? – surowo zapytał podstarości.

– Jam z lochu strażnik.

– Kto cię przysyła?

– Kazał rzec, że zwie się Rabiński.

– Toś na usługach więźnia? Nie lękasz się kasztelana?

– Półzegarze¹ mi obiecał wiele warte, jeśli wieść od waszmości przywiozę, a i choć słowo jedno.

– A co tam u was na zamku słychać?

– Uczty przez dzień cały, ale nam, strażnikom, niewiele się dostaje.

– A więźniom pewno jeszcze mniej! – mruknął Witek, budząc zdziwienie przybysza.

– Toż w lochu siedzą, nie w gospodzie!

– Słusznie, słusznie! – Hadziewicz zdusił w zarodku rodzącą się sprzeczkę. – Powiedz no mi... Jak cię zwą?

– Prot, jaśnie panie.

– Powiedz no mi, Procie, co też ten Rabiński dokładnie mówił?

– Jakieś głupoty, panie. Coś jakby „Spędzić owce do zagrody i Zmartwychwstania czekać”.

– To rozsądne całkiem. A ty jakieś zamek opuścił?

– Bramą, jaśnie panie.

– Macie go! – fuknął Witek. – Czy cię kto nie pytał, dokąd idziesz?! – wyjaśnił.

– Co miał pytać? Czasem mnie bramny do karczmy po tabakę wysyła, tom poczekał na rozkaz i jestem.

– Sprytnyś! Wracaj do zamku. Powtórz Rabińskiemu, że owiec przypilnujemy, a tu masz trzy grosze za fatygę. Tylko zmilczeć musisz, żeś nas odwiedził! – zastrzegł podstarości.

Chłopak kiwnął głową i rozdziawiwszy gębę, patrzył w swą dłoń, jakby nigdy tak wielkich pieniędzy nie widział.

– Przyjdzie gdzie zaszyć, bo kto skradnie albo inaczej przetracę – mruknął do siebie.

– A dobrze się sprawisz, język za zębami trzymał będziesz, to drugie tyle dostaniesz! I może za giermka cię najmę – namawiał go Hadziewicz.

– Panie mój! – zaprotestował Witek.

– Zdałby się nam taki sprytny chłopak. Służba u mnie to nie gnucie w lochu, konia byś dostał i nowy przyodziewek... – ciągnął podstarości, a Prot z otwartymi ustami słuchał tych cudów.

– Panie... Jam gotów służbę na zamku z miejsca porzucić!

– Teraz to musisz wrócić po swoje półzgarze. I tam się nam bardziej przydasz. Jeśli co Rabiński powie, śmigaj do nas niczym strzała, a za każdym razem trzy grosze w rękę ci wpadnie. Wracaj już, bo zmiarkują, żeś gdzie przepadł.

Chłopak ukłonił się i zawrócił na pięcie, a Kacper Hadziewicz,

zadowolony, strzelił dłonią po udzie i zaśmiał się do swych myśli.

Kettler zdrętwiał w niewygodnej pozycji. Kiszki już mu zaczęły donośnego grać marsza. Ciężki, mokry zaduch wisiał w powietrzu. Od grubych murów wionęło wilgocią. Pociągnął nosem, odkręcił się i zobaczył Rabińskiego na kolanach.

– A co? – stęknął pogardliwie.

– Modłę się.

– Pomódl się i za mnie, bo już nam niewiele życia zostało – rzekł kwaśno i wstał, prostując kości.

Z korytarza dał się słyszeć odgłos kroków, szcęk łańcucha i klucza w zamku, nieomylny sygnał, że strażnik zaraz im poda miskę z kaszą. Chwilę później drzwi celi otworzyły się. Mrok rozproszył nieco ogarek świecy.

– No, zuchy! Chwalcie imię Pana! – zakrzyknął strażnik i od chłopaka, który za nim podążał, wziął dwie miski, na dnie których leżała garść nieokraszonego pęczaku.

– Jaki dziś dzień, kamracie? – zapytał Kettler, brudnymi rękoma wypychając sobie kaszę do ust.

– Wielki Czwartek, a bo co?

– To jutro śledź by się zdał i trochę cebuli dla uczczenia Męki Pańskiej – żując, wymamrotał grandmuszkieter.

– Na was to i tej kaszy szkoda. Godziłoby się trochę postu zaznać przed obwieszeniem. I żałować za grzechy. – Postawił miskę Rabińskiego na ziemi i pchnął nogą w jego kierunku.

Zbójca zrobił znak krzyża i wstał z kolan. Mlaskanie Kettlera nie dawało mu się skupić.

– A skąd pewność, że nas obwieszą? – zapytał butnie.

– Bo na ścięcie toście po mojemu zbyt niskiego stanu.

– Powiedz kasztelanowi, że my nie poganie i przy Wielkanocy chcemy przyjąć komunię! – zażądał Bartek.

– Jeszcze bym miał w takiej chwili głowę kasztelana waszymi majakami zaprzętać! Siedźcie, jak wam dobrze, a spowiadajcie się choćby i diabłu samemu! Przyjdzie do was ksiądz przed egzekucją, to wam gwarantuję! – fuknął rozzłoszczony strażnik.

– Poślij kogo po księdza, bo nasze grzechy na twoje sumienie spadną! – obstawał przy swoim Rabiński.

Strażnik rzucił kilka przekleństw i wyszedł z lochu. Chłopak zabrał świecę, a cela znów pogrążyła się w ciemnościach. Rabiński usiadł, drapiąc się po głowie, którą bez żadnego zmiłowania oblaży wszy. Kettler podsunął mu miskę, ale zbójca nawet się nie poruszył.

– Nie głodnyś?

– Chłopak nie wraca – rzucił pozornie bez związku. – Czyżby podstarościego nie zastał?

– Może on już za nas karku nadstawiać nie ma ochoty? – smętnie wymamrotał Kettler.

Zegarek z dwunastoma cyframi. Ówczesnie funkcjonowały również zegary z dwudziestoma czterema cyframi. [wróć]

IV

Ograbiony z konia, psich skór, kapoty, noża, a nawet butów, szedł kat winnicki przez las.

„Czasem może zemrzeć jest większym honorem niż przy życiu zostać – myślał. – I za co to wszystko? Za to, że wymierzał sprawiedliwość?! Jeśli kto praw, to mu kat w drogę nigdy nie wejdzie” – przekonywał sam siebie.

Spotkała go ze strony tego młokosa straszna niesprawiedliwość! Ale to nie jego winił, tylko wiedźmę, która sprawiła, że w lesie, tak daleko od Winnicy, rozpoznał go świadek jej kaźni. Nie miało znaczenia, że chcąc ratować życie, skłamał. Gdyby powiedział, że jest katem, może by go nawet nie wydobyli z wody, pozwalając na niechybną śmierć. Ale zostawiliby chociaż buty... Co zrobić bez konia, bez kapoty, bez noża? Przyjdzie pod kościołem jakim usiąść.

Skulony, trzęsąc się z zimna, noc spędził, okrywając się gałęziami i mchem, o głodzie i chłodzie, w sromocie, jakiej nie zaznał od dawna. Przy każdym podmuchu wiatru i krzyku dzikiego zwierzęcia drżał, lękając się o swe życie, bo ognia, który by je odstraszał, nie udało mu się skrzesać. Długa, pełna czarnych myśli noc zakończyła się wreszcie. Wraz ze świtaniem kat podniósł się, rozprostował kości i ruszył przed siebie. Dzień wstał zimny i dżdżysty.

Koło południa kat dotarł do krzyżówek. Stała tu gospoda, która, choć nędzna, wydała mu się pałacem. Wszedł do środka i nisko pokłonił się arendarzowi, a ten popatrzył nań niechętnie.

– Panie gospodarzu, napadli mnie w lesie. Obrabowali do cna.

– Idź precz! – warknął karczmarz. – Nie ma tu miejsca dla włóczęgów!

– Ja nie włóczęga, mówię przecie! Radziwiłłowsy konia mi skradli, sakwy i buty nawet.

– Boś ty miał buty, a jużci!

– Może robota jaka by się znalazła za kawałek chleba? O litość błagam!

Żyd popatrzył na kata z góry, zmrużył oczy i zastanowił się przez

chwile, jakby chciał go potrzymać w niepewności.

– Może by się i znalazła... – zawiesił głos. – Icek! – rzucił za siebie.

Z głębi domostwa wyszedł kilkuletni chłopaczek.

– A pokaże temu tu, gdzie obora, i daj mu widły.

– Wszak Wielki Tydzień! – zawołał kat. – Mam gnój w takie święto rozrzucać?! I do tego boso?

– A jeść chciałbyś?

Obora znajdowała się z drugiej strony niewielkiego zabłoconego podwórza, po którym łąziło parę kaczek. Małemu chuderlawemu psu nawet nie chciało się wyjść z budy. Zaszczekał parę razy i umilkł. Rozklekotany wóz stał obok skleconej byle jak obórki, gdzie niemal po kolana w gnoju tłoczyły się dwie krowy i koń. Kat podwinął nogawki spodni, wyprowadził konia z obory i zaprzągnął do wozu, po czym zabrał się do ładowania obornika. Robota szła wolno, ale sił dodawała mu myśl o bliskim posiłku. Gdy wóz był już pełen, Icek wskazał pole pod lasem, na którym kat roztrząsał wywieziony nawóz. Obracał tak cztery razy, coraz bardziej głodny i przemoknięty do suchej nitki. Kiedy skończył, zmierzchało. Brudny i śmierdzący wszedł do gospody.

– A idźże stąd, cuchniesz jak cap! – fuknął Żyd, rzucając katowi pajdę suchego chleba, którą ten złapał w powietrzu i wsadził sobie do ust, ale ledwie mógł nadgryźć.

– Za cały dzień pracy taka zapłata?! – krzyknął wściekły. – Może zupy dasz trochę albo kaszy?

– Idź, bo psami poszczuję!

– To chociaż pozwól przenocować w jakim suchym kącie!

– Na nocleg żeś nie zapracował. Idź precz!

– Ty zdzierco, okrutniku, obyś jutra nie doczekał! – wykrzyknął upodlony kat. Chciał się rzucić ku niemu, ale trzech chłopów, którzy tymczasem przyszli do karczmy i przysłuchiwali się kłótni, spojrzęło nań tak, że zrozumiał próżność swych nadziei.

– Idź, człowieku, skądś przyszedł! – rzucił jeden.

– Wracaj do chlewa! – poparł go drugi. – Boś nasmrodził, aże mnie zemgliło.

– Niech was wszystkich piekło pochłonie! – krzyknął kat i wyszedł

z karczmy, odprowadzany śmiechem.

Z suchą pajdą chleba w brudnej dłoni powlókł się drogą, mijając wieś, gdzie ludzie szykowali się do Wielkanocy. Żuł w zębach twardą skórkę, a bąble na dłoniach piekły niemiłosiernie. Wreszcie, całkiem ustawszy, usiadł pod drzewem. Chciał zapłakać, ale nie mógł. Zmęczony zasnął. Obudziły go chłód i księżyc, który świecił mu prosto w twarz. Zziębnięty kat wstał, rozglądając się wokół. Pozostawiona z tyłu wieś już spała, a on miał przed sobą długą, zimną i bezsenną noc.

Słońce wschodziło, powoli przebijając się z za ciężkich chmur. Zrobiło się trochę cieplej. Kat zapomniał już, że wczoraj coś jadł. Był głodny i spragniony, schylił się więc do kałuży i wypił kilka łyków deszczówki. Zaczął zastanawiać się nad powrotem do Winnicy. Tam mimo wszystko był kimś. Nawet bez konia i butów. Gdyby wszedł do karczmy, dostałby na borg. Nawet w brudnym ubraniu nikt by go nie przeganiał, nie upokarzał, nadal go tam poważali. A tu, na tym gościńcu, szukając swego przeznaczenia, może znaleźć już chyba tylko śmierć.

Nie dość odpokutował? Co ma zrobić, żeby się wreszcie najeść? Żeby się przespać, choćby i na sianie? Tak, trzeba wracać. Paść do nóg kasztelana, błagać o wybaczenie, a nawet dać się obatożyć. O dobrego kata niełatwo, kasztelan pewnie nie odmówi. Będzie się trochę srożył, każe sobie więcej płacić za arendę katowni, ale wszak doceni solidne rzemiosło. Dość już tej pokuty! A po powrocie mus znaleźć jaką babkę, która urok wiedźmy odczyni!

Gdy tak rozmyślał, zauważył nieopodal pobożnego człowieka, który siedział koło rowu, oddychając ciężko. Obok niego stało drewniane nosidło, a na nim szmatami przykryte jakieś towary.

- Pochwalony! – zagadnął nieśmiało kat, zbliżywszy się nieco. Nieznajomy spojrział na niego bacznie i wstał.
- Na wieki wieków!
- Chleba, choćby suchego, nie macie, aby się z głodnym podzielić?
- Mam trochę gotowanej fasoli. – Nieznajomy sięgnął do kieszeni i podał niewielkie zawiniątko.
- Bóg wam zapłać! – wymamrotał kat, przetykając pozywienie.
- Napadli mnie w lesie. I to nie zbójcy nawet, ale Radziwiłłowscy

ludzie, po barwie poznałem. Konia mi skradli, sakwy, buty, wszystko!

– To mi nie nowina, nie pierwszy raz i pewnie nie ostatni, niewiele oni lepsi od zbójców.

– Gorszi nawet, bo się człek napaści nie spodziewa.

– Co chcecie, wojna... A dokąd droga prowadzi? – zapytał tamten.

– Do Kobrynia – odpowiedział kat, bo mu się zdało, że tamten w tę samą zdąża stronę.

– W interesach jakich?

– Do wojska się myślałem zaciągnąć.

– Po czyjej stronie, jeśli wolno spytać?

– Po tej, która hojniejsza się okaże – rzucił kat i roześmiał się po raz pierwszy od wielu dni.

– Czemu was do wojska ciągnie? Niebezpiecznie wojować, łatwo zginąć można.

– Na trakcie tak samo. Wezmę wasze nosidło w podzięcie za poczęstunek.

Nieznajomy przyjrzał mu się znowu.

– Ale uważajcie, bo u mnie króćca nabita. – Na znak, że mówi prawdę, odchylił połę kabata.

– Patrzcie, jak to ludzie sobie nawzajem nie ufają. Wdzięczny wam jestem i tyle. Nigdzie z waszym nosidłem nie ucieknę, ciężkie ono jak skaranie.

– Ano ciężkie – westchnął tamten. – Dojdziemy do Kobrynia, to wam w karczmie podziękuję.

– Powiedzcie chociaż, co mi tak na plecach ciąży.

– Święte obrazki, szkaplerze, medaliki i krzyżyki.

– Toście obraźnik¹? – domyślił się kat.

– W rzeczy samej. Ale co wam? Posmutnieliście jakby?

– Szlachetne to zajęcie i chlubę przynoszące. Ludzie was cenią i pod swój dach wpuszczają. Macie z czego wyżyć, to widać po stroju.

– Ale na konia ni pomocnika mnie nie stać. Samotność czasem doskwiera.

– Przynajmniej nie głodujecie – westchnął kat i z nadzieją pomyślał o kolacji.

Wędrowny handlarz dewocjonaliami. [\[wróć\]](#)

Wbrew swej woli Jan nie mógł zapomnieć o młodej Holenderce. Jak go znalazła? Jak wpadła na pomysł, że on, właśnie on, mógłby zostać przyjęty przez monarchę?! Skąd czerpała wiarę, że jakimś cudem zdołałby nakłonić króla do uwolnienia kupców holenderskich? Teraz, po kilku dniach rozważania problemu, był już niemal całkiem pewien, że nie ma przeszkód, aby spróbował przekonać króla do ich racji. Oczywiście nie chciał za to żadnych pieniędzy. Zastanawiał się w gorączce, jak wykonać tę misję, związał z nią wszystkie swoje myśli, aż wreszcie uznał, że jego los i kariera dworska zależą tylko od niej.

Szukał wśród znajomych, kto mógłby mu umożliwić audiencję. Ale że znał w Gdańsku niewielu ludzi, szansa na złożenie prośby u stóp króla malała z każdym dniem. Stanisław Leszczyński już go pewnie nie pamiętał, podobnie jak zapomniał o swej obietnicy wynagrodzenia bohaterskiego czynu. To wszystko jednak nie przeszkadzało Janowi błądzić w marzeniach wokół dziewczyny, która wybrała go na rycerza swojej sprawy. Kilka dni po pierwszym spotkaniu przyszła po raz drugi, zapewne przekonana, że usłyszy pomyślne wieści.

– Pani, rozumiem wasze położenie, ale zrozumcież i moje! Czy wasi kupcy nie powinni sami udać się z deputacją do króla?

– Byli już dwukrotnie. Nic nie wskórali.

– Więc jak ja mam tego dokonać? Nie należę do dworu. Nie tak łatwo dostać się na posłuchanie, a jeszcze trudniej skłonić króla do działania. Cóż to byłby za monarcha, gdyby przyjmował każdego ze swych poddanych?!

– Rozumiem, ale wierzę, że się uda. Król jest wam winien wdzięczność, na pewno was wysłucha! Błagam, nie zwlekajcie!

– powiedziała, zostawiając go z poczuciem, że nie ma sprawy, której nie podoła.

Nie tak łatwo było przejść od zamiaru do czynu. Jan pragnął przypaść do ręki królewskiej w mniej urzędowej atmosferze, niejako przypadkiem, najchętniej na ulicy. Wciąż nie udawało mu się trafić we właściwy moment. Łajał się za brak tupetu, kiedy jednak zbliżał się do

domu zamieszkanego przez króla, jakiś głos, silniejszy od lęku przed stojącymi u wrót żołnierzami, kazał mu się wycofać.

„W ten sposób mogę czekać aż do wyzwolenia! Nie po tom tu przybył, żeby teraz ulęknąć się błahej przeszkody! Ta dziewczka ma rację, jeśli będę dłużej zwlekał, król mnie całkiem zapomni!” – przekonywał sam siebie i tegoż dnia złożył do kancelarii królewskiej pismo z prośbą o audiencję.

Odpowiedź nadeszła niezwykle szybko i – co zadziwiające – była przychylna! Jan nie posiadał się ze zdumienia i szczęścia. Szykował się starannie, kazał oberżystce oddać swą odzież do prania, a chłopakowi wyczyścić buty. Poszedł też do balwierza. Nie chciał nikomu dać powodu do żartów ze swego nazwiska, tak poważanego na Litwie.

Król przyjął go z nadzwyczajną łaskawością. Co ważniejsze, pamiętał, co Jan uczynił dla niego osobiście i dla całego Gdańska.

– A oto poznajcie panowie – rzekł do otaczających go magnatów polskich oraz patrycjuszy gdańskich – dzielnego młodego kawalera, który na swe życie nie bacząc, pokonał pędzącego ku wrogowi naszemu szpiega, by odebrać cenne listy, stanowiące o naszym bezpieczeństwie. Przybliżcie się, młodzieńcze!

Wzruszony Jan postąpił kilka kroków, ukląkł na jedno kolano i schylił głowę.

– Przypomnijcie mi swoje nazwisko.

– Jan Jandźwił z Litwy.

– Co za troska was przed nasz majestat sprowadza?

– Wasza Wysokość, nie o sprawę osobistą mi idzie, jeno o wolność niewinnych ludzi, którzy przypadkiem znalazłszy się w Gdańsku, płacą wysoką cenę za naszą wojnę.

– O kogo konkretnie chodzi?

– O kupców holenderskich – wyrzucił z siebie jednym tchem Jan, a zebrani wokół króla zafalowali, kiwając głowami i komentując jego słowa.

– To bardzo pięknie, że się waść za nimi ujmujesz, niczego dla siebie nie żądając, i choć podziwiam twe serce dla tych ludzi, boś jest pierwszym, który z tym do mnie przychodzi, obiecać mogę tylko, że do Rady Miasta wystąpię z tą sprawą, jako że tu wyłącznie gościem. Czy

chciałbyś o coś jeszcze prosić, młodzieńcze?

– Nie, Wasza Miłość.

– Zatem bywaj zdrów! Ufamy, że na polu walki równie dzielnie będziesz nam służył jak dotychczas. Mając takich defensorów, zyskujemy pewność rychłego zwycięstwa!

Jan uklonił się nisko i wyszedł. Pełen szlachetnego uniesienia w pojedynkę pokonałby teraz cały pułk wojska. Żałował nawet, że nie trwa akurat żadne natarcie, które dałoby mu szansę wykazania się odwagą, a choćby i oddania życia dla kraju. Zwolnił Kaźka oczekującego na ulicy, a sam długo błąkał się po zaułkach miasta. Chciał ochłonąć z wrażenia, jakie zrobiła na nim audyencja i król Stanisław. Teraz był już pewien, że to najlepszy kandydat na polski tron, i trzeba zrobić wszystko, aby na tym tronie zasiadł.

Zobaczywszy go, karczmarza trochę się przestraszyła.

– Nie chorzyście aby?

– Nic mi nie jest! – odburknął niechętnie.

– Ta dziewczka znów tu była... – zagadnęła Florentyna.

– Dopytywała się o was. – Zawiesiła głos, przyglądając się jego reakcji.

– Nicem nie wskórał. Polski król nie rządzi w Gdańsku.

– A to mi dopiero nowina! – Oberżystka wzruszyła ramionami.

– Mówicie, jakbyście tu nie mieszkali od tylu miesięcy. Ale o co szło?

– Holendrzy chcieliby opuścić Gdańsk. Münnich dał im na to zgodę, ale ponoć Rada się sprzeciwiła. Oni tracą czas, pieniądze, a to nie ich wojna.

– I ta młódka was obrała za swego obrońcę? Ciekawość, z jakiej przyczyny?

– Szukała kogoś, kto mógłby zanieść jej prośbę do króla.

– Nie powinna raczej szukać kogoś, kto ma znajomości w Radzie?

– Pewnie tego nie wiedziała – powiedział Jan i zawiesił głos.

– A wy znacie kogoś takiego?

– Jeden z czterech burmistrzów to mój kuzyn.

– Nigdy nie mówiliście!

– Com się miała chwalić. Zresztą uparty jak osioł.

– Holendrzy mają złoto.

– Zapewne. I po mojemu już je Radzie zaofiarowali w zamian za wolność.

– Więc dlaczego ich nie wypuszczą?

– Bo jako zakładnicy są więcej warci.

Posmutniały Jan wszedł do swojej kwatery, upadł na łóżko i długo rozpamiętywał wizytę u króla. Żałował, że nie widział go w owej chwili ojciec, może wreszcie byłby z niego dumny? A potem zmęczony kasztelaniec usnął i śnił o rudowłosej dziewczynie, która w luźnej sukni tańczyła przed nim na ukwieconej łące. Jej małe, twarde piersi o ciemnych sutkach rysowały się wyraźnie pod delikatną materią. Nim się zbudził, zdołał jeszcze pomyśleć, że dziewczka ma piękne ciało. Wyrwany ze snu wczesnym rankiem, żałował, że nie dane mu będzie przekonać się, czy tak jest w rzeczywistości.

VI

Od początku Wielkiego Tygodnia w Złotym Moście trwały pośpieszne przygotowania do Wielkanocy. Zofia Niezgodzka z ręką na temblaku wydawała polecenia kucharce i podkuchennym sposobiącym żywność, Dorotka i Ignasz zaś biegali podekscytowani, nie wiedząc, co bardziej ich raduje: koniec postu czy też misterium Męki Pańskiej, które po raz pierwszy będą mogli obejrzyć na własne oczy. Nasłuchali się wielu opowieści o tych pobożnych dialogach, inscenizowanych z wielką starannością przez winnickich zakonników. Zwłaszcza dziewczki kuchenne, raz czy dwa zabrane do miasta w nagrodę za rzetelną pracę, aż zachłystywały się, wspominając swą rozpacz po śmierci Ukrzyżowanego, a potem śmiech, gdy rozbrzmiało radosne „Alleluja!”, bo Chrystus z grobu zmartwychwstał i dzierżąc w dłoni chorągiewkę, uderzył we wrota piekielne.

Dzieci nie mogły pojąć magii widowiska rokrocznie odbywającego się w kościele klasztorным karmelitów. Gotowe jednak były ponieść wszelkie ofiary, aby nic nie przeszkodziło matce wypełnić obietnicy. Zofia, zadowolona, że nie myszkują po garnkach, siedząc spokojnie w świetlicy, z pomocą swej matki, cześnikowej Salomei Żelskiej, wydawała wszelkie potrzebne do pieczenia i gotowania zapasy. Gości nie miało się pojawić wielu, ot, najbliższa rodzina i może podstarość Kacper Hadziewicz. Nie sądziła, aby podstoli Żaba chciał się tłuc taki kawał drogi, choć była gotowa przyjąć go z otwartym sercem.

Po Niedzieli Palmowej do Złotego Mostu dotarła wieść, że w Turowie zatrzymał się moskiewski pułkownik ze swą żoną i na Wielki Piątek – akurat wtedy! – zarządził przysięgę na wierność Augustowi III. Smutek wkraść się w serce miecznikowej. A więc Męka Pańska będzie również męką narodu, zniewolonego przez obce wojsko, aby przysięgał królowi, którego nie wybrał.

– Którego nam narzucono przemocą! – piekliła się.

Pani Salomea, zajęta szyciem, próbowała uspokoić córkę.

– Moja droga Zosiu, już mądrzejsze od naszych rozumy tę sprawę rozważają. Wszak rządy nie do nas, białogłów, należą, a już zwłaszcza

nie rządy Rzeczpospolitą. Nie gorączkuj się tak, bo mi się jeszcze rozchorujesz na same święta.

– Kiedy, matko, jako wdowa i ja będę musiała tę przysięgę złożyć, pismo jest rozesłane. Pismo z pogroźkami. Dałby Bóg, aby się pan podstarości pojawił, chętnie bym wysłuchała, co zamierza w tej materii.

– Jeśli podstarościego rady posłuchasz, to jak amen w pacierzu napytasz sobie biedy. On bez rodziny, sam jak ten palec, to i ze światem wojować może. Ty przysięgę złożysz, bo bez mężczyzny w domu nikt nas w obronę nie weźmie. Króla nie wybierałaś, zresztą co za różnica Piast czy Sas? Ani my tu, na Litwie, jego rządy czujemy, ani jego samego widzimy. Nam król lada jaki się nada, byle wojny z kasztelanem uniknąć. Modliłam się długo i aż przyśnił mi się mój świętej pamięci mąż. I w te oto słowa przemówił: „*Pax vobiscum!*”.

– Po łacinie? – zdumiała się Zofia.

– Cóż w tym dziwnego? *Pax vobiscum!* A wiesz ty, co to oznacza? Że buntu wznosić nie mamy, tylko kornie schyliwszy głowy, nowego króla musimy powitać, bo nam on obojętny jako niegdysiejsze śniegi. Ja w stolicy nigdy nie byłam i się tam nawet nie wybieram. Pokoju nam trzeba, tu, w Złotym Moście, a pokój uzyskać możesz tylko w jeden sposób: swego pilnować, po cudze nie sięgać.

– Matko, ja najdalsza od wzniesienia buntu, ale mówią, że w Litwie wojska polskiego mrowie szykuje się do walnej bitwy z Moskiewskimi. O polskiego króla, o Stanisława, chcą walczyć, a może i życie zań oddać! Więc jakże tak zawczasu, nim jeszcze wojna się rozstrzygnie, przysięgę składać Augustowi?

– Szaraczki, jako i ten butny podstarości, będą za sprawę Piasta karku nadstawiać, a magnaci w swych zamkach pułkowników moskiewskich przyjmując, dogadają się ponad naszymi głowami, jak to czyni kasztelan. Za wiele oni mają do stracenia i już nas dawno sprzedali.

– Zawsze sądziłam, że nieboszczyk był krewki i surowy w sądach, ale wy, matko, w niczym mu nie ustępujecie.

– Com się nasłuchała, to i pamiętam! Tymczasem do Wielkanocy trzeba się godnie przygotować, bo po świętach zawiśnie nad nami czarna chmura. Widzę ją w każdym śnie, raz jako ptaki, to znów jako obłoki

skłębione, pędzące po jasnym niebie. Boję się, co nam ten czas przyniesie, moje dziecko, bardzo się boję! – Starsza pani westchnęła i znów skupiła uwagę na szyciu.

– Będzie, co ma być. W Bogu nadzieja, że nas obroni – odparła Zofia i przeżegnała się.

Gdy już kucharka napiekła bab, placków i mazurków, Zofia zamknęła w komorze zapasy i zleciła jej doglądanie mięsiwa, sama zaś z matką i dziećmi wybrała się w Wielki Czwartek na misterium Męki Pańskiej. Historia ukrzyżowania i śmierci oraz zmartwychwstania Jezusa Chrystusa wypowiedziana wierszem przez ubranych w rozmaite stroje ojców zakonnych była pierwszym *theatrum* w życiu Dorotki i Ignasia. Podobnie jak większość wiernych obecnych podczas widowiska, przejęte dzieci nie potrafiły stłumić okrzyków grozy i zachwytu, gdy znana z Biblii opowieść rozegrała się przed ich oczyma.

Jadąc do Winnicy, Zofia z czułością przypatrywała się zieleniejącym polom. Przyroda budziła się do życia. Dni były coraz dłuższe i cieplejsze. Wielkanoc wlewała w jej duszę wzruszenie i nadzieję. Miecznikowa zapomniała już wieszczące nieszczęście słowa matki.

„Ale to chyba cecha ludzi dojrzałych? – myślała. – W starszym wieku człowiek chciałby wszystko przewidzieć i uchronić się przed niespodziankami. Stąd zapewne te czarne chmury. Nie ma się co obawiać na zapas”.

Ona sama też była przejęta, jednak nie przepowiedniami cześnikowej i nie dialogami pasyjnymi, ale spodziewaną w Winnicy obecnością podstarościgo, który nie bacząc na grożące mu ze strony kasztelana niebezpieczeństwo, zamierzał przyjechać, aby ją ujrzyć. Spotkali się przy wyjściu z kościoła.

– Jak ręka waćpani? – zapytał, przeszywając ją gorącym spojrzeniem.

– Dziękować Bogu, coraz lepiej, ale pożytek z niej żaden.

– Rany muszą się wygoić, nic pośpieszać nie należy! – ostrzegął zatroskany. – Pani miecznikowo, chciałbym o radę zapytać.

– A ja was chciałam się poradzić w kwestii tego pisma, co nas do

przysięgi nowemu królowi nakłania. Wszak to już jutro, jakie wasze zdanie?

– To my pójdziemy przodem! – zdecydowała pani Salomea i zabrała dzieci, aby nie przeszkadzały w rozmowie.

– Wy dla świętego spokoju przysięgnijcie – niemal beztrosko rzucił Hadziewicz. – Ja nie zamierzam. Do Pocięja pod Oszmianę ruszam czym prędzej.

– Jakże to? Na same święta?! – Zofia nie potrafiła ukryć rozczarowania.

– Nierad to robię, możecie mi wierzyć. Chętniej bym w Złotym Moście szynek i bab popróbował, bo że byście mnie ugościli, w to nie wątpię.

– Przecież!

– Ale kasztelan tylko czeka wyjazdu Moskiewskich i kiedy ich pułkownik Kondyriew przysięgę odbierze, to się zacznie sprawa z Rabińskim, którego w lochu na razie trzymają. Strasz się odgrażał, że głowy zbójców polecą za to, że kasztelanekę z zamku uprowadzili.

– Wszak to nie oni, ona sama próbowała ucieczki spod kurateli ojca.

– Córkę kasztelan też w lochu trzyma, mimo że dopiero co dzieci na świat wydała. Wybaczcie, ale na ten czas nie będę się pchał w łapy pachołkom kasztelańskim, bo i mnie gotowi o współudział w porwaniu oskarżyć.

– Rozumiem – powiedziała smutno.

Cieszyła się, że podstarości w cudzej sprawie karku nie nadstawia, jednocześnie czuła też zawód, że zamierza poniechać Rabińskiego i kasztelanekę, dla których tak wiele ongiś uczynił.

– Zostawiam was pod opieką pana Żaby, będzie tu zaglądał i we wszystkim służył. A co do przysięgi, to może nie wiecie, ale jest pewien sposób, aby złożyć ją, a jednak pozostać w swym sercu czystym.

– Jakiż, mówcie! – ponaglała.

– Zamiast „*sponte non coacte*”, co oznacza, że z własnej i nieprzymuszonej woli przysięgacie, powiedzcie „*nunc coacte*”, co się rozumie, żeście zniewoleni, różnica niewielka, a taka przysięga żadnej wartości nie ma.

– Toście w łacinie uczeni! – wyraziła swój podziw Zofia. – Tak też uczynię. A teraz pora mi z dziećmi do domu, bo jutro znów nas droga do miasta czeka. Grób Pański trzeba odwiedzić, odbyć spowiedź i tę wstrętną przysięgę złożyć.

– Tak będzie lepiej, uwierzcie!

Patrzyła nań z bólem serca. Nie chciała go martwić złymi przeczuciami, bo wszak na wojnie wszystko się zdarzyć może.

– Rada bym was wkrótce zobaczyć... – powiedziała przez zaciśnięte gardło.

– I tak się stanie! – rzekł wesoło, wskoczył na konia i nie oglądając się, ruszył przez rynek ku drodze na Gniazdo Orłowe, a ona popatrywała za nim przez dłuższą chwilę, póki głośnie śmiechy dzieci nie przywołały jej do rzeczywistości.

Ani się domyślała, jak wiele podstarości przed nią ukrywa.

VII

Ostrożnie stąpając po nierównych kamiennych stopniach, zakonnik zszedł do zamkowego lochu. Niezadowolony, że odrywają go od modlitwy, nie mógł jednak odmówić prośbie skazańca, zatem przed wieczornym nabożeństwem polecił się prowadzić z posługą. Zmęczony się czuł i senny, ale chłód lochów wnet senność odegnał. Przed nim podążał chłopak z łuczywem, które miał zatknąć w uchwyt, i na czas pewien się oddalić.

Rabiński stracił już nadzieję, że ujrzy duchownego, tym większe było jego zdumienie, gdy o tak nieoczekiwanej porze ten się jednak zjawił. Zakonnik stanął po drugiej stronie kraty i uczynił nad nim znak krzyża, gotów do wysłuchania spowiedzi.

– Ojciec wybacz mi, bo zgrzeszyłem – wyszeptał zbójca i ukląkł.
– Wiem, że niewiele czasu mi zostało, bo tuż po Wielkanocy pewnie sąd się w Winnicy zbierze, zważy moje czyny i śmierć mi w mękach zada. Dlatego proszę, wysłuchaj mnie. Postawiony przez kasztelana na posterunku, jakem umiał, pilnowałem ze swymi ludźmi traktu. Mówili, że zbójca, ale wszak do pańskiej szły szkatuły sakiewki, które podróżni dobrowolnie z okien swych karoc na drogę rzucali.

– Synu, mnie się nie godzi takich wyznań słuchać, a ty w obliczu śmierci stojąc, nie rzucaj na nikogo oskarżeń!

– Dajcie mi skończyć, bo że byłem urzędnikiem kasztelańskim, to wiadoma rzecz, jeno z grzechu chciwości chciałbym się wypowiedzieć, bom nie wszystko złoto oddawałem.

– Jakże to?! A cóżeś z nim robił?
– Ukrywałem.
– Swego pana okradając? To grzech, straszny grzech!
– Takem sobie umyślił, że kiedyś do Jasnogórskiej Paniienki z pielgrzymką się udam i może ona mi grzechy moje wybaczy.

– Matka nasza jest pełna miłosierdzia.
– Tom odkładał talar do talara, aby me błagania godnymi uczynić i Matki Boskiej pustymi rękoma nie obrazić. Ale zda mi się, że już tej pielgrzymki nie odbędę, więc chciałbym jaką mszę za grzeszną duszę

moją zamówić.

– A masz na ofiarę?

– Tu nie mam, w ukryciu wszystko zostało.

– Dużo tego?

– Ze dwie wsie by kupił.

– To czemuś nie oddał kasztelanowi, aby go przebłagać i wyrok znośniejszym uczynić?

– Na nic by się to zdało. Ze złotem czy bez, i tak mnie obwieszą, może nawet jeszcze prędzej, a złoto mając, to już nawet udowodnić winy nie będą musieli. Tom pomyślał, że w zaparte pójdę, a majątek Matce Boskiej w ofierze złożę, tym sposobem męki wiekuiste pomniejszając.

– Bardzo słusznie, bardzo słusznie. Szkopuł w tym, że ów majątek w ukryciu.

– W rzeczy samej. I tylko ja jeden wiem gdzie.

– Ot, problem prawdziwy... – zasepił się duchowny. – Ale gdybyś to miejsce opisać umiał, pewnie znalazłaby się jakaś rada.

– Kiedy puszcza ogromna, a drzewo jedno do drugiego podobne.

– W rzeczy samej. Zatem módl się, synu, do Maryi, a może wejrzy okiem łaskawym i za winy twe przed obliczem Pana Naszego orędownicę będzie. – Jezuita zrobił nad głową Rabińskiego znak krzyża i kryjąc dłonie w rękawach habitu, ruszył w kierunku schodów. Podbiegł też zaraz chłopak, chwycił łuczywo i oświetlając drogę, z lochu księdza wyprowadził.

– Coś tyle mamrotał? – zainteresował się Kettler.

– Bo uzbierało się grzechów... – westchnął Rabiński, zastanawiając się, czy był dość przekonujący i czy Matka Boska zechce raz jeszcze wziąć go w opiekę, dlatego ukląkł i dopiero teraz zaczął się modlić naprawdę żarliwie.

Poranek Wielkiego Piątku wstał zimny, wietrzny i deszczowy. Rzęsiste strugi cięły niemiłosiernie, wiatr huczał, ciemne chmury wisiały nisko, niemal zahaczając o wieże zamkowe. Kasztelan, szykując się do śniadania, wyrzwał przez okno. Na dziedzińcu panowało zamieszanie. Oddział wojska towarzyszący pułkownikowi zbierał się do drogi, tuż po

posiłku mieli ruszać do Winnicy. Z kaplicy wyszło sześciu zakapturzonych mnichów. Minęli oddział i skierowali się ku bramie. Rokrocznie szli tego dnia na trakt, aby się biczować i w ten sposób pełniej doświadczyć Męki Chrystusa. Od dawna zabiegali o ustawienie w pobliżu zamku stacji drogi krzyżowej, ale jakoś ciągle nie udawało się zebrać na to funduszy. Uderzali mocno, aż czasem krew przesiąkała przez habity.

Tadeusz Jandził wzdrygnął się, ale nadal patrzył, nie mogąc oderwać oczu od ginącej już na gościńcu grupki. Jakże im zazdrościł w tej chwili! Ile by dał za to, aby z lekkim sercem i modlitwą na ustach iść traktem, choćby w błocie i deszczu, ale nie czuć tego straszliwego ciężaru władzy i odpowiedzialności! Tego strachu przed wszystkimi dookoła, własnych dzieci nie wyłączając! Tej obawy, że ktoś zniemacka zdradzi, wbije nóż w plecy! Ale jeszcze bardziej bał się kasztelan ośmieszenia, wykpienia, pomniejszenia godności i roli, jaką sprawował w tym powiecie niepodzielnie od dwudziestu lat! Tymczasem krąg oddanych mu, gotowych na wszystko ludzi, topniał z każdym miesiącem. Odchodzili młodzi, którym w głowach dźwięczały obietnice Leszczyńskiego, odchodzili starzy. Udawali, że nic się nie zmieniło, tłumacząc się chorobami lub nawet zgoła niczego nie tłumaczyli. W gruzy sypał się gmach z takim trudem wznoszony i nie było się na kim wesprzeć. Zamek stał jeszcze, potężny, niezdobyty, miał też kasztelan swoje wojsko, ale w powietrzu czuło się atmosferę rozprężenia, coś się psuło, a właściwie psuło się wszystko. Bezsenne noce odślaniały ukrywane za dnia obawy, że może trzeba będzie zacząć kupować stronników. Śniły się kasztelanowi piwnice pełne pustych skrzyń, krzychał wtedy przez sen, przeczuwając bliską ruinę domu Jandziłów.

Jak lekko na duszy musi być tym mnichom, których drogę wyznacza Ewangelia, którzy w każdej chwili wiedzą, co mają czynić, prowadzeni za rękę niczym dzieci, z celami dokładnie wytyczonymi, bez wahań, bez pytań, bez lęków. A choćby i zabolalo, gdy się smagną biczem, to cóż? Najbardziej bolą zawiedzione nadzieje, chybiony cel i wstydy, gdy nam odmawiają.

Tadeusz Jandził odwrócił się od okna. Służący w pokornej pozie

czekał, aby mu zapiąć spinki i włożyć kontusz. Należało zejść do gości, czas naglił.

Gdyby kasztelan nieco dłużej śledził drogę mnichów, zdziwiłby się może, że rychło skręcili oni w las, rumor jednak i tumult na zamku panowały takie, że nawet bramni ledwie omietli ich wzrokiem. Tymczasem grupa kierowała się ku jaskini zbójców, gdzie Rabiński miał nadzieję spotkać niedobitki swej kompanii na czele z Hadziewiczem.

Przekraczając most zwodzony, Bartek smagnął się przez plecy tak mocno, że aż mu pociemniało w oczach. W tej chwili obiecał sobie, że nigdy już nie zbliży się do zamku w Turowie na mniej niż milę. Mamrotał zdrowaśki jedną po drugiej, dziękując Matce Boskiej za cud uwolnienia, którego obiecał nie zmarnować. Odwykły od chodzenia, ledwie mógł się utrzymać na nogach. Mokry habit ciążył, klejąc się do pleców, wonne leśne powietrze odurzało, a wiosenne kolory sprawiały, że kręciło mu się w głowie. Ledwie powstrzymywał się, aby nie skakać z radości. Wiedział, że żywy na zamek nie wróci, i gdyby zaszła potrzeba, gotów był po raz pierwszy skalać swe ręce krwią niewinnych. Miał jednak nadzieję, że zakonnicy nie okażą się zbyt waleczni. W końcu chodziło im przede wszystkim o złoto.

Jeśli czego żałował, to pozostawionego w celi Kettlera, którego nie wtajemniczył w swe plany. Tak jednak było rozsądniej.

Dojście do jaskini zbójców zajęło im sporo czasu, bo Rabiński kluczył po lesie, aby nie pokazać mnichom prostej drogi. Na miejscu wszystko wyglądało tak, jakby wiadomość do Hadziewicza nie doszła. Las był cichy, nigdzie żywej duszy, nawet ptaki umilkły. Słyszeli tylko szum deszczu spływającego po gałęziach drzew. Wreszcie dotarli na miejsce. Od dawna nikt tu nie palił ogniska.

– To tu? – zapytał brat Maciej.

– Tak, bracie.

– A gdzie twoja skrytka?

– Na zewnątrz, bliżej rzeki. – Bartek grał na czas, intensywnie nasłuchując.

Już-już mu się zdawało, że coś słyszy, tu jakby trzasnęła gałązka, tam ktoś syknął, ówdzie huknęła sowa, ale majaki to tylko były i rojenia.

Chcąc nie chcąc, musiał zaraz zacząć kopać i pokazać schowek, który przygotował na gorsze czasy i z którym przed nikim nie chciał się zdradzić. Zakonnik jednak ponagłał:

– Pośpiesz się, musimy zaraz wracać! Dziś Wielki Piątek!

– Mam tu gdzieś narzędzia – powiedział Bartek i rzeczywiście wyjął z jakiegoś załomu skalnego ostro zakończony długi drewniany kij.

Powoli dźgał nim ziemię, a mnisi postępowali za nim, ciekawie spoglądając. Wreszcie coś pod rylcem chrobotnęło i Rabiński zaczął kłuć raz koło razu. Obstąpili go ciasno, nie chcąc uronić ani chwili z tego ekscytującego zdarzenia. Wzdychali, dodawali mu sił, wołając:

– Mocniej! Jeszcze raz!

Bartek klęknął i darł ziemię gołymi rękoma. Wreszcie odsłonił gliniany garnek. Teraz wystarczyło już tylko wydobyć go na powierzchnię. W chwili jednak, kiedy Rabiński podnosił przykrywę garnka, usłyszeli przeraźliwy świst strzały. Jednakowo załęcznieni, bo wroga nie było widać, zbili się w ciasną gromadkę. Ktoś z oddali krzyknął:

– Poddajcie się! Jesteście otoczeni!

VIII

Od pamiętnej rozmowy z podstarościm Zofia wciąż powtarzała w myśli obcy jej łaciński zwrot, którego nie chciała przekręcić. Zastanawiała się, czy to, na co ją namawiał, jest czy też nie jest krzywoprzysięstwem. Jutro miała pójść do spowiedzi, podświadomie czuła, że nie zdoła wyjawić swojego zamiaru. Czy zamiar jest już czynem? I czy to czyn naganny? Nie chciała martwić matki, zresztą była niemal pewna, że pani Salomea skrytykowałaby jej postanowienie. Zostało niewiele czasu do namysłu: jeden wieczór i zapewne bezsenna noc. Czy powinna przysiąc? Co by zrobił nieboszczyk ojciec? Wiernie służył kasztelanowi, wykonywał jego polecenia, czy w tej konkretnej sprawie też by mu się nie sprzeciwił? Wszak szlachta na polu elekcyjnym wybrała Stanisława Leszczyńskiego, to on był królem. Druga elekcja, dokonana znacznie mniejszą liczbą głosów i w obecności obcego wojska, nie powinna się liczyć! Elektor saski już się jednak koronował w Krakowie. Czy ta koronacja przesądza o prawach Fryderyka Augusta do tronu polskiego? A może dopiero wojna o tym rozstrzygnie?

Zofia czuła, że te rozmyślania przerastają jej rozum. Była niespokojna i nieuważna podczas wieczerzy. Gdy mówiła dzieciom dobranoc, nie potrafiła słuchać o ich wrażeniach z misterium. Rozpalona kręciła się w łóżku, wstała, usiadła, wreszcie uklękła, aby zmówić pacierz, bo miała nadzieję, że modlitwa pomoże jej podjąć decyzję.

Rzadko zdarzało się, aby dzień po dniu trzeba było jechać do miasta, jednak w wielkopiątkowe południe Zofia z matką i dziećmi mimo niesprzyjającej aury znów zjawili się w Winnicy. Na rynku tłoczyły się wszelkie pojazdy: powozy, bryki i fury. Kto żyw, śpieszył do kościoła. Ale niemały tłumek zgromadził się też przed ratuszem i karczmą. Zofia odniosła wrażenie, że znajduje się tu więcej ludzi niż podczas ubiegłorocznego jarmarku. Najpierw poszli do kościoła karmelitów, aby obejrzyć Grób Pański. Figurę Chrystusa mnisi ułożyli pośród kamieni, kwiatów i świateł. Usadziwszy dzieci w ławkach, obie

kobiety przystąpiły do spowiedzi.

Roztrzęsiona i pełna obrzydzenia do siebie samej, brnąc w błocie, jakie zdążyło się już zrobić na rynku, miecznikowa skierowała się następnie ku ratuszowi winnickiemu, który znajdował się w jednym z parterowych drewnianych domów. W luźnych grupach stało tam kilkunastu starszych wiekiem szlachciców z powiatu. Ubrani w odświętne stroje, kolorowe kontusze i czapki z piórami, mężczyźni z ożywieniem rozmawiali, nie zważając na deszcz. Poczowała ulgę, nie zauważywszy ani pana Żaby, ani żadnego z braci Szuksztów. Mała to pociecha, ale zawsze. Równie jak ona poruszeni, co widziało się po minach i gestach, obywatele nerwowo chwyтали za rękojeści paradnych lwowskich karabel, jakby już tu, na rynku, chcieli kogo siec. Kiedy podeszła bliżej, zamilkli. Skrępowani jej obecnością popatrywali z ukosa.

– Witam waszmościów! Czyście już przysięgali? – zapytała.

– A już, niechaj będą przekłęci! – wysyczał przez zęby wojski Kociemba.

Inni nie odpowiedzieli.

Zofia uniosła rąbek sukni i kuląc się w sobie, przestąpiła próg ratusza. W wielkiej izbie sądowej, za masywnym drewnianym stołem, siedzieli pułkownik Kondyriew, kasztelan Jandźwiłł oraz jego sekretarz, Wacław Strasz. Z jednej strony za Kondyriewem, pochylając się co jakiś czas do jego ucha, stał adiutant. Niewiele musiał tłumaczyć, bo pułkownik rozumiał i mówił po polsku. Z drugiej strony w unížonej pozie stał służący, z rysów sądząc, zapewne Kałmuk lub Mongoł. Reszta oficerów siedziała na ławach w głębi pomieszczenia. Przed komisją leżały papiery i, bez jakiegokolwiek poszanowania dla dokumentów, stały trzy srebrne puchary z winem. Na widok wchodzącej mężczyźni poprawili się na stołkach i wyprostowali.

– Pani miecznikowa Niezgodzka! – Strasz przedstawił Kondyriewowi Zofię, wskazał jej krucyfiks i prosił o powtórzenie słów przysięgi.

– *Priekrasnaja żeńszczina!*¹ – mruknął pułkownik z admiracją i podkreślił węża.

Udając katar, z chusteczką przy nosie, powtórzyła według

instrukcji podstarościego, a Strasz odnotował jej przysięgę w księdze.

– Otóż i mamy koniec białogłowskiej rebelii! – Kasztelan westchnął z udawanym współczuciem, spojrzawszy na Zofię protekcyjnie. – I na co się było tak rzucać, jeździć po dworach, agitować do konfederacji i sąsiedzkiej niezgody? – pouczał ją jak dziecko, zapomniawszy chyba, że nie tak dawno sam namawiał szlachtę do wybrania Leszczyńskiego. – Siedziałyby miecznikowa w domu, to i rękę miałyby zdrową – dodał na koniec, udając współczucie.

Zdenerwowana omal się nie rozplakała, jednak zacisnęła usta, a łzy pociekły jej dopiero po wyjściu z sali. Spojrzała na zebranych przed budynkiem wciąż dyskutujących mężczyzn, którzy rzucali ku niej pytające spojrzenia. Minęła ich bez słowa. Dopiero wtedy, zapatrzona w krzyż na wieży kościoła karmelitów, przeżegnała się i załkała.

„Panie Boże, ty znasz moje intencje i wiesz, zem to dla Ojczyzny zrobiła! – kajała się w duszy. – Jeśli taka twoja wola, ukarż mnie teraz lub gdy w grzechu śmiertelnym pozostając, przyjmę komunię świętą. Już do końca dni moich będę nosiła ten ciężar”.

Uniosła wzrok ku górze i za wszystkie swe upokorzenia poprzysięgła kasztelanowi zemstę.

– Żeśmy to ksiąg lepiej nie przygotowali! – złościł się kasztelan, gdy po przysiędze został w swym powozie sam na sam ze Straszem.

– Nie byliśmy dość przewidujący!

– Co macie na myśli, panie?

– Skoro już przepisywaliśmy księgi według naszego uznania, trzeba było pozostawić tam jedynie tych, co do których mieliśmy pewność, że do przysięgi przystąpią. Jak o nas świadczy nieobecność tylu obywateli? Już tam Kondyriew raport złoży, komu trzeba, a jak łask królewskich przyjdzie się dopraszać, to nasze szanse będą mizerne. Pisarzowi niech dwadzieścia batów wymierzą.

– Pisarzowi? – zdumiał się sekretarz.

– Słyszałeś. Tylko gdzieś w lochu, żeby się nie darł i gości nie straszył. Powiedzże, Strasz, o co im chodzi?

– Komu, panie?

– Tym wszystkim, którzy dziś nie przyszli do ratusza. Nie zjawilo

się kilkunastu szlachty z powiatu, znanych i szanowanych nazwisk! To oznacza nie tylko brak subordynacji, lecz także zapowiada rychły bunt! Bunt, z którym trzeba się będzie zmierzyć!

– Po Litwie krąży widmo konfederacji, która się ponoć zawiązała i ich zaślepiła. Roją o Leszczyńskim, który cuda baje. Widzi mi się, że tam poszli ci, którzy chcą zmiany. O tośmy przecież przed elekcją walczyli, do tego namawiali.

– Nie mów mi, com robił, bo wiem to lepiej od ciebie! Ale jakiej zmiany? Mają zmianę: królował August II, teraz mamy Augusta III! Naród potrzebuje przede wszystkim spokoju. Należy się pogodzić z sytuacją i możliwe korzyści z niej czerpać. Czas porzucić mrzonki o królu Piaście.

– Kasztelanowi nie muszę tłumaczyć, że się rozchodzi nie o króla, ale o reformy. Tych poprzedni król zaniechał, a narodowi się zdają potrzebne.

– Skąd pewność, że nowy król je przeprowadzi? Zresztą jeszcze tak się nie zdarzyło, żeby reformy co dobrego przyniosły! Im mniej zmian, tym lepiej. A najlepiej, zdaje mi się, było za Złotego Wieku. Od tamtej pory kraj tylko karleje. Żebyśmy to musieli takiego Kondyriewa znosić, na zamku go przyjmować jak gościa najważniejszego, kłaniać się, mizdrzyć! Czyja to wina? Gdzie król? Gdzie regimentarz?

– Kraj rozbity, podzielony na dwoje, dwóch królów, a jakby żadnego nie było – przytaknął sekretarz.

– Jak już który przyjdzie i zacznie swoje rządy, zawsze podatki podnosi i jęcz tylko a płąć! A podatki płacić to jakby złoto do dziurawego worka wrzucał. Choćby i skórę zdarli, nigdy nie nastarczy. Czy to ja wiem, na co moje pieniądze obrócone zostaną? – fuknął kasztelan.

– Skarb pono pusty, wojska nie ma za co utrzymać, drogi nędzne, miasta mus rozwijać, bo rzemiosło po ostatniej wojnie jeszcze się nie podniosło.

– Piękne słowa, gładkie i słuszne, ale kiedy już moje grosze do kasy królewskiej wpadną, to nijak nie zmiarkujesz, co się z nimi stało i czy one na drogi, na wojsko czy na nowe obrazy do dreздеńskiej galerii króla jegomości zostały przeznaczone albo i na co innego! – obruszył się

Tadeusz Jandził.

– Ale wszakeście od lat nic do królewskiej kasy nie dorzucili!

– Bo rozum mam! Gdybym tak rozdawał na prawo i lewo, jak by ten zamek, jak by kasztelańska szkatuła wyglądały?! Już dawno niczym owe dziady proszalne byśmy pod kościołem winnickim siedzieć musieli. Kiedy funkcję sprawujesz, nabywasz godności i do tej godności musisz mieć odpowiedni splendor, bo inaczej następuje funkcji umniejszenie. A funkcji umniejszenie to jakby umniejszenie wielkości Rzeczypospolitej, której tu w terenie my jesteśmy strażnikami. *Ergo*²...

– *Ergo*: płacenie podatków do szkody Rzeczypospolitej przyczynia się – słusznie wykoncypował Strasz.

– Lepiej niech w naszej szkatule te grosze zostaną! Już my będziemy wiedzieli, na co je najpotrzebniejszego obrócić. A co do konfederacji, to ja, jako kasztelan, nie zamierzam w niej uczestniczyć ani sił konfederackich swoim wojskiem wspierać. No, chyba żeby Moskiewskich pobili, ale na to się raczej nie zanoszą.

– Żeby zmienić front, zawsze jeszcze czas się znajdzie.

– I ja tak mniemam.

– Wszystko do święconego przygotowane?

– Szambelan twierdzi, że tak.

– Chcę, żeby było suto, wystawnie, ten Moskwicin ma oniemić z wrażenia na widok stołu. Wtedy może zapomni, jakiejśmy dziś klęski doznali. I jeszcze jedno... Miecznikową mus przeciągnąć na naszą stronę! Uda się z nią, uda się z innymi.

Piękna kobieta (ros.). [wróć]

Więc, zatem (łac.). [wróć]

IX

Panią Salomeę i dzieci Zofia odnalazła w kościele. Rozmodleni, wpatrzeni w grób Jezusa, przy którym dwóch szlachty odzianych w żupan i kontusz trzymało wartę, byli bardzo przejęci. Gdy wyszli z kościoła, zauważyli woźnego sądowego, który pośpiesznie ku nim zmierzał. Zofii mocniej zabiło serce.

„Mój Boże, czyżby się domyślili, że krzywoprzysięstwo popełniła?” – zastanawiała się przerażona.

– Jaśnie pani, z polecenia kasztelana mam przekazać zaproszenie do zamku w Turowie na święcone.

– Powiedzcie kasztelanowi, że jestem niezdrowa, co sam miał okazję widzieć – odparła drżącym głosem.

Woźny skłonił się i zawrócił ku budynkowi ratusza, a oni wsiedli do powozu.

– Cóż on sobie wyobraża, żeśmy jego sługami?! Że po wszystkim, co od niego wycierpieliśmy, jeszcze będziemy w gościnę przyjeżdżać?

– fuknęła pani Salomea.

– Matko, wybaczcie, ale ojciec, niech mu światłość wiekuista świeci, sam do tego kasztelana przyzwyczał. Zawsze był mu uległy i gotów na wszystko, a kiedy raz chciał całą prawdę powiedzieć, to doznał upokorzenia, które go zabiło.

– Nie mówmy o tym przy dzieciach!

Ale dzieci nie słuchały, głośno rozprawiając o grobie pańskim, nie zwracały uwagi na matkę, choć odpowiadała półgębkiem, zamyślona i smutna.

We dworze panował zgoła inny nastrój. Korzystając z nieobecności pani, pacholiki urządziły pogrzeb żuru, wylewając bramnemu na głowę wstrętą, cienką zupę, która już wszystkim przez czas postu dojadła. Wjeżdżając przez bramę, woźnica ledwie się uchylił przed zawieszonym na sznurku śledziem. Gdyby tego nie uczynił, śledź byłby go pacnął w twarz albo i, co gorsza, którąś z dobrodziejek.

Przez chwilę nie rozumiejąc, co się we dworze wyprawia, zdziwiona głośnymi krzykami i wesołością służby, nie licującymi z jej

pobożnym zamyśleniem, Zofia skarciła ich, niezadowolona.

– Widzę, żeście tu czasu nie tracili!

– Wybaczcie, pani! – starał się ją uspokoić jeden ze służących.

– Wszak wiecie, że taki nasz zwyczaj, aby koniec postu ogłosić.

– Obyście tylko zwyczaju świętej spowiedzi wielkanocnej nie przegapili! – rzekła pani Salomea. Odtrącając pomocną dłoń pachółka, zgramoliła się na ziemię i wskazując palcem śledzia, kazała go zdjąć z bramy. – Jeszcze kto z sąsiadów niespodziewanie przyjedzie i taki afront go spotka! – fukała rozwścieczona.

Potem chyba nawet trochę żałowała tej decyzji, bo przed wieczerzą zjawił się w Złotym Moście sam Strasz i cześnikowa kilka razy wyobrażała sobie, jaką minę miałby nadęty sługa kasztelana, gdyby wiszący na sznurku śledź niespodziewanie uderzył go w policzek. Oczywiście trzeba byłoby przeproszać, kajać się, skarcić bramnego, ale ośmieszony Strasz stałby się o wiele mniej groźny. Tymczasem przyjechał w towarzystwie kilku żołnierzy, butny i pewny siebie. Już nie sługa uniżony, ale niemal pan i władca.

– W imieniu kasztelana chcę zaprosić miecznikową na święcone!

– rzucił od progu.

– Zofia niezdrowa, wszak wiecie. Widzieliście ją w południe i woźny sądowy widział, że ledwie na nogach mogła ustać. Leży teraz, aby trochę wydobrzeć.

Strasz popatrzył na cześnikową badawczo. Nie dowierzał jej, ale cóż było począć.

– Radzibyśmy widzieć panią miecznikową w Turowie. Powtórzcie jej moje słowa.

– Powtórzyc powtórzę, jednak za jej decyzję nie ręczę. Na zamku się pono teraz niebezpiecznie pokazywać, bo zamiast spocząć za stołem, można do lochu trafić – rzekła hardo pani Salomea.

– Miecznikowej nic nie grozi – rozpogodził się Strasz. – Sam pułkownik Kondyriew będzie miał nad nią pieczę.

– Za kogo wy poczytujecie moją córkę?! Chcecie ją jak jakąś zabawkę moskiewskiemu żołdakowi, wrogowi ojczyzny, podarować?! Czyście na stare lata rozum postradali?! Żegnam i nie zwlekajcie z wyjściem, bo psami poszczuję! – krzyknęła oburzona.

Zapomniała o strachu i dobrym wychowaniu, a on, miotając złorzeczenia, opuścił dwór. Aby nie denerwować córki, cześnikowa nie opowiedziała Zofii o zajściu, miała jednak przeczucie, że na tej jednej wizycie sprawa się nie zakończy.

Zamkowy medyk Dietrich pochylał się nad rozgorączkowaną Cecylią. Nie rozumiał, czemu nie prosiła ojca o posłuchanie, czemu nie chciała do swych niemowląt się udać, siedzieć w czystej komnacie, choćby za cenę upokorzenia. Co planowała, miotając się z kąta w kąt i mamrocząc pod nosem? O czym myśli teraz, leżąc w brudnym barłogu? Przyniósł jej lekarstwo, aby obrzmiałe piersi gorączki nie wywołały, ale zamglony wzrok, szczykowanie zębami i spierzchnięte usta bardzo go niepokoiły. Kasztelanka nie uskarżała się ani na zimno, ani na niewygodę, o nic nie prosiła, codziennie strażnicy zabierali nietknięte miski z jedzeniem. Nie cieszyło to Dietricha. Znał córkę kasztelana od dawna, ale podczas tych ostatnich miesięcy, kiedy bezwolna, zdana na łaskę swego ojca, niczym więzień przebywała w Turowie, bardzo się zmieniła. Niegdyś pełna werwy, stanowcza, władcza wobec służby, co upodabniało ją do Tadeusza Jandźwiłła, teraz cicha, zamknięta, odległa, jakby miała się za chwilę pożegnać z życiem. Być może to zresztą zamierzała uczynić.

Dietrich wiedział z zamkowych plotek, że prawowity mąż kasztelanki, niejaki Nepomucen Maria Lange, rozstał się z żoną w niezgodzie. Gadała służba, że to nie jego bliźnięta powiła kasztelanka. Nikt się nie domyślał czyje, snuto różne przypuszczenia, a możliwych kandydatów do ojcostwa było co najmniej kilku. Lange podobno chciał żonę i dzieci zabrać z powrotem do Warszawy, aby nie gorszyła poddanych kasztelana, ale ten zwlekał z wypłaceniem należnego posagu, a to na pieniądzech, nie na żonie i dzieciach, zależało Langemu. Miał zadawnione długi karciane i nawet jeśli uda mu się uzyskać jakieś stanowisko na dworze, nieprędko je pospłaca. Na razie zaciągał nowe, postraszył też kasztelana, że rozwód z żoną weźmie, ale na tym się skończyło. Teścia nie wzruszył ani nie skłonił do ustępstw, a żony nawet nie odwiedził.

O czym myślała pani Lange, która odsadywała teraz karę za próbę

ucieczki do swego majątku, tego Dietrich nie mógł wiedzieć. Podczas swych codziennych wizyt u Cecylii próbował rozmowy, choćby i o sprawach pozornie nieistotnych, byle tylko wydobyć ją z tego stuporu, powodującego obojętność i brak łaknienia. Nieśmiało zagadywał, ale nie odpowiadała, sądząc zapewne, że jest nasłany na przespiewki.

Tymczasem kasztelan, zajęty polityką, zdawał się nie pamiętać o dwojgu swych dzieci. Pragnął pokazać się pułkownikowi Kondyriewowi z jak najlepszej strony, upewnić go, że jest i już zawsze będzie wiernym sługą króla Augusta. Na potem odsuwał niewygodne sprawy rodzinne, jakby z ich rozwiązaniem można było zwlekać, we wszystkim słuchając swego sekretarza.

Mimo kilku drobnych niepowodzeń Wacław Strasz nadal czuł, że panuje nad sytuacją. Od dawna już między nim a kasztelanem nie było takiego porozumienia. A teraz, kiedy dzieci Tadeusza Jandźwiłła popadły w niełaskę, on, jako prawa ręka swego pana, stał się jeszcze bardziej niezbędny, o co mu zawsze chodziło, bo mierzył wysoko, chcąc kiedyś zostać zięciem kasztelana. Podczas nieobecności najstarszego syna, Jana, który nie wiedzieć gdzie przepadł i oby już nigdy nie wrócił, i wobec kary, jaka dotknęła Stanisława oraz Cecylię, Strasz stał się jedynym doradcą i powiernikiem pana na Turowie. Musiał dobrze rozegrać tę partię. Kasztelana przytłaczał ciężar zmartwień, do których nie był przyzwyczajony, potrzebował wsparcia, silnego i zdecydowanego na wszystko ramienia. Odmowa miecznikowej była przykra, kasztelan pewnie będzie niezadowolony, ale cóż ona, ta gaska ze Złotego Mostu, może, jeśli ma za przeciwnika takiego gracza jak Strasz?

Sekretarz uśmiechnął się do swych myśli i wjechał na dziedziniec zamkowy, gdzie panowało dziwne poruszenie. Choć zbliżał się wieczór, oddział wojska kasztelańskiego szykował się właśnie do wymarszu.

– Co tu się dzieje? – rzucił do bramnych.

– Zakonnicy nie wrócili.

– Jakże to? Zgubili się na prostej drodze? – prychnął lekceważąco, lecz nagle poczuł, jak jeżą mu się włosy.

Nie zsiadając z konia, dołączył do oddziału. Ruszyli w stronę Polany Zbójców, po drodze wypatrując śladów, te jednak, ku ich zdziwieniu, skręciły, prowadząc w las. Strasz zawrócił konia i pognął do zamku. Tu kazał się prowadzić prosto do lochu. Uśmiechnął się, widząc, że wszystko jest w porządku. Kiedy jednak wszedł do celi, zauważył, że zamiast zbójcy klęczy tam młody mnich. Strasz rzucił ostre spojrzenie na Kettlera.

– Jak to się stało?!

– Mnie pytacie?!

– Widziałeś przecież!

– Każcie przynieść co do jedzenia, to może sobie przypomnę.

Strasz machnął ręką i wyszedł z celi. W korytarzu napadł na strażnika.

– Tak więźnia pilnujecie, że pod waszym nosem do lasu ucieka?!

– Panie, ten mnich wszedł tylko po to, żeby go wyspowiadać.

Jakżem miał mu nie pozwolić, to wszak nie po chrześcijańsku.

– Módl się, żeby kasztelan był tego samego zdania, bo inaczej za stołem wielkanocnym nie siądziesz!

X

Do kancelarii kasztelana Strasz szedł z ciężkim sercem. Wiedział, że choć niewinny, jemu się także oberwie. Zachodził w głowę, jak też Rabiński przekabacił zakonników, aby mu do ucieczki dopomogli. Zastanawiał się nawet, czy przypadkiem pośród nich nie ukrywał się przebrany w habit podstarości. Tak czy inaczej, bez pomocy z zewnątrz cała intryga bez wątpienia spaliłaby na panewce.

– Odnalazłeś ich? – zapytał kasztelan.

– Dotychczas nie.

– Co się mogło stać?! Chyba nie zbłądzili na prostej drodze?

– Rzecz w tym, panie, że ślady wiodą w głąb lasu.

– Po cóż mieliby tam chodzić?

Strasz lękał się słusznego gniewu kasztelana, gdy powie, co się stało.

– Obawiam się, że znajdował się wśród nich zbójca.

– Pośród jezuitów? To niedorzeczność! – fuknął Jandźwiłł, mgliście przypominając sobie poranek. Więc mógł stać w oknie i patrzeć, jak tuż pod jego nosem przechodził, nic sobie nie robiąc, któryś z tej bandy opryszków? – Niedorzeczność! – powtórzył. Dość miał już kłopotów na dziś, chciał jak najszybciej zamknąć sprawę.

– Jednak pozwól mi powiedzieć, panie, że był pośród nich Rabiński – Strasz zniżył głos prawie do szeptu.

– Co takiego?! Mnisi z mojej kaplicy wykradają w Wielki Piątek więźnia i uciekają z nim do lasu? Czyś ty się, Strasz, szaleju nażarł? Czyś z głodu rozum postradał?

– Takie są fakty. Rabiński zniknął z celi.

Tadeusz Jandźwiłł ciężko opadł na fotel.

– Wezwać strażę.

Nim strażnicy lochów stanęli przed kasztelanem, uczynił się rumor na dziedzińcu. Strasz podbiegł do okna i zauważył podjazd, który prowadził pięciu udręczonych, zabłoconych, zmęczonych i zziębniętych braciszków.

– Są! Odnaleźli się!

– Wołać! I oby tylko mieli coś na swoje usprawiedliwienie, bo jeśli nie, to jak mi Bóg miły, źle się dla nich skończy ta przygoda! Strasz! Miecznikowa przybędzie? – zapytał kasztelan, pewny potwierdzenia.

– Wierzę, że nie ośmieli się odmówić, choć pono chora.

– Jeszcze i to! Nie postraszyłeś jej?! Nie zagroziłeś? Co powiemy, jeśli się nie zjawi?

– Zdziwimy się wielce.

– A wiesz, może to i dobry pomysł?! – przyznał kasztelan po chwili namysłu. – Potrzebna nam tu ona i te jej fochy. Jeszcze co powie i potem się tłumacz. Tak, masz rację, lepiej nawet, gdyby nie przyjechała. Na sam jej widok zbiera mi się na womity. Nie masz tam w Skrzeczewicach jakiej zdatnej gamratki? Ubrałoby się w strojne suknie i posadziło obok Kondyriewa bez lęku, że coś wypaple.

– Panie mój, to jednak byłby despekt dla reszty gości! – obruszył się Strasz.

– Więc wymyśl coś, bo ja już od rozumu odchodzę!

Sekretarz uklonił się i wyszedł, a kasztelan, odprowadziwszy go wzrokiem, ciężko westchnął. Jak by się raz a dobrze pozbyć tej miecznikowej? Jak ją usadzić, zmusić do milczenia i posłuszeństwa? Jeszcze gotowa inne niewiasty na swoją stronę przekabacić! Nim kasztelan zdecydował co dalej, sługa zapowiedział, że nadworny medyk, Dietrich, pilnie domaga się posłuchania.

– Prosić! – rzucił niechętnie Jandźwił i ciężkim wzrokiem popatrzył ku drzwiom, w których już stał suchy i wysoki Prusak. – Co tam, Dietrich, coście w takiej gorączce?

– Panie, rozkazy wasze zawsze pilnie wypełniam, ale już dłużej milczeć nie mogę!

– O cóż chodzi?

– Jeśli pani Cecylia i panicz Stanisław nadal będą przetrzymywani w lochu, ja za ich życie nie ręczę! Kasztelanic na płuca słabowity, kaszle, krwią plując, kasztelanekę zaś *febris lactea*¹ dopadła. Jakże mam ich leczyć, kiedy w więzieniu oboje, a potrzebują ciepła, spokoju i zabiegów rozlicznych?

– Jeszcze parę dni, Dietrich, parę dni, póki Kondyriew ze swymi ludźmi nie wyjedzie. Kto ich w tym zamieszaniu na zamku zdoła

upilnować? Jeszcze gotowi znów uciec.

– Nikt już ich i pilnować nie będzie musiał, bo obojgu niewiele życia zostało, a mnie to jasnie pan i dziś zwolnić może, bo że mnie zwolnicie po ich śmierci, to pewna.

– Głupstwa gadasz! Nie zwolniłem cię po śmierci mej żony, to i teraz nie zwolnię! – fuknął niezadowolony kasztelan.

– Panie mój, jaki sens w zapalczywości trwać? Co mieli odcierpieć, to już odcierpieli, nie dacie chyba własnym dzieciom w lochu z życiem się pożegnać?

– To wszystko? – padło niechętnie pytanie, a medyk tylko w milczeniu skinął głową. – Więc rób, co do ciebie należy. I wołaj mi tu winnych!

Gdy stanęli przed kasztelanem, pomyślał zrazu, że sprawiedliwość już się dokonała. Żaden z nich nie był zapewne gotów od rana do zmroku o suchym pysku ganiać po lesie. Stali skruszeni, przestraszeni, oczekując kary.

– A dokąd się to wielebni ojcowie wybrali? – zapytał surowo.

– Jak co roku, Drogę Krzyżową odbyć... – wyjąkał przeor.

– Z moim więźniem?! Cóż wam takiego obiecał ten zbójca, żeście się dali podejść niczym małe dzieci? Żeście złamali należne mi posłuszeństwo, na gniew i karę się narażając? Cóż to było?

– Złoto – wyznał cicho zakonnik.

– A gdzież ono teraz?

– Przepadło.

– I nie dziwota... Bo was, z całym szacunkiem, chciwość zaślepiła. Zamiast się uganiać po lesie za złotem, trzeba się było do modlitw przyłożyć. Idźcie już do łaźni, wszak Wielki Piątek. Zastanowię się, na jaką karę zasłużyliście – rzucił zniechęcony.

Przez krótką chwilę po wyjściu zakonników pozostał w zamyśleniu, wreszcie kazał wołać Strasza.

– Kogo by w ślad za Rabińskim posłać... – myślał głośno, chodząc po komnacie. – Jak się okazuje, łajdak nas okradał! Może cokolwiek udałoby się jeszcze odzyskać?

– Już to zarządziłem, panie. – Strasz skłonił się, czekając na pochwałę.

Ta jednak nie padła, jako że myśli Tadeusza Jandźwiłła zaprzętało zrabowane i nieoddane przez zbójców złoto. Gdyby tak poddać Rabińskiego torturom, może coś by się dało z niego wycisnąć? Dokąd mógł zbiec? Zapewne nie gdzie indziej, tylko do Hadziewicza. Ale głupi nie jest, nie czeka tam na kasztelańskie wojsko. Teraz już za późno, by ruszyć. Oddalił więc sekretarza, a sam tylko otrząsnął się i zaklaskał w dłonie na znak, że o światło prosi, bo zamierza udać się na spoczynek.

Jandźwiłł, jako wdowiec, niedawno wstąpił w związek małżeński i nawet miałyby szanse na spłodzenie kolejnego potomka, gdyby mu żona każdej nocy tak ostentacyjnie nie wzdychała. Kiedy wkraczał do łóżnicy, klęczała na ogół pod krucyfiksem, rozmodlona, wpatrzona w krzyż, jakby się od Chrystusa spodziewała ratunku. Wtedy kasztelanowi chęć do miłosnych igraszek całkiem przechodziła i nawet hiszpańska mucha wypita wraz z czerwonym winem nie potrafiła dodać mu wigoru. Dlatego wieczorami nie śpieszył się do łóżnicy.

Dziś Flora już leżała. Zakryta po nos, odwrócona bokiem, udawała, że śpi. Nie dbał o to. Od kiedy podejrzewał ją o zdradę, nie miał ochoty ani woli do figłów. Póki Stanisław siedział w lochu, kasztelan jako mąż czuł się bezpieczny, ale jak upilnować tych dwoje, kiedy nadejdzie czas wypuszczenia syna na wolność? Popatrzył na czubek głowy Flory i pomyślał, że jutro przeniesie się do innej komnaty. Też bywał zmęczony wieczorami, rządzenie powiatem to diabelnie trudna sprawa, ile nitek trzeba w dłoni trzymać, ilu ludziom zagrozić, ilu słodzić trzeba, choćby dziś. A tu jeszcze przyjdzie nową bandę zbójców zwołać i przyuczyć do rabowania na gościńcu, bo pieniędzy wciąż braknie! Kto wie zresztą, czy po drodze nie wypadnie im mieć sprawy z Rabińskim? Nazbierało się problemów do rozwiązania, oby ten Kondyriew już wreszcie wyjechał!

Zapalenie piersi (łac.). [\[wróć\]](#)

XI

Rabiński grzał dłonie przy kominku i nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Ale bo też daliśmy im do wiwatu, panie podstarości! Kiedy sobie przypomnę miny tych mnichów...

Klepnął się w udo i powiódł wzrokiem po sali, szukając aprobaty. Wokół na ławach świetlicy dworu w Grodzie Orłowym siedzieli jego wyzwoliciele: kilku zbójców i paru pacholków podstarościego oraz gospodarz, Kacper Hadziewicz, rad spotkaniu i pomyślnemu załatwieniu sprawy. Służba wniosła posiłek, zasiedli więc do stołu.

– Żeście to się domyślili, gdzie czatować macie! – Rabiński pokręcił głową z uznaniem i już pałaszował śledzia z cebulą, pogryzając chlebem. – Jeszczem nigdy tak kontent nie był, jedząc śledzia!
– zamruczał.

Maczał chleb w oleju, który spływał po jego dawno nieprzystrzyganej brodzie, ciamkał i sapał zadowolony.

– Teraz pomyśleć nam wypada nad złota podziałem – rzekł Hadziewicz, a inni mu przytaknęli.

Rabiński zagryzł wargi. Nie w smak mu była taka gadka. Wiedział, że wyzwolenie jakąś cenę mieć musi, a od kiedy zbójcy ujrzeni garniec z monetami, nabrał pewności, że będzie wyższa, niż sądził. Łamał więc sobie głowę nad sposobem, jak tu największą część swego majątku uszczknąć, jednak nic mu na myśl nie przychodziło. Zagadywał to o tym, to o tamtym, żeby odwlec moment podziału, ale złoto nie dawało o sobie zapomnieć. Stało tuż obok jak niemy wyrzut sumienia. A co który w stronę garnca łypnął, to jakby nóż w serce Bartkowe wbijał. Nie śpieszył się więc zbójca z dzieleniem.

– Najprzód zjeść dajcie! – wymamrotał nisko pochylony nad stołem.

Hadziewicz patrzył nań z boku i dziwił się niewdzięczności kamrata. Gdyby nie on i jego ludzie, siedziałby Rabiński nadal w Jandźwiłłowym lochu i głodem przymierał. Chociaż może znalazłby w sobie dość sprytu, aby zakonnikom turowskim zbiec. Jednak posłał

Prota po pomoc, więc wypadałoby dać dowód wdzięczności.

Wreszcie na talerzu nie było już co wylizywać. Każdy okruszek chleba trafił do ust Bartkowych i cisza zawisła w świetlicy ciężka od oczekiwań, którym niepodobna było sprostać. Rabiński odsunął talerz od siebie, wytarł rękawem wąsy i westchnął głęboko.

– Wina byście dali! – rzucił, aby jeszcze troszkę odwlec przykrą chwilę.

– Wielki Piątek dziś – odrzekł Hadziewicz. – Możesz dostać wody.

– Obejdzie się – mruknął Bartek i znów ciężko westchnął, a oni siedzieli w napięciu.

Służba uprzątnęła już naczynia, więc wypadało zająć się podziałem.

– Hej tam który, a postawże na stole ten sagan! – krzyknął Rabiński, ale ni werwy w tym nie było, ni radości dawnej, jakby się swoim dzielił. A przecie to wspólne było! Razem zrabowane!

Natychmiast skoczyło dwóch i garniec ciężki od monet postawili na stole.

– Widzę, że nie w smak ci uszczuplić, cóżeś kasztelanowi odebrał – stwierdził chłodno podstarości.

– Swoją drogą ciekawość, jakżeś tak duży sagan zgromadził? – zastanawiał się Kuba.

– Odsypywał pewnie przed oddaniem, a sprawdzić nie było komu – domyślił się Jasiek.

– Myślałeś, Rabiński, że się nie wyda? Że ubieżysz kiedyś przed kamratami i majątek jaki nabędziesz albo i herb, a potem wżenisz się w zacną familię i wiódł będziesz żywot człowieka poczciwego, co plamy nijakiej na honorze nie doznał? – niby ksiądz na kazaniu powiedział Hadziewicz.

– Com myślał, tom myślał! – warknął Bartek i żeby przerwać te dogadywania, monety na stół wysypał. – Tylko łapy z daleka trzymać! – rozkazał.

Pochylili się nad stołem z ciekawością, bo nigdy żaden, nawet podstarości, nie widział takiego bogactwa. Czego tam nie było! Grosze, trojaki, szóstaki, szelągi, tynfy, talary i dukaty. Większości zresztą nie znali, bo znajdowały się tam monety polskie, ruskie, szwedzkie,

holenderskie i brandenburskie. Stali, rozdziawiwszy gęby, w nabożnym skupieniu chłonąc widok, o którym po latach jeszcze będą dzieciom i wnukom opowiadać, i bojąc się nawet rękę wyciągnąć.

– Nie oszczędzałeś kasztelana... – rzekł Kacper.

– A bo to u niego bieda?! – wyrwał się Jasiek.

– Wyście może wszystko oddawali, com wam wręczył?

Przyznajcie się, podstarości – rzucił wyzywająco Rabiński.

Spojrzeli na Hadziewicza, a jego uśmiech nie pozostawiał złudzeń.

– To i nie dziwota, że kasztelan ciągle w potrzebie bywał. – Bartek westchnął ze współczuciem. – Teraz pewnie mu się polepszy, kiedy się pozbył dwóch takich pazernych sług! – dodał, a oni się zaśmiali.

– Jak myślicie, zwoła w nasze miejsce jaką nową bandę?

– ciekawił się Kuba.

– Zwołać, pewnie zwoła. Ale kto mu za laufra będzie służył, tego dociec nie spróbuję – westchnął Rabiński.

– Strasz by się do tego nadał – zaproponował podstarości, a reszta zarechotała.

– Wtedy to już nic by kasztelan z traktu nie uzyskał – ocenił Rabiński.

Wciąż stali nad górką monet i żaden nie wiedział, jak ją podzielić, aby nikomu się krzywdy nie stała. Gdzie sprawiedliwość w takim przypadku? Ile komu dać by należało? Razem rabowali, więc godziłoby się po równo. Ale czy równo znaczy sprawiedliwie? Bartek na monety patrzył jak na dziecię własne w jasyr wzięte, tak mu było żal choćby z jednym się groszem rozstawać.

– Jakbyś na konfederację oddał, nie miałbyś kłopotu z podziałem – zasugerował Hadziewicz.

– A toś wymyślił! – obruszył się Rabiński. – Nie po tom rabował, żeby na króla poszło. Dzielcie podług waszego rozumu – wyjąkał, odwracając głowę.

– Policzmy, ilu nas. – Hadziewicz wskazywał po kolei palcem i wyszło mu, że na osiem kupek monety trzeba podzielić. – Każdy z was podatek da na konfederację, czyli na dziewięć rozłożę – rzekł. – A jeśli który ze mną do walki wyruszy, to mu ze swojego drugie tyle na broń i monderunek dołożę.

– Tak to mi się podoba! Hojny pan podstarości! – ucieszył się Kuba.

– Z cudzego to każdy by był hojny! – burknął Rabiński.

– Wszak mówię, że ze swojego dołożę! – obruszył się Hadziewicz.

– A to swoje to też nasze, gościńcowe grosze, tylko później odsypane z kasztelańskiego mieszka, mam rację? – judził Bartek. – To by znaczyło, że u podstarościego taki sam garniec gdzie ukryty.

Kacper uśmiechnął się krzywo.

– Jak to pieniądze potrafią ludzi poróżnić. Jeszcze rano byłeś mi przyjacielem. Życie dla ciebie mogłem ryzykować. A teraz zaglądasz do mojej szkatuły? – bronił się podstarości.

– Skoro mi zabierasz, com odsypał z kasztelańskich mieszkań, pytam, gdzie twoje grosze? Z jednego one źródła, jeden los im sądzony.

– Na szlachetną je sprawę zamierzam obrócić. W moim one nie zostaną posiadaniu.

– Jeśli dzielimy, dzielimy wszystko!

– Tak! Tak! – inni zawtórowali Rabińskiemu.

– O nie, mości panowie! Tum was gościł, kupiłem konie i broń, a wy jeszcze za to zapłaty żądacie?! – warknął Kacper. – Ani o tym mowy nie ma! A jeśli któremu się nie podoba, to fora ze dwora!

Ucichli, jakby zawstydzeni, autorytet podstarościego uznając.

– Dzielcie! – szepnął Kuba, któremu oczy się do monet świeciły.

Hadziewicz zaczął rozkładać pieniądze według swojej wiedzy. Lepiej byłoby, jeśli po jednej na każdą kupkę by odsuwał, bo zbójcy pojęcia nie mieli, że czasem jedna moneta za dziesięć innych stoi. Lecz kiedy podnosili protest, krzykiem ich uciszał, mówiąc, że sami go na swego sędziego wybrali. Wtedy cisza następowała i tylko ich oczy podążały za jego palcami rozkładającymi monety na kupki według wartości.

Czuł Kacper, że nic dobrego z tego nie wyniknie, zastanawiał się tylko, kiedy złość i chciwość zwyciężą u dawnych kamratów, i żałował nawet w duchu, że Rabiński swój garniec odkopał, bo bez udziału grosza zawsze się łatwiej dogadać. Wreszcie gdy już na stole leżało dziewięć kupek, zaproponował, aby toast wznieśli, tym symbolicznym napitkiem zgodę pieczętując. Choć woda w smak im nie poszła, wychylili

przyniesione przez służbę szklanice i czym prędzej zgarnęli kupki grosza, co na każdego z równego działu przypadły. Chowali je teraz do mieszkań, jeśli który posiadał, lub prosili o kubek jaki, aby móc przechować majątek, póki go na co nie obrócą.

Hadziewicz westchnął głęboko, albowiem wątpliwości nijakich nie miał, że w pierwszej karczmie w Skrzeczewicach na gamratki albo w Winnicy podczas jarmarku wszystko przetracone zostanie.

XII

Kiedyśmy już twój skarb podzielili, nad uwolnieniem Kettlera i kasztelanki się zastanówmy – rzekł podstarości. – Nim ruszymy do konfederacji, dobrze by tu sprawy pozałatwiane zostawić.

– A co nam do nich? Kasztelanka mnie odstąpiła, chciałem jej życie uratować. Zdradziła niecnym sposobem, w ręce kasztelana wydając. Mam znów karku nadstawiać, ratując jej życie? Nie, nie i jeszcze raz nie! Pora o własne sprawy zadbać. Miałem ja w lochu turowskim wiele czasu na rozmyślania – obruszył się Rabiński.

– I cóżeś mądrego wymyślił? – Podstarości uśmiechnął się krzywo.

– Że pierwsze, co zrobię, jeśli mnie Najświętsza Paniienka od śmierci uratuje, to rodzicom się moim pokłonię, com ich lata nie widział.

– Po mojemu to my cię uratowali, nie Matka Boska – rzucił z boku Kuba.

– Za jej wstawiennictwem!

– Bardzoś się pobożny zrobił... – zauważył Hadziewicz.

– Kto na śmierć w lochu nie czekał, ten pewnie nie zrozumie.

Podstarościęgo zdumiewało zachowanie druha. Niby ten sam, zdał mu się jednak całkiem odmieniony.

– Przecie byśmy do twej śmierci nie dopuścili. Zresztą kat z miasta wyjechał i nikt nie wie dokąd. Nie miałby cię nawet kto obwiesić – spróbował żartu.

– Też mi pociecha! Toby mnie w Turowie cichaczem zgładzili.

– Zapominasz, Bartek, że nasi kamraci tam siedzą. Nie chcesz kasztelanki wyzwolić, masz swoje powody, ale co z naszymi towarzyszami? Mamy ich losowi pozostawić i łasce kasztelana? – dopytywał się Jasiak.

– To się nie godzi! – zawołali.

– A konfederacja? – dopytywał się Hadziewicz. – Razem planowaliśmy z Moskwą o prawego króla walczyć!

– Mnie tam za jedno, który praw, a który niepraw. – Bartek wzruszył ramionami. – Nawet ci powiem, podstarości, że po mojemu to nikt z was nie powinien karku nadstawiać za Leszczyńskiego, bo on kraj

w potrzebie opuścił!

– Czyś ty, Rabiński, całkiem w tym lochu rozumu się pozbył? Jakże to: opuścił?! Wszak w Gdańsku z polskimi pany na ratunek od Francji czeka!

– To czemu do konfederacji nie przystąpił? Czemu o swój tron się nie bije, tylko za sukniami gdańskich kupców chowa?!

– A za Sasa Moskwa staje! – krzyknął wzburzony Kuba. – On w Saksonii siedzi, grzeje się w pałacu i także samo czeka na gotowe!

– Bo mądry. Jeśli kto chce za mnie iść na wojnę, to po cóż mam karku nadstawiać i własne wojsko na wygubienie prowadzić?

– Rabiński, ja żem myślał, żeś ty zbójca, a tyś się w tym lochu zamienił w statystę!¹ – cierpko stwierdził Hadziewicz.

– Swój rozum mam i nie zapominajcie, żem kształcony.

– Kształcony, aby z byle powodu swoje zdanie na nice wywracać! – fuknął podstarość.

– To już nam na zawsze Saksończyk panował będzie?! – zawołał rozżalony Kuba.

– A tobie co za różnica? Siedzisz w puszczy, aniżes poza Winnicą i Skrzeczewicami świata widział. Jedyńy twój pan to kasztelan tutejszy, który się opowiedział za Sasem – tłumaczył Bartek.

– Alem też Polak i swój rozum mam. Polakami Polak rządzić powinien, nie Sas, nie Rusin i nie Prusak! Bośmy to sroce spod ogona wypadli, żeby własnego króla nie mieć i obcym nad sobą panowanie oddawać?! – warknął Kuba.

– Jakoś od wieków obce nami rządzili, jako to Batory czy August Mocny i Polska ich rządy przetrwała.

– To jednak despekt dla państwa, że ze swoich synów króla wybrać nie potrafi! – wtrącił się Jasiek.

– Nie o to chodzi, że nie potrafi, ale o to, że nam żaden nie w smak – włączył się Hadziewicz. – My obcych, choćby i najgłupszy byli, znacznie bardziej poważamy niż swoich. Obcy z miejsca u nas respekt ma, a rodak, nawet najmądrzejszy, wykpiony i poniżony będzie, tylko dlatego, że Polakiem przyszło mu się rodzić.

– Skąd te kwasy, panie podstarość? Wszak szlachta wybrała Leszczyńskiego. Gromko i huczno, na własnym oczy to widział! A to

przecież Polak! – ripostował Rabiński. – Wiecie, jaka radość, jakie uniesienie panowało w Warszawie? Gdyby mogli, toby go na własnych rękach do kolegiaty zanieśli. Ale kiedy tylko Moskwa tupnęła na Pradze, wszyscy niczym przestraszone zające, co spostrzegły myśliwego, pierzchli do swych dworów, majątności pilnować. A regimentarz z wojskiem za nimi. Jam widział pustą stolicę, wy nie. Mnie nie dziwi, że Sas królem zostanie. Zresztą co tu gadać po próżnicy, on już koronowany.

– To mu tę koronę strącim! – wydarł się Kuba.

– Strącić to ty możesz co najwyżej młode kawki z gniazda.

– Bartek wydał wargi.

– Jeśliby nas siła było... – Jasiak próbował pójść kamratowi w sukurs.

– I będzie, bo pójdziem do konfederacji i Sasa do jego Drezna pogonim! – buńczucznie zakrzyknął Hadziewicz.

– Gdzież on, ów Sas? Wy tu, na Litwie, będziecie się potykać z wojskami moskiewskimi i widzi mi się, że im rady nie dacie. Ale jeśli zamierzacie karku nadstawiać za mrzonki, to wolna droga. Ja do mych rodzicielsi ruszam choćby i pieszo, bo mi mojego konia pewnie Hadziewicz nie oddasz?

– A bierz go sobie i nie wracaj! Obróć się na jurystę i mać ludziom we łbach, udając, żeś był zawsze prawy. Tylko brodę zgól zawczasu, boś ich wystraszyć gotów.

– Juźci, że zgołę i wdzieję kontusz, jak mi z dziada pradziada wypadło. Bom to nie żadna hetka-pętelka, jeno szlachcic, jako i wy, panie podstarości!

– I świadectwo swemu szlachectwu dawaliście, gwałt czyniąc na gościńcu! – zadrwił Kacper.

– Że niby wasze sumienie czyste, boście tylko sakiewki od zbójcy odbierali?! – Bartek porwał się na równe nogi i gdyby broń jaką miał, to może by ją wyciągnął i na podstarościę ruszył. Na szczęście nieuzbrojony siedział, tylko ostrego języka używając.

– Widzę, żeś wyłącznie czas zmarnował, starając się was uratować – syknął Hadziewicz. – Bom nie przyjaciela, jeno wroga z rąk kasztelana wyrwał. Gnilibyście sobie w lochu po sądny dzień, to może przed

skonaniem jaki łut rozumu by się pojawił w tej głowie.

– Nie obrażajcie mnie, podstarości, bom u was gościem! – obruszył się Rabiński. – A za to, żeście mnie uratowali, nic wam winien nie jestem, bo najpierw zem na was ręki nie podniósł, choć mi kasztelański sekretarz wór złota obiecywał, a po wtóre do odzyskania tego dworu wam dopomogłem. Gdzie byście dziś pomieszkiwali, gdyby nadal stał tu młodszy kasztelan?

– Może bym w puszczy waszymi ludźmi dowodził, nad którymi zwierzchnictwo bez ociągania się oddałem! Za wyratowanie nic od was nie chcę, bo naukę pobieram o ludzkiej wdzięczności i ona mi na całe lata, a może i do śmierci wystarczy. Przenocujcie dziś, boście zdrożeni, a jutro z rana ruszajcie w swoją drogę, bo do stołu wielkanocnego z wami nie siądę i nikt mnie do tego przymusić nie zdoła! – rzekł podstarości i Bartka z kompanami w świetlicy zostawił, a sam ze swymi ludźmi wyszedł, by natrętnym nie być.

Ale im też już miny zrzędy i humor do zabawy przeszedł. Zresztą był Wielki Piątek, czas zadumy i smutku oraz rozpamiętywania męki Chrystusowej. Towarzystwo Bartkowe, a i on sam, zmęczony po wydarzeniach minionego dnia, myślał już tylko o spoczynku. Klasnął więc w dłonie i kazał się prowadzić do izby dla siebie wyznaczonej.

Rano czekał nań koń, którego dosiadł, nie oglądając się na posiłek i nie dziękując podstaroście za gościnę. Przez otwartą bramę ruszył prosto ku Oszmianie, ani się obrócił, by spojrzeć na dwór, i nieświadom tego, że jest obserwowany.

Kacper Hadziewicz ze smutkiem popatrywał za oddalającym się zbójcą.

– I tak oto kompanaśmy stracili... – powiedział do asystującego mu sługi.

– Lecieć za nim? – zaoferował się Witek.

Podstarości tylko pokręcił głową.

– Jeszcze on się gotów przeciwko nam obrócić...

– Jakże to, panie, wszak dopiero wczoraj więźniem był kasztelana!

– Już tego nie pamięta. Dziś jam jego wrogiem największym.

Polityk. [wróć]

XIII

Obrażnik okazał się nad wyraz rozmowny. Ciesząc się, że nie musi dźwigać nosideł, ciekawie rozprawiał o szerokim świecie: Wilnie, Warszawie, Gdańsku i Krakowie. Wszędzie tam bywał ze swym towarem, aż dziw, że się zaprzęgu nie dorobił.

– A bo to wszędzie ludzie zacni? – Wzruszeniem ramion skwitował pytanie kata. – Was konia Radziwiłłowscy pozbawili. Mnie już kilka przyszło zbójcom i innym wagabundom oddać. Kiedy ich siła, lepiej ustąpić, życie ocaliwszy.

– Co prawda, to prawda! – westchnął kat.

– Jedno, co musisz, to mieć oczy dookoła głowy, bo zza każdego krzaka gotów kto wyskoczyć, towar zabrać i cię na dodatek poturbować.

– Taki los. Ale gdybyście pomocnika mieli, co by za grosz niewielki zechciał w waszej obronie stawać, może zbójcy byliby mniej dokuczliwi?

– Zapewne, tylko skąd takiego wziąć, który by za swe usługi skóry nie zdał, uczciwie pracując? – rzekł obraźnik i znów jakby z lękiem spojrzął za siebie.

– A ja bym wam się nadał? – od niechcienia rzucił kat.

– Może tak, może nie... Trudno ocenić po krótkiej znajomości. Stroju nie macie odpowiedniego i butów.

– Za jedzenie i kąpiel pod dachem się zgodzę. Wypróbujcie mnie.

– Cóż, zgoda. Bez szkód doniesiecie towar do Kobrynia, to dostaniecie miskę zupy i piwo. A potem zobaczymy.

Nie był to najlepszy interes, ale jak nigdy kat miał poczucie, że wreszcie zaczęło mu się wieść. Szedł rażno, pogwizdywał, wypytyując obraźnika o nieznane sobie miejsca i ludzi. Był Wielki Piątek i kat żywił nadzieję, że od tego dnia wszystko zacznie się układać. Postanowił nawet, że do spowiedzi pójdzie i naznaczoną pokutę z pokorą wypełni. Gdy to się stanie, nie będzie już nad nim miała mocy klątwa owej dziewczki winnickiej, co tak mu życie splątała.

W Kobryniu znaleźli się nazajutrz. Na rynku panował znaczny ruch. Przekupki sprzedawały jaja i sery. Mieszczki chodziły od jednej do

drugiej, macając kury, kaczki i perliczki, targując się zawzięcie. Chłopi zwieźli stado baranów, które beczały żałośnie, jakby przewidywały swój rychły koniec. Niczym na najlepszych jarmarkach w Winnicy stało tu wielu kupców z najrozmaitszymi towarami. Byli rzemieślnicy, co sami swój towar sprzedawali: bartnicy i powroźnicy, szewcy i wikliniarze. Kręcili się Żydzi i Cyganie.

Obrażnik stanął ze swym towarem nieopodal karczmy i kupców wypatrywał, pokrzykując raz po raz:

– Obrazy, medaliki, różańce, prosto z Ziemi Świętej!

Czasem ktoś się zatrzymał i targu dobił. Kat przyglądał się z boku, siedząc przy studni, i czekał, kiedy obiecaną zupę dostanie. Wreszcie obrażnik przywołał go ruchem ręki, dał zarobiony grosz i kazał iść do karczmy. Zgłodniały kat pognał w te pędy, mając nadzieję na obfity posiłek. Kiedy wrócił, najedzony i rozleniwiony, przyniósł też porcję dla obrażnika, a ten, nie odstępując towaru, posilał się szybko, nowych kupców w tłumie wypatrując. Nagle, nie zjadłszy jeszcze wszystkiego, rzucił mu pośpiesznie:

– Dopilnuj targu! Zaraz wracam!

Kat popatrzył za nim, dziwiąc się zaufaniu, jakim go kupiec niespodziewanie obdarzył. Pomyślał, że pewnie go po zjedzeniu krupniku sparło na jaką pilną potrzebę, bo popędził nie do karczmy, ale za nią, jakby tam szukał ustronnego kąta. Kat uśmiechnął się jeszcze, ale nim zdążył się odwrócić, poczuł straszliwe smagnięcie batem.

– Jest, złodziej jeden! – usłyszał. – Mamy go! Zbyszko, Jóźko, sam tu!

Owinięty batem, zdumiony kat stał, jakby wrósł w ziemię, a przed nim jeden na koniu i dwóch pieszych już towar odbierało i zarzucało sznur, krępując mu ruchy.

– Zostawcie mnie! Precz, złodzieje! Obrażniku, wracaj, bo nie strzymam! – zawołał, szukając pomocy kamrata.

– Co za diabelskie nasienie! Jeszcze się wrywa! – krzyknął jeden z napastników, związując go mocniej sznurem. – Że się to w Wielką Sobotę odważył z kradzionym towarem stawać!

– Dobrześ go skrepował? – zapytał ten na koniu.

– Już nam się nie wywinie, gagatek. Co z nim zrobimy, panie?

– To, co zawsze.

– Czego chcecie, nie znam was! Coście za ludzie? Obrażniku, ratujcie! – darł się kat, popatrując w kierunku, gdzie się tamten z króciwą schował. – Zaraz obrażnik wyleci i zobaczycie wy, czym was ucęstuje. Będziecie mieli Mękę Pańską, jak amen w pacierzu! – krzyczał i szarpał się, chcąc ich wypłoszyć.

Ale oni nic sobie z jego krzyków nie robili, tylko ciągnęli go przez rynek związanego niczym bydlę na rzeź prowadzone, na wstyd i pośmiewisko narażając. W ostatniej chwili kat dojrzał za węgłem karczmy schowanego obrażnika, który nie rzucił się na pomoc, z króciwy nie wystrzelił, tylko stał trwożliwie, nie postępując ani kroku. A jego samego tamci wywiedli na sznurze za miasto, przywiązali do drzewa i łomot mu tęgi kijami spuścili. Kiedy uznali, że dość ma, rzucili za siebie:

– Masz Mękę Pańską, Judaszu jeden! – I wsiadłszy na konie, wrócili do Kobrynia, a on przywiązany do drzewa, krwawiący na ciele i duszy, bez przytomności zwiśł niczym wór.

Z zimna, głodu czy boleści ocknął się po kilku pacierzach. Uniósł ciężkie powieki i spostrzegł, że żyje. Gdyby nie rozcięta warga, zaczęłby się śmiać może, już mu się zdało, że duszę powinien polecieć Maryi, bo teraz to niechybnie ostatnia jego nastąpiła godzina. I chociaż nie bardzo wierzył w jej moc, zaczął głośno odmawiać modlitwę.

Pod koniec drugiej zdrowaśki, a ciemno już się robiło na dworze, poczuł, że ktoś mu rozcina więzy.

- Żyjesz? – usłyszał głos obrażnika.
- Zabrali... Wszystko zabrali... – kat wyjęczał z żalem.
- Sam widzisz, jak to jest. Wszędzie zawiść i złodziejstwo.
- Czemuś mi nie pomógł?
- A co by to dało, gdyby nas obu potłukli? Kto by ci teraz pomógł?
- Co rzekłszy, obrażnik podparł kata ramieniem. – Cały jesteś?
- Obmacał mu najpierw głowę, potem ręce, wreszcie żebra i nogi.
- Chyba tak. To dobrze, bobym spać nie mógł.
- Nie goniłeś ich? Wszak strata.
- Ano strata, strata, ale najpierw oni stratni byli.
- Więc ty...? Więc jesteś...

– Nie inaczej.

– Matko Boska! Tyś złodziej? A ja razem z tobą!

– Z uczciwości w naszych czasach nie wyżyjesz. Sprytu trzeba i obrotności, żeby kałdun napełnić. Okradać biedaków nie ma co, bo groszem nie śmierdzą, bogatszych zaś od siebie żaden grzech. Taki obraźnik z dwoma pachółkami to dopiero gratka! Nie sądziłem, że nas znajdzie aż w Kobryniu! Musiał ludzi po drodze pytać. No ale za to z tymi pięknymi ranami zdatnyś do żebrania i kiedy jutro zasiądziemy pod kościołem, żaden z nas głodny spać nie pójdzie. Wesprzyj się na mnie, musimy jakoś dojść do oberży.

Opierając się na złodzieju, którego imienia nawet nie znał, kat człapał ku kobryńskiej karczmie. Obolały, ledwie stawiając krok za krokiem, doszedł wreszcie, a nagrodą za cierpienia był tłusty śledź grubo posypany cebulą i kawał chleba oraz parę kubków piwa. Spędziwszy wieczór w wesołej kompanii, powoli zapominał o bólu. Gdy kładł się do snu na sianie, zauważył, że po raz pierwszy od ponad roku nie ma ochoty myśleć o zemście winnickiej wiedźmy.

XIV

W sobotę, zachowując post całkowity, Zofia wraz z matką kończyły przygotowania stołu, na którym rozstawiły potrawy do poświęcenia: baby, placki, pieczone jagnię, chrzan, masło i jaja. Około południa zaczęli się do dworu schodzić wieśniacy z potrawami. Postawiwszy je na rozłożonym wcześniej sianie, w skupieniu czekali przybycia księdza. Takż pojawił się wkrótce, w lekkim koczu zajechawszy tylko przed bramę, bo dalej ze względu na ciżbę nie było sposobności. Najpierw wszedł do świetlicy, gdzie Zofia z domownikami i służbą już nań czekała. Zmówił krótką modlitwę i pokropił jadło. Po wyjściu służby krótko zagadał z paniami. Krygując się, przyjął datek i nie odmówił kieliszka nalewki. Wreszcie wyszedł na podwórzec, stanął nad pełnymi jadła koszykami i pomodliwszy się chwilę, poświęcił je obficie. Chłopi, klęcząc, schylili głowy i przeżegnali się. Ksiądz wykonał nad nimi znak krzyża i pośpiesznie się oddalił. Miał jeszcze objechać kilka dworów i wsi.

Kiedy w czasie wieczerzy Zofia i cześnikowa usiadły zmęczone nad kubkiem wody, usłyszały rumor na dziedzińcu, a niedługo potem we drzwiach stanął podstarość z zapaloną latarnią w dłoni.

– Wszelki duch... – zatrwożyła się Zofia. – Co was sprowadza po nocy?

Hadziewicz uniósł ku górze niewielką lampę, za szybką której pełgał nikły ogienek.

– Takem pomyślał, że mając wzgląd na dzieci, nie zdołacie na święcenie ognia do Winnicy przyjechać, tom pod kościół poszedł i do tej lampki go dla was wziąłem.

– Bóg wam zapłać, podstarość! – uradowała się pani Salomea. – Piękny to obyczaj i jako żywo dla nas niedostępny, bo kto może po nocy tłuc się taki szmat drogi. Z serca dziękujemy! Patrząc na was i zatroskanym znajduję. Co powodem?

– Ach, nic szczególnego, dobrodziejko złota. Nic, co by was martwić mogło.

– Prawda to, że ruszacie do boju?

– Szczera prawda, pani cześnikowo, najszczerza. Do partii Stanisławczyków przystąpiłem i będę prać Moskiewskich, ile wlezie!

– Oby oni was przedtem nie wyprali, bo coś mi się zdaje, że to wojsko zaciężne, w boju wyćwiczone. Widziało się tu owych, co stali zimą na leżach, jak ich ganiał w ordynku po polu ten dowódca. A wy co? Z tych młodszych to chyba niewielu wojnę na własne oczy widziało?

– Może i tak, ale chęci u nas dobre, a patriotyzm szczery.

– Dobrymi chęciami to pono piekło jest wybrukowane! – fuknęła pani Salomea, zabierając dzieci, aby Zofia i Kacper mieli chwilę na krótką rozmowę.

– Jutro z rana ostatecznie ruszamy. Pacholek mój, Witek, lęka się, że Jandźwiłł w łaskawości swojej i mnie razem z nim wtrąci do lochu. Tak go to nurtuje, że o niczym innym nie gada. Po świętach pewnie kasztelan zacznie nowe porządki zaprowadzać. Rabińskiego i tego grandmuszkietera, Kettlera, pod sąd postawi, inaczej po cóż by ich w zamknięciu trzymał? Jeden jest szkopuł w tym wszystkim, że wyroku nie będzie miał kto wykonać, bo kat winnicki przepadł jak kamień w wodę – mówił, trochę wstydzając się swych kłamstw, jednak nie chciał mieć nic wspólnego z Rabińskim, a udział w jego wyzwoleniu postanowił zapomnieć raz na zawsze.

– Może to i dobrze? W obliczu rychłej śmierci będą mieli więcej czasu na rachunek sumienia i żal za grzechy.

– Za kasztelańskie chyba? Bo wszak rozkazy kasztelana Bartek wypełniał, rabując na gościńcu.

– Co też wy mówicie? To nie może być prawda! Nasz kasztelan to zły człowiek, ale nie aż taki podły!

Hadziewicz popatrzył na nią z dobrotliwym uśmiechem.

– A kogo znasz, waćpani, co by swe dzieci do ciemnicy zamknął? Zofia milczała, skrepowana.

– Jaki los ich czeka? Kto się za nimi ujmie? Kasztelanka dopiero co matką została, jej miejsce nie w lochu, tylko przy niemowlętach, wszak to krew Jandźwiłłów! – przemówiła wreszcie.

– Mnie też to zdumiewa i żałuję nawet, że się do ich uwolnienia przyczynić nie zdołam, ale dalibóg, muszą sobie radzić sami.

– Cóż oni sami mogą, gdy w lochu zamknięci?

– Pani, nie znam sposobu, aby ich uwolnić. Musiałby to zarządzić sam kasztelan, a jemu do zgody nawet z własnymi dziećmi nieśpieszno. Czyście przysięgali?

– Postąpiłam według waszej rady! – Zofia wróciła do tematu. – Ale i przysiąc ciężko, i kłamstwa dopuścić się nielekko. Czuję, że zgrzeszyłam, i boleję nad swym uczynkiem. Nie wiem, czy konfederacja na Litwie aby nie spóźniona, skoro już sprawy tak daleko zaszły? Wojna rzecz straszna. Zginą ludzie. A za co? Za przekonanie, że lepszy byłby Leszczyński, bo on szczerzy Polak? Tymczasem August III nie tylko koronowany, lecz także poparty przez tylu szlachty, co już zdążyła przysiąc mu na wierność. Co się z nimi stanie, jeśliby partia Stanisławczyków wygrała? Kraj nasz rozdarty pomiędzy frakcje, obce mocarstwa dyktują nam, co robić mamy.

– Jeśli pokonamy Moskwę i wojsko saskie, to przysięga nieważną się stanie, króla Stanisława prymas ukoronuje, a wola narodu zwycięży! – butnie rzekł Hadziewicz.

– A jeśli nie pokonacie? Bo zdało mi się, że ten moskiewski pułkownik bardzo był pewny swego. Siedział za stołem niczym pan udzielny, a nasz kasztelan drżał przy nim jako najpodlejszy sługa. Aż przykro było patrzeć.

– Miecznikowa chyba nie stała się nagle stronniczką Augusta? To być nie może!

– Ja nie wiem, panie podstarości, czyją jestem stronniczką. Wiem, że wyboru nikt mi nie dał. Może bym się za Leszczyńskim opowiedziała, gdyby do przysięgi mnie nie zniewolono. Ale też powiem wam w zaufaniu, że żaden z tych kandydatów nie jest bliski mojemu sercu. Jeden w dalekiej Saksonii woli siedzieć i pewnie tak rządził będzie.

– Właśnie dlatego Leszczyńskiego nam trzeba!

– Ale Leszczyński stolicę w potrzebie opuścił! Czy król nie powinien wojska postawić i bronić Warszawy, choćby za cenę życia? Cóż wart monarcha, który uchodzi ze stolicy, nim jeszcze władzę objął? Nie zrzekł się on aby tym samym swoich praw? Takiemu chcecie tron oddać? A jeśli znowu jaka wojna wybuchnie?

– Okrutne to słowa, choć rozumu dowodzące.

– I kto, powiedzcie mi, w tej wojnie walczył będzie? Wszak brat przeciw bratu powstanie! Ta elekcja podzieliła naród na dwoje i tym wypada zazdrościć, którzy swe zdanie mają, bo wielu, a widziałam ich pod ratuszem winnickim, niby kurczęta przestraszone, za kwoką się ogląda. Niegdyś kasztelan był ich wyrocznią, teraz ją postradali. Nie wiedzą, co myśleć, za kim się opowiedzieć, komu zaufać mają.

– Każdy wedle swej woli sądzić musi! – ze smutkiem powiedział Hadziewicz.

– Zastanawiam się, czy nie moglibyście jeszcze tych świąt spędzić z nami, w Złotym Moście? – zapytała niespodziewanie Zofia, unikając jego spojrzenia, a ponieważ podstarość myślał nad odpowiedzią, jakby niezdecydowany, starała się go przekonać: – Pewnie i tak bitwa się żadna na Wielkanoc nie rozegra, nic was nie ominie.

Teraz dopiero zerknęła nań i aż gorąco mu się od tego spojrzenia zrobiło.

– Macie rację, wojna może zacząć. Spotkamy się podczas rezurekcji! – wyszeptał wzruszony.

W niedzielę tuż po szóstej rozdzwonił się milczący dotąd dzwon kościoła karmelitów. Winnicy odetchnęli z ulgą, bo dość już mieli kłopotu grzechotek, co nimi dzieciaki i młodzież ciszę Wielkiego Tygodnia psuły. Szli teraz radośnie ku świątyni, przepychając się między pojazdami, które przywiozły okoliczną szlachtę. Koni na rynku też stało już mnóstwo, utrudniając swobodne przejście.

Nieco spóźnieni, Zofia z dziećmi i matką starali się wejść do kościoła, aby zobaczyć kapłana, który z grobu Chrystusa wychodząc, uniesie w górę Najświętszy Sakrament. Nie zdołali się jednak docisnąć, dołączyli więc do procesji. Śpiewając pieśni, tłum niespotykany podążał za krzyżem, owiniętym czerwoną stułą. Potem młodzi chłopcy nieśli figurę Chrystusa z chorągiewką w dłoni, znakiem zwycięstwa nad śmiercią, wreszcie pod baldachimem podtrzymywanym przez czterech szlachciców kroczył kapłan z monstrancją. Trzykrotnie okrążyli kościół, starając się wytrzymać huk wystrzałów z armaty, której rokrocznie użyczał kasztelan. W tym roku tradycji stało się zadość. Dorotka trochę się przestraszyła, zatkała uszy dłońmi, ale Ignas bardzo się zainteresował

i gdyby go matka nie przytrzymała, pewnie pobiegłby co tchu zobaczyć armatę z bliska.

Zofia rozglądała się za podstarościm, ale go w tym tłoku nigdzie dojrzeć nie zdołała. Zasmucona, że słowa nie dotrzymał i jednak ruszył na wojnę, była nieobecna myślami. Wsiedli więc do powozu, by jak najprędzej zasiąść do śniadania.

Hadziewicz z nieodłącznym chłopakiem przy boku dogonił ich tuż przed Złotym Mostem. Wyglądali obaj na mocno przejętych.

– Coście w takiej gorączce, panie podstarości? – zapytała Zofia, rada, że go widzi.

– Bo do polskiego wojska brać szlachecką namawiamy, a trudna to sprawa. Wielu dla świętego spokoju zdążyło przysiąc na wierność Augustowi i ruszyć się z domu nie chce. Twierdzą, że już króla mamy i wzniecać konfederacji nie ma powodu.

– Takem i ja myślała. – Cześnikowa Żelska pokiwała głową.
– Wynik tej konfederacji zaś zda mi się wielce niepewny. Ale czy to wam, młodym, kto przetłumaczy?

– Cieszymy się świętami, póki trwają. Zasiądźmy do święconego bez rozmów o wojnie – poprosiła Zofia i nie wypadało jej nie posłuchać.

XV

Gdy dojechali do dworu, wszystko już było gotowe. Nim siedli za stołem, Zofia obesła służbę i każdemu podając pokrajane jajko ze święconego, życzyła: „Wesołego Alleluja”. Teraz mogli zacząć śniadanie. Pośrodku stołu królował półmisek z pieczonym jagnięciem, w które wetknięto chorągiewkę na pamiątkę Zmartwychwstania. Półmiski z pieczoną szynką wieprzową i z dzika oraz dwa talerze z kielbasami wędzonymi i gotowanymi oznaczały zerwanie z prawami starozakonnych, jako że Żydom spożywania mięsa zakazano. Tuż obok mięs ustawiono chrzan i masło. Chrzan dla upamiętnienia goryczy męki Jezusa, masło, gdyż tego dnia owa gorycz w słodycz i radość się zmienia. Dalej piętrzyły się ugotowane na twardo jaja. Tak jak kura niejako podwójnie kurczęta rodzi, Chrystus przez zmartwychwstanie dał ludziom nadzieję na podwójne życie. Nieco z boku stołu pieczony kapłon o lśniącej brązowej skórcie aż prosił się, by go skosztować. Pomiędzy mięsiwem stały baby parzone i pieczone z rodzynkami, mocno zażółcone szafranem, mazurki oraz placki. Wszystko pięknie udekorowane gałązkami bukszpanu, aż kręciło się w głowie od tej zieloności. Hadziewicz patrzył na jadło łakomie, bał się tylko, że nieumiarkowaniem zgrzeszy.

Zasiedli na swych miejscach i zmówili modlitwę.

– Tyle frykasów, kto temu wszystkiemu podoła? – zażartował podstarość.

– Czego my nie zjemy, zje służba – rzekła spokojnie pani Salomea.

– Czyżby we dworze waćpana panowały inne zwyczaje?

– Te same, ale święta nie tak dostatnie, bo kobiecej ręki w Gnieździe Orłowym brakuje – westchnął Hadziewicz i skierował gorące spojrzenie ku Zofii.

– Wszakście zaproszeni, spędźcie je z nami!

– Radbym wielce, ale mus mi w drogę ruszać.

– Nie ma mowy, abyśmy was przed jutrzejszym śniadaniem wypuściły! – rzuciła cześnikowa tonem nieznoszącym sprzeciwu i nałożyła gościowi kolejną porcję szynki.

Ucztowali aż do wieczery, kiedy to już wszyscy najedzeni i zmęczeni zamierzali się udać na spoczynek. Pani Salomea niby mimochodem wyszła ze świetlicy, zabrawszy ze sobą dzieci. Zofia i Kacper pozostali przy stole, patrząc sobie w oczy, zmęczeni i szczęśliwi.

– Dziękuję, że pan podstarości gościłą nie wzgardził.

– Zofio... – powiedział poważnie.

– Tak...? – zapytała drżącym głosem.

Hadziewicz wstał i podszedł do niej. Wyciągnął z kieszonki niewielkie zawiniątko.

– Czy uczynisz mi ten zaszczyt? – spytał, odwijając chusteczkę, w której przywiózł pierścień.

Trzymał jej dłoń i nim doczekał się odpowiedzi, wsunął go na palec wzruszonej miecznikowej. Nim zdążyła odpowiedzieć, nachylił się i ucałował ją gorąco. Ziemia usunęła się spod jej stóp i zawirowała. Zofia śmiała się i płakała ze szczęścia, całując i tuląc ukochanego.

– Gdyby mi się coś stało, pamiętajcie, pani, że u kasztelana w skarbcu znajduje się kufer z kosztownościami po mojej matce. Upomnijcie się o niego, bo ja już nie zdążę. Nie dajcie też sobie wydrzeć Grodu Orłowego, bom go wam zapisał. Kasztelan rozgłasza niegodziwości, że Gród Orłowy po mojej śmierci jemu przypaść powinien, ale to kłamstwa! – mówił szybko, jakby się bał, że nie da mu skończyć. I słusznie, bo Zofia natychmiast zaprotestowała.

– Niczego nie przyjmę i nic nie zrobię, dopóki nie wrócicie. I obiecujecie, że wymuszać niczego na mnie nie będziecie.

– Obiecuję, schowajcie jeno głęboko i bezpiecznie ten papier.

– Podał jej dokument zapieczętowany herbem podstarościęgo Dwa Topory.

– Przechowam go dla was – powiedziała niechętnie, bo nie chciała wracać do tematu, a odmawiać nie wypadało. – Ale już nie prawcie mi o śmierci!

Wyniosła papier do sekretarzyka i wróciła. Kacper wstał od stołu, a ona przestraszyła się, że chce już kłaść się spać.

– Czy poprosić o świecę dla was? – zapytała smutno.

Nie odpowiedział, tylko ujął ją leciutko za rękę i pociągnął ku sobie. Miała wrażenie, jakby to już się kiedyś wydarzyło, choć może tylko w jej marzeniach. Gdy zamknęła powieki, poczuła jego wargi na swoich. Zrazu całował lekko, jakby bał się odmowy, ale widząc, że mu sprzyja, że pragnie tego tak samo jak on, objął ją i całował mocniej. Szeptął przy tym jej imię i trzymał w uścisku, jakby sądził, że zaraz mu się wyrwie.

A ona oddawała mu pocałunki, głaskała włosy i tuliła się, znajdując w jego ramionach port bezpieczny. W gorączce zapomnieli, że ktoś może wejść, zobaczyć, zresztą nie dbali o to, skupieni tylko na sobie. Wreszcie oderwała się odeń na chwilę, a gdy spróbował protestować, zakryła mu usta dłonią i nie puszczając jego ręki, wzięła ze stołu lichtarz i powiodła do swej alkowy.

Jakiż odmienny był poniedziałkowy poranek wielkanocny od tego, gdy po weselu kasztelanki spotkali się przy stole w gościach u pana podstolego Żaby! Zofia już prawie nie pamiętała tamtego pyszałkowatego Kacpra, kiedy rozparty na ławie wychylał puchar za pucharem i dogadywał wszystkim dookoła. Wtedy napawał ją lękiem, przerażeniem nawet, teraz najchętniej nie wypuściłaby go z ramion. Co go tak odmieniło? Czyżby pobyt w wieży? Wydarzenia związane z kasztelańskim zajazdem, utratą i odzyskaniem rodzinnego majątku? Nie śmiała przypuszczać, że to miłość uczyniła zeń innego człowieka. Żałowała, że chcąc zachować pozory, odszedł nad ranem do przeznaczonych dlań izby. Był to ten sam alkierz, w którym wracał do zdrowia po potyczce z Szuksztami, gdy ranny schronił się w Złotym Moście, narażając ją i jej rodzinę na zemstę krewkich rębajłów. Ale już wtedy dał się poznać jako ktoś inny, niepasujący do opowieści o służącym kasztelanowi zabijace, który lekceważy prawa boskie i ludzkie. Zofia uśmiechnęła się, przypominając sobie rzewne spojrzenie, z jakim mówił o nieboszczce, pierwszej kasztelanowej! To tego Kacpra prosiła o wielką przysługę dla kasztelanki i podróż aż do Kurlandii. Nie odmówił i mimo niesprzyjającej zimowej pory pognął jako poseł, bez żadnej nadziei na nagrodę.

Teraz żałowała, że musiał ją opuścić. Najchętniej znów znalazłaby

się w jego ramionach, ale cóż, zanim to nastąpi, upłynie kilka tygodni, może miesięcy? Stanisławczycy muszą wygrać wojnę z wojskiem moskiewskim, co nie będzie łatwe. Zofią wstrząsnął dreszcz na myśl, że lada dzień Kacper ruszy pod Oszmianę. Teraz, kiedy była pewna jego uczucia, kiedy podczas czułych rozmów obiecała zostać jego żoną, będzie nie tylko bardziej tęsknić, lecz także skrzętniej liczyć dni do jego powrotu. Usiadła na łóżku i westchnęła głęboko.

„Dlaczego szczęście musi zawsze trwać tak krótko? – pomyślała. – Ledwie je człowiek uchwyci, zaraz mu się z rąk wymyka, jakby wiatr lub dym łapał”.

Uklękła przed domowym ołtarzykiem i zapatrzywszy się w litościwe oblicze Maryi, swymi słowami prosiła o opiekę nad ukochanym. Nim zakończyła modlitwę, do alkowy wpadł rozbawiony Ignasz. Śmiejąc się, polał matkę wodą. Szczęśliwa pogoniła smyka do ubierania, a sama wezwała służącą.

Przy śniadaniu wydawali się skrępowani, jakby o ich schadzce wiedzieli już wszyscy domownicy. Nie patrzyli sobie w oczy, niemal nie odzywali się do siebie. Pani Salomea udawała, że niczego nie widzi, nie zapytała, skąd na palcu Zofii znalazł się nowy pierścień, zrozumiała jednak i radowała się w duszy, bo miłszym zdał jej się taki zięć, którego córka pokocha, a że podstarości był niebiedny, to tylko dodatkowy atut. Nie poruszała jednak tego tematu, zagadywała do nich obojętnie, niby to fukała na dzieci, którym wyjątkowo, z braku gości, pozwolono zasiąść do stołu z dorosłymi, a w głębi serca cieszyła się szczęściem córki.

I w tej sielance, całkiem niepodziewanie, gdy wstawali od posiłku, Hadziewicz oświadczył, że do południa musi ruszyć, aby spędziwszy noc w swym dworze, z samego rana podążyć pod Oszmianę. Co było westchnień, nalegań i dąsów! Ile łez wytartych ukradkiem! Ile błagań i głębokich spojrzeń w oczy! Ile przekonywań, że wojna nie zajac. Ale nic nie zdołało tym razem skruszyć woli podstarościego.

– Już i tak dość czasu zmitrężyłem! – powiedział i zaraz ugryzł się w język. – Dobrze mi tu jak w niebie, nie posądzajcie mnie o niewdzięczność. Ale jakże za piecem u dwóch zacnych niewiast siedzieć, kiedy ojczyzna w potrzebie?

– Macie słuszość! – Pani Salomea smutno pokiwała głową, a Zofia spojrzała na matkę ze zdumieniem i wyrzutem. – To nie do pomyślenia, żeby nam ościenne państwa króla wybierały! Cośmy się nacierpiały, kiedy tu stanął ten oddział nieokrzesanych żołdatów moskiewskich! Ile to było problemów! Z chłopami się tłucli, dziewczki brzuchacili, a spichrze do cna opróżnili. I moja droga – tu cześnikowa popatrzyła na córkę wymownie – w pewnych szczególnych okolicznościach mus własne szczęście na później odłożyć.

Pożegnanie było długie i pełne szczerych zapewnień. Wreszcie podstarości z chłopakiem wskoczyli na koń i pognali w stronę Winnicy. A one zostały, licząc tylko na boską Opatrzność, która uchroni Złoty Most przed wyniszczającą wojną. Nie miały jednak złudzeń i czekały na najgorsze.

XVI

Pułkownikowi Kondyriewowi wcale nieśpieszno było opuszczać Turów, wolał udawać, że przeprowadza inspekcję terenu, niż stawać w polu i ganiać po lasach oddziały konfederackie. Przyjmowali go tu suto, gościnnie, z honorami, nie palił się do wojaczki. Pięknych kobiet wśród gości kasztelana również nie brakowało, a jego nie obchodziło, czy wzbudza podziw, czy strach. W gruncie rzeczy co to ma za znaczenie? I choć nie był katolikiem, postanowił zostać na Wielkanoc, zwłaszcza że Strasz obiecywał mu spotkanie z miecznikową, która wzbudziła jego zainteresowanie.

Po porannym nabożeństwie goście kasztelana mieli właśnie zasiąść do święconego. Tu również, jak na każdym szlacheckim stole, pierwsze miejsce pozostawiono dla baranka z chorągiewką. Wokół stały półmiski z pieczoną dziczyzną: jeleniami i dzikami z nadzieniem z szynek i kielbas, dalej kapłony, baby, żmudzkie pierogi, cukry najróżniejsze. Przed zasiadającymi do pierwszego stołu pyszniły się cenne kielichy z przednim węgryzmem. Goście stali, czekając na pułkownika.

Kasztelan powiódł wzrokiem po komnacie i skrzywił się niemal niewidocznie. Jak tu świętować z takim nastawieniem? Większość biesiadników to nic nieznacząca, płaszcząca się i zabiegająca o jego względy szlachta zaściankowa. Może kiedyś, w czasach świetności, marzył o tym, aby otaczali go sami pochlebcy, teraz jednak, kiedy to nastąpiło, brzydził się tymi ludźmi. Nikt nie potrafił mu się postawić, nikt nie miał innego zdania. Ci, których darzył szacunkiem, odwrócili się, porzucili go, zrejterowali do innego obozu. A przecież byli skazani na porażkę! Leszczyński nie wygra, to niemożliwe! Zaprzepaścił swoje szanse, wyjeżdżając z Warszawy. Zresztą nie widać, aby rwał się do wojaczki. Może i ta konfederacja pomacha sobie trochę szabelkami, to prawdopodobne, ale tu, na Litwie, stoi tak wiele moskiewskiego wojska, że jej szanse są znikome.

Jednak pomimo przystąpienia do obozu zwycięzców Tadeusz Jandził czuł, że sprawy wymykają mu się spod kontroli.

– Sprawdziłeś wczoraj lochy? – zapytał cicho Strasza.

– Tak, panie. Więźniowie dostali większe porcje, a dziś zanoszą im święcone.

– Może powinienem pogodzić się z dziećmi?

– Byłby to piękny i szlachetny gest.

– Nie zostanie odebrany jako słabość?

– Nadamy mu odpowiednią rangę.

– Jak to się wszystko rozlało, patrzę na nich i widzę ruinę mych starań, upadek wielkości, jakby zaraz kres mój miał nadejść. Ciemnieje mi przed oczyma i na nic już nie mam ochoty.

– Jaśnie pan zmęczony, wytchnienia potrzebuje.

– Wytchnienia to ja może w mogile zaznam.

Strasz nie zdążył odpowiedzieć. Nagle uśmiechnął się szeroko i podbiegł ku Kondyriewowi, który właśnie z towarzyszeniem asysty wszedł do komnaty.

– Powitać, powitać pana pułkownika! Zapraszamy do stołu, czym chata bogata, tym rada, jak to mówią w Rzeczypospolitej.

Kasztelan również starał się uśmiechnąć, ale mu jakoś nie wyszło, zwłaszcza że w tej samej chwili pojawiła się Flora wraz ze swymi dwórkami. Wyglądała na zbolełą, miała poszarzałą, zmartwioną twarz, jakby bardzo cierpiała.

– Pani, czyżbyś była niezdrowa? – zapytał kasztelan.

– Nie, mężu.

– Więc przywołaj uśmiech, bo nie zamierzam znosić plotek, jakie tu cierpisz męki.

– Wedle rozkazu.

Flora dygnęła niczym dwórka, kasztelan ujął jej dłoń i zaprowadził do stołu. Usiedli, a za nimi pułkownik i reszta zaproszonych. W rzeczy samej, ucztą to była isticie królewska! Jandźwiłłowi nieco humor się poprawił, gdy zaczął kosztować potraw. Smakowały mu zwłaszcza pieczenie z sarny i dzika, podlane obficie sosami: białym na chrzanie ze śmietaną i czarnym na juszce z powidłami. Do tego wino węgierskie, gładzące delikatnie podniebienie, co za rozkosz! Gdy tylko półmisek robił się pusty, służba skrzętnie dostawiała nowy. Podczaszowie pilnowali też, by w kielichach dna nie było widać. Szybko znikwały sztufady i combry, ale i kapłony rozrywane na pół i smakowicie

obgryzane do kości przez ukontentowanych biesiadników. Ten i ów sięgał po barana, inny znów gustował w huzarskiej pieczeni. Wszystko tu było, o czymżeś tylko zamarzył: i króliki, i gęsi pieczone, i ryby w sosie z rodzynkami, i baby, i leguminy, i cukry.

Kondyriew próbował każdej z potraw i widać było, że litewska kuchnia mu odpowiada. Zaspokoiwszy pierwszy głód i pragnienie, wdał się z kasztelanem w dyskurs polityczny, wywodząc wyższość władzy cara nad polskim królem.

– Gdzie władza z ojca na syna przechodzi, tam kraj bezpieczniejszy i stabilniejszy ma prawa. Dlatego dobrzeście zrobili, za Augustem się opowiadając – rzekł i uniósł kielich, przepijając do Jandźwiłła.

– Z ojca na syna – to rozumiem, ale wszak w Rosji carowa ma władzę! – mruknął pod nosem chorąży Listkiewicz. – Nie masz w Polsce zgody na rządy niewieście!

Goście kasztelana przytaknęli, lecz nie pułkownikowi, jak się zdawało, lecz chorążemu, ale kielichy wzniesli i chętnie gardła przepłukali.

– U was, widzi mi się, cały zarząd krajem na głowie stoi, bo sejm rzadko który dochodzi i praw tworzyć kto nie ma – zadowolony z siebie ciągnął dalej Kondyriew.

– Nie ma kto?! – oburzył się koniuszy Skirgiełło. – Co waść opowiadasz?! Toż my wszyscy, brać szlachecka, przez sejmiki swych reprezentantów do sejmu wysyłamy i tam oni aż sześć niedziel obradują. A króla wybieramy osobiście! Z naszej on szlacheckiej łaski na tronie zasiada!

Kondyriew popatrzył na niego zdziwiony.

– Z waszej łaski? A pan brałżeś udział w elekcji?

– Brałem.

– Po czyjej się acan stronie opowiedział?

Koniuszy opuścił wzrok, niechętny udzielić odpowiedzi.

– Na Woli żeś pan głos swój oddał czy na Kamionie? Bo coś mi się widzi, że znam odpowiedź.

– Na Woli – cicho bąknął Skirgiełło.

– A dwa dni temu zmieniliście zdanie – mówił do koniuszego, ale jakby pił do kasztelana. – Bom was widział w ratuszu winnickim.

Goście popatrzyli po sobie. Z ich twarzy można było wyczytać, że nie z własnego przekonania to uczynili. Kasztelan milczał.

– Mówili mi posłowie, jakieśmi elekcji miłościwego Augusta III na Pradze pilnowali, jak to się odbywa. Szlachta się zbiera, a najliczniejsza ta ciemna i biedna z Mazowsza, co w łapciach chodzi i nawet na własnego konia jej nie stać. Tę za nos partia wodzi, upija, agituje, sprasza do karczem i tam przy bigosie wmawia, co chce. Myśli w tym żadnej nie ma, tylko wzajemne przekrzykiwanie. Potem i tak silniejszy tron zajmuje albo ten, którego partia lepiej dla kraju chce, co też się i stało. Leszczyński, na którego możeś i waćpan głosował, obleżony w Gdańsku, wkrótce się podda, a waść, jako i wy wszyscy, Augustowi III wierność zaprzysięgliście – rzekł Kondyriew obojętnym tonem i znów sięgnął po kielich.

Milczeli, dotknięci do żywego. Niejeden chciałby pokazać temu nieokrzeszańcowi, gdzie jego miejsce, bo gościem będąc, ubliżać gospodarzowi nie miał prawa. Kasztelan jednak potoczył wzrokiem i nakazał przełknąć obrazę.

– Ale dobrzeście uczynili – ciągnął pułkownik. – August już drugi tego imienia, z saskiej się dynastii wywodzi, przez żonę skoligacony z cesarzem, połączy Saksonię z Polską i ład może jaki zaprowadzi.

Nikt na te zniewagi nie śmiał odpowiedzieć. Po cóż zresztą było dolewać oliwy do ognia? Wszyscy wiedzieli, że obecność wojska moskiewskiego to hańba Rzeczypospolitej, ale nikt się tej hańbie przeciwstawić nie potrafił. Woleli ucztować i śmiać się z żartów pułkownika, niż porwawszy za miecze, życie swe na szali postawić. Zresztą nie było rozkazu. Kasztelan tu tworzył prawo, jego słuchali, jego we wszystkim naśladowali. Może i po cichu zazdrościli tym, którzy, jak podstarości, kryć się pod kasztelańskimi skrzydłami nie mieli ochoty ni potrzeby. Wprost jednak mówili, że to awanturnicy, do zguby Rzeczypospolitej dłoń przykładający.

– Gdzież to miecznikowa? Nie przyjęła kasztelańskiego zaproszenia? – spytał z pewnym zdziwieniem pułkownik.

– Niedomaga, chorobą złożona – Strasz pośpieszył z wyjaśnieniami, a pułkownik chrząknął niezadowolony i sięgnął po kielich.

– Dwa dni temu jeszcze zdrowa była – prychnął. – Wy tu w Polsce nie tylko na rządzeniu się nie znacie, pozwalając lada komu króla wybierać, ale też kobiet swych upilnować nie potraficie. Na choroby im pozwalacie, kiedy je tylko ochota najdzie. Znam ja te choroby, mój sekretarzu. To są fochy i jeśli się im z całą mocą nie przeciwstawisz, będą sobie na coraz więcej pozwalać!

Towarzystwo zamilkło, przyjmując kolejny policzek. Goście po cichu zazdrościli miecznikowej, że choć ona jedna zdobyła się na odwagę.

XVII

Gdy na górnym zamku trwała wesoła biesiada, zamknięci w lochu więźniowie kasztelana, w tym jego rodzone dzieci, po raz pierwszy od dnia kary mogli się porządnie najeść. Zmiany swego położenia upatrywali w ucieczce Rabińskiego, bo nie udało się tego faktu przed nimi ukryć. W Wielki Piątek wieczorem zrobił się ruch, raz po raz ktoś przychodził do lochu i zaglądał do cel, nadzorcy byli wypytywani, szeptali coś między sobą, czuło się podniecenie, a nawet przestraszono. Cecylia podniosła się z legowiska i podeszła do kraty.

– Hej, ty! – zawoła. – A co wy tak biegacie jak oparzeni? Stało się coś?

– Niefortunne zdarzenie, Rabiński zbiegł – wyszeptał jeden ze strażników.

Nie było w tym nic nowego, więźniowie już wiedzieli, że Rabińskiemu pod mnisim habitem udało się spod kasztelańskiej kurateli umknąć. Kiedy tylko plotka obiegła lochy, niektórzy zaczęli intensywnie rozmyślać nad zmianą swego położenia. Kettler zamierzał się powołać na swe książęce parantele i zażądać wypuszczenia, Stanisław upatrywał nadziei w kolejnej wizycie medyka, a kasztelanka zrozumiała, że najwyższa pora ruszyć do ataku.

Znała swego ojca nie od dziś, bardzo go zresztą przypominała: władcza, uparta, nieprzewidywalna. Wiedziała, że kasztelan, uzależniony od pomocy Strasza, prędzej czy później zwróci się po wsparcie do któregoś z dzieci. Ponieważ Jana nie było i nikt nie wiedział, co się z nim dzieje, pozostanie mu zdecydować się na nią lub Stanisława. Stanisław nie miał inteligencji Jana, ale znane było jego wielkie serce i Cecylia nie wątpiła, że nie zostawi jej własnemu losowi. Sama zresztą uważała, że w ich bratersko-siostrzanej jedności tkwi potężna siła.

Teraz należało się zastanowić, jak wykorzystać chwilową słabość ojca. Z której strony uderzyć? Czego zażądać lub co zaproponować. I kiedy tylko do lochu znów zszedł nadworny medyk, Cecylia postanowiła działać.

– Żądam widzenia z kasztelanem! – powiedziała.

– Pani – bąknął skonfundowany Dietrich. – Jam mówił jego wysokości, że wy pozostać w tych warunkach nie możecie, że to szkodzi zdrowiu.

– A teraz pójdziesz i mu powiesz, że chcę wyjść stąd dziś! Natychmiast! Mam dzieci, kasztelańskie wnuki, i moje miejsce jest przy nich!

– Macie słuszość, ale jakże ja tak mogę wejść, trwa uczta, są goście, czy to wypada?

– To zawołaj Strasza, byle prędko!

– Tyle chyba będę mógł zrobić – powiedział Dietrich, ukłonił się i odszedł, aby wypełnić misję.

W trzy pacierze później dwóch służących z pochodniami rozwarło drzwi celi. W towarzystwie naczelnego strażnika pojawił się Wacław Strasz. Stanął z rękoma do tyłu i patrzył na nią triumfująco.

– Pani, doniesiono mi, że zamierzasz prosić jego wysokość swego ojca o wybaczenie.

– Życzę sobie dziś jeszcze wrócić do moich dzieci!

– odpowiedziała, ignorując sugestię.

– Dziś to niemożliwe.

Cecylia podeszła do Strasza. Wyglądała żałośnie. W brudnej sukni, potargana, zmęczona, chora. Zdawała się o tym nie pamiętać. Stała prosto, dumnie.

„Niczym królowa!” – pomyślał.

– Dziś jeszcze! – powiedziała z naciskiem. – Chcę wrócić do mych komnat. Powtórz to kasztelanowi. Jest Wielkanoc. Wypada, aby pan na Turowie przy takim święcie wznosił się ponad wszelkie urazy i dał dowód wielkoduszności swym poddanym. Coraz ich mniej wokół niego.

Strasz skłonił się bez słowa i już miał odchodzić, kiedy usłyszał jeszcze:

– Natychmiast uwolnij też Stanisława, który może nie dożyć jutra, oraz kurlandzkiego księcia, mojego gościa, którego się tu bezprawnie więzi!

Sekretarz kasztelana odszedł, a Cecylia, zmęczona tyradą, usiadła na słomie. Zastanawiała się, czy była dość przekonująca, ale najwyraźniej na górnym zamku nie zlekceważono jej słów, bo niedługo

potem naczelny strażnik dostał rozkaz wypuszczenia Stanisława, Kettlera, Cecylii oraz czterech zbójców. Zbójcy mieli prawo odejść, z czego jak najchętniej skorzystali, po resztę zaś przyszła służba, aby im towarzyszyć do pokojów.

Łatwość, z jaką kasztelan i Strasz przystali na jej uwolnienie, nie uśpiła czujności Cecylii. Wiedziała, że musieli wcześniej zrozumieć pochopność swej decyzji i tylko dlatego przystali na oswobodzenie wszystkich uczestników zajścia. To może oznaczać, że kasztelan łatwiej przyjmie jej prośby. Tak, niech myśli, że zwyciężył, niech stawia warunki. Ona przyjmie każdy. Aby uderzyć, aby kiedyś zwyciężyć, teraz musi się wycofać.

Opuściła celę z głową podniesioną wysoko. Starła się nie pamiętać, na jaki uszczerbek narażono tu jej godność. W brudnej odzieży kroczyła przez korytarze zamkowe, jakby miała na ramionach najdroższe suknie podbite sobolowym futrem. Ani przez chwilę nie pokazała, że jeszcze tego ranka nie była pewna, czy ujdzie z życiem. Raz po raz chwyciła ukradkowe spojrzenia służby, która jeszcze nie wiedziała, czy ma ją już traktować jak panią, czy nadal jak więźnia. Niektóre służące podbiegały i ukradkiem całowały jej dłonie. Takich jednak było niewiele, większość spoglądała wyczekująco. Cecylii nie kochano na zamku, teraz to zrozumiała.

Zaprowadzono ją wprost do dawnej komnaty, w której przebywały jej dzieci. Właśnie trwało karmienie. Kasztelanka spojrzała przelotnie na mamkę trzymającą dziecko przy piersi i zażądała kąpieli. Dwórki zaczęły biegać w popłochu, jakby przez ten czas wszystkiego zapomniały. Wreszcie przyniosły drewniany cebrzyk, gorącą wodę w konwiach, mydło oraz wonności. Pomogły się Cecylii rozebrać i zmyć z ciała brud tych kilkunastu dni. Szczebiotały przy tym, starając się ją bezskutecznie rozchmurzyć. Gdy zakończyła kąpiel, podano wieczerzę: trochę pieczeni, jaja, babkę, chleb oraz wino. Cecylia jadła powoli, z godnością, starając się zachować maniery, aby nie pomyślały, że całkiem zdziczała w zamknięciu. Wreszcie, przebrana w czystą suknię, podeszła do kołysek i beznamiętnie popatrzyła na twarze śpiących niemowląt.

Kettler stanowczo odmówił przyjęcia gościny kasztelana. Zażądał zwrotu konia i nie czekając na podziękowania ze strony kasztelanki, przekroczył bramę zamkową. Spiał zwierzę ostrogami i czym prędzej pognał do Grodu Orłowego. Dał sobie przy tym najuroczystsze słowo honoru, że nigdy więcej jego noga nie postanie na Litwie. Zamierzał popasać kilka dni u podstarościego i ruszyć ku Warszawie, gdzie liczył na patent w nowo tworzonej pułku grandmuszkieterów królewskich. Niedaleko dworu Hadziewicza zrównał się z czwórką uwolnionych zbójców, którzy pobiegli skrótem, i w tym towarzystwie zapukał do bramy. Nie zastali gospodarza ani Bartka, ale przyjęto ich godnie. Zanim zjedli i wypili, co im podano, nadjechał podstarość. Nadziwić się nie mógł opowieściom Kettlera.

– Ale że tak was bez niczego uwolnili?! I kasztelankę, i kasztelanica? Co w tym za zamysł się mieści?

– Jam w to nie wnikał, tylko czym prędzej na koń wsiadłem, by czasu nie tracić, jeśliby się rozmyślili. Turowskie lochy zimne i niegościnne, tom innej zachęty nie czekał.

Wtem Kettler zatrzymał wzrok na jednym ze sług Hadziewiczowych.

– A co on tu robi?! Wszak to pomocnik nadzorcy więziennego!
– Aż się zatrzęsnał z obrzydzenia. – Szpiega pod boki trzymacie?!
– Spokojnie, on już nie na kasztelańskich usługach – tłumaczył podstarość. – Przysłany przez Rabińskiego, przekazał nam wieści. Teraz u mnie służy, rwie się do konfederacji. Potrzebny nam każdy zwinny pacholek.

– Obyście mieli z niego pociechę, bo kto łatwo jednego pana porzuca, od drugiego równie szybko gotów się odwrócić. Albo i dwóm panom jednocześnie służyć.

Hadziewicz uśmiechnął się i spojrzał na Prota.

– Jeśli zechce wracać na zamek, droga wolna! A wy, jakie macie plany, zostaniecie, aby z Moskwą wojować?

– Nic tu po mnie. Do Warszawy ruszę i na przyjazd Augusta III czekać będę. Tam już się pewnie moi kamraci zebrali, aby do nowego pułku wstąpić.

– Tośmy i z wami po przeciwnych stronach, panie oficerze! – ze smutkiem westchnął Hadziewicz. – Samemu przyjdzie wojować za króla Piasta.

XVIII

Rabiński, opuściwszy Gród Orłowy, skręcił w las, jakby się bał, że jeszcze kto za nim pośpieszy i spróbuje nakłaniać do powrotu. Gdyby podstarości to zrobił, nie znalazłby go na gościńcu, a i kasztelan, jeśli przysłaby mu ochota za uciekinierem gonić, nie trafiłby na żaden ślad. Bartek pociągnął nosem i spał konia. Nie miał powodu do żalu, a jednak czuł jakiś niewypowiedziany, nienazwany ciężar. Co to było? Zawód? Smutek? Złość? Przecież powinien się cieszyć! Jest wolny, jedzie prosto przed siebie. Sam sobie panem, nikt mu nie rozkazuje. Siedząc w lochu, marzył o wolności, skąd więc ten ciężar i zniechęcenie? Zrobił, co trzeba. W puszczy winnickiej i tak nie było już dlań miejsca. Hadziewicz, zadarłszy z kasztelanem, zaprowadził tam swoje rządy. To przez niego Bartek stracił swoją bandę, przez niego przyszło mu w lochu siedzieć, on to wreszcie pozbawił go majątku!

Rabiński do tej pory miał w oczach owe dziewięć kupek, z których tylko jedna mu się dostała! Jemu jedna, a podstaroścemu dwie! Gdzie tu sprawiedliwość?! Nie tak sobie Bartek wyobrażał powrót do domu rodzinnego. Teraz nie wystarczy na zakup majątku, nie będzie się czym pochwalić przed ojcami. Trochę w mieszkach chręści, to prawda, ale mało, zbyt mało jak na tyle lat zbójowania! Cóż z niego za herszt, że nie potrafił się przeciwstawić, jak ciele przyjmując decyzję podstarościego! Co najmniej połowa garnca powinna mu przypaść z tytułu dowodzenia bandzie.

„Trza go było ubić, kiedy mnie Strasz o to prosił. Inaczej by teraz sprawy wyglądały! – pomyślał, oszukując samego siebie. – Czy z takim marnym groszem jest sens w domu się pokazywać? Może lepiej na wojnę wyruszyć, do możnego się pana przyłączając?”

Ale który to ów możny pan, Rabiński nie wiedział. Na owych deliberacjach dzień mu prawie minął. Miało się już ku zachodowi i zmęczony zbójca za jaką oberżą zaczął się rozglądać. Niedługo potem dotarł do wsi Zabawa. Karczma tam stała nie lepsza i nie gorsza od innych, a w niej Żydzisko w pas się kłaniające. Spodobało się Bartkowi takie powitanie, zażądał więc wódki. Arendarz chętnie nalał mu pół

kubka siwuchy i czekał, co też jaśnie pan zjeść raczy. A nic nie miał poza workiem stęchłego owsa, beczką nadgniłej kapusty i resztek starej skopowiny¹, bo gości się tu zatrzymywało niewielu, wyłącznie miejscowi. Ci zaś tylko pili, aby o swym nędznym losie zapomnieć.

– A daleko to do Kobrynia? – zapytał Bartek.

– O, panie, będzie z dzień drogi.

– Karczma przy trakcie jaka się znajdzie?

– Ni, panie, żadnej – skłamał Żyd. – Lasy tylko i mokradła.

– To nalej jeszcze! – zażądał Bartek i sięgnąwszy do mieszka, wyciągnął szóstaka. – Coś tam do jedzenia by się zdało.

Żyd nie przegapił owego gestu i brzęku monet, tak miłego jego uszom, co ciągle tylko słyszały: „Na borg!” i „Zborguj!”, a nigdy prawie: „Ile się należy?”. Czemu się zresztą dziwić? Ziemia tu nieurodzajna, lud biedny, pan pazerny. Pańszczyzna już do dziesięciu dni w tygodniu dochodziła. Zresztą swojaka oskubać nie honor. Ze swoim mus w zgodzie żyć. A przyjezdny jak zając z pańskiego lasu: rzadkość to i cymes. Więc skłonił się Żyd w pas i nalał spragnionemu, by nie czuł, co mu za jądło ze starego barana uwarzy. I po dziewczkę posłał, która już nieraz mu takich jaśnie panów z grosza oskubać pomagała.

Rabiński o dziewczkę nie prosił, ale rad na nią spoglądał, kiedy usiadła obok. Duża była, rumiana i cycata, właśnie taka, jakie lubił. Śmiała się w głos i popatrywała hardo, niby to wzbraniając się przed podszcypywaniem. Bartkowi nagle przeszła ochota na jedzenie. Nadymał się niczym paw, kłamał, że należy do kasztelańskiej drużyny, i tylko dla niepoznaki przed konfederackimi w łachmany się przebrał. Dziewce to nie przeszkadzało, za grosz gotowa pić z każdym, za trzy lec na sianie z samym diabłem. A Bartek był chłop w świecie bywały i mimo lat spędzonych na zbójowaniu zachował resztki galanterii. Zaraz też jej zaczął opowiadać o Warszawie, co w dziewczusze tęsknicę taką rozbudziło, że nie certoląc się zanadto, poszła z nim na strych, gdzie arendarz dla specjalnych gości trzymał siennik starym sianem wypchany.

Pobarłoczyli raz i drugi, aż zmorzył Bartka sen. Doznawszy tak niespodziewanych wygód, spał do samego rana. Kiedy się obudził, dziewczki już nie było. Ubrał się i zszedł po drabinie na dół.

– A dajcie co szybko na ząb, bo mi pilno w drogę.

– Krup uwarzyłem, jaśnie panie, na skopowinie. – Żyd mlasnął językiem smakowicie, jakby jakiś rarytas zachwalał.

– Niech będzie, dawaj! – krzyknął Bartek i przypomniał sobie, że jest Wielkanoc. Westchnął ciężko i zabrał się do jedzenia. Ale choć był głodny, bo od piątkowej wieczerzy nic prawie w ustach nie miał, jedzenie mu nie szło. Niesmaczne było i przez Żyda uwarzone, choć baranina, ale wszak niepoświęcona, toteż odsunął talerz ze wstrętem.

– Śledzia nie macie?

– Nie, proszę łaski pana.

– A chleba?

– Tyle co kot napłakał.

– To co z was za arendarz?! – rzucił wściekle Bartek. – Jeno wódkę sprzedajecie?

Chciał zapłacić i ruszyć w dalszą drogę, choćby i o suchym pysku, ale po mieszek sięgnąwszy, nie natrafił nań ani w kieszeni kubraka, ani spodni. Rzucił się ku drabinie, spenetrował strych, przetrząsnął siennik i znów stanął naprzeciwko Żyda.

– Okradła mnie, psia wiara! Gdzie jej szukać?! – krzyczał wściekły.

Choć Bartek nim mocno potrząsał, Żyd, pewnie nawykły, zachował spokój.

– O tej porze to pewnie w kościele... – ledwie wysapał.

– Wielkanoc przecie.

Cóż było robić? Nie pozostało nic innego, jak wsiąść na koń i ruszyć przed siebie nawet bez tej marnej resztki majątku, którą podstarości łaskawie mu zostawił. Szczęście w nieszczęściu, że konia kto nie skradł. Uznając swą bezsilność, Bartek puścił arendarza, złapał czapkę i wyszedł z karczmy. Nie wiedząc, w którą się udać stronę i do czyjej nająć służby, ruszył w kierunku Kobrynia.

Baranina. [wróć]

XIX

Po odjeździe podstarościego głęboki żal wdarł się w serce Zofii i ból tak dojmujący, że najchętniej schowałaby się w jakimś kącie i pozwoliła łzom płynąć, póki nie wyschną. Cóż bowiem da Polsce ta wojna? Czy August Sas ustąpi? Czy Leszczyński będzie lepszym królem? Wielu spośród szlachty uważa, że tak, z przekonaniem oddało nań podczas elekcji swoje głosy. Ciż sami ludzie w Wielki Piątek przysięgali Augustowi, a zdało się jej, że carowej, bo Sas daleko, a moskiewski pułkownik ze swoim wojskiem stał na obrazę boską w Winnicy i ważniejszy od samego kasztelana się wydawał.

Co będzie, jeśli wielu z nich, choćby i Kacper, podczas tej wojny zginie? Podstarości był przekonany, że dla człowieka honoru nie ma innego wyjścia. Szykował się zresztą przez całą zimę, a teraz miałby odstąpić od swych planów? W imię czego? Miłości do niej? Prędzej czy później znienawidziłby siebie i ją. Polityka kradła jej miłość, pozbawiała szczęścia. Gdybyż można mieć pewność, że wybór jest słuszny, że prowadzi ku dobrej sprawie, ku szczęściu narodu i Rzeczypospolitej! Niestety, takiej pewności mieć nie mogła. Nie mógł jej mieć nikt w całym kraju, nawet najwięksi. Najtęższe umysły posiłkowały się jedynie przypuszczeniami, a co gorsza, szły być może na pasku swego interesu, licząc na przyszłe przywileje i urzędy.

Zofia westchnęła głęboko i odwróciła się ku dworowi. Zauważyła zasmuconą matkę, stojącą w drzwiach, jakby chciała dodać jej otuchy. Pani Salomea uśmiechnęła się blado.

– Odjechali! – powiedziała Zofia.
– Ano szkoda, bośmy jedyne go obrońcę postradały.
– Mówiliście, matko, że on szalony i biedy jakiej może napytać.
– Com mówiła, tego się nie zapieram, i zdania o podstarościm nie zmieniałam. Ale skąd nam wiedzieć, jak długo wojna potrwa i ile jeszcze od kasztelana wycierpimy? Ten Strasz znów tu był, nadymał się niczym indor tuczony.

– Kiedy? Czego chciał? – zapytała Zofia.
– Na święcone do zamku zapraszał.

– Nic nie mówiliście.

– Bom go odprawiła! – fuknęła cześnikowa, zła na samą myśl o Strasz.

Zofia zamyśliła się.

– Nie wiem, czy nie zbyt pochopnie...

I nim zdążyły wejść do środka, usłyszały tętent na gościńcu.

Z radosnym uśmiechem Zofia znów skierowała się ku bramie, sądząc, że to podstarość czego zapomniał. Kiedy jednak zauważyła karetę z zamku i wysiadającego z niej kasztelańskiego sekretarza, uśmiech zgasł, jakby kto na świeczkę dmuchnął.

– Pan Strasz! Co za honor!

– Widzę, że pani miecznikowa już wydobrzała! – rzekł Strasz, mierząc Zofię bacznym spojrzeniem, i dodał z wyraźną ulgą: – To dobrze, to bardzo dobrze!

– Czyżby pan przyjechał dowiedzieć się o moje zdrowie?

– zdumiała się Zofia i wskazała gościowi drogę do środka.

Wszedł, zdjął okrycie i usiadł. Ale widać było, że długo nie zabawi. Kręcił się i wiercił, popatrywał na boki, jakby obawiał się wyjawić cel swej misji. Na stole wnet postawiono półmiski z pieczystym, ciasta i wino, ale Strasz nawet nie zaszczycił ich spojrzeniem.

– Pozwólcie, że powiem, co mnie sprowadza, bo rzecz to wielkiej wagi.

Miecznikowa patrzyła mu prosto w oczy, starając się nie okazywać lęku.

– Kasztelanowi bardzo zależy, abyście przybyła do zamku.

– A w jakim celu i charakterze? – zapytała twardo i bez ogródek.

– Wszak widzicie, że jeszcze ręką nie władam.

– Ale mądrości wam to nie ujmuje ani urodzie nie szkodzi – rzekł z galanterią. – Mamy czas świąteczny, mój pan chciałby wszystkich swoich sąsiadów ugościć, prosić ich o wybaczenie i samemu wybaczyć. Wszak Wielkanoc, godzi się waśni zaniechać.

– Pomiędzy mną a kasztelanem waśni nijakiej nie ma, choć rada bym wreszcie sprawę owych weksli wyjaśnić. Jednak to nie temat do dyskusji przy stole.

– Mądrość waćpani piękności dorównuje! – Strasz chciał przekonać Zofię komplementem, jednak pozostała czujna.

– Panie sekretarzu, nie zwóďte mnie. Cóż to za misja, z którą przybywacie? Rozumiecie, że po tym, co zaszło, niechętnie się na zamek wybiorę. Chyba że pod przymusem.

– Przymusu żadnego nie będzie, ręczę słowem szlacheckim!

– Zatem pozwólcie mi Wielkanoc z matką i dziećmi spędzić.

– Pani miecznikowo, za ten honor, jaki mi uczynicie, kasztelan z pewnością wdzięczny wam będzie.

– Wdzięczność kasztelańska znana jest w okolicy – wtrąciła się pani Salomea, co Strasz zbył, nie odpowiedziawszy. Wpatrywał się w Zofię błagalnym wzrokiem, jakby o czyje życie chodziło.

– Nie rozumiem, czego kasztelan może jeszcze ode mnie chcieć? Pojechałam do Winnicy, przysięgam na wierność nowemu królowi, choć pono innego szlachta na elekcji wybrała. Zrobiłam, czego się po mnie spodziewano.

– I za to właśnie kasztelan pragnie z całego serca podziękować! – zapalił się Strasz. – Pan mój chce swych przyjaciół przy stole podjąć i za waszą miłość ojczyzny do nóg się pokłonić.

Zofię w najwyższym stopniu brzydziła ta rozmowa. Wiedziała już, że Strasz nie da się po raz drugi odprawić, przeciągała ją więc, szukając sposobu, jak sobie zapewnić bezpieczeństwo.

– Mnie ni pokłon kasztelański, ani jego podzięką niepotrzebne. Chcę także, żeby pan Strasz wiedział, że ma się kto za mną ująć, gdyby mi co się na zamku przydarzyć miało! – powiedziała nadspodziewanie twardo.

Nie precyzowała, kogo ma na myśli, bo on i tak wiedział, że przeciwko kasztelanowi toby chyba sam książę tylko jeden śmiał wystąpić. Nikt inny nie dysponowałby ani dostateczną siłą, ani potęgą.

– Pani miecznikowa nie wierzy w czyste intencje kasztelana...
– rzekł ze smutkiem.

– To i chyba nie dziwota? – mruknęła pani Salomea, ale tak, aby Strasz nie dosłyszał.

Zofia tymczasem zastanawiała się, czy to nie najlepsza okazja, aby o życiu kasztelanki czegoś od służby się dowiedzieć, a przy okazji

o Rabińskim i Kettlerze. Miała nadzieję na chwilę rozmowy z młodą kasztelanową, choć nie wiedziała, z jakim spotka się przyjęciem.

– Zgoda więc. Nie ma co przeciągać. Pojadę z panem.

Strasz się uśmiechnął. Zdążył już w głębi duszy przyjąć kolejne połajanki od kasztelana. Nie sądził, że miecznikowa da się przekonać, zaskoczyła go.

– Będiesz pani pod moją opieką! – powiedział i aż się skulił pod ironicznym spojrzeniem cześnikowej.

Późnym popołudniem ruszyli. Dzień był piękny, wiosenny. Młoda zieleń radowała serca. Zboża na polach zieleniły się, zapowiadając obfite plony. Po kilku ciepłych dniach droga była dość sucha. Karetą toczyła się szybko. Zofia spoglądała w okno, zastanawiając się, jak sprowadzić rozmowę na podstarościego.

– Teraz już, panie sekretarzu, możecie powiedzieć bez ogródek, do czego kasztelanowi tak bardzo potrzebna moja osoba. Nie ucieknę wam z jadącego powozu. O cóż chodzi?

– Kasztelan smuci się z powodu nieprzyjaźni, jaką go darzycie.

– A kim ja jestem, aby mu na mojej przyjaźni albo nieprzyjaźni zależeć mogło?

– Od śmierci cześnika Żelskiego wy, jego córka, wyrosliście w powiecie na personę.

– To żarty.

– Bynajmniej. Mnie samego zastanawia, jak to się stało, że białogłowa taki mir wśród mężów ma. Po tym, jakżeś pani wyszła z ratusza, weszli na salę hurmem i rzekli: „Skoro miecznikowa przysięgła, to widać i my musim!” – skłamał.

– Nie dworujcie sobie ze mnie.

– Pani kiedyś przy poprzedniej kasztelanowej nieboszczce służyłaś. Nie chciałybyś trochę na zamku pomieszkać przy nowej? To dziecko jeszcze, wymaga ogłady, kobiecej ręki, kogoś, komu by ufała.

– Macie chyba w Turowie damy dworu? U mnie majątek doglądania wymaga. Moja matka nie podoła wszystkiemu. Może gdybym miała męża, ale tak... Czuję się zaszczycona, jednak nie będę mogła przyjąć propozycji.

Dojeżdżali do Polany Zbójców. Zofia odruchowo wyjrzała przez okno.

– Spokojnie. – Strasz się uśmiechnął. – Nikt na nas ręki nie podniesie.

Nie dodał, że herszt bandy zakpił sobie z kasztelana i od Wielkiego Piątku już wolności zażywa.

XX

Zofia potoczyła wzrokiem po gościach kasztelana, ukłoniła się temu i owemu i usiadła przy stole. Teraz wreszcie zrozumiała, dlaczego Strasz tak wiele wysiłku włożył w to, aby ją tu zaprosić. Gości w Turowie było mniej niż zwykle, a na dodatek połowę stanowiła świta pułkownika. Po kilku oficerów siedziało z jednej i drugiej strony swego dowódcy, jakby miało mu grozić jakieś niebezpieczeństwo. Rozpięty pod szyją mundur Kondyriewa wskazywał na zmęczenie biesiadą. Od chwili, gdy weszła, pułkownik mierzył ją baczny, choć już nieco zamglonym od wina spojrzeniem. Zofia trochę się przestraszyła, na szczęście więcej w tym było chęci imponowania i męskiej próżności niż prawdziwego zagrożenia, ale pozostawała czujna. Cóż zresztą mógł jej zrobić? Przyjechała jako sprzymierzeniec kasztelana, a tym samym i króla, nie zdradzała się ze swymi przekonaniem.

Kondyriew trochę się zmarszczył, kiedy usadzono miecznikową nieco z dala od szczytu stołu, ona sama zaś była zadowolona, bo miała dobry widok na wszystkich gości. Tadeusz Jandźwiłł siedział zamyślony, skulony, postarzały. Nie zauważyła tego podczas przysięgi, kiedy to dał dowód typowej dla siebie wyniosłości. Co prawda raz po raz uśmiechał się, zagadywał, wznosił toasty, jednak nie przypominał dawnego butnego i srogiego kasztelana. Co mogło się wydarzyć w tak krótkim czasie? Zofia przeniosła wzrok na kasztelanową. Flora Jandźwiłł prawie nie podnosiła wzroku znad talerza. Jadła małymi kęsami, długo przeżuując, i niemal nie piła wina. Na jej twarzy malował się bezbrzeżny smutek. Nikt z biesiadników nie starał się go rozproszyć, ignorowali kasztelanową, jakby jej w ogóle przy stole nie było.

– A gdzież to córka i syn kasztelana? – Zofia zapytała szeptem siedzącą obok krajczynę Skirgiełłową.

– Pono niezdrowi.

– Waćpani wiesz, że ta choroba nieposłuszeństwem się mieni?

– Kasztelan u siebie, on tu stanowi prawo. Nie nam zabierać głosu w tej materii.

– Czy to możliwe, że wtrąceni do lochu?

Zdegustowana krajczyna spojrzała na nią wyniośle. Nie wypadało przy stole poruszać takich tematów. Zofii to zresztą wystarczyło za odpowiedź.

– A o czym to panie tak szeptem rozprawiają?! – siląc się na wesoły ton, zawołał Strasz.

– Zastanawiamy się, gdzież to się podziewa kasztelanka? Wszak wnuki naszemu panu powiła? – rzekła Zofia.

– W rzeczy samej, dziewczynkę i chłopca, ale wciąż niezdrowa. Wiecie, jak to jest w połogu, przecież również jesteście matką.

– Czy to aż tak straszliwa choroba, że córka kasztelana nie może wznieść kielicha za pomyślność nowego króla? – jednym tchem wyrzuciła z siebie Zofia.

Na te słowa Tadeusz Jandźwiłł jakby się ocknął. Nic jednak nie rzekł, tylko spojrzał na Strasza, jakby od niego uzależniał swą decyzję. Inni wzniesli kielichy i po sali potoczyło się gromkie:

– *Vivat Augustus Rex!*

Strasz w tym czasie nachylił się do ucha swego pana. Ten pokiwał przyzwalająco głową i wykonał dłonią gest, po którym sekretarz uklonił się i wyszedł. Na tę chwilę jakby czekał Kondyriew. Wstał ze świeżo napełnionym pucharem i choć mu się język plątał, rzucił co tchu:

– Niech żyje carowa Anna Iwanowna Romanowa, wielka imperatorowa Wszechrusi!

– Niech żyje... – bąknął ten i ów, ale najgłośniej przyboczni pułkownika. W ich gromkim okrzyku ginęły nieśmiałe głosy gości, którzy nie odważyli się sprzeciwić.

Zofia również podniosła kielich. Niczego jednak nie powiedziała ani nawet nie upiła wina. Nie zamierzała grzeszyć nadgorliwością. Tymczasem służący wnieśli kolejne półmiski i kiedy goście sięgali po sztucce, do sali wszedł Strasz, a za nim Cecylia Lange oraz Stanisław Jandźwiłł. Byli bladzi i wyraźnie zmęczeni, na poszarzałych twarzach rysowało się piętno choroby. Kasztelanka zachwiała się nawet i gdyby nie przytomność brata, upadłaby może, on jednak ujął ją za łokieć i podtrzymał.

Orkiestra przestała grać, zgromadzeni zamilkli, kobiety wstrzymały oddech. Niektóre w oczekiwaniu wzruszeń sięgnęły po chusteczki.

Kasztelan wstał, spojrzął na małżonkę, która się również podniosła, i przemówił, kierując wzrok ku niepokornym dzieciom:

– Przyjaciele! Dziękuję wam, że jesteście tu dziś z nami, gdy wzgląd mając na Mękę Chrystusa, i ja pragnę uczcić to święto, wybaczenia udzielając dwojgu moim dzieciom. Stanisławie, Cecyljo, waszych przewin wobec prawa posłuszeństwa trzymał w pamięci nie będę. Odpuszczam wam, jako i Pan Nasz swym oprawcom na krzyżu odpuścił. Z serca pragnę waszego szczęścia i tych oto szlachetnych gości dziś na świadków mego wam wybaczenia biorę!

Ktoś krzyknął: „Niech żyje!”, inny zaklaskał, panie wzdychały, przykładając do oczu chusteczki. Kondyriew i jego ludzie również wzniesli toast. Stanisław i Cecylia, popychani lekko przez Strasza, uklękli i z szacunkiem ucałowali rękę ojca, po czym zrobiono im miejsce przy stole. Usiedli milczący, jak wcześniej młoda kasztelanowa, zawstydzenie nie pozwalało im unieść wzroku znad talerza. Goście udawali, że na nich nie patrzą, Strasz dwoił się i troił, zabawiając panie, orkiestra przygrywała coraz głośniejsze, ale czuło się, że ów akt wybaczenia wynikał bardziej z rachuby niż z potrzeby serca.

Zofia raz po raz zerknęła na kasztelanę, która jakby bała się nawet podnieść wzrok. Jeśli rzeczywiście za próbę ucieczki spod kurateli ojca została zamknięta w lochu, jakiż los ją teraz czeka? Chętnie zagadałaby do Cecylii, okazała jej swą przychylność, nie miała jednak pewności, jak to zostanie odebrane. Podobnie Stanisław, pochylony nad talerzem, poświęcał mu całą uwagę. Zofia patrzyła na tych dwoje ze współczuciem. Zachowywali się niczym skarcone dzieci. Kasztelan wybaczył im wobec wszystkich, czy jednak zmieni swoje zachowanie? Czy pozwoli na samodzielność? Mimo woli przypominał jej się Jan. Gdzie on teraz przebywa? W jakich odległych krainach? Czy jeszcze żyje? Chciałaby zapytać Cecylię o brata, ale coś ją powstrzymywało. Zresztą pojawienie się dzieci kasztelana do reszty zmroziło i tak już napiętą atmosferę przyjęcia. Wszyscy uśmiechali się pod przymusem, a gdyby tylko było można, z pewnością by wyszli.

Jedynie Strasz triumfował. Uśmiechnięty przechodził od gościa do gościa, zagadywał panów, paniom prawil komplementy. Wyglądał jak ktoś, komu właśnie wbrew nadziei udało się wygrać partyjkę wista albo

kogoś wystrychnąć na dudka. Lecz kogo? I cóż go tak cieszyło? Nagle ich spojrzenia się skrzyżowały i Zofia w mgnieniu oka zrozumiała powód, dla którego się tu znalazła! Sekretarz kasztelana wiedział, że nikt z obecnych nie zdobędzie się na zapytanie o Cecylię i Stanisława. Gdyby nie ona, nie byłoby powodu, aby urządzić tę maskaradę z przeprosinami i wybaczeniem. Goście udawaliby, że nic się nie stało, nikt by się nawet nie zająknął w sprawie uwięzionych. Potrzebny był ktoś, kto pokona obawę i nie licząc się z konsekwencjami, zapyta o tych dwoje. Zrobiło jej się gorąco.

„Wykorzystali mnie do swoich celów! Sądziłam, że się zemszczę, skonfunduję kasztelana i Strasza wobec tego moskiewskiego pułkownika, a tymczasem zrobiłam to, co sobie z góry umyślili! Teraz zaś pewnie oczekują, że będę rozpowiadać po sąsiadach, jaki to Jandźwiłł łaskawy, bo własnych dzieci już w lochu nie trzyma! Ciekawe, czy Rabiński i Kettler również uwolnieni?” – myślała, rozglądając się po komnacie, ale zapytać nie miała kogo.

Chyba poza Straszem... Skinęła ku niemu, a on podszedł w lansadach, roztaczając uśmiechy i ukłony.

– Panie sekretarzu – rzekła dość głośno, aby najbliżsi sąsiedzi usłyszeli, nie tak jednakże, by zwrócić na siebie wszystkie oczy. – Powiedzcież mi, proszę, prawda li to, że więzienie kasztelańskie nadal pełne niewinnych?

– A któż takie plotki rozpuszcza?! – oburzył się Strasz, zmrużył oczy i powiódł wzrokiem po zebranych.

– Gadali ludzie przed mszą wielkanocną, nie pomnę już kto, tyle narodu tam było... – z pozorną lekkością rzuciła Zofia.

– Wierutne kłamstwa! Kasztelan wszystkich uwolnił, wszystkich! Inaczej czym miałyby się szczycić?

– To aż nie do uwierzenia. Zbójcę Rabińskiego także?

– Nawet zbójcę.

– Więc hasa wolno, nieosądzony? I znów będzie zasadzki czynił na niewinnych podróżnych, z pieniędzy ich ograbiając?

– Na to mu kasztelan nie pozwoli. Rabiński już się nie ośmieli w puszczy grasować.

– W Bogu nadzieja. A grandmuszkieter Kettler również

uwolniony?

– Ciekawość, skąd u miecznikowej tak doskonała znajomość wszystkich więźniów kasztelańskich? – z ironicznym uśmiechem odciął się Strasz.

– Wszak do mojej karety kasztelanka wsiadła, o zgodę wcześniej nie prosząc. Byłam więc mimo woli również świadkiem porwania. Zastanawiałam się długo, czy i dla mnie miejsce w lochu turowskim pan Strasz uszykował? – odpowiedziała odważnie, zadowolona, że wreszcie jej się udało go zaskoczyć.

– Czy w takim przypadku byłaby miecznikowa z honorami na zamku przyjmowana? Czy jechałbym dwukrotnie do Złotego Mostu, aby kasztelan miał ją pośród swoich gości? – Strasz starał się wybrnąć z niewygodnej sytuacji. – Tak, grandmuszkieter Kettler również uwolniony i sądzony ani ukarany nie będzie.

– Piękny, wielkopański gest! Jednakowoż patrząc na kasztelana, widzi się tylko jego smutne oblicze. Czyżby nierad był temu wszystkiemu, co się stało?

– A cóż my wiemy o trudach rządzenia powiatem, droga miecznikowo... – Strasz uśmiechnął się szeroko i odszedł do innych gości.

Na tę chwilę tylko czekał pułkownik. Wstał i zbliżył się chwiejnym krokiem. Krzesło obok Zofii nie było jeszcze zajęte, usiadł więc i westchnął głęboko. Zofia odwróciła wzrok, aby uciec od zapachu alkoholu.

– Miecznikowa, spojrzycie na mnie! – powiedział Kondyriew, patrząc na nią spod wpółprzymkniętych powiek.

Zofia spełniła żądanie.

– Wam nie podoba się polityka, co?

– Jestem tylko kobietą – powiedziała i lekko wysunęła rękę, którą on uprzednio chwycił i podniósł do ust. – Niewiele rozumiem z polityki.

– Wy wdowa... A tu wojna. Z Kondyriewem będziecie żyć w zgodzie, Kondyriew dopilnuje spokoju w Złotym Moście.

– Panie pułkowniku, żyję spokojnie, na uboczu, z nikim złości nie mam ani procesu. A opieki waszej przyjąć mi się nie godzi.

Popatrzył na nią tęskliwie, ale już mu powieki całkiem opadały ze

zmęczenia i nadmiaru spożytego trunku.

– Miecznikowa... – wycharczał jeszcze, po czym odchylił się, chcąc wstać, i spadł na podłogę.

Podbiegli adiutanci i wspierani przez służbę z trudem podnieśli awanturującego się dowódcę, który nie zamierzał jeszcze odejść od stołu. Usiadł więc na powrót i zażądał wódki. Wzniósł toast za zdrowie pięknej Polki, wypił, a chwilę później głowa opadła mu na piersi. Zachrapał. Gdy go wreszcie wyniesiono, goście uznali, że i oni mogą się udać na spoczynek.

XXI

Rabiński sądził, że wystarczy do Kobrynia dojechać, a tam już będą na niego czekali, zaciąg do wojska zaproponują, w mundur odzieją, pistolet przypaszą i jeszcze groszem sypną. Zdziwił się wielce, kiedy stanąwszy na rynku kobryńskim, wojsk żadnych nie ujrzał ni rekrutów na swą kolej czekających. Stropiony wszedł do gospody i rzucił basem:

– Hej, ludzie! A gdzie się tu zaciąg do wojska odbywa?!

– A do jakiego byście chcieli? – spytał ktoś z boku.

Głos wydał mu się znajomy, Rabiński spojrzał w tę stronę i aż gębę rozdziawił. Za stołem, w lichym odzieniu, z poobijanym licem, jakby go kto nieźle poczęstował, siedział nad kubkiem piwa nie kto inny jak kat winnicki!

– Wyście to, kacie?! A co też wam się stało?!

Kat uśmiechnął się krzywo i wskazał mu miejsce. Bartek usiadł. Zdumiony wpatrywał się w znajome, ale jednak całkiem odmienione oblicze kata.

– Co tu robicie?

– Szukam szczęścia – wybełkotał pijany kat.

– Czemuście nie w Winnicy?

– Żebym was wieszając nie musiał. Ale widzę, żeście się jakoś spod szubienicy wywinęli?

– Prawda to? – zdziwił się Bartek. – I za to was obili?

– Nieee, to całkiem inna sprawa! – rzekł kat. – Tego tu obraźnika, przyjaciela mego, poznaj.

Towarzysz kata skłonił głowę i podniósł kubek.

– Jakże to wam się udało z kasztelanem? – pytał dalej zaciekawiony kat.

– Wykupiłem się za złoto – powiedział ze smutkiem Rabiński.

– Wszystko poszło, do ostatniego grosza.

– Toście jednak mieli coś w ukryciu! Co na to kasztelan?

– Nic mu się nie dostało! – rzekł Bartek.

– I za to wypijmy! – krzyknął obraźnik, wznosząc swój kubek i zamawiając piwo dla Rabińskiego.

– Więc kto wziął złoto? Strasz? – dopytywał się kat.
– Podstarości tak mnie w pole wyprowadził, żem swoim ludziom rozdał, com odłożył na starość.

– To szlachetnie bardzo! – roześmiał się kat. – Teraz rozumiem, czemuście o wojsko pytali.

– Przyjdzie umrzeć za króla... – westchnął zbójca.

– Do Radziwiłłowskich idźcie. Mówią tu, w Kobryniu, że książę się ze swoimi oddziałami do walki nie śpieszy.

– Straszniem cięty na podstarościego! To chyba i pójdę, bo on się za Stanisławem opowiedział. – Rabiński westchnął znowu i wypił do dna. – Dajcie, Żydzie, coś na przekąskę!

Obrażnik skinął głową, że zapłaci.

– A wy co zamierzacie? – Bartek spytał druha. – Może pójdziecie ze mną?

– Służyć pod Radziwiłłem?! Przenigdy! A bo mi tu źle? Wiecie?

– Kat nachylił się Rabińskiemu do ucha i szepnął: – Odstąpiła mnie wreszcie.

Zbójca nie zrozumiał.

– Kto?

Kat zrobił tylko nieokreślony ruch głową, sądząc, że Rabiński sam się domyśli.

– Rok z okładem minął, a wy ciągle o niej myślicie? Kto by wierzył w takie bajki?

Rozejrzawszy się bacznie, kat jeszcze bliżej przysunął się do ucha Rabińskiego i wreszcie rzekł szeptem:

– Od kiedym ją spalił, wszystko się wywróciło na nice.

– To akurat prawda! – musiał przyznać Rabiński. – Wszystko! Może trza ją było uratować? – zawiesił głos. – Ba! Ale jak?!

– Widać niewinna była, ale kto to wtedy wiedział?

– Teraz tułamy się po świecie jak te psy bezdomne.

– Ano racja! Nalej, Żydzie! – krzyknął kat.

Wypili piwo, a Rabiński pochylił się nad talerzem podanym przez oberżystę.

– Miało się fach, dobrze się żyło... A teraz jam zadarł z podstarościm, bo mi dopiekł do żywego – rzucił smutno między

kęsami. – I mus się będzie do stronników saskich przyłączyć. Ech, dolo...

– Jak mus, to mus! – wybełkotał kat i głowa zwisła mu na bok. Chwilę później już chrapał, a Rabiński, pogrążony w ponurym nastroju, dojadał resztki z talerza.

– Odstąpiła go? – wymamrotał sam do siebie.

Tak się nią przejął, aż mu się przyśniła, jak sadowiąc się na jego kolanach, piwo z kubka wypija, śmieje się przy tym i głowę do tyłu odchylając, muska jego twarz włosami. Tak był na jej wdzięki łasy, że natychmiast poczuł gotowość. Dosiadał jej przez noc całą, a ona była temu rada. Całkiem inaczej niż wtedy, kiedy jeszcze na zamku służyła i czasem do karczmy przy krzyżówkach zaglądała. Zawsze złośliwie śmiała mu się w twarz, powtarzając: „Nie dla psa kiełbasa!”. Zbójca aż się porozpinał od gorącości, którą w nim myśl o Klementynie wywołała, a gdy się zbudził, smutek spadł nań tak wielki, że ni piwem, ni winem, nawet i wódką nie spluczesz, bo wlewając się w serce, do samej głębi je przeżarł, do dna. I nie pamiętał Bartek, co skutkiem, a co przyczyną, dość że się nad swym losem zamyślił. Nie pomnąc już na to, że mógłby nadal gnąć w kasztelańskim lochu, a nie z przyjaciółmi w karczmie wywczasów zażywać, kręcił się niespokojnie i popatrywał na Żyda, aby go o jaką gamratkę spytać. Ale grosza nie miał ani nic poza dobrym słowem. Dobrego słowa nikt tu nie łaknął, a już zwłaszcza dziewczki. Te dopiero są łase na brzęczącą monetę!

Zaczekał więc zbójca, aż się obraźnik i kat zbudzą, aby się im skłonić i za gościnę podziękować przed ruszeniem w dalszą drogę. Nie do Oszmiany, jak wcześniej planował, ale do Brześcia.

XXII

Zofia dość już miała zalotów. Nie w smak jej też były zapewnienia Kondyriewa o jego rzekomej opiece. Och, gdybyż był przy niej podstarości... Chociaż lepiej nie, gdyby doszło do pojedynku, teraz może płakałaby nad jego ciałem? Wspominając wczorajszy wieczór, wstrząsnęła się z obrzydzenia. Dobrze, że Strasz dał jej powóz i pozwolił wracać. Dzięki gościnie u kasztelana jechała do Złotego Mostu spokojniejsza. Cieszyła się, że Kettler i Rabiński zostali uwolnieni. Teraz zapewne dołączą do podstarościęgo i jaki oddział konfederacki zasila? W kupie raźniej i bezpieczniej.

– Za wczesnie się cieszysz, moja Zosiu. – Pani Salomea pokręciła głową. – I cóż stąd, że Rabiński i ten grandmuszkieter uwolnieni, że kasztelanka i jej brat już loch opuścili. To nie nasze zmartwienie ani nasza radość.

– Matko, gdyby ich sądzili, kto wie, do czego by doszło?!

– Skoro, jak mówisz, kat winnicki poszedł w świat, gdzie indziej szczęścia szukać, to właśnie może być prawdziwa przyczyna rzekomej łaskawości kasztelana. Kto miałby wyrok sądu wykonać? A tak kasztelan przy Wielkanocy okazał wyrozumiałość i miłość bliźniego, samemu ośmieszenia unikając.

– Kata w razie potrzeby można z Brześcia sprowadzić.

– Przystaliby na to rajcy brzescy albo i nie, a niespodziewany gest łaski zjednuje Jandźwiłłowi przychylność poddanych. Tego mu zawsze brakowało. Tylko owego smutku kasztelana nie rozumiem, ale może go jakie wieści o konfederacji dobiegły?

– Odkąd pomnę, troski na ogół udawało się kasztelanowi ukrywać.

– Kiedyś spada owa kropla, która przepełnia czarę. Może ten czas właśnie nadszedł? Obawiam się, drogie dziecko, że zmartwienia kasztelana fraszkami się wydadzą przy naszych własnych. Źle sypiam. Dzisiejszej nocy goniona przez wilki przez las uciekałam.

– Martwiłaś się o mnie, ale już wróciłam, matko. Cała i zdrowa. Porzućcie troski!

Pani Salomea pokiwała głową, ale frasunek z jej twarzy nie

zniknął.

W kancelarii Tadeusza Jandźwiłła trwała gorączkowa narada.

– Panie pułkowniku, donoszą mi, że strażnik polny litewski Paszkowski pod Wilnem pobił waszego generała Izmaiłowa. W takich okolicznościach nie śmiem zatrzymywać dłużej waszej ekscelencji. Da Bóg, z pomocą mojego wojska jakoś zamek obronię.

– Trzeba zdusić tę konfederację, póki tłą się tylko małe zarzewia buntu! – sekundował kasztelanowi sekretarz. – Co będzie, gdy ruszy więcej szlachty i chłopci? Cóż się stanie, kiedy zaczną na nas wymuszać kontrybucję i chcąc nie chcąc, będziem w grosz zasilać wrogi obóz?

– Nu, tak nie płąćcie. Kontrybucja nielegalna będzie. Zresztą na mnie i tak już pora. Rozkaz przyszedł w pole ruszyć.

Jandźwiłł i Strasz wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– A dokąd to, jeśli wolno spytać?

– Mnie nie lza mówić. To tajemnica.

Jandźwiłł odetchnął z ulgą. Nareszcie będzie panem w swoim własnym domu! Stacjonujące w Turowie wojsko dawało zamkowi ochronę, ale jakież to było kosztowne! Każdego dnia kasztelan kładł się spać z bólem głowy. Zaczął nawet żałować przedwczesnego wypuszczenia więźniów. Prawda, Rabińskiego i tak już nie było! Szkoda, szkoda! Może udałoby się jakoś dogadać z tym zbójcą?

Po śniadaniu pułkownik Kondyriew wraz ze swym oddziałem opuścił Turów. Skręcając w lewo, udawał się na wschód, czyli ku Mińskowi, potem może ku Oszmianie lub Wilnu? Kasztelan odszedł od okna i zastanawiał się, co powinien teraz przedsięwziąć. Czy załoga zamkowa wystarczy wobec możliwego oblężenia? Czy nie trzeba uzupełnić zapasów żywności i amunicji? W tej chwili wszedł do kancelarii Strasz.

– Panie mój, mam wieści: Rabiński odstąpił podstarościego i ruszył pod Oszmianę. Hadziewicz dzień po nim wyjechał w tym samym kierunku, a grandmuszkieter wraca do Warszawy.

– Widzisz, to się dobrze składa! Gniazda Orłowego nikt bronić nie będzie. Pozbędę się Stanisława, nakazawszy mu dwór przejąć. A da Bóg,

to i podstarości może gdzieś swoje przeznaczenie spotka?

– Nie będziemy chyba w tak ważnej sprawie zdawać się na przeznaczenie? – obłudnie zasugerował Strasz.

– Co ty mi chcesz powiedzieć, hultaju? – Kasztelan, domyślając się prawdy, po raz pierwszy od dawna uśmiechnął się naprawdę szeroko.

Droga ku Koreliczom, dokąd udawał się wiedziony rozkazem pułkownik Kondyriew, prowadziła najpierw na wschód, a od krzyżówek skręcała ku północy. Należało przejść przez Winnicę i poszukać gdzieś za miastem popasu. Kondyriew jednak nakazał wojsku iść prosto na Złoty Most, który się ukazał późnym popołudniem. Dwór rzeczywiście jakby się złocił w pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca. Otoczony wysokimi drzewami sprawiał wrażenie niewielkiego. Zmęczeni marszem żołnierze rozłożyli się na przylegających łąkach, pułkownik zaś ze swymi oficerami udał się wprost do dworu.

Miecznikowa, zawiadomiona wcześniej, jak mogła zwlekała z otwarciem wrót. Wreszcie nie dało się już przeciągać, albowiem zza bramy zaczęły dobiegać pogróżki i strzały. Niepewna, co ją czeka, wyszła do gości. Zobaczyła Kondyriewa i oficerów, których wczoraj jeszcze przyjmował kasztelan.

– Miecznikowa da schronienie sprzymierzeńcom?

– Panie pułkowniku, dom u mnie mały, nie to, co siedziba kasztelańska. Wygód w nim nie uświadczycie.

– Nam nie o wygody idzie. My i w polu stawać zwyczajni. A myślał ja, że miecznikowa ucieszy się i gościny sojusznikowi królewskiemu udzieli.

Zofia zadrżała, bo Kondyriew powiedział to tonem groźby. Nie miała wyjścia: nakazała szeroko rozewrzeć bramę, przygotować nocleg dla pułkownika i jego sześciu oficerów oraz zrobić miejsce dla koni. Należało też szybko postawić na stół wieczerzę, o co zadbała skrzętna ochmistrzyni.

Targana wątpliwościami i lękiem, Zofia starała się dotrzymywać gościom towarzystwa.

– Sami tak tu mieszkacie? – między jednym a drugim kąsem zagadnął pułkownik.

- Z matką i dziećmi.
- Piękna z was kobieta, czemu za mąż nie wyszliście?
- Swatów nikt nie przysłał.
- Boją się pewnie. Ja bym się nie bał! – rzekł i spojrzał na nią, mrużąc oczy.
- U was żona przecie! – zaśmiał się jeden z oficerów.
- Milcz, durniu! – krzyknął rozdrażniony Kondyriew. – Idźcie precz! – warknął, jakby się do sług zwracał, a oficerowie podnieśli się i wyszli ze świetlicy.

Zofia i Kondyriew zostali sami.

„Jeszcze wczoraj rano siedział tu Kacper, co za niefortunny obrót zdarzeń, że dziś na jego miejscu, niczym u siebie, kręci się ten znienawidzony żołdak!” – zasepiła się Zofia.

- Miecznikowa posmutniała...
- Bom zmęczona.
- Znam ja sposób, by białogłowskie zmęczenie odegnąć!
- Zarechotał, spoglądając w jej dekolt.
- Panie pułkowniku, uszanuj honor tego domu i nie proponuj rzeczy, które mogłyby okryć mnie hańbą.

On jakby nie słyszał. Wstał, obszedł stół, zbliżył się ku niej i jednym zdecydowanym szarpnięciem rozerwał suknię na piersi. Miecznikowa krzyknęła. Chciała się czymś zasłonić, zrobiła krok do tyłu i poczuła za sobą stół. Kondyriew napierał, jego wąsy dotykały już jej policzków. Złapał ją za rękę i przyciągnął ku sobie. W tej samej chwili Zofia namacała kryształową karafkę z winem. Niewiele myśląc, chwyciła za szyjkę i uderzyła na odlew. Kondyriew stanął, zdumiony. Oczy zaszyły mu mgłą, nogi zmiękły, a przez twarz popłynęła purpurowa strużka krwi. Wreszcie osunął się na podłogę.

Zofia osłupiała, nie wiedząc, co czynić. Przypatrywała mu się przez chwilę. Nagle weszła służąca. Stanęła jak wryta na widok krwi.

– Prędko! Pomóż mi. Musimy go posadzić! – szepnęła miecznikowa.

Z największym trudem podniosły bezwładne ciało nieprzytomnego pułkownika i posadziły go na krześle, a głowę ułożyły na stole.

– Teraz daj mi swój kubrak i idź do mojej matki. Powiedz jej, co

się stało. Niech się zamknie wraz z dziećmi i nie wychodzi, póki do niej nie przyjdę.

Przerażona służąca skinęła głową i wyszła. Zofia wytarła ślady krwi na podłodze, przewróciła karafkę z winem, wylewając zawartość na stół, włożyła kubrak i zapięła go, zasłaniając rozdarcie sukni, a zakrwawioną chusteczkę ukryła w rękawie. Wreszcie zawołała służbę.

– Wezwijcie ludzi pana pułkownika!

Kilka minut później, które wydawały się wiecznością, do świetlicy wbiegł jeden z oficerów. Na stole czerwone wino z karafki mieszało się z krwią Kondyriewa. Zobaczywszy, co się dzieje, oficer zaalarmował pozostałych. Wpadli rozespani, dopinając pośpiesznie mundury.

– Co tu się stało?! – zapytał najstarszy rangą.

– Nie wiem, spałam, jak i wy. Służąca mnie zawiadomiła. Chciała sprzątnąć, weszła i zobaczyła to, co i wy widzicie – skłamała Zofia.

– Wołajcie medyka, prędzej! – oficer krzyknął do ordynansa. Podszedł do pułkownika i ujął jego rękę. – Żyje jeszcze. Skąd tu tyle krwi? Skąd rana na czubku głowy?!

Przybiegł pułkowy lekarz. Opatrzył głowę Kondyriewa, którego natychmiast odniesiono do łóżka. Zofia i oficer zostali w świetlicy sami.

XXIII

Będę musiał oskarżyć was o zamach na życie pułkownika Jego Cesarskiej Mości.

– Nie ma pan żadnych dowodów.

– Pani była ostatnia, która widziała pułkownika zdrowego.

– Tego pan nie wie.

– Jeśli pułkownik umrze tej nocy, będę musiał znaleźć winnych.

– Jak pan tego dokona? – przez zaciśnięte gardło powiedziała

Zofia. – Może to zrobił któryś z pańskich ludzi? A pan oskarży mnie, bo jestem słabą niewiastą, za którą nie ma się kto ująć? Czy tlą się w panu jeszcze resztki honoru?! Pułkownik żyje i jestem pewna, że dożyje jutra, a pan już szuka sprawcy jego śmierci? Pójdę się za niego pomodlić i za pana również! Dobranoc! – powiedziała i wyszła.

Przez całą noc klęczała pod obrazem Matki Boskiej, szepcząc różaniec za różańcem. Tak długo nie modliła się ani wtedy, gdy przywieziono z zamku trupa jej ojca, ani wtedy, gdy w alkierzu leżał ranny podstarość. Teraz modliła się o życie wroga ojczyzny, ale też o własne i życie swych najbliższych. Wiedziała, że zawiniła, sama spowodowała tę okropną sytuację. Zrobiła to w samoobronie, nikt się jednak nie będzie zastanawiał nad poszukiwaniem przyczyn, jeśli Kondyriew umrze. Jaki los ją czeka? A jeśli przeżyje i wskaże ją jako winną? Co stanie się z matką i dziećmi? Wsparła głowę na klęczniku i bezsilnie załkała.

O świcie zaczął się rumor. Zofia wstała i na zdrętwiałych nogach wyszła do sieni. Okryty pierzyną, nadal nieprzytomny pułkownik leżał już na wozie. Oficerowie, gotowi do drogi, dosiadali koni. Wojsko, rozłożone po polach, zbierało się do wymarszu. Nikt nic nie mówił, nie awanturował się, nie szukał winnego. W serce Zofii wstąpiła nadzieja. Chwała Bogu, jej modlitwy zostały wysłuchane.

Wóz z Kondyriewem ruszył, minął bramę i skierował się ku Winnicy. Poprzedzał go niewielki oddział, reszta wojska powoli szła za nim, najpierw konni, potem piechota. Ostatni z podwórka wyjechał

oficer, który rozmawiał z Zofią.

– Wiem, że to pani zrobiła. Pani albo któraś z jej dziewczek. Nie mam dowodu, ale pani też nie będzie miała – powiedział i nie wyjaśniając, o co mu chodzi, spiąwszy konia, ruszył za oddziałem.

Początkowo Zofia nie zastanawiała się nad jego słowami. Kazała zawrzeć bramę i co tchu w piersi pobiegła do matki. Pani Salomea, blada z przerażenia, siedząc na łóżku, tuliła wnuki.

– Już dobrze, nasi goście odjechali. Umyjcie się i ubierzcie, a potem zjemy śniadanie – powiedziała Zofia, siląc się na uśmiech.

Raz jeszcze wspięła się na bramę, aby zobaczyć, czy moskiewskie wojsko rzeczywiście odeszło. Snuł się za nim na drodze tuman kurzu, ale zdało się jej, że wraz z dziećmi jest już bezpieczna. Cóż mogły znaczyć przejmujące grozą słowa: „Nie mam dowodu, ale pani też nie będzie miała”? Przeszła się po obejściu. Nikogo nie brakowało, w kuchni podobnie. Wróciła do dzieci, ale drżała w środku, jakiś lęk odbierał jej apetyt.

Nic się jednak nie działo. Moskiewscy musieli już pewnie dojść do krzyżówek i Zofia zabrała się do wydawania poleceń dotyczących prac w domu, ogrodzie i na polu. Dzieci biegały za nią, radośnie i głośno pokrzykując. Nie miała dziś najmniejszej ochoty ich strofować. Po obiedzie wyjechała wraz z ekonomem, aby zadysponować prace. Dzień był piękny, słońce grzało, po niebie sunęły delikatne chmurki.

– Zapowiada się dobry urodzaj – powiedział ekonom. – Jeśli nie będzie gradobicia albo nawałnic, zbierzemy dużo zboża.

– To dobrze, bo potrzebujemy pieniędzy na remonty – odparła.

Pełną piersią wdychała rześkie powietrze i cieszyła się z dobrych prognoz. Były jej teraz bardzo potrzebne. Bryczka zawróciła w stronę Złotego Mostu, słońce stało już ponad młodniakiem i Zofia cieszyła się, że czas na podwieczorek. Widząc z daleka bryczkę, dzieci wybiegły matce naprzeciw. Zjedli ciasto i wypili herbatę, a potem długo dokazywali. Starając się zapomnieć przykre wypadki poprzedniego dnia, miecznikowa szukała ukojenia w codziennych domowych sprawach.

Zmęczona całodzienną krzątaniną, poszła wcześniej spać. W środku nocy obudziły ją krzyki i jakieś dziwne dźwięki.

– A cóż to takiego? – strwożona zapytała sama siebie.

Wyjrzała przez okno. Na dworze było dziwnie jasno.

– Pali się! Pali! – ktoś krzyczał.

Narzuciwszy salopę, natychmiast pobiegła do alkierza, w którym spały dzieci i pani Salomea.

– Budźcie się! Wstawajcie! Szybko! Szybko! Pali się! Pali!

Dzieci poderwały się z łóżek i nie wiedząc, co robić, kręciły się w kółko.

– Matko, zabierzcie dzieci! Uciekajcie na drogę! Prędko, póki jeszcze można!

– A ty?! – spytała, ociągając się, cześnikowa.

– Uciekajcie, bo wszyscy spłonimy! – krzyknęła Zofia, wciskając dzieciom ich leżące na ławie stroje.

Włożywszy buty, pobiegli, a miecznikowa co tchu wpadła do komory, gdzie w niewielkiej skrzyni trzymała wszystkie dokumenty i kosztowności. Zdołała ją jeszcze wyciągnąć i zostawić matce pod opieką. Kątem oka zauważyła, że ekonom pobudził parobków i wyganiają zwierzęta na łąkę. Wpadła z powrotem do domu. Ogarnięta paniką próbowała sobie przypomnieć, gdzie śpi służba, biegała, nawoływała, aby uciekali, jednak wciąż ktoś wbiegał do dworu, starając się ratować dobytek. A to naczynia, a to pierzyny, a to przetwory z apteczki. Ona sama zdążyła jeszcze tylko wrócić do swej alkowy i zerwać ze ściany obrazek z Matką Boską. Wyniosła go na drogę, gdzie w powozie, pod opieką jednego ze stajennych, cali i zdrowi siedzieli zdjęci trwogą jej matka i dzieci.

Zabudowania dworskie płonęły. Z drogi widać było, że wysokie języki ognia ogarnęły już cały dach. Wokół dworu kręcili się zrozpaczeni ludzie, chcąc gasić pożar. Zbiegło się też wielu ze wsi, jednak nie mogli wykorzystać studni, bo już płonęła, a do innej było zbyt daleko. Co prawda kmiecie przynosili cebrzykami wodę z pobliskiego strumyka, ale to nie wystarczało. Straszny żar uderzał od płonących zabudowań. W niedługim czasie zawaliła się brama wiodąca do obejścia. Niepodobna było nawet wejść na podwórze.

Zofia ze zgrozą patrzyła na ruinę swego majątku. Z oddali dobiegały ludzkie krzyki i skowyt wystraszonych zwierząt.

– To podpalenie – powiedziała głucho.

– Któż byłby tak okrutny? – nie dowierzała pani Salomea.
– Ludzie Kondyriewa. Teraz widzę, ile moja cześć warta.
– Twoja cześć...?
– Słyszeliście – niechętnie odpowiedziała Zofia, a pani Salomea skrzywiła się, zrozumiawszy. – Co teraz z nami będzie?! Nie mamy nic! Nic!

– Może kątem u kogo na wsi osiądziem?
– Dwór i zabudowania trzeba jak najszybciej odbudować, ale to potrwa. Nie możecie tak długo mieszkać kątem u włościan, matko. Nikt nie ma ani domu dość dużego, ani wygod, jakich wam potrzeba. Może u którego z sąsiadów?
– U pana Żaby?
– Jest jeden dwór pusty, gdzie nas przyjmą z otwartymi ramionami.
– Gród Orłowy?
– Podstarości by mi nie wybaczył, wiedząc, że u kogo innego schronienia szukałam. Pchnę pacholka, że dziś w nocy zjedziemy. Zostaniemy, póki jeszcze jest co ratować, a gdy ogień dogaśnie, ruszymy. Pójdę teraz do ludzi, zobaczyć, czy kto nie zginął.

Uściskała przerażone dzieci, dokładniej okrywając je kapą, którą narzuciła na nie pani Żelska.

– Wszyscy cali i zdrowi? – zapytała ekonoma, który z pomocą parobków ratował dwór i obejście.

– Paru ma osmalone włosy, Wicek poparzoną rękę, nikt nie zginął – odpowiedział.

– Bogu niech będą dzięki! Wicka odeślijcie do wsi, niech go tam jak najszybciej opatrzą. Resztę wezwijcie, chcę do nich przemówić.

Gdy zgromadzili się wokół, spojrzała po zmęczonych twarzach i rzekła:

– Stała się rzecz straszna, ale najważniejsze, że nikt poważnie nie ucierpiał. Dziękuję wam wszystkim za pomoc. Nikomu nie zostanie to zapomniane. Zdecydowałam, że do czasu wybudowania nowego dworu wraz z matką i dziećmi osiądę w Grodzie Orłowym u pana podstarościego Hadziewicza. Kto z was chce tam ze mną podążyć, z serca zapraszam. Kto woli zostać we wsi, może to uczynić. Będziemy nadal uprawiać pola, ktoś też musi zaopiekować się zwierzętami, które

udało się uratować. Jeśli kto może zostać u rodziny, niech tak zrobi, reszta jeszcze dziś wyruszy ze mną w drogę.

Po wydaniu najważniejszych poleceń dała znak do odjazdu. W jeden powóz i trzy fury ruszyli. Czekala ich długa droga przez las.

XXIV

Gdy wieczorem zapukali do bram dworu Hadziewiczów, okazało się, że służba podstarościego czeka w gotowości. Rozłokowawszy wszystkich, głęboką nocą Zofia udała się na spoczynek.

Rano nie zdążyła jeszcze zjeść śniadania, kiedy do świetlicy wpadł zdyszany bramny.

– Pani, jacyś konni, wzywają, aby im otworzyć, mówią, że od kasztelana z poleceniem.

Zofia poderwała się na równe nogi.

– Jak to: od kasztelana? Skąd wie, że tu jestem?! – próbowała zrozumieć.

Narzuciła na siebie kontusik i wyszła, aby się przekonać, że istotnie przed bramą stoi kilkunastu konnych.

– Czego chcecie, panowie?! – zawołała z góry.

– Otwierajcie, to rozkaz! – krzyknął któryś, a Zofia ze zdumieniem zobaczyła pośród nich Stanisława Jandźwiłła.

– O co chodzi? Podstarościego nie ma. Chcecie z nim rozmawiać?

– Mamy zająć dwór na czas jego nieobecności.

– Teraz dwór w moim posiadaniu. Jeśli pismo jakie macie, wciśnijcie przez szparę, zapoznam się z nim. Konnych nie wpuszczę, boście już tu raz bez zgody podstarościego urzędowali. Kasztelanica chętnie przyjmę. Jeśli taka wasza wola, zapraszam, panie Stanisławie.

Stanisław Jandźwiłł zawahał się przez moment. Popatrzył na zacięte miny swych ludzi, jednak zsiadł z konia.

– Oddalcie się pod tamto drzewo! – Wskazał nieodległy rozłożysty dąb, a sam stanął przed bramą.

Gdy oddział towarzyszący kasztelanicy znalazł się w bezpiecznej odległości, Zofia nakazała otworzyć wrota.

– Witam waszmości i zapraszam! – Uśmiechnęła się, widząc jego zmieszanie. – Zapewne oczekujecie wyjaśnień – powiedziała, kiedy zasiadł do stołu. – Otóż mój dwór spłonął wczorajszej nocy.

– Ach tak? – wyjąkał Stanisław. – Cóż przyczyną?

– Nie dowiemy się pewnie prędko, o ile kiedykolwiek, czy to

ludzka złość, czy tylko przypadek, grunt, że przed wyjazdem podstarości dwór swój na mnie przepisał i na to mam stosowny dokument. Ten szczęśliwie nie padł pastwą płomieni i mogę go wam okazać, jeśli słowu memu nie wierzycie.

– Nie ma potrzeby – wyszeptał, unikając jej wzroku.

– Przykro mi, że na drodze waszych planów stanęłam, ale, wybaczcie, że powiem wprost, wielka niegodziwość by się stała, gdyby mnie tu dziś zabrakło, a wam udało się wykonać rozkaz kasztelana.

W milczeniu unikał jej wzroku, a ona mówiła dalej:

– Ja wiem, jesteście synem swego ojca i winniście mu posłuszeństwo, czy jednak godzi się własne dzieci w lochu zamykać i tym samym owo posłuszeństwo siłą wymuszać? Czy ojciec nie powinien świecić przykładem, za którym dzieci chciałyby postępować bez żadnego przymusu? Powiecie może: rządy wymagają twardej ręki, starosta powinien utrzymać w ryzach powierzonych sobie ludzi. Popatrzcie jednak, co się u nas stało, jak wielu odstąpiło kasztelana, nie mogąc znieść sposobu, w jaki sprawuje on swój urząd. Już tylko słabi i niepewni siebie przy nim pozostali!

Kasztelanic słuchał, wreszcie głowę opuścił.

– A wy? – zapytał cicho.

– Cóż ja? Czym ja mąż orężny z własnym oddziałem, który może komukolwiek wypowiedzieć posłuszeństwo? Zresztą zważcie, co się dzieje z takimi, którzy przy własnym się zdaniu upierają. Dwór mój zniszczony do cna. Dachy nad głową bym nie miała, gdyby nie uczucie, jakim mnie obdarzył podstarości. Jego sprawa z waszym ojcem wciąż niezamknięta. Służył, jak mu nakazano, aby zmazać swe dawne winy, nawet do wieży dał się zamknąć, czego niemal życiem nie przypłacił.

– Sugerujecie, że mój ojciec rozkazał...

– Nadal znajdują się tacy, którzy chcą się przysłużyć kasztelanowi, ale pośród nich pan Strasz zda mi się najgorszym. Wasz ojciec nie musi i rozkazu wydawać, starczy, że co w rozmowie napomknie. A ten dwór z jakiej przyczyny zając nakazał?

– Z takiej, żeby pod nieobecność podstarościego go przypilnować.

– A cóż tu się złego działo? Służba zaufana, wierna, oddana Hadziewiczom, poradziłaby sobie i bez was. Chyba że inny był plan.

Stanisław najwyraźniej zrozumiał sugestię, bo poruszył się na krześle niespokojnie.

– Miecznikowo, jesteście niesprawiedliwą!

– To piękne, że acan tak umiłowałaś ojca. Ja też kochałam swego, teraz może jeszcze bardziej niż za życia, bo już mu wszystkie przewiny wybaczyłam. Kasztelan chce was mieć pod bokiem, jednak nie zanadto blisko. Temu wszak służyło zamknięcie was w lochu – ciągnęła niezrażona Zofia. – A dworu raz zdobytego, zda mi się, że już nie byłby podstaroścemu oddał. Pisarz na zamku zdolny, ale źle go kasztelan traktuje. Pobity ostatnio wylewał swe żale w karczmie. Mowa była o ksiąg fałszowaniu.

– Wierutne kłamstwo! – zrywając się z miejsca, krzyknął kasztelanic. – Gdybyście nie była kobietą...

– Toby mnie waszmość wyzwał i życia pozbawił? Nic mi do tego, ale jeśli pan Stanisław chce czyste serce zachować, najwyższa pora wypowiedzieć synowskie posłuszeństwo.

Kasztelanic ściągnął brwi. W jego wzroku mieszały się złość, zdumienie, niedowierzenie, smutek i prośba o pomoc.

– Idźcie śladem brata – rzekła.

– Mam opuścić Turów?! Zrzec się moich praw?! Zerwać więzy rodzinne?! Tylko dlatego, żeście ojca mego kalumniami obrzucili?! Ojciec to wszak zawsze ojciec. Ciężką ma rękę kasztelan, nie przeczę, ale kara była sprawiedliwa.

– Za jaką przewinę?

Stanisław usiadł ciężko na krześle, podparł głowę dłońmi i westchnął.

– Zatem słusznie mówią, że miłujecie swą macochę?

Nie odpowiedział.

– Tym bardziej powinniście się od niej oddalić, bo każdy dzień na zamku to męka i wystawianie się na pokusę być może silniejszą od was samych. Zróbcie to dla spokoju sumienia i dla ojczyzny, która was potrzebuje!

– Mam porzucić służbę kasztelanowi? Wszak on za Augustem się opowiedział!

– Sami wybierzcie, kogo wam poprzeć wypada. Idźcie do księcia

Radziwiła na służbę albo do Lubomirskiego, skoro konfederacji wspierać nie chcecie. A jeśli się zasłużycie, to ojciec krzyw nie będzie i do łask swych was przywróci. Powiedzcie też kasztelanowi, że jam teraz panią w Gnieździe Orłowym i jeśli zechce mnie oblegać, to mu dam odpór, jakiego świat nie widział.

– Jednego dnia tracisz dwór, a drugiego grozisz kasztelanowi? Czyś ty rozum postradała, moja Zosiu? Akurat teraz nie powinnaś z domem Jandźwiłów zadzierać, tylko się udać pod protekcję kasztelana! – gromiła córkę pani Salomea.

Zdenerwowana Zofia chodziła tam i z powrotem po świetlicy, usiłując się uspokoić.

– A co miałam powiedzieć? Że chętnie się do wiejskiej chaty przeprowadzę, żeby jasnie pan tym łatwiej majątek podstarościego zajął? Nie mamy wyjścia, matko. Jeśli kasztelan będzie chciał ze mną wojować, nie pozostanę mu dłużna.

– Wszak nie masz ludzi, skąd ich weźmiesz?

– Choćby i spośród dawnych zbójców Rabińskiego. Nie wszyscy przecie za podstarościm poszli.

– Bój się Boga, dziecko, co ty wyczyniasz?!

– Z nikim nie zadrę, ale też nie pozwolę nikomu zrobić nam krzywdy.

– Już zadarłaś! Kasztelan nie puści płazem takiej zniewagi.

– Na ten czas kasztelan w takim samym niebezpieczeństwie od konfederacji, w jakim my się od niego znajdujemy. Nie ruszy nas, uwierzcie. Ale ludzi trzeba więcej nająć do obrony dworu i broń jaką kupić. Choćbym miała w jednej koszuli zostać, już nikt mi domu nie spali!

XXV

Trzeba mi było ciebie do Grodu Orłowego wysłać, nie Stanisława!
– pieklił się Tadeusz Jandźwiłł. – Zachodzę w głowę, czy to w ogóle mój syn?!

– Bez wątpienia, ale wszak kasztelan nie mógł się spodziewać, że zastanie tam miecznikową! – sekretarz nieszczerze łagodził wzburzenie swego pana.

– Znowu ta miecznikowa! Kiedy już się zdało, że nam sprzyja, a przynajmniej że nie judzi przeciwko nam, bo przysięgę złożyła, staje na naszej drodze i ani ją rusz, bo się powiat cały podniesie! To teraz ona będzie rządzić w Grodzie Orłowym? Szkoda, szkoda, piękny to majątek, radbym go widział w kluczu turowskim!

– Póki podstarości cały i zdrów, tknąć jej palcem nie możemy. Jednakże po jego skonaniu będzie sobie kasztelan mógł pofolgować.

– Ale kiedyż to nastąpi?! Kiedy?! Tyle już prób było, a wszystkie na nic!

– Cierpliwości, to chytra sztuka. Długo kasztelanowi służył i wie, że musi mieć się na baczności, skoro front zmienił. Jego śmierć z dala od Turowa nie nasunie nikomu najmniejszych podejrzeń i on sam będzie mniej ostrożny. A kiedy smutną wiadomość otrzymamy, to się zajmiemy miecznikową. Odnajdą się dawne dokumenty, które czarno na białym wykażą, kto prawowitym właścicielem Grodu Orłowego. Nikt się im sprzeciwić nie ośmieli, a nawet jeśli, to sąd poprze nasze zdanie i rada nierada miecznikowa będzie musiała do Złotego Mostu powrócić.

– O ile zdoła go wcześniej odbudować. Co też tam się mogło wydarzyć? Przypadkowy ów pożar czy z ludzkiej złości wynikły?
– zastanawiał się kasztelan.

– Ponoć Kondyriew spędził tam ostatnią noc.

– To niczego nie dowodzi.

– Ale znając miecznikową, możemy domniemywać, że się jego umizgom oparła.

– I teraz pewnie gorzko żałuje! – Tadeusz Jandźwiłł roześmiał się w głos. – Ma nauczkę na przyszłość, głupia gęś! No, ale nam pora, co

o Stanisławie postanović. Skoro w Grodzie Orłowym nie stanie, dokąd by go wysłać i po co?

– Może do księcia Lubomirskiego? Albo do Sanguszki?

W Lewartowie też się pewnie zbroją. Jeśli Stanisław choć kroplę krwi za króla Augusta utoczy, to mu potem na dworze będzie policzone.

– Czy ja wiem... Wolałbym do Radziwiłła, bliżej on, moje interesa z Radziwiłłami ściślejsze.

– Brześć aby nie za blisko, miłościwy panie?

– Że też zawsze musisz mieć rację! – Tadeusz Jandźwiłł mruknął niby to w złości, jednak Strasz zrozumiał, że akceptuje pomysł.

– Zatem przygotuję listy.

Kasztelan zadzwonił i na ten dźwięk do komnaty wszedł służący.

– Wezwij kasztelanica.

Sługa się skłonił, ale wrócił po chwili.

– Medyk prosi o posłuchanie jaśnie pana.

– O cóż mu znowu może chodzić? – obruszył się Jandźwiłł.

– Panie, nieszczęście, nieszczęście! – lamentował Dietrich, nieco teatralnie załamując ręce. Poczekał jednak, aż sługa zamknął za sobą drzwi, wtedy dopiero podjął: – Nie mówiłem nic o radosnej nowinie, bo mi kasztelanowa na ten czas zabroniła, czekając, aż ciąża będzie widoczna...

– Co? Co ty mówisz?! – Kasztelan poderwał się z miejsca.

– Cięża? Moja żona w ciąży?! – krzyknął, ale w jego głosie nie czuło się radości, raczej zdumienie, niechęć lub złość.

– Nie, panie. Już nie... – Posmutniały Dietrich opuścił głowę.

Kasztelan i Strasz milczeli, nie patrząc na siebie.

– Idź do niej! – warknął kasztelan.

Gdy medyk wyszedł, w komnacie zapanowała dłuższa chwila milczenia.

– Bogu niech będą dzięki! – wyszeptał Tadeusz Jandźwiłł, wzrok ku sufitowi kierując.

Nawet Strasz, który niejedno tu widział i drugie tyle słyszał, nie spodziewał się takich słów. Schylony nad pulpitem udawał, że pilnie pisze. Kasztelan chodził w tę i z powrotem po sali, wreszcie niemal radosnym tonem przemówił:

– Poroniła! Opatrzność ma mnie jednak w swojej opiece!

Strasz zdrętwiał, nie śmiał się odezwać nawet słowem, a kasztelan był coraz bardziej zadowolony.

– Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby to dziecko przyszło na świat? Cały powiat gadałby, że własny syn kasztelanowi rogi przyprawił! Ale sprawiedliwości stało się zadość! Bóg nie pozwolił na tak jawną niewdzięczność i ma panna Flora, na co zasłużyła! Odsunę te gołąbeczki od siebie raz na zawsze! Nie będą sobie robić schadzek pod moim dachem, nie będą drwić z dobrych obyczajów i narażać mnie na pośmiewisko. Zamilkłeś, Strasz? – Odwrócił się do sekretarza.

Ten wyszeptał ledwie dosłyszalnie:

– Panie mój...

– No powiedzże coś! Wszakżeś najlepiej poinformowany o wszystkim, co dzieje się pod tym dachem. Czyje to dziecko, moje czy Stanisława?

– Nic mi nie wiadomo, aby kasztelanic zbliżył się do swej macochy bardziej, niż przystoi.

– A co ty tam wiesz! – fuknął Jandźwiłł.

– Wypadałoby, aby wasza miłość udał się do komnaty kasztelanowej i o jej zdrowie zapytał.

– Ośmieszyć się wobec całego dworu? Skąd pewność, że to moje dziecko?

– Ale żona wasza.

Kasztelan usiadł i podparł głowę na dłoni. Miotły nim sprzeczne uczucia. I choć przeważała wściekłość z powodu nadwerżzonego honoru, raz po raz pojawiała się też coś na kształt obowiązku, o którym Strasz tak usilnie mu przypominał. Po długich wahaniach, wciąż nieprzekonany, wstał i udał się do komnat małżonki.

Pierwsze, co go uderzyło, to cisza, jaka panowała w sypialni. Przemknęło mu nawet przez myśl, że Flora już nie żyje. Błada jak płótno leżała z zamkniętymi oczyma. Przy łóżku stały dwie służące, jedna zwilżała czoło chorej, druga podawała jej łyżeczką coś do picia. W komnacie unosił się mdlący zapach krwi i kasztelan rozejrzał się w poszukiwaniu jego źródła. Dietrich, opuściwszy głowę, siedział w kącie. Wyglądało, jakby spał, ale natychmiast poderwał się na równe

nogi. Wyraz jego twarzy nie napawał optymizmem.

– Krwotok na razie zatamowałem, ale co się dalej stanie...

– Rozłożył bezradnie ręce.

„Gdyby Flora umarła, co by na to powiedział książę? Oczywiście kobiety umierają w połogu, ale trzeba by temu wydarzeniu nadać odpowiednią oprawę” – myślał Tadeusz Jandźwiłł.

– Niech mnisi odprawiają mszę. Jedną po drugiej. Przez cały dzień i w nocy. A wy siedźcie tu murem! – zwrócił się do medyka i wyszedł.

Liczył, że do rana zostanie wdowcem. Zszedł do kancelarii i wyjątkowo bez pomocy Strasza rozpoczął pisanie listu. Tłumaczył w nim księciu Lubomirskiemu przyczynę i okoliczności zgonu swej małżonki, Flory Jandźwiłł z domu Kowal. Dawno już nie czuł takiej satysfakcji. Miał wrażenie, jakby wielki kamień przygniatający mu pierś nagle się roztrzaskał w drobny mak, pozwalając wreszcie swobodnie odetchnąć. Żał mu było Flory, wszak to jeszcze dziecko, ale czyż on czynił jakiegokolwiek starania o jej rękę? Od samego początku została mu narzucona wola księcia, który nawet nie zapytał przyszłego męża o zdanie. Jaki był jego cel? Mieć oko na to, co się dzieje w Turowie? Temu Flora nie potrafiłaby sprostać. Nie pisała zresztą chyba listów do Lewartowa. Zagarnąć jak najwięcej się da z majątku Jandźwiłłów? Tak, to możliwe! Książę sądził pewno, że młoda żona rychło pochowa starego męża, owinie sobie wokół palca jego synów i poprzez intrygi zagarnie dobra, które były w rodzinie Jandźwiłłów od stuleci. A stało się inaczej. To ona leży teraz na marach i Bóg jeden wie, czy doczeka jutra.

Nawet przez chwilę kasztelan nie dopuszczał do siebie myśli, że Flora nosiła jego dziecko. Tak bardzo przepełniały go żal i złość, że zupełnie zapomniał o swoich niegdysiejszych poczynaniach w łóżnicy. Zresztą uzbrojony w niechęć czuł się silniejszy. Podpisał list i zalakował. Zszedł jeszcze na kilka pacierzy do kaplicy, gdzie mimo braku jakiegokolwiek polecenia zgromadził się spory tłumek. Niektórzy siedzieli w ławkach, inni przychodzili na moment i wracali do swych obowiązków.

Kasztelan ukląkł. Nie brał udziału w zbiorowych modłach, po zmówieniu pacierza usiadł z pochyloną głową. Doskonale grał swoją rolę. Póki Strasz nie szepnął mu do ucha, że pora udać się na spoczynek,

pozostał nieruchomy, zamyślony, jakby nieobecny. Nikt z poddanych nie śmiał zakłócić jego modlitwy.

Spośród mieszkańców zamku tylko dwie osoby nie pojawiły się w kaplicy: Cecylia Lange i Stanisław Jandźwiłł. Cecylia nie przejmowała się losem młodej macochy. Nie współczuła jej i nie zamierzała polubić. Ślub ojca przyjęła z niechęcią. Czuła się zagrożona, a śmierć Flory byłaby jej na rękę, choć otwartej wojny z nią nie prowadziła, zajęta własnymi kłopotami. Nie domyślała się prawdziwych relacji między małżonkami, pozostała więc w swojej komnacie, czekając na rozwój wypadków. Stanisław pod pretekstem choroby nie opuszczał izby, aby nikt nie zauważył trudnego do ukrycia poruszenia. Klęcząc przed świętym obrazem, błagał Chrystusa o zmiłowanie dla swej ukochanej, gotów już nigdy w życiu się do niej nie zbliżyć, byle tylko uniknęła śmierci.

XXVI

Dopiero po wizycie Stanisława Jandźwiłła miecznikowa zdała sobie w pełni sprawę z rozpaczliwości swego położenia. Póki rozmawiała z kasztelanem, to jakby stała przed jego ojcem. Trzymała się prosto, mówiła głośno, nie zważała na to, że jest w Grodzie Orłowym gościem i ma tylko tę jedną suknię, którą służąca zdążyła chwycić, uciekając przed płomieniami. Gdy kasztelan opuścił dwór, a pani Salomea odeszła do swych obowiązków, Zofia usiadła, rozejrzała się po ścianach, które były jej całkiem obce, po nieznanym sobie meblach. Wspomniała to, co straciła, i broda zaczęła jej się trząść, a łzy płynąć po policzkach.

Ogień pochłonął domowe sprzęty, meble, pościel, odzież, naczynia, zapasy. Dorobek kilku pokoleń, który miała nadzieję przekazać swym dzieciom, obrócił się w garstkę popiołu. W ciągu paru godzin straciła niemal wszystko. Nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek los ją tak boleśnie doświadczy. I cóż stąd, że może mieszkać u podstarościgo, skoro z tym domem nie łączy jej żadne wspomnienie! Jak uda się zgromadzić pieniądze na odbudowę dworu, na konieczne zakupy, na jedzenie wreszcie? Trzeba by się udać do kogoś po pożyczkę, ale do kogo? Jak oszacować potrzebną kwotę? Te wszystkie pytania, na które nie знаła odpowiedzi, pogłębiały jej rozpacz. Gdyby był tu Kacper, wysłaby za niego jak najszybciej, aby pozbyć się uciążliwych dylematów. Tymczasem nie wiadomo, ile potrwa konfederacja i jak długo przyjdzie się mierzyć z kłopotami bez niczyjego wsparcia.

Otarła szybko łzy, bo ktoś wszedł do świetlicy. To Dorotka wsunęła się cichutko i wzięwszy ją za rękę, patrzyła ufnie w oczy.

– Mamusiu, kiedy wrócimy do domu? – zapytała, rozdzierając jej serce.

– Niedługo, skarbie, niedługo – odparła Zofia, uśmiechając się smutno.

Dzieci straciły niemal całą odzież, wszystkie zabawki i sprzęty. Jak im wynagrodzi tę tułaczkę po cudzych kątach?

Następnego dnia skoro świt ruszyła do Złotego Mostu. Miejsce, na

którym zawsze jej oko spoczywało, gdy zbliżała się do dworu, porażało teraz pustką, boleśnie okaleczone. Gdźieniegdzie stały popalone kawały ścian, kikuty drzew owocowych znaczyły miejsca z taką troską pielęgnowanego ogrodu. Nie było studni, bramy ani pomieszczeń gospodarczych. Po pogorzeliaku kręcili się jednak ludzie, pod okiem ekonoma parobcy uprzatali to, co pozostało z dworu i obejścia.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – rzekła na powitanie, a oni, porwawszy czapki w ręce, kłaniali się jej w pas.

– Na wieki wieków!

– Widzę, że robota idzie wam sprawnie, dziękuję za to z całego serca! – mówiła, starając się hamować łzy.

Siadła potem na zwykłym pieńku i długo rozmawiała z ekonomem, który jej przedstawiał najpilniejsze potrzeby i szacował koszty, a te były większe, niż przypuszczała. Zachodziła pilna potrzeba pożyczenia sporej sumy, dlatego pozostawiając roboty pod jego opieką, udała się do winnickiego Żyda. Szmul zawsze był jej przychylny, ufała, że i tym razem zechce pomóc. Zastała go w kantorze.

– Szanowna pani miecznikowo, jam gotów z wami robić interesy i nawet na nich stracić, bo szanuję was i całą waszą rodzinę, szanowałem też cześnika świętej pamięci, ale wasze potrzeby większe niż wszystko, com zgromadził. Pożyczyć, pożyczę, jednak gdzie indziej jeszcze pomocy szukać musicie.

Pożegnała się podniesiona nieco na duchu i ku wieczorowi wróciła do Grodu Orłowego.

– Był tu pan Żaba – rzekła pani Salomea. – O nieszczęściu się naszym dowiedział i pyta, czy czego nie potrzebujemy.

– Wsparcia i pieniędzy! – westchnęła Zofia.

– Wsparcie wielu da, boś lubiana. Co zaś do pożyczki, to nadziei wielkiej sobie nie rób. Wszyscy czekają zbiorów, a do żniw daleko. Jeden, który mógłby pomóc, to kasztelan.

– Do niego nie pójdę! Dopiero mnie weksłami straszył! Jarmark mi zniszczył! Nie chcę mieć z nim żadnych interesów!

– Bardzo słusznie, ale w takim wypadku odbudowa Złotego Mostu potrwa wiele lat.

– Trudno, Szmul mi trochę pożyczę na początek, zobaczymy, na ile

to wystarczy. Modlić się trzeba o urodzaj!

Wieść o pożarze szybko się rozniosła i znów Zofia doświadczała sąsiedzkiej przyjaźni. Raz po raz do Grodu Orłowego przyjeżdżał któryś z sąsiadów i pytał, czyby w czymś nie mógł być pomocny. Poza nielicznymi wyjątkami niemal za każdym razem odpowiedzią na pytanie o pożyczkę było bezradne rozłożenie rąk.

– Samiśmy zadłużeni, czekamy żniw! – odpowiadali i nie sposób było dociec, czy prawdę mówią, czy też chcą uniknąć kłopotu.

Przywozili za to kury, jaja, cielaki i barany, panie zapasy ze spiżarni, tak że już wkrótce dwór pękał w szwach. Obiecywali też drewno sezonowane, kiedy tylko budowa dworu ruszy.

– Gdyby tak pojechać z tym na targ, trochę grosza by się uściboliło – zaproponowała pani Salomea.

Zofia pokręciła głową.

– Nie wypada.

– Nie ma gdzie trzymać tego całego inwentarza! – narzekała cześnikowa.

– Pogna się do Złotego Mostu, kiedy obory zbudują.

Jedynie kasztelana pożar w Złotym Moście wprowadzał w dobry nastrój.

– Anim się domyślił, że mi ten Kondyriew tak pięknie podziękuje za gościnę, no popatrz, Strasz! Gdybym przypuszczał, tobym go jeszcze huczniej ugościł!

– Podpalenia nikt udowodnić nie może, choć mówią ludzie, że o własnych siłach z dworu miecznikowej pułkownik nie wyszedł.

– Nie on, to jego ludzie, albo ktoś jeszcze inny wykorzystał ten fakt i jakieś sprawy z miecznikową wyrównał. Grunt, że ona już tam nie wróci.

– Podobno zamierza odbudować dwór.

– A za co? Ja jeden z całego powiatu mógłbym pomóc, ale sam powiedz, na cóż miecznikowej dwa dwory? Wystarczy jej ten, któregośmy dostać nie mogli. Niech siedzi w Grodzie Orłowym, a my będziemy się ze smutkiem przyglądać, jak Złoty Most z wolna popada

w ruinę.

– Trudno popaść w ruinę, mając dwa majątki. Kiedyś miecznikowa Złoty Most odbuduje.

– Gdańsk obleżony, komu zboże sprzeda? Tu wielu będzie w podobnym kłopotcie. Patrioci Moskiewskim zboża nie sprzedadzą, a konfederacji darmo dać wypada. Zresztą kto kupi tyle zboża?

– Wy, miłośnicy panie?

– W tym sęk, że kiedy zboża dużo, to cena bardzo spada...

– Jandźwił rzekł niby smutno.

– Wypadałoby miecznikową odwiedzić i zapewnić o naszej gotowości do pomocy.

– I tak w nią nie uwierzy. Chociaż dobrze, pojedziesz do niej i powiesz, że jesteście gotowi odkupić od niej Złoty Most. Za rozsądną cenę oczywiście.

– Panie, wszak ona tego majątku nie sprzedaje!

– Nie chciałbym, aby ktoś mnie ubiegł.

Obarczony niewdzięcznym zadaniem Strasz wił się jak w ukropie. Wreszcie, ponaglany, do Grodu Orłowego wyruszył. Zgodnie z przewidywaniami nie był tam mile powitany gościem.

– Na miecznikową się tyle zważyło, przyjeżdżam z dobrym słowem od kasztelana. Czybyście jakiej pomocy nie potrzebowali?

– Takiej, jakiej potrzebuję, nie spodziewam się otrzymać – sucho odrzekła Zofia.

– Pamiętajcie jednak, że gdybyście zdecydowali się sprzedawać Złoty Most, kasztelan gotów jest dać dobrą cenę!

– Wielce jestem wdzięczna za tę propozycję, panie sekretarzu. Z różną tu pomocą sąsiedzi przybywali, ale nikt mi jeszcze podobnej oferty nie złożył.

– Nic dziwnego, Złoty Most to piękna posiadłość, kogóż byłoby na nią stać?

Zofia odwróciła się nagle, aby nie pokazać łez. Pomyślała, że prędzej oddałaby komu Złoty Most za darmo, niż sprzedała go kasztelanowi.

„I jeśli taka chwila nadejdzie, miej mnie, Panie Boże, w opiece, bom gotowa na okropne się rzeczy ważyć” ...

XXVII

Porankami u stóp kościoła Mariackiego gromadziła się gawieź. Prosty lud, mieszczenie, polska szlachta i gdańscy patrycjusze podchodzili pieszo, przyjeżdżali wierzchem lub w karetach i z jednakim wyczekiwaniem spoglądali ku górze. Każdy jako pierwszy chciał zobaczyć białą chustkę powiewającą z okienka wieży, gdzie od tygodnia ustanowiony przez Radę Miasta Gdańska obserwator miał za pomocą teleskopu wypatrywać zbliżających się ku Westerplatte statków. Niejeden z tłumu od razu ruszyłby pędem w miasto, aby zakomunikować rodzinie i znajomym oczekiwaną od dawna upragnioną nowinę.

– Są! Przypłynęły!

Ale tego dnia znów nie wywieszono chustki. Tu i ówdzie tliły się jeszcze pożary, efekt ostatniego bombardowania od strony Chełmu, gdzie ustawiono rosyjskie armaty. Osowiały Każko, szurając buciorami, włókł się do swego pana bez dobrych wieści. Wyglądała ich również oberżystka, Florentyna Grodeck. Pilnując interesu, nie miała okazji biegać po mieście, zatem kontentowała się tym, co w karczmie gadali jej goście.

– Ile taki statek może płynąć? – zastanawiała się na głos.

– Podobno ruszyły już w połowie kwietnia! Jest siódmy maja, jak długo mamy czekać? Wiecie, że nie o mnie chodzi, jeno o polskiego króla!

– Wzruszyła ramionami. – Mnie pomoc niepotrzebna.

– Czyżby? A jak waćcin dom moskiewskie kule podpala, to sami sobie poradzicie? – syknął Klugge.

– Wszak ambasador Monti zapewnił Radę, że król francuski wynagrodzi miastu i jego obywatelom wszelkie szkody powstałe w wyniku bombardowania.

– Ludwik XV byłby bez rozumu, gdyby dopuścił do zwycięstwa Rosji – wtrącił się kończący jeść zupę kupiec Herder. – Nie po to Monti pieniędzmi szastał, aby August III polski tron objął.

– Ale widzi mi się, jakby Francji nie zależało już na Polsce – dociekała karczmarka. – Bo czemu tak zwleka z wyzwoleniem Gdańska?

– Może swego wojska potrzebuje, skoro z Austrią wojną związana?
– zastanawiał się Klugge.

– Ale jeśli Rosja nas zdusi, uwięzi króla i polskich panów, to tylko patrzeć jej wojsk po stronie Austrii! – prorokował Jan Jandźwiłł.

– A wtedy i tamta wojna zda mi się przegraną.

– Pomnę, że Rada jeszcze w listopadzie zwracała się do króla Francji z prośbą o ochronę i owszem, dostała gładką odpowiedź, że król traktuje nasze sprawy jak swoje własne, tylko nic z tych zapewnień się nie ziściło. – Florentyna smutno pokiwała głową.

– Po mojemu Francuzi lada dzień do Gdańska przyplyną!
– odezwał się znad kufla jakiś gość wyglądający na marynarza.

Wierzyli w to głęboko, a ta wiara koila nieco gorycz, jaka wdarła się w serca oblężonych, gdy doszły do nich słuchy o sromocie dwukrotnie doznanej przez polskie wojska idące na pomoc królowi. Najpierw pod Świeciem rozbite zostały pułki dowodzone przez kasztelana czerskiego Kazimierza Franciszka Rudnickiego. Z kolei wojewoda lubelski, Jan Tarło, mimo znacznej przewagi nad oddziałem rosyjskim, na jaki natknął się pod Tucholą, nie zaatakował go, lecz prowadząc pertraktacje, dał czas przeciwnikowi na uzupełnienie sił i został pobity dwudziestego kwietnia pod Wyszecinem. Odparcie wojsk moskiewskich zależało już teraz wyłącznie od pomocy, której król, Monti, Rada Miasta i wszyscy oblężeni oczekiwali od Francji i jej monarchy. Ten jednak zagrzewał obrońców Gdańska deklaracjami, do walki po stronie teścia się jednak nie rwał. Nie pozostawało nic innego, jak czekać.

Jan błąkał się w wolnych chwilach po mieście i udając sam przed sobą, że chodzi o coś zgoła innego, szukał rudowłosej dziewczyny. Rzekomo chciał opowiedzieć o rezultacie audiencji u króla, wszak był jej to dłużny, nie wiedział bowiem, że karczmarka już dawno pozbawiła ją złudzeń. Jednak nawet gdyby Florentyna opowiedziała mu o dwóch wizytach Suzanne, na temat których zawzięcie milczała, Jan i tak by się nie przyznał, jak bardzo go pociągała młoda Holenderka. Po mieście kręciło się wiele dziewcząt, niektóre z nich nawet go nagabywały, licząc na sowity zarobek lub chwilę przyjemności, do tej pory jednak żadnej nie udało się na dłużej zająć jego myśli. Tych kilka wizyt w domu

uciech, na które zdecydował się wiedziony męską potrzebą, nie pozostawiło w sercu kasztelanica pragnienia powrotu. Przyjemności, jakich tam doznawał, były krótkie. Nie czuł się nimi odurzony. Nie snuł się po głowie, bolesne i słodkie jak piersi Suzanne wyobrażone we śnie.

– Obyśmy tylko cali i zdrowi wytrwali te bombardowania! – głos karczmarki wyrwał go z zamyślenia.

Naraz wszedł do oberży Każko i od drzwi smutno pokręcił głową.

– Panie mój – rzekł zniechęcony, siadając obok. – Gadają na mieście, że francuskie okręty rozbiły się w cieśninach.

– Plotki to, mój chłopcze! – uspokajał go Herder.

– Cieśniny duńskie nie takie trudne do przejścia – patrząc w swój kufel, wymamrotał podchmielony marynarz. – Co innego brak zaopatrzenia, choroba załogi, konieczność naprawy masztów, uzupełnienia wody, w to chętniej uwierzę.

– Plotki rozpuszczają ludzi przez Moskwę opłaceni, żeby ducha naszego stłamsić! – wojowniczo wykrzyknęła wdowa. – A kiedy podupadniemy, zażądać wydania króla. Może jeszcze nas wszystkich w kajdany chcieliby zakuć? Niedoczekanie!

– Dzielną z was niewiasta! – Kupiec Herder z podziwem patrzył na oberżystkę. – Münnich chce wykorzystać nasze lękliwe nastroje i zażądać od Rady ustępstw. Już dawno domaga się otwarcia bramy miejskiej i poddania twierdzy Wisłoujście.

– Zastanawiam się, co jeszcze wstrzymuje Radę przed poddaniem? Za jakie grzechy mamy nadstawiać karku? Nasz to król? Nasze interesa? Nam z jego powodu tylko troski, niewygody, przestój w handlu i pożary. Niejednemu śmierć w oczy zagląda! – warknął młynarz Dänlich.

– No jak wy nic z polityki nie rozumiecie! – zdziwił się marynarz. – Toć porty rosyjskie naszym największym konkurentem w handlu z Europą! Nie na darmo tu karku nadstawiamy, tylko za moją, waszą i innych gdańszczan pomyślność! – ofuknął go jeszcze. – Czym byłby Gdańsk bez portu? – zapytał i potoczył wzrokiem po zebranych, którzy mu potakiwali, kiwając głowami.

– Ci, którzy mogli, dla bezpieczeństwa przenieśli się za Motławę, do Długich Ogrodów, ale wszyscy się tam nie przeniesiem! – bronił się jeszcze Dänlich.

– Od czterech miesięcy siedzicie w nieczynnym młynie, to i mogą się wam różne myśli zalęgnąć – spokojnie tłumaczył go Herder.

– Podobno lada jaki pokoik cenią tam teraz dwa dukaty za tydzień – rozmarzyła się oberżystka.

– Mościa pani nie zechce chyba z nas zdzierać ostatniej koszuli? Tośmy tu już jak w domu! – ze śmiechem bronił się Jandźwiłł.

– Chyba że pomożecie, panie, rozłożyć na strychu koński nawóz, bo ziarno się skończyło, piasku nie ma, a jest nakazane, żeby na trzy stopy podsypać czymkolwiek, co by ogień w razie czego wytłumiło – odparła karczmarka.

– To już będzie tu cuchnąć jak w stajni! – rzekł ze śmiechem Herder. – Waszmość pani nie zmienicie aby nazwy oberży na Pod Końskim Łajnem? Pasowałoby.

– Coście taki gbur? Może u siebie jeszcze ziarno macie? Alboście piaskiem strych podsypali?

– Czym podsypałem, to moja sprawa, ale łajna w domu składał nie będę! Jeszcze się Radzie przebicia ściany do sąsiadów zamarzyło! Mam robić dziurę we własnej ścianie? Niesłychane!

– Bo tak pono bezpieczniej – tłumaczył Jandźwiłł. – Na wypadek zawalenia, żeby pod gruzem nie zginąć.

– Gadaj od razu, mości Herder, że się o cnotę swej połowicy martwicie. Taka dziura w ścianie to do grzechu diabelska zachęta! – zaśmiał się imć Klugge.

– Kto by się na jejmość Herderową połakomił? Toż strach do niej podejść w biały dzień!

– Ale w nocy może mniejszy? – przekomarzali się.

– Strzymacie zaduch, mości kawalerze? – zapytała oberżystka.

– Co mam nie strzymać, wszak koń też stworzenie boże

– bagatelizował Jan.

– A jeślibyście zobaczyli ogień, to pamiętajcie, że tam na górze w beczkach zgodnie z zaleceniem moczą się w soli skóry wołowe, co by nimi w razie potrzeby płonący pocisk zdusić. Widły też są, więc kulę na ulicę można wyrzucić.

– Będę pamiętał! – Jandźwiłł kiwnął głową, choć nie w smak mu były myśli o gaszeniu pożaru. Wolałby raczej w tym czasie bić się

z wrogiem, aby na jeszcze większą królewską wdzięczność zasłużyć albo w jakim cichym kątku lec z dziewczką o rudych włosach.

XXVIII

W rezydencji hrabiego von Dohna, położonej na terenie Długich Ogrodów i tymczasowo zajętej przez króla, panowała napięta atmosfera.

– Jakie wiadomości, ekscelencjo? – Siedzący nad mapami, otoczony wianuszkami panów polskich, wśród których znajdowali się prymas Potocki, wojewoda mazowiecki Poniatowski, wojewoda ruski Czartoryski, podskarbi wielki koronny Ossoliński, nareszcie biskup płocki Załuski i kilku pomniejszych, Stanisław Leszczyński uniósł wzrok i wskazał markizowi Montiemu miejsce.

– Obawiam się, że niedobre, wasza wysokość! Jak wam wiadomo, Rosjanie atakują Szaniec Letni. Wczorajszej nocy po kilkudniowym ostrzale rozpoczęli szturm i zdobyli go w końcu. Straty są znaczne.

– Zatem teraz ruszą na miasto? – poddał z boku Stanisław Poniatowski, zaprawiony w bojach, niedoszły regimentarz wielki koronny.

– Tak i ja mniemam. – Monti pokiwał głową. – Rada Miasta wynegocjowała dwa dni rozejmu, ale po tym czasie...

– Myślicie, że to koniec? – łamiącym się głosem zapytał król. – A gdzie oczekiwane, obiecane wojska? Czy Francja nas już całkiem opuściła?!

– Czekamy ich lada dzień, panie! Myślę, że uzupełniają zapasy w Kopenhadze – krygował się Monti.

– Zanim tu dopłyną, Rosjanie pokonają gdańszczan i nie będzie kogo ratować. – Król wyjął chusteczkę i głośno wydmuchał nos. – Mój zięć o nas zapomniał. Porzucił. Wystawił Rosji na pożarcie! – biadał.

– Ależ, panie... – tłumaczył się markiz. – Płyną, płyną, lada dzień dopłyną...

– W Bogu nadzieja, że zdążą! – Prymas Teodor Potocki wznosił oczy ku niebu, westchnął głęboko i przeżegnał się teatralnie.

W środku nocy zabiły dzwony. Jan zerwał się i nasłuchiwał.

– Co to? – zapytał półprzytomny Każko.

– Chyba ruszyli, ubieraj się! Szybciej! – powiedział kasztelan, i

wciągając pludry.

– Też sobie znaleźli porę! – marudził sługa, ale widząc swego pana niemal gotowego do wyjścia, prędko włożył koszulę, wzuł buty i złapał kapotę.

Pobiegli na stanowisko przy Bramie Oliwskiej. Trwały tam zacięte walki. Rosjanie sforsowali już palisadę i szykowali się do przejścia przez rów. Jan stanął ramieniem w ramię z walczącymi i w zapamiętaniu odpierał atak, strzelając, dźgając bagnetem, rąbiąc wroga szablą. Obok niego z nie mniejszą zaciętością walczył Każko. W ciemności rozbrzmiewały krzyki nacierających i jęk tych, którzy zostali ranni, szczekała broń, strzelały pistolety, wybuchały kule armatnie. W kłębowisku trudno było odróżnić sprzymierzeńca od wroga. Janowi wydawało się, że brodzi w kałuży krwi, a dookoła niego leżą dziesiątki zabitych, sam jednak wciąż walczył, cudem unikając ran.

Atak na Grodzisko, Bramy Oliwską i Oruńską oraz Gęsią Karczmę trwał niemal do świtu. Obrońcy jednak byli gotowi powstrzymać szturm. Kto żyw, śpieszył na pomoc żołnierzom i mimo że wróg rzucił do walki osiem tysięcy wojska, gdańszczanie odparli oblężenie. Widząc zaciekle opór i bezskuteczność atakujących, nad ranem generałowie Münnich i Lacy zdecydowali o wycofaniu swych oddziałów, które doznały znacznych strat. Należało odbudować siły, ściągając wojska saskie oraz własne pomniejszych oddziały, a także wymienić jeńców i pochować poległych.

Kiedy wojsko rosyjskie zaczęło się cofać, Jan mógł wreszcie swobodniej odetchnąć. Rozejrzał się dookoła, chcąc przywołać Każka, ale nigdzie nie mógł go dostrzec. Przebiegł stanowisko w jedną i drugą stronę i mróz ściał mu serce, zrozumiał bowiem, że musi szukać chłopaka wśród rannych. Świt jeszcze nie wstał, toteż kasztelanica pochylał się nad każdym leżącym, niektórych musiał odwracać na plecy. Pobojowisko przedstawiało straszny widok. Na szczęście większość zabitych miała na sobie mundury armii rosyjskiej.

Wreszcie, niedaleko od miejsca, w którym walczyli, zobaczył najpierw szary kabat Każka, a potem jego samego. Leżał w dziwnej pozycji, wykręcony, z twarzą do ziemi. Nie ruszał się. Strach sparaliżował na chwilę ruchy kasztelanica, który przemógł lęk i schyliwszy się,

dotknął ramienia chłopaka. Każko jęknął.

– Każko, słyszysz mnie?

Chłopak drgnął.

– Jaśnie panie, to wy? Żyjecie? Bogu niech będą dzięki! – nie otwierając oczu, wymamrotał cicho.

– Co tobie?

– Mnie? Nic, panie...

Chciał wstać, ale kasztelanic go powstrzymał. Starając się zachować ostrożność, pomógł chłopakowi przekręcić się na bok. Jego twarz, cała we krwi i błocie, przeraziła Jana.

– Leż spokojnie! – rozkazał i rozejrzał się za jakąś pomocą, nigdzie jednak nie było widać nikogo, kto by opatrywał rannych. Przełamując obawę i wstręt, kasztelanic jął wycierać twarz jęczącego z bólu sługi, aż zobaczył cięcie długie na palec.

– Trzymaj chustkę przy policzku! – rozkazał i spróbował pomóc chłopakowi wstać.

Jednak Każko nie mógł stanąć na lewej nodze; jego spodnie przesiąknięte były krwią. Potrzebował jak najszybszej pomocy. Jan mógł liczyć tylko na siebie. Chwycił więc Każka za ręce i wciągnął go sobie na plecy. Szedł tak kilka kroków i przystawał w nadziei, że ktoś zechce mu pomóc. Wreszcie trafił się jakiś wóz, którym za niewielką opłatą podjechali do oberży.

Przejęci bitwą mieszczanie nie spali jeszcze, a Florentyna z niepokojem wyglądała swoich gości. Głodni, zmęczeni, brudni i senni wracali dumni ze zwycięstwa. Jan wraz z woźnicą wnieśli Każka do oberży.

– Chłopak jest ranny. Potrzeba medyka, nie znacie jakiego?

– spytał zdyszany kasztelanic.

– Co mam nie znać?! Zaraz go sprowadzę! – krzyknęła oberżystka, wytarła dłonie w fartuch i wybiegła na ulicę.

Zanim przybył doktor, udało się Każka wnieść na górę. Dzielnie znosił ból, pojękując z cicha.

– Dopiero teraz wiem, coście wtedy przeszli, panie... – wyszeptał.

– Nie mów i nie wysilaj się, zaraz przyjdzie medyk.

Rzeczywiście niedługo potem do pokoju zajmowanego przez Jana

i Każka weszła Florentyna, a za nią starszy człowiek, który od razu zabrał się do opatrywania ran. W tym czasie oberżystka i Jandźwiłł zeszli na dół.

– Dobrzeście się sprawili! – rzekła, podając Janowi posiłek. – Zwycięstwo po naszej stronie! Da Bóg, że nie ostatnie!

– Chłopaka mi usiekli... – Kasztelanic smętnie pokręcił głową.

– No, ale nie na śmierć przecie! Żyw jeszcze. A wyście na szańcu więcej wrogów ubili niż oni naszych. Dobrzeście się spisali, panie kawalerze!

Jan kończył już w pośpiechu spożywaną kolację, poszedł na górę, aby sprawdzić, co z Każkiem. Poowijany szarpami chłopak bredził w gorączce.

– Silny jest – rzekł medyk. – Ale dużo krwi stracił. Rana na udzie głęboka. Za dzień, dwa będzie wiadomo. Teraz mu nie przeszkadzajcie, niech śpi. Sen to najlepsze lekarstwo.

Świtało. Jan wciąż miał w uszach zgiełk bitewny, krzyki i wystrzały. Po ulicy kręcili się ludzie, nawoływali, cieszyli się. Kasztelanic legł na słomianym sienniku zajmowanym dotychczas przez Każka. Jeszcze nigdy nie przejmował się tak bardzo życiem sługi. Co jakiś czas wstawał i kładł mu na głowę zimne okłady oraz zwilżał usta. Wreszcie obaj zasnęli. Kiedy koło południa Jan zszedł, aby coś zjeść, karczmarka powiedziała:

– Była tu ta dziewczka.

– Czego chciała? – zapytał, siląc się na obojętność.

– Pytała, czyście zdrowi.

– A co jej do tego?

– Nie moja to rzecz, ale pewnikiem chętnie by przy chorym jaką wartę zaciągnęła – zażartowała Florentyna, a kasztelanic spiekł raka, jakby go na gorącym uczynku przyłapali.

Tuż po śniadaniu wybrał się do łaźni, a potem poszedł obejrzeć pole bitwy. Trwało właśnie grzebanie poległych. Wzdłuż wałów kręcili się parobkowie miejscy zbierający ciała. Inni wykopywali doły, do których wrzucali po kilka trupów. Gdzieś tam pastor albo ksiądz pochylał się nad rannymi. Zwycięstwo miało smak krwi.

XXIX

Co?! Wylądowali?! Nareszcie! – Na wieść, że oczekiwane od tak dawna oddziały francuskie przybiły do Westerplatte, z ust cierpiącego Kaźka wydarło się westchnienie ulgi. – Rosyjskie okręty ich nie zatrzymały?

– Ponoć przybili bez żadnych problemów.

Cały Gdańsk fetował i liczył już dni do ostatecznego szturmu, który odeprze pokonanych na Grodzisku Rosjan i królowi da wolną drogę do Warszawy.

– Zastanawiam się jednak, dlaczego ich tak mało? Mówią o kilku zaledwie okrętach. Ilu żołnierzy wysłał nam na pomoc król Francji?

– deliberował Jan. – Kozacy Münnicha w odwecie za nasze zwycięstwo palą wsie na Mierzei. Trzeba im jak najszybciej dać odpór.

– Panie mój, co oni teraz zrobią, jak sądzicie? Wszak Szaniec Letni w rosyjskich rękach. Będą go musieli odbić?

– Albo jakoś bokiem przejdą. Najważniejsze, że teraz to już koniec oblężenia bliski.

Ambasador Monti patrzył na list i nie wierzył własnym oczom! Nie dość, że król Francji przysłał zaledwie jedną dziesiątą tego, na co w Gdańsku liczone, to na dodatek dowódcy tej garstki żołnierzy sprzeciwiali się wykonać polecenia! Dobili do Westerplatte i teraz tracili czas, dywagując, co zrobić, a czego nie. I mimo że to król Stanisław był ich dowódcą, nie chcieli wykonać manewru, jaki im zlecono.

– Mój plan uznali za ryzykowny, Wasza Wysokość. Boją się o swoje bezpieczeństwo, lękają się, że Rosjanie zaatakują Westerplatte, kiedy oni, tak jak im zleciliśmy, będą okrążać Gdańsk od strony Mierzei. Na moje rozkazy nie reagują, twierdząc, że nie jestem wojskowym.

– Pokażcie mi to pismo! – zażądał Stanisław Leszczyński, a kiedy Monti podał mu papier, król, spojrzawszy nań, powiedział smutno: – Nie chciałbym być złym prorokiem, ale widzi mi się, że oni nie przyplłynęli, aby walczyć.

– Więc po co?

- Aby nam i Europie zamydlić oczy.
- Co też mówicie, panie?! – zawołał przerażony ambasador.
- Może chcą zaczekać na dalszy konwój, aby większą mocą uderzyć?
 - Zdawało mi się, że to już wszyscy, których pomoc nam Jego Wysokość zaoferował? I nie dość, że jest ich zaledwie dwa i pół tysiąca, co przy siłach rosyjskich wydaje się żartem, to jeszcze i ci nie zamierzają słuchać naszych rozkazów. Cóż to za wojsko, które odmawia wykonywania poleceń?

Monti milczał, unikając wzroku króla. Czy to może być prawda? Jakim cudem ta żalonna garstka wojska ma utwierdzić Polaków i cały świat w przekonaniu, że Francja traktuje ich poważnie? To kpiny i zaprzepaszczenie tego wszystkiego, nad czym on, Monti, od tak dawna pracował. Ileż zabiegów kosztowało zbudowanie partii Stanisławowskiej, ile na to pieniędzy poszło! Iluż niewygód doznał król, jadąc *incognito* przez pół Europy. Ilu doznaje tutaj, żyjąc od pół roku w obleganym Gdańsku!

Nie mogąc tego zrozumieć, ambasador pokręcił głową. Jakiż cel polityczny stał za taką decyzją? Może lepiej byłoby odpowiedzieć wprost, że żadnej pomocy Francja nie zamierza królowi udzielić. Prawda, królowa też pewnie nie ustaje w błaganiach, aby król pomógł jej ojcu.

- Zamilkłeś, Monti.
- Czego spodziewali się, płynąc nam z pomocą? Że przyjmimy ich fanfarami? Napiszę do nich raz jeszcze. Musimy wykorzystać tych, którymi dysponujemy. Powinni umocnić Westerplatte i za wszelką cenę starać się przebić do miasta, zanim będzie za późno. Jeszcze dziś wyśle też raporty do króla i sekretarza stanu!

Korzystając z chwilowego zawieszenia ognia, Suzanne znów odwiedziła gospodę, w której mieszkał Jan. Coraz trudniej jej było znajdować preteksty, bo wszak wiedziała, że Janowi podczas oblężenia nic się nie stało, ale coś ją ciągnęło ku temu szlachcicowi. I nawet teraz, kiedy zdawała sobie sprawę, że w niczym już nie będzie mógł pomóc kupcom holenderskim, szukała pretekstu, który usprawiedliwiłby jej przybycie na jego stancję. Dziś kupiła potajemnie kilka łożki płótna

i uspokajając łomoczące serce, pobiegła do kwatery Jana.

Nastrój w mieście panował radosny. Gdańszczanie liczyli, że pojawienie się okrętów francuskich zwiastuje koniec oblężenia. Podobnie sądzili jej rodacy, których statki zatrzymano w porcie. Suzanne jednak wcale się z tego powodu nie cieszyła. Może kilka tygodni temu przyjęłaby taką nowinę z radością. Wszak tęskniła za matką, za rodzeństwem, za swoim krajem. Już dawno chciała wracać. Ale nie teraz. Od kiedy zobaczyła Jana, nie mogła przestać o nim myśleć, dlatego wciąż szukała powodu, aby pójść do oberży i choćby o niego zapytać.

Karczmarka jej nie lubiła, to jasne. Na widok Suzanne nadymała się, jakby była matką Jana, a on miał już narzeczoną. Może zresztą coś o nim wiedziała, gościła go już tak długo... Z pewnością wielokrotnie rozmawiali, musiał opowiadać o sobie i swojej rodzinie. Może nawet ma żonę? To przypuszczenie przeszło Suzanne nagłym bólem. Wiedziała, jak nikłe są jej szanse, jednak nie potrafiła stłumić uczucia, które w niej rozgorzało. Na myśl o rozstaniu czuła jakiś straszliwy, nigdy wcześniej niedoznawany lęk. Nagle jej racjonalną naturą zawładnął sentyment i toczył zawzięty bój z rozumem.

Skoro innego wyjścia brak, i tym razem trzeba będzie jakoś znieść zrzędlivość oberżystki. Może jednak da się ją ugłaskać? Jako kobieta musi mieć przecież jakieś słabostki?

– Czy Jan jest? – zapytała, przekraczając próg gospody.

– A na co on wam znów potrzebny?! – zimno odrzekła Florentyna, znudzona jej częstymi wizytami.

Suzanne czym prędzej wyjęła płótno.

– Dla służącego przyniosłam. Na bandażę.

Oberżystce zrobiło się nawet trochę żal dziewczyny. Przyłazi tu i przyłazi, robi sobie nadzieje, a przecież nic z tego nie będzie. Na miłą to pachniało amorami. Ona kupcówna, on szlachcic, trzeba by to jakoś przerwać.

– To ładnie z waszej strony. Zaniosę mu później.

– Czy mogłabym...? – zaczęła Suzanne i położyła na szynkwasię piękną jedwabną chustkę. Patrząc prosto w oczy Florentyny, spytała dobitnie: – Czy jest...?

– Właśnie wrócił. Siedzi przy chłopaku – niechętnie rzuciła oberżystka i sięgnęła po chustkę.

Suzanne nie czekała dodatkowej zachęty, tylko szybko wspięła się po schodach. Nie wiedziała, w którym z pokoi mieszka Jan, jednak zupełnie o tym nie myślała. Przejęta, że go za chwilę zobaczy, starała się uspokoić przerażone serce. Zapukała do pierwszych drzwi z lewej strony. Nikt nie odpowiedział. Nogi się pod nią ugięły, kiedy podniosła rękę, aby zapukać do następnych, ale w tej właśnie chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Jan. Zdumiony widokiem dziewczyny, wybełkotał tylko:

– Pani tutaj...?

– Przyniosłam płótno na bandaż. Pewnie musicie zmienić. Powiedzieli w kramie, że to dobry materiał... – Wyciągnęła rękę, podając mu zawiniątko.

– Bóg zapłać, panienko! – rzekł i jakby mimochodem ujął jej dłoń.

W korytarzu było ciemno, z dołu dobiegały głosy klientów, śmiechy i czkania. Ze strychu wionął zapach końskiego nawozu, ale im to nie przeszkadzało. Przywarli do siebie bez słowa i dali upust przepelniającym ich uczuciom. Suzanne szybko oddychała, łapiąc płytkie hausty powietrza pomiędzy jednym a drugim pocałunkiem. Kolana jej zmiękły i najchętniej ległaby gdzieś, gdziekolwiek, choćby i na tym strychu, aby przywrzeć do Jana całym ciałem, stopić się z nim w jedno, zapominając o wojnie i o całym świecie, który w tej chwili nie miał dla niej żadnego znaczenia. Jan zadarł jej suknię i halki. Dotykał ud, posunął dłoń wyżej i trafił w drżące, rozpalone, wilgotne miejsce, pragnące, by je głaskać, masować, pieścić, rozgrzewające i rozleniwiające tym najślodszy lenistwem zwanym pożądaniem. Oparta o ścianę Suzanne pragnęła, aby nie przestawał. Nagle z dołu dobiegł ich gardłowy głos nowego gościa:

– Pani gospodyni, szukam córki. Podobno niedawno weszła do tej karczmy.

Suzanne zeszywniała. Odsunęła się od Jana, pośpieszonymi ruchami ręki otrzepała suknię, schyliła się, aby podnieść z podłogi upuszczone przed chwilą płótno, po czym nie pytając nikogo o zdanie, weszła do pokoju i usiadła przy rannym, rwąc tkaninę na bandaż. Jan

jednym susem schował się na strychu.

Tymczasem na dole trwała dyskusja między Florentyną a ojcem Suzanne.

– A jużci, weszła tu jakaś panna. Pytała o rannego w bitwie, tom jej wskazała kwaterę.

– Gdzie ona?

– Na górze, wprost ze schodów – oberżystka rzekła nieco głośniej, niżby należało, a przybyły już gramolił się na górę, przekonany, że go oszukują.

Gdy wreszcie wdrapał się na piętro i bez pukania otworzył drzwi, zobaczył tylko rannego chłopaka i swą córkę, która delikatnym ruchem ocierała mu twarz kawałkiem płótna.

XXX

Stanisław Jandził na czele dziesięcioosobowego oddziału kawalerii przybył do Lewartowa w połowie maja. Książę Lubomirski był nieobecny, kasztelan nie miał więc komu pokazać listów, które ze sobą przywiózł. Jego orszak włączono do wojsk księcia i nakazano mu ćwiczenie musztry, do czego również Stanisław starał się przykładać, aby nie myśleć o pozostawionej w Turowie Florze. Jej list do księcia, potajemnie przekazany przez służącą, kasztelan nosił na piersi niczym talizman, raz myśląc o swej macosze z rozczeniem i miłością, raz z lękiem, to znów z bólem i bez nadziei na rychłe spotkanie.

Kiedy tydzień później książę powrócił, Stanisław poprosił o posłuchanie. Wyznaczonego dnia szedł na audiencję długim jasnym korytarzem pełnym drogocennych luster, starożytnych rzeźb i orientalnych roślin, a z każdym krokiem potężniała w jego sercu obawa, jak zostanie przyjęty i czy potajemne przewiezienie wiadomości od macochy nie zostanie przez księcia skrytykowane. W liście kasztelana nie było widać nic szczególnego, bo książę ledwie musnął go wzrokiem. Nad listem Flory zatrzymał się znacznie dłużej.

– Macocha darzy waszmość pana dużym zaufaniem.

Stanisław przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Jego wysokość nie wątpi chyba, że człowiek honoru?

– Gdybym wątpił, tobym cię na służbę nie przyjął. Jakże jej stan?

– Medyk pałacowy mówi, że lepiej. Wszyscyśmy się modlili za jej zdrowie, a ojciec mój całą noc klęczał przed Najświętszą Panią.

Książę chrząknął.

– Da Bóg, że wyzdrowieje. Miła to memu sercu dziewczuszka.

– Jam gotów dla niej... – Stanisław zapędził się, ale wnet spłonął rumieńcem i opuścił oczy.

– Wasza macocha w dobrych rękach, ale Rzeczpospolita pilnie naszej pomocy potrzebuje. Z konfederacją przyjdzie się potykać, bo malkontenci rokosze przeciw władzy wnoszą. A wasz brat ponoć w Gdańsku, za Leszczyńskim się opowiedział?

Stanisław nie był przygotowany na takie pytanie.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Kasztelan z nim w niezgodzie i nawet jeśli ma wiadomości, to je przed nami ukrywa.

– Pisali mi, że Jan tam ponoć bohaterem wielkim się okazał. Liczę więc, że nie gorzej od brata pod względem męstwa się zaprezentujecie, ale po stronie prawowitego króla walcząc.

– Mości książe, zrobię, co w mojej mocy, aby godnie odpłacić honor służby u waszego boku!

– Nawet gdyby pod Gdańsk iść przyszło?

– Żołnierz rozkazów nie wybiera.

Książę zamyślił się, przez dłuższą chwilę spoglądając przez okno.

– Nie dręczyło was nigdy pytanie: który król uczciwie wybrany, a który uzurpator? Który dla Rzeczypospolitej lepszy? Piast czy Sas?

– Niech mi będzie wolno, abym rozkazy Waszej Wysokości jak ojcowskie traktował, a jego zdanie uznawał za swoje – rzekł Stanisław i skłonił się nisko.

– Słusznie, bardzo słusznie! Zostawię cię więc pod moją osobistą komendą. Pisze mi Strasz, żeś był niezdrow, więc na razie w polu nie staniesz. Ale okazji, by zasłużyć się krajowi, na pewno ci nie zabraknie.

Stanisław znów się ukłonił i na znak księcia, że posłuchanie zakończone, opuścił kancelarię.

„Powiedziałem, czego się po mnie spodziewano – pomyślał z goryczą. – Ojciec byłby ze mnie dumny”.

Książę popatrzył za wychodzącym i pomyślał, że może błędem było swatanie Flory kasztelanowi.

– Teraz już za późno – powiedział sam do siebie, wywołując pytające spojrzenie sekretarza, do którego machnął ręką, aby zlekceważył te słowa.

„Co się odwlecze, to nie uciecze – pomyślał. – A kasztelan wszak nie wieczny”.

Kiedy Stanisław dotarł na kwaterę, którą stanowił mały pokój u jakiejś mieszczki, wciąż jeszcze dźwięczało mu w uszach pytanie księcia. Czy poszedłby na Gdańsk? Więc tam przebywa Jan? W oblężonym mieście walczy za króla, którego szlachta wybrała dla Rzeczypospolitej? Czy ojciec wie? Nigdy się z tym nie zdradził. Czy on

powinien kasztelana zawiadomić? Jedno pytanie rodziło następne, a na żadne z nich pozostawiony samemu sobie Stanisław nie potrafił odpowiedzieć. Dopiero teraz powoli docierało do niego, jak daleko od kurateli ojca znalazł się starszy brat, jak bardzo uwolnił się od jego wpływów! Czy kiedykolwiek wróci do Turowa? A jeśli tak, to z jakim spotka się przyjęciem?

Stanisław zazdrościł Janowi i podziwiał skrycie jego odwagę, sam jednak postanowił podążać drogą, którą wskazali mu ojciec i książę. Inaczej nie potrafił, zresztą tylko w ten sposób mógł choćby z daleka czuwać nad Florą. Skreślił więc pośpieszny list, w którym zawiadamiał kasztelana o odbytej audiencji i nadmienił, czego się przypadkiem dowiedział o Janie. Bez względu na to, czy kasztelan o tym wie, powinno go to przychylnie nastawić do młodszego syna, trzymającego się jego linii politycznej. Listu do macochy nie napisał, bo choć wiedział, że Flora czeka na wieści, nie miał nikogo zaufanego na zamku, by pismo bezpiecznie przekazać.

Korzystając z czasu wolnego, Stanisław po skończonych ćwiczeniach zachodził codziennie do książęcej biblioteki. Stało tu wiele dzieł sławnych filozofów z jeszcze niepoprzeszczonymi kartami. Początkowo odkładał te księgi, bojąc się naruszyć ich tajemnicę, sądził bowiem, że to z rozkazu księcia woluminów nie porozcinano. Pewnego dnia jednak zdobył się na odwagę i zapytał o to książęcego sekretarza. Ten spojrział nań ze zdumieniem, zmarszczył czoło, a potem wybuchł śmiechem.

– A czytajże sobie, młodzieńcze! Rozcinaj, jeśli taka twoja wola. Jego wysokość, obarczony obowiązkami związanymi ze służbą Rzeczypospolitej, rzadko kiedy ma czas, by do tych ksiąg zaglądać. Ma zresztą swoje ulubione, te stoją niżej, porozcinane.

Stanisław zaglądał więc do biblioteki w każdej wolnej chwili. Nie omieszkał sprawdzić, cóż to za literaturę książę tak sobie upodobał, i z pewnym zdziwieniem zauważył, że to dziełka lekkie, służące błahej rozrywce. Te zaś, które by mu do poznania polityki i zasad rządzenia dopomogły, ustawiono na wyższych półkach, jakby z góry zakładając, że nigdy przeczytane nie będą. Był tam ceniony przez Strasza *Książę Makiawela*, była *Utopia* Tomasza More'a, zwanego Morusem, była

Pochwała głupoty Erazma z Rotterdamu. Stali obok siebie, nigdy nieprzeczytani: Thomas Hobbes, Baruch Spinoza i John Locke. Osobno zebrano dzieła Polaków: Jana Ostroroga, Filipa Kallimacha i Andrzeja Frycza-Modrzewskiego.

Spędzając szczęśliwe chwile w bibliotece księcia, Stanisław próbował zrozumieć, jaki jest cel gromadzenia książek, których nigdy nie zamierza się przeczytać, ale jeszcze bardziej dręczyło go przekonanie, że książkę, nie znając tych dzieł, jest uboższy o wiedzę, którą dawni filozofowie i pisarze już posiadli, a dzięki której o wiele łatwiejsze byłoby zrozumienie zasad rządzących światem.

Pewnego dnia książkę zaszedł do biblioteki i natknął się tam na Stanisława pogrążonego w lekturze. Kiedy odwrócił okładkę i zobaczył, że to Frycz-Modrzewski, lekko się skrzywił.

– A co to, wszystkie gospody w mieście pozamykali? – zażartował.

– U nas na zamku księgozbiór ubogi, korzystam więc z możliwości i dokształcam się – powiedział Stanisław tonem usprawiedliwienia.

– Czytaj, czytaj, jeśli przedkładasz to nad hulanki i dziewczki. Ale jeśli myślisz, że księgi ci się do rządzenia choćby jedną wioską przydadzą, toś w błędzie.

– Jak to, panie? – nie mógł zrozumieć Stanisław. – Wszak z książek wiedza płynie, która nam świat poznać pozwala.

– Owszem, jednak wiedza oznacza wątpliwości, a kiedyś wątpliwości pełen, to decyzji żadnej nie podejmiesz, bo nie będziesz wiedział, która droga prowadzi do celu. Z tego powodu filozofowie książki piszą, ale nie rządzą narodami. Dlatego nie dziw się, że te wszystkie woluminy stoją nierozcięte. Gdybym się tej wiedzy nałykał i, nie daj Boże, chciał z niej korzystać, tobym się nigdy nie porozumiał z braćmi szlachtą. Naród nasz prosty, książek nie nawykł szanować, a ja z tym ludem na sejmikach się spotykam. I gdybym uczonym językiem zaczął z nim gadać, tobym za dziwaka został poczytany. Tobie jednak nie bronię, może mi kiedy opowiesz, co tam ciekawego piszą. Nie takim ja gbur, jak być może sądzisz.

Stanisław skłonił się dwornie i nad słowami księcia zamyślił.

XXXI

Kacper Hadziewicz, mianowany przez marszałka konfederacji kapitanem piechoty, siedział zapatrzony w ogień. Zastanawiał się nad sensem rekrutowania kolejnych ludzi do swej chorągwi, która miała liczyć pięciuset żołnierzy, skoro i tych dwustu, których zebrał, broni nijakiej nie widziało. Nie mieli strzelb ani amunicji, ćwicząc drewnianymi kijami. Uzbrojeni jedynie w piki, gdyby przyszło do starcia, pozostawali bez szans na przedarcie się przez strzelających wrogów. Rzutki i oddany sprawie podstarość gotów był wybrać się po broń choćby i do Prus, jednakże pieniądze, którymi dysponował, dziwnym trafem wystarczyły zaledwie na kilka namiotów i sześć koni cugowych, starych chabet niezdatnych pod wierzch. Przeznaczono je zatem do ciągnięcia drewnianych armat, do których ni kul, ni prochu nie było. Bezradność spowodowana kłopotami aprowizacyjnymi na razie nie wpływała na humory ani na chęć do walki. Ta jednakowoż mogła się szybko wyczerpać.

Otrząsnąwszy się z tych niewesołych myśli, Kacper wszedł do namiotu, aby jeszcze raz przeczytać dostarczony właśnie list od Zofii. Wiadomości przyszły złe i w pierwszym odruchu podstarość chciał wskoczyć na konia, komendę komu bądź odstąpiwszy, ale uznał, że tego by sama miecznikowa nie pochwaliła. Czytał więc raz po raz smutne słowa o pożarze w Złotym Moście i wyobrazić sobie tego nie mógł, że nie ma już dworu, w którym spędził tak wiele pięknych chwil. Współczuł Zofii i obiecywał sobie, że kiedy tylko wstanie świt, skoczy do najbliższej karczmy, aby sprawdzić, czy nie szłoby tam dostać ćwiartki¹ papieru, na którym mógłby skreślić kilka słów pocieszenia.

Sercem i duszą uміłowana Zofijo!

Chłopak z listem od Was błąkał się po Nowogródzkiem, bo rzadko siedzim w jednym miejscu, co raz z podjazdami na Moskwicinów wyruszając. Zjazdy na Litwie bowiem konfederację zarządziły i w wielu powiatach bracia szlachta ruszyli ku obronie prawowitego króla. Powiat nasz uchwalił wystawienie pułku piechoty z rekrutów złożonego, po

jednym z każdych dziesięciu dymów, ale nawet połowy nie zebraliśmy, jako i podatku, gdy kto rekruta nie wystawił. Szlachta zobowiązuje się, że do pospolitego ruszenia się zgłosi, ale po mojemu wojsko niewyćwiczone, źle zorganizowane, niezdiscyplinowane i kiepsko wyposażone nie stanie naprzeciw wojskom moskiewskim. A nawet jeśli stanie, zwycięstwa mu nie wróżę. Jedno, co nam się udaje, to czasem znienacka na jaki mały oddział wyskoczyć i rozbijając go, trochę zaniejszej broni zdobyć. Ludzi moich ćwiczę na drewnianych karabinach, bo lepszych braknie, a to mnie ku rozpaczcy przywodzi. Co do reszty jam zdrów i cały, ale o Was się martwię. Dobrzeście zrobiła, wybierając Gród Orłowy na zamieszkanie. Bliższy Wam będzie, kiedy wrócę i swaty do Was wyślę. Wytrwajcie z Bogiem, a piszcie, błagam, co słychać i jak się Wam powodzi. Dzieci czy zdrowe? Pani cześnikowej się ode mnie w pas kłaniajcie.

Wasz na zawsze, Kacper Hadziewicz

Zofia raz jeszcze przebiegła list wzrokiem, jakby się spodziewała znaleźć jakieś przeoczone wiadomości, ale ich tam nie było. Opuściła więc dłoń z pismem i niewidzącymi oczyma zapatrzyła się przed siebie. Wspomniała, jak po pożarze niemal przez całą noc jechali ze Złotego Mostu, jak wreszcie znużeni dotarli do bram Grodu Orłowego, w którym służba, nie kładąc się, czekała na pogorzalców. Widać podstarość odpowiednio polecenia zostawił, bo wszyscy traktowali Zofię jak prawowitą właścicielkę. Musiała się więc zajmować dwoma majątkami, co powodowało, że dnia czasem brakło. Na szczęście przyjaciele jej nie zawiedli. Wiele dworów pośpieszyło ze wsparciem i pomocą.

Pożyczona od Szmula kwota dwustu złotych szybko topniała, a tu wciąż przychodziły nowe rachunki i Zofia pomyślała ze smutkiem, że może nie powinna była w pojedynkę porywać się na odbudowę dworu. Jednocześnie rozumiała doskonale, że kiedy Kacper wróci, a ona z ulgą przyjmie jego oświadczenia i wezmą szybki ślub, on, podobnie jak inni, matka, sąsiedzi czy znajomi, będzie jej odradzał odbudowę dworu. Wszak pomieszczą się wszyscy w Grodzie Orłowym. Złoty Most można odbudować później. Później, czyli kiedy? Tymczasem ona czuła jakiś

wewnętrzny przymus, odpowiedzialność wobec nieżyjącego męża, potrzebę działania, która pokazałaby, że nie jest bezwolną ofiarą. Jeśli w Złotym Moście zabrakłoby dworu, jej dawna służba nie miałaby zatrudnienia. Wieś można sprzedać, ale cóż warta wieś bez dworu?

Snując te niewesołe rozważania, wyciągnęła na środek świetlicy skrzynię z dokumentami, aby dokonać wpisu do domowej kroniki, zwanej sylwą. Ostatnio w natłoku zajęć ją zaniedbywała. Nie zdążyła jeszcze opisać pożaru. Wzdragała się przeżywać ponownie tragiczne sceny. Wyjęła ciężką, oprawną w skórę księgę, odłożyła ją na stół i sięgnęła do innych dokumentów. Było tam wiele papierów, niektóre bardzo stare, z pokruszonymi pieczęciami i spłowiałym atramentem. Listy prywatne, odpisy sądowe, umowy kupna i sprzedaży ziemi, rachunki, kontrakty. Opowiadały o życiu minionych pokoleń, o przebrzmiałych, zapomnianych, nieważnych już wydarzeniach. Ujęła w rękę Inwentarz Dóbr Złotomojskich, sporządzony tuż przed jej ślubem z miecznikiem Niezgodzkim, i przyjrzała się literom na oprawie. Lekko powiodła po nich palcami i otworzyła księgę. Po tytule zaczynał się opis dworu i wszystkiego, co się w nim znajdowało, począwszy od bramy, a zakończywszy na ostatniej komorze. Czytając ów spis, miała wrażenie, jakby się przechadzała po kolejnych pomieszczeniach, przypominał jej wszystko, co straciła.

Już chciała go odłożyć, aby się nie rozpląkać, ale przewróciwszy kolejną kartkę, zauważyła jakiś papier złożony we czworo. Zaciekawiona, co też zawiera, rozprostowała dokument i zaczęła czytać. Chwilę później, rozgorączkowana, biegła już z nim do matki.

Pani Salomea doglądała w ogrodzie pielenia. Obok biegały dzieci, bawiąc się z maleńkim szczeniciem. Zofia stanęła obok matki i zaczerpnęła tchu.

– Pamiętacie, jakem nie chciała iść za miecznika?

Pani Salomea uśmiechnęła się, przypominając sobie dąsy córki, której nie w smak był o wiele starszy kandydat na męża.

– Trudno to zapomnieć.

– Ale potem nigdy was nie obwiniałam.

– Miecznik był zacności człowiek. Cieszyliśmy się z twoim ojcem, że chce ciebie, choć posagu za wiele mu nie wniosłaś.

- Wiecie też, że kocham Kacpra.
- Wiem i bardzom z tego rada. On ci równy wiekiem, może się razem zestarzejecie, wnuków doglądając.
- A jednak mam poczucie, że miecznik wciąż się mną opiekuje.
- Majątek ci zostawił.
- Otóż to! Do niedawna mieszkaliśmy we dworze wybudowanym przez jego przodków, który miałam przekazać naszym dzieciom.
- Nie obwiniaj się, dwór spłonął, widać tak musiało być.
- Wiem, że to moja wina, i nigdy mnie nie przekonacie, że jest inaczej. Ale dziś otrzymałam dowód, że miecznik mi wybaczył, że z za grobu się nami opiekuje i chce, abym dwór odbudowała.
- Co też ty opowiadasz, moje dziecko?! – przestraszyła się cześnikowa. – Idźże w chłód, waleriany się napij albo połóż się na chwilę, bo od rzeczy gadasz.
- A ty, matko, o pożarze nigdy nie śniłaś? Nie miałaś żadnych przeczuć? Wszak nie ostrzegłaś mnie, jak zawsze w razie nadchodzącego niebezpieczeństwa.
- Tak strasznym mi się to wydawało, tak niesprawiedliwym, nie wierzyłam, że może nas spotkać tak okrutna kara. A tyś była taka szczęśliwa po wizycie podstarościego. Nie chciałam psuć ci tej radości. Czy zresztą unikniesz przeznaczenia, które dla ciebie od wiek wieków w gwiazdach zapisane? Gdybyśmy i nie spały tej nocy, cóż by to zmieniło? Czy uchroniłybyśmy dwór przed spalaniem?
- Też sobie po tysiackroć zadawałam te pytania, chociaż wiem przecież, że to moja hardość spowodowała podpalenie dworu. Gdybym pułkownika nie zraniła, broniąc się przed jego umizgami, gdybym mu uległa, nie stałoby się to, co się stało.
- A co to ma wspólnego z miecznikiem?
- Bo uważam, że mu winna odbudowanie dworu.
- Po mojemu dzieciom swoim, a konkretnie Ignasiowi.
- Kasztelan chciał kupić ode mnie ziemię, abym do Złotego Mostu nie wracała.
- Temu wszystkiego mało!
- I oto, matko, list z zaświatów, który pokazuje czarno na białym, że kasztelan winien jest miecznikowi trzy tysiące!

– Jaki list z zaświatów?! Co ty za bajki opowiadasz?
– Gdybym dziś miała taką kwotę, spałabym spokojnie – rzekła i podała matce papier, a ta, odsuwając dłoń od siebie, aby lepiej widzieć, czytała.

– Weksel? Gdzie go znalazłaś?

– W spisie inwentarza.

– Czy to możliwe, aby ci miecznik nie powiedział o tak znacznym długu kasztelana? – powątpiewała cześnikowa. – Że nie wpisał go do ksiąg rachunkowych, tylko trzymał gdzieś na uboczu, jak niepotrzebny świstek?

– To zaiste dziwne. Dwie mogą być tego przyczyny. Weksel jest datowany przed dziesięcioma laty. Termin wykupu minął pięć lat temu. Więc albo miecznik zapomniał, gdzie go schował, i nie domagał się zwrotu pieniędzy, bo nie miał na pożyczkę dowodu, albo mógł uznać, że już jej nigdy nie odzyska.

– Znając naszego kasztelana, nietrudno w to uwierzyć.

– Miecznik mógł zrezygnować, ale ja nie zamierzam. Przypomnę Jandźwiłłowi o długu.

Jedna czwarta arkusza. [\[wróć\]](#)

XXXII

Nieudana próba uszczknięcia wdzięków Suzanne zaostrzyła apetyt Jana Jandźwiłła. Wciąż myślał o dziewczynie, nieustannie wyobrażając sobie rozkosz, jaką by mu dała, gdyby do karczmy nie wtargnął jej ojciec. Z godziny na godzinę Jan snuł coraz odważniejsze marzenia, pewien, że ona mu sprzyja i zgodzi się na wszystko. W imaginacji swej brał ją na stojąco i w łóżku, na sianie i gołej podłodze, doprowadzał do omdlenia i czynił sobie powolną. Liczył, że Suzanne znów się wymknie na spotkanie, ale widać dobrze jej pilnowano, bo przez dwa kolejne dni nie pokazała się w oberży. Jan przestraszył się, że ten stary cap, jej ojciec, trzyma dziewczynę pod kluczem i nie wypuści aż do wyzwolenia, które zbliżało się wielkimi krokami. Kasztelaniec czuł się przygnębiony, bo cała jego wyprawa do Gdańska, która wszak miała swój cel, może spalić na panewce. Dziewczyna była tylko przygodą, miłym urozmaiceniem wolnych chwil, Janowi chodziło jednak przede wszystkim o zwrócenie na siebie uwagi króla. To udało mu się już dwukrotnie. Co ważne, Stanisław Leszczyński go zapamiętał. Teraz kasztelaniec powinien znów popisać się walecznością. Innych walorów poza własną odwagą nie miał. Dlatego martwił się, że jeśli Rosjanie zostaną odparci, król wróci do Warszawy i o nim zapomni.

Natomiast gdańszczanie przyzwyczaili się już do myśli, że wojska francuskie pomogą im odeprzeć oblężenie. Zaczęli niemal świętować, licząc godziny do końca swej męki. Jednak Francuzi nie chcieli wykonywać rozkazów wydawanych przez Montiego. Ich pogląd na sytuację miasta był tak krańcowo różny, że dwa dni po wylądowaniu dowódca podjął decyzję o ewakuacji i pod osłoną nocy z czternastego na piętnastego maja statki francuskie odpłynęły z powrotem do Kopenhagi. Nikt z obleganych nie wyobrażał sobie takiego obrotu sprawy! W mieście znów zapanowało przygnębienie, lada dzień spodziewano się bowiem nowego ataku ze strony Rosjan.

Ambasador Monti wysłał do Kopenhagi zaufanego oficera, który miał zdać raport z haniebnego zachowania pułków francuskich w Gdańsku i prosić ambasadora Francji Louisa Roberta Plélo, aby

nakłonił ich dowódcę do zawrócenia. Miasto czekało na posiłki. Czekali na nie także oblegający. Trwała wojna z czasem.

Jan Jandźwił również prowadził swą walkę. Raz przekonywał się, że musi zdobyć Holenderkę, zanim Gdańsk zostanie wyzwolony, innym znów razem, że najlepiej zrobi, jeśli przestanie o niej marzyć. Niestety wymuszone zawieszenie ognia powodowało, że myślał o niej bez przerwy. Niby to mimochodem zaczął rozpytywać o kupców holenderskich, wreszcie trafił na jej ślad. Zobaczył raz i drugi, jak szła ulicą, ale zawsze była w towarzystwie i nigdy nie mógł do niej podejść.

Nie wiedział też, że jej ojciec dał Florentynie sztukę złota, aby oboje zniechęcała do kontynuowania znajomości. Oberżystka i bez zapłaty czuła się do tego powołana. Wiedziała, że z tej mąki chleba nie będzie, i jeśli Jan posiadzie Suzanne, co mogło się stać w każdej chwili, dojdzie do nieszczęścia, bo dziewczyna jest co prawda z dobrego, ale mieszczańskiego domu, więc nie ma co liczyć na małżeństwo. Jakąż jednak mają moc usiłowania dorosłych, wynikające ze znajomości życia, gdy się zetną z niemającą sobie równych siłą pożądania? Im trudniejszy do zdobycia, tym bardziej smakuje owoc zakazany. Historia pełna jest pomyłek, które popełnili młodzi, lekceważąc dobre rady. Determinacja, jaką wykazali Jan i Suzanne, pragnąc się do siebie zbliżyć, musiała w końcu zaowocować spotkaniem. Tego wieczoru zauważyła go, krążącego po uliczce, przy której tymczasowo zamieszkała z ojcem. Udając ból głowy, położyła się wcześniej spać i gdy tylko usłyszała chrzęst klucza w zamku, nie licząc się z żadnymi konsekwencjami, rzuciła mu przez okno liścik z prośbą, aby przyszedł w nocy.

Te kilka godzin od zapadnięcia zmroku wydały mu się wiecznością. Niczym dusza pokutująca krążył po ulicach, a czas niemal stanął w miejscu. Kiedy wreszcie koło dziewiątej, skrywając swą tożsamość pod peleryną z kapturem, przemykał przeciwną stroną ulicy, zauważył Suzanne w otwartym oknie. Niedługo potem pojawiła się w drzwiach. Podbiegła doń, a on pociągnął ją za rękę. Niczym spiskowców okrył ich mrok zaułka.

Oświetlony ogarkiem świecy pokoik był maleńki. Ledwie mieściło się w nim drewniane łóżko, miednica i krzesło. Zza cienkiej ściany

dobiegało donośne chrapanie, przechodzące w rżenie, jakby śpiącego tam mężczyznę ktoś dusił. Weszli do środka i speszeni zatrzymali się przy drzwiach. Na dole w szynku ktoś głośno wołał o piwo, inny się targował, jeszcze inny kłął siarczyście. Jan nieśmiało popatrzył na dziewczkę, a ona na niego, jakby teraz, kiedy zostali sami, nagle zabrakło im odwagi. Przygarnął ją do siebie i pocałował. Pośpieszonymi ruchami Suzanne rozwiązywała tasiemki peleryny. Kiedy ją zrzuciła, zabrała się za sznurowany gorset. Dłonie jej drżały, ale po chwili stała już w bluzce i koszuli.

Jan pociągnął ją na łóżko. Tu zdjął z niej resztę garderoby. Oszołomiony i coraz bardziej zuchwały w zapamiętaniu realizował swoje fantazje. Ciało Suzanne pachniało lawendą, było gładkie, ciepłe i sprężyste, a ona sama mało biegła w sztuce miłości, zawstydzona, pokorna i czuła. Podążała tam, dokąd ją wiodły jego usta i dłonie. Zajęty sobą, nie od razu zorientował się, że jest dziewicą. Trochę go to nawet speszyło, jednak nie myślał o tym, kiedy się nad ranem ubierała.

– Ambasador Plélo organizuje odsiecz Gdańska! – Monti podnieconym głosem referował królowi działania swego kopenhaskiego kolegi. – Lada dzień powinien ruszyć. Musimy tylko dopilnować Wisłoujścia, aby statki miały się którądy przeprawić.

– Bogu niech będą dzięki! – westchnął Stanisław Leszczyński, teatralnie wznosząc dłonie i oczy ku niebu.

– Znając ambasadora, który był kiedyś żołnierzem, tym razem nasze wojska nie powinny ulec byle przeszkodzie. Jest jednak jeszcze jedna niezbyt pomyślna wiadomość: Sasi ku nam idą.

– Wielu ich?

– Osiem, może dziesięć tysięcy. Obawiam się, że Rosjanie też wkrótce otrzymają posiłki.

– Miała być jedna zła wiadomość, a to już dwie!

– Sądzymy jednak, że Rosjanom zaczyna brakować amunicji artyleryjskiej i jeśli się udało zablokować dostawy, ewentualny atak na nasze umocnienia można by łatwo odeprzeć.

– Zatem działaj, Monti, działaj!

Suzanne nie była tak niefrasobliwa, jak się z pozoru wydawało. Jan, rozpalony gorączką pożądania, nie pytał, gdzie się podziewa, wychodząc nad ranem z licej oberży, w której wynajmował pokój na schadzki. Ale ona wszystko przygotowała. Przekupiwszy służącą, kazała jej czekać do swego powrotu i otwierać drzwi od podwórza. Ojciec miał mocny sen i niczego nie podejrzewał, zadowolony, że córka poddała się rygorowi. Teraz pragnieniem Suzanne było, aby oblężenie Gdańska potrwało jak najdłużej.

Jednak Francuzi nadpłynęli dwudziestego czwartego maja. Nie wzbudziło to już takiego entuzjazmu jak za pierwszym razem, gdańszczanie pozostali czujni. Na dwudziestego siódmego zaplanowano atak na pozycje rosyjskie od strony Mierzei. Z Gdańska naprzeciw Francuzom miał wyjść oddział, w którym znalazło się miejsce dla Jana.

– Pamiętaj, nie wolno ci zginąć! – szeptała Suzanne, popłakując.
– Umrę, jeśli coś ci się stanie!

Podobała mu się taka zmartwiona, zapłakana. Zapragnął jej jeszcze bardziej. Smakował życie intensywnie, wiedział, że może nie wrócić z pola bitwy, ale się nie bał. Doświadczał tej szczególnej młodzięcej odwagi, która czyniła go nieczułym na możliwość własnej śmierci, choćby ta była na wyciągnięcie ręki. Kiedy nad ranem Suzanne wyszła, szybko pobiegł do swej kwatery, a stamtąd na miejsce zbiórki. Nie wiedział, co go czeka.

– Jesteście! Chwała Bogu! – wykrzyknęła radośnie karczmarka, jakby zobaczyła własnego syna.

Co prawda z trudem go rozpoznała, zmęczonego, ubłoconego, poobijanego, z krwawiącą raną na czole. Jednak po minie znać było, że wypad wojska gdańskiego się nie powiódł.

– Nie wiem, jak to się stało... – bełkotał, niemal płacząc. – Nie spotkaliśmy ich. Postrzelaliśmy ku rosyjskim okopom, powalczyliśmy wręcz, kilkunastu naszych zginęło i kazano nam się wycofać. Mieliśmy ich wziąć w dwa ognie i oczyścić przedpole. Pokpiliśmy sprawę...

Dopiero kilka dni później Florentyna przyniosła wieści, że Francuzi nie zdołali przedrzeć się przez okopy. Wielu zginęło, a na dodatek stracili dowódcę. Po mieście chodziły niepotwierdzone słuchy,

że hrabia Plélo zginął z rąk własnych żołnierzy.

– Jeśli Francuzi pobici, nikt już nie przyjdzie nam z pomocą!
– biadała karczmarka.

– Ale nie wszyscy przecie, nie wszyscy! Reszta batalionów stoi na Westerplatte, podejmą jeszcze atak, nie upadajmy na duchu! A wy co myślicie, Janie? – zapytał Herder.

– Musimy walczyć, choć powiem szczerze, że po tym, com widział i słyszał, boję się o nasz los. – Westchnął i z zasmuconym obliczem skierował się na górę. Odwrócił się jeszcze i rzucił do karczmarki: – Pani gospodyni, gdyby kto pytał, to mnie nie ma i nie wiadomo, kiedy wrócę.
Florentyna zrozumiała, że chodzi o Suzanne.

XXXIII

Grandmuszkieter Wilhelm Kettler nie spodziewał się zastać Warszawy tak opustoszałej, sennej i przygnębionej. Trudno było poznać to miasto! Ulice wyludnione, pozamykane składy, niewielu gości w oberżach. Najwyraźniej stolica czekała na króla, a August III nadal przebywał w Dreźnie, nie śpiesząc się, aby ją zaszczycić swą obecnością. Zresztą w zrujnowanym pałacu królewskim trwał remont, a krajem wstrząsały wybuchające tu i ówdzie zarzewia buntu i dopiero przyszłość miała pokazać wynik starcia zwolenników Augusta ze stronnikami Stanisława Leszczyńskiego. Jeden był tylko profit z tej sytuacji: Kettler nie musiał długo szukać kwatery. Zresztą natychmiast pożałował pośpiechu, z jakim się tu skierował, na razie nikt nie myślał o formowaniu pułku i rozwiały się nadzieje na szybki zaciąg.

Nie tylko nie było nic do roboty, Kettler nie znalazł też nikogo ze znajomych. Chcąc sobie poprawić humor, ruszył więc ku słynnej Magdzie z Krakowskiego Przedmieścia. Tej jednak również nie zastał – podobno tymczasem rezydowała w Dreźnie. Pozostawał niezawodny Marywil, gdzie jak gdzie, ale tam zawsze można było znaleźć kompanię chętną do zabawy. Rzeczywiście, w marywilskich oberżach panował tłok, a przy kartach siedziało kilkunastu graczy, tak szlachty, jak mieszczan. Tu grali w faraona, tam w kwindecza, ówdzie w wista czy lombra. Gra szła ostro i wysoko. Kettler na razie tylko obserwował. Chodził od stolika do stolika, patrzył, słuchał, ale nie wykluczał, że z nudów i dla zarobku grać jednak zacznie. Nie zamierzał wracać w rodzinne strony, bo gdzież by tam znalazł zatrudnienie, w stolicy zawsze łatwiej. Mógł nająć się choćby u jakiegoś bogatego szlachcica za dowódcę straży. W końcu nie wypadł sroce spod ogona. Postawny był i doświadczony, kiedyś wreszcie i król musi przyjechać do Warszawy, chociażby na sejm!

I kiedy tak przechadzał się pomiędzy stolikami, usłyszał rzucone głośno nazwisko Lange. Spozrzegł jegomościa, który dziarsko sobie poczynął. Karta mu nie szła, ale miał dość pieniędzy albo fasonu, aby z tego powodu nie popadać w ponury nastrój. Grandmuszkieter stanął

tuż obok i przez dłuższy czas przyglądał się grze. Ciekawiło go, czy to przypadkiem nie jest ów zbiegły mąż Cecylii. Wreszcie udało się Langemu wygrać, uśmiechnięty zagarnął pieniądze ku sobie.

– Wasza miłość dziś przy szczęśliwej karcie! – zagadnął Kettler.

– Znam waszmości? – Lange prawie się nie odwrócił, tylko patrzył, jak tasują i rozdają karty do kolejnej gry.

– Jam jest grandmuszkieter Kettler, przybywam z Litwy.

– Cóż stąd?

– A to, że w Turowie ostatnie dni spędziłem.

Lange odłożył karty i wstał. Zadarłszy głowę, spojrzawszy Kettlerowi w oczy, jakby chciał z nich wyczytać, czy ów prawdę powiada.

– Co tam słyhać u kasztelana Jandźwiłła, mego wielce szanownego teścia?

– Kasztelan rad bardzo wnukom, które mu córka powiła.

– Czyżby? – Lange uśmiechnął się kwaśno. – Ale chodźże waćpan w jakie ustronniejsze miejsce, bom ciekaw tych wieści.

Poszli do gospody. Lange zamówił butelkę wina, po kawałku pieczystego i jął wypytywać Kettlera o aktualne stosunki w Turowie.

– Zatem kasztelan żonę moją uwięził tylko dlatego, że do swego majątku chciała wyjechać? – zapytał z błyskiem w oku. – To dopiero nowiny!

– Mówią, że już wszystkim ten sekretarz rządzi. Jak mu tam...

– Strasz.

– Gadają, że po waszym rozwodzie ożeni się z Cecylią i obejmie urząd.

– Co takiego?! Jeszcze się nie rozwiodłem!

– Ale zamierzacie.

– Nie odstępuję się ukochanej żony w tarapatach. Król August III może być dla mnie hojny, dzielnie walczyłem o jego elekcję, byłem stronnikiem saskim od samego początku. Teraz pewnie urząd jaki dostanę, bom w sprawach podatkowych biegły. – Lange uśmiechnął się i wychylił głęboki haust wina. – Powiedzcie mi coś o sobie, kawalerze...

Następnego ranka kierowali się już ku wschodowi. Lange dla wygody wynajął karetę, co trochę spowalniało podróż, jednak czyniło ją

znacznie przyjemniejszą. Grandmuszkietera mianował swym przybocznym, oferując mu godziwą zapłatę i milcząc o prawdziwym stanie własnej sakiewki. Udawanie zamożniejszego, niż jest w rzeczywistości, nigdy nie stanowiło dlań problemu.

Kettler okazał się sympatycznym towarzyszem podróży, trochę podobnym do Langego w przesadzie, z jaką opowiadał o swych dokonaniach wojskowych oraz podbojach wśród warszawianek. Dyskretnie omijając temat znajomości z Cecylią, udawał, że spotkał ją dopiero w Turowie.

– Jakimżeś się pan trafem znalazł w Turowie? – zapytał wreszcie Lange.

– Zatrudnił mnie podstarości winnicki, któremu od waszego teścia rzekomo groziło niebezpieczeństwo.

– To chyba niemożliwe, skoro był na usługach kasztelana?
– zastanawiał się Lange.

– Kasztelanka prosiła podstarościego o pomoc i takem się znalazł w matni, bo odmówić nie mogłem, a ucieczka kasztelanki, kiepsko przygotowana, skończyła się niepowodzeniem.

– Więc żeś loch turowski także poznał? – Lange roześmiał się z niedowierzaniem.

– A poznałem, panie. Głęboki on i zimny.

– I nie boisz się ryzykować powtórnie?

– Bo to wiadomo, kiedy mój pułk sformują? Kiedy król w Warszawie osiadzie? Niepewne czasy, a jeść się chce czy świątek, czy piątek...

– Ten podstarości, co to za figura? – indagował Lange.

– Dusza człowiek i na kasztelana mocno cięty, jednak obawiam się, że go nie zastaniemy, bo wybierał się ruszyć do konfederacji.

– Znaczy nasz wróg?

– Tak bym nie powiedział, choć on stronnik Leszczyńskiego.

Minęli już Mińsk i Kałuszyn, zmierzali ku Siedlcom i pora była obmyślić sposób, w jaki spróbują kasztelankę z zamku wydostać.

– W Grodzie Orłowym mnie pamiętają. Służba tam zapewne jakaś pozostała, przenocujemy u podstarościego i wywiemy się nowin

– zaproponował Kettler. – Problem największy, jak do zamku wejść bez

zgody kasztelana i jakich metod użyć przy wychodzeniu.

– Każdego idzie przekupić. – Lange wzruszył ramionami. – Zresztą nie zamierzam się ukrywać, jawnie wjadę, bom w prawie. Chcę dzieci zobaczyć – powiedział głośno, a resztę swego planu zmilczał.

Kettler nie był w równie wesołym nastroju. To, że jadł i pił za cudze, usposabiało go bardzo dobrze. Na razie Lange na niczym nie skąpił. Stołowali się i popasali po pańsku, jakby zięć kasztelana objął już tę posadę w Komerze Saskiej, jedyne zmartwienie grandmuszkietera dotyczyło przyjęcia na zamku. Czy powinien się ukryć u podstarościego, czy też jawnie wjechać na zamek? Kasztelan, widząc go ponownie, może nabrać podejrzeń, a jeśli nie on, to jego sekretarz, ta lisia mordą.

– Coście tak zamilkli? – spytał Lange.

– Zastanawiam się, jak kasztelanowi wytłumaczyć mój powrót. Dopierom był jego więźniem.

– Mój teść to człowiek honoru. Zapewne żałuje, że was na taki despekt wystawił.

Kettler popatrzył bacznie na Langego.

– Tak myślicie?

– Jestem tego pewien! – odpowiedział Lange i obaj zaczęli się głośno śmiać.

– Mój ukochany zięć! – Kasztelan wyszedł do Nepomucena Marii z otwartymi ramionami.

Takiego powitania nawet znający się na dworskich intrygach Lange się nie spodziewał.

– Teściu drogi, jakże się cieszę, że widzę cię w dobrym zdrowiu! – odpowiedział stosownie do sytuacji i obaj rzucili się sobie w objęcia, jakby rozstali się w wielkiej zażyłości.

– Co tam w Warszawie? Król przyjechał? – dopytywał się Jandźwiłł, tu widać upatrując przyczyny zaskakującej wizyty.

– Spodziewamy się go lada tydzień, więc długo nie zabawię.

– Jaka szkoda! A twój kompan? Czy miałem honor go poznać?

– To grandmuszkieter Wilhelm Kettler, zabrałem go do towarzystwa.

– Radziśmy wam, kawalerze! – powiedział kasztelan, nawet

jednym drgnieniem powieki nie zdradzając, że rozpoznaje w Kettlerze swego niedawnego więźnia.

XXXIV

Przybycie Langego rozdrażniło Strasza. Właśnie teraz, kiedy wszystko zaczęło się układać, gdy wyjechał Stanisław, ostatni, który mógłby stanąć na przeszkodzie jego planom, pojawia się ten awanturnik i zaczyna sobie uzurpować prawa do Cecylii! I cóż stąd, że nie mają jeszcze rozwodu, wszak to sprawa dawno ustalona! Lange sam zrezygnował, to on domagał się rozwodu, jemu nie w smak była ciąża Cecylii! Co teraz knuje? Dlaczego taki układny? Czemu nie pyta o posag i udaje, że pragnie tylko zobaczyć dzieci? To z pewnością wyłącznie pozory mające ukryć prawdziwy cel. Tego jednak sekretarz kasztelana nie potrafił odkryć.

– Nie chodźże tak z kąta w kąt, bo cug robisz! – zezłościł się Tadeusz Jandźwiłł.

– Wybaczcie, panie. – Strasz się skłonił i usiadł na krześle. Ale wnet mu noga zaczęła drżeć, nieznośnie tupiąc.

– Cóż cię tak wzburzyło? – Kasztelan podniósł zmęczony wzrok.

– Długo tam siedzi.

– Dzietek nie widział, daj mu się nacieszyć.

– Wszak bękartami je nazywał, odżegnując się od ojcostwa.

Wierzycie, panie, że nagłą odmianę przeszedł i teraz zacznie je uważać za swoje?

– Wszak czas wielkanocny, nie brońmy mu stać się lepszym.

– To wilk w owczej skórze, nie ufajcie mu!

– Czym ja powiedział, że ufam?! Nikomu nie ufam, mój Strasz, nawet sobie samemu. – Tadeusz Jandźwiłł roześmiał się z żartu.

– Jednak ta kreatura niedługo już zacznie służyć na dworze, będzie mieć wgląd w księgi podatkowe, jakże z nim teraz zadrzeć? Muszę go razem z tym jego kompanem znieść i jeszcze się do nich uśmiechać. Myślisz, że to łatwe?

– A jeśli on córkę i wnuki wasze zechce do Warszawy wywieźć?

– Niech wywozi.

– Panie! – Strasz poderwał się na równe nogi. – Toż on groszem nie śmierdzi, domu nie ma, w długach tonie!

– Gdyby Cecylia mimo wszystko chciała z nim wyjechać, to się nie sprzeciwię.

– Jakże to?!

– Rozvodu nie mają. Lange jest w prawie.

– Kasztelanka godna lepszego losu niż cudze kąty w Warszawie wycierać! Co on jej zapewni, jaki los czeka wasze wnuki?! – niemal płacząc, wykrzyknął Strasz.

– Dobry z ciebie sługa! – rzekł wzruszony Jandźwiłł. – Wiem, że krwi byś sobie utoczył dla domu naszego, przeto radzę nie popadać w prostrację. Ona już raz uciekła od słodczy małżeństwa. Nie sędzę, aby chętnie po raz drugi los swój powierzyła Langemu.

Tymczasem Nepomucen Maria od pierwszego dnia zauważył dziwną zmianę, jaka nastąpiła na zamku. Służba nie była dość szybka ni sprawna, porządek nie ten sam co kiedyś, gdy żyła poprzednia kasztelanowa. Co prawda Jandźwiłł miał żonę, ale nie radziła sobie z obowiązkami. Podobno ostatnio chorowała. Najwyraźniej Cecylii nieśpieszno było jej w tym wyręczać. Zresztą ona również wydała mu się nie tak zadbana jak kiedyś.

– Po coś przyjechał? – zapytała zamiast powitania.

– Wracaj ze mną do Warszawy – powiedział bez ogródek.

– Chyba waćpan oszalał! Żeby wasze długi spłacać?

– Nikt od ciebie tego nie zażąda. I nikt cię za przejażdżkę powozem do lochu nie wtrąci.

– Po tym, com przeszła, wolę się od was trzymać z daleka.

Pomóżcie mi tylko majątek po moim nieboszczyku mężu odzyskać, żebym się miała dokąd przenieść, bo tu powietrze dla mnie niezdrowe.

– Cecyljo, tyś do innego, lepszego życia stworzona! Swą pięknością i mądrością zawojujesz warszawskie salony! – rzekł Lange, a ona uśmiechnęła się z ironią. – Masz prawo do nieufności, ale jestem gotów wszystko odpokutować, naprawić zło, którem ci uczynił.

– Zostałam przez was oszukana, porzuciliście mnie, ledwiem uszła z życiem!

– To fałsz! Chciałem cię na Pragę wywieźć. Kto mógł przewidzieć, że w Warszawie zamieszki wybuchną? Szukałem cię potem, ale bezskutecznie.

Cecylia zamyśliła się głęboko.

– Jeśli wyjadę, to tylko z dziećmi. I długów waszych płaciła nie będę.

– Nie zamierzałem o to prosić.

– Z czego będziemy żyć?

– Moja sytuacja wkrótce się poprawi. Liczę na intratne stanowisko na dworze, musimy się tylko króla doczekać.

– Gdzie zamieszkamy?

– Apartament Magdy stoi wolny. Gdybyście zechciała...

– Dobrze – powiedziała niespodziewanie. – Dajcie mi trzy dni do namysłu.

Lange skłonił się i wyszedł, rzucając przelotne spojrzenie na dzieci. Teraz był już prawie pewien. Żadne nie wydawało się do niego podobne, ale nie miało to znaczenia. Troską przejmowało go to, że Cecylia bardzo się zmieniła. Straciła świeżość, jej rysy się wyostrzyły, na twarzy pojawiły się pierwsze zmarszczki, posmutniała. Taka jak teraz nie pasowała do jego planu. Wierzył jednak głęboko, że gdzieś pod zmęczeniem, zniechęceniem i obojętnością tli się ów dawny żar, który go tak w niej pociągał i który sprawiał, że gdziekolwiek się pojawiała, ludzie zwracali na nią uwagę. Ta ciąża była niepotrzebna, nie sądził, że nastąpi tak szybko, dzieci to zawsze balast. W dodatku Jandźwiłł, ta kutwa, poskąpił posagu. Bez tych pieniędzy wszystko będzie trudniejsze.

Strasz, ukryty w ciemności, czekał, aż Lange wyjdzie od Cecylii, i gdy tylko to nastąpiło, kazał się zaanonsować. Nie czekając na jej zgodę, wszedł niemal natychmiast. Wydała mu się odmieniona. Cóż takiego powiedział ten łajdak?

– Pani... – zaczął nieśmiało.

– Cóż, mój Strasz? – odrzekła z dumą w głosie i spojrzała na niego wzrokiem pełnym dawnej wyższości.

– Przyszedłem was przestrzec przed pochopną decyzją.

– W jakiej sprawie?

– Nie wracajcie do Warszawy!

– Czyż nie jestem winna mężowi posłuszeństwa? Wszak mu przysięgałam!

– On was nie kocha! Od początku chciał was wykorzystać! To oszust, skrechowany do cna! Nie zapewni wam ani waszym dzieciom należytej pozycji.

– Muszę zapytać kasztelana, czyim pomysłem było to, abym wyszła za Nepomucena Marię. Kto sprawdzał jego stan majątkowy i namawiał mego ojca do tego mariażu? Nie wy przypadkiem?

Strasz, wpatrzony w Cecylię jak w obraz, drżał. Wierzył, że nie jest za późno, żałował, że pozwolił kasztelanowi tak niesprawiedliwie potraktować córkę. Może gdyby uprosił go o łagodniejszą karę, nie myślałaby dziś o wyjeździe z Turowa? Jeśli pozwoli jej opuścić zamek, wszystkie plany obróć się wniwecz!

– Dajcie mi działać! Potrzebuję trochę czasu. Zgódźcie się na rozwód, nie wyjeżdżajcie, błagam! Zrobię dla was wszystko! Rozkazujcie! – zagalopował się.

– Chcę odzyskać mój dwór. Masz wyprowadzić stamtąd ludzi kasztelana i w ciągu trzech dni oddać mi klucze.

– Tak się stanie!

– Chcę dostać klejnoty po mojej matce.

– Są w skarbcu! – próbował protestować.

– Do którego ty masz klucz.

– Nie godzi się...

– Chcę też mój posag.

– Pani, to niemożliwe...! – jęknął przerażony.

– Wypłacisz mi go sam, bez wiedzy ojca. I mnie, nie Langemu.

Jeśli to zrobisz, być może uwierzę w twoje dobre intencje i rozważę twą propozycję. Masz na to trzy dni, po upływie tego terminu naszą umowę uznam za niebyłą.

XXXV

Dzięki kilku zwycięskim potyczkom, w których wraz ze swoim oddziałem złupił niewielkie podjazdy Moskiewskich, podstarości Kacper Hadziewicz miał już nieco więcej broni i amunicji, ale gdyby przyszło do regularnej bitwy, musiałyby się salwować ucieczką lub swe wojsko poddać. Nie upadał jednak na duchu, zwłaszcza od kiedy w okolicy pojawił się strażnik polny Paszkowski.

– Powiadają, że waść Brześć z sukcesem szturmował i na wdzięczność brześcian zasłużył? – dopytywał się zaintrygowany.

– Odważnie, bo tam twierdza mocna i wojska pełna!

– Całkiem inaczej to było. Dla Pocieja, regimentarza generalnego, i Ogińskiego, marszałka konfederackiego, arcyważne listy wiozłem, któreśmy w Litwie wszyscy podpisali, że się przy królu Stanisławie opowiadamy. Znaczną miałem dywizję i kiedym już dotarł do Czarnawczyc, posłałem ku Brześciowi Korsaka, rotmistrza nowogródzkiego, aby sprawdził, jakie nastroje panują w mieście. Ten zaś natknął się pod Tuchiniczami na Tyszkowskiego. Niby go pokonał, nie zauważył jednak, że jego sługa umknął z pola bitwy i straże w Brześciu powiadomił. A tam, jak sami miarkujecie, wojsk co niemiara moskiewskich i litewskich stało: kilka regimentów konnych, gwardia litewska i na dodatek pułk przedniej straży pod księciem Wiśniowieckim. Chciałem ja Brześć najechać, ale przodem się rzucił Zabiello i stanął oko w oko ze znacznym podjazdem wroga. Dzielnie się z nim ścierał, kiedym nadszedł, tyle że z całym moim wojskiem nie dałbym im rady, toteż ująć musieliśmy. Las klennicki mając za sobą, byliśmy cudem uwolnieni, albowiem wróg, zasadzkę podejrzewając, od szturmowania odstąpił. Poruszyło to księcia i goniąc nas, z Brześcia odszedł, a za nim i Moskiewscy. Tak więc mowy o obłężeniu żadnej nie ma, ale żeśmy Brześć od Moskwy uwolnili, to szczerą prawdą.

– Każdy sposób dobry. A teraz to wojsko Wiśniowieckiego gdzie?

– Krąży po Litwie, niewielkie oddziały konfederatów rozbijając.

Cała pociecha w tym, że ciężkiemu oddziałowi trudniej po lasach przemykać niż małym, bo i broni więcej, i tabory ciągnie za sobą. Ufam,

że nim dojdzie do walnej bitwy, skruszymy trochę tę potęgę! – chełpił się Paszkowski, ale Hadziewicz dalej siedział zasępiony.

– Nadal wiele jej zostaje, a u nas dowodzenia braknie i koordynacji, że o broni i munderunku nie wspomnę.

– Waść w ponurym nastroju, jak widzę, całkiem zbytecznie. Osobiście wierzę, że nam się uda przegonić Moskwę i na tronie króla Stanisława znów posadzić! Wielu zginie, nie przeczę, może my obaj nie obaczym zwycięstwa, ale wszak za kraj krew przelewamy! Oby tylko jeszcze więcej obywateli do nas dołączyło, bo siedzą po domach, leniąc się, oziębli wobec sprawy narodowej.

– Nie ma się co dziwić. Szlachta boi się rabunku swoich majątków, bo zawsze kiedy wojna, zawieruchy wielkie się tworzą i porządek przed siłą ustępuje – wyjaśnił podstarość. – No i koszty wojowania trza zliczyć, to już nie przelewki.

– Wszak duchowni, osoby starsze i wdowy tylko po jednej osobie z dymu mają dostarczyć, a to nie tak wiele!

– Jednak we flintę wyposażyć, parę pistoletów, katankę oraz prowiant i pieniądze na dwa miesiące już kosztuje немало! A jeśli we wiosce dwadzieścia albo więcej dymów, to się robi bardzo dużo, zwłaszcza na przednówku.

– Widzę, żeś do wojaczki serce stracił! Nie takim cię pamiętam! Król przez nas wybrany, Stanisław Leszczyński, deputację naszą w Gdańsku przyjął i pismo do szlachty litewskiej wystosował, zachęcając do wytrwałości i nieżałowania własnej fortuny dla obrony ojczyzny! – obruszył się Paszkowski.

– Król w Gdańsku oblężony siedzi i o świecie bożym nic nie wie. Stracić fortunę dla dobra ojczyzny łatwo, kto mi jednak da pewność, że król się po mej śmierci zajmie rodziną w biedzie pozostającą?

– Hola, toście się ożenili?! Kiedy?! Z kim?! Pogratulować by wypadało, a jam niczego nieświadom!

– Nie, jeszcze nie, ale zamierzam, rychło już zamierzam. Stąd moje troski wynikają – uczciwie przyznał Kacper.

– A z kimże?

– Z miecznikową Niezgodzką.

– To dlategoście tacy przybici. Tęsknota was zżera. Co innego ci,

co się ze swych pieleszy radzi wyrwali, tym konfederacja jako przygoda się jawi.

– Rozumiem, że to mój obowiązek i w nim wytrwam, ale tam dwór miecznikowej spłonął i wiem, że bym się przydał, a tu ni porządku, ni karności, ni sensu żadnego. Aż wątpić zaczynam, po cośmy tę konfederację wywoływali, bo się tylko wykrwawim, a z trupów pożytku nie widzę.

– Nie radzę wam, podstarości, z takimi myślami przed resztą towarzyszy się zdradzać, bo jeszcze was za wroga uznają i pod sąd postawią! – poważnie ostrzegł Paszkowski. – Jam nic nie słyszał, ale pomyślcie dwa razy, zanim się po raz drugi komu zwierzycie.

Kiedy strażnik polny z namiotu wyszedł, Kacper zadumał się przez dłuższą chwilę. Położenie zdało mu się niewesołe, a wygrana wielce wątpliwa. Jedyna pociecha, że swoje sprawy przed wyjazdem uporządkował. Chociaż i to niepewne, bo w razie jego śmierci kasztelan ani chybi przeciwko Zofii wystąpi, a efekt tego starcia możliwy jest do przewidzenia. Chcąc wrócić i zaznać słodczy małżeństwa, powinien być ostrożny, a to nie tylko nie leżało w jego naturze, lecz kłóciło się wręcz z honorem i tym wszystkim, w co do tej pory wierzył.

Hadziewicz westchnął i wyszedł z namiotu. Słońce zachodziło za lasem, na niebie różowiały lekkie chmurki. Przynajmniej pogoda sprzyjała konfederatom. Pod drzewem siedział Witek, smutny czegoś.

– Coś taki zamyślony, jakbyś ojca, matkę postradał? – zażartował podstarości.

Witek poderwał się na równe nogi, wyprężył, jakby musztrę ćwiczył, i rzekł poważnie:

– Melduję, że Prot zaginął.

– Co ty pleciesz? Jak zaginął?

– Wstyd wyznać, ale nie wiem. Po ćwiczeniach jeszcze był, a potem już go nie było. Na wieczerzę nie przyszedł.

– Może poszedł wnyki zastawić? Przynosił czasem zająca...

– Nie podoba mi się ten chłopak. Chodzi, gdzie chce, nikomu się nie opowiada. I co z tego, że raz czy drugi przyniesie zająca albo kuropatwę? Kto wie, dokąd łązi? Rozbisurmanił się i tyle. Już dawno powinniśmy go ukarać za nieposłuszeństwo, ale jaśnie pan go chroni.

Czemu niby? Czy on z innej gliny ulepiony niż my wszyscy?

– A ty ciągle krzywo na niego patrzysz! Nie pora już by było złości zaniechać?

– Dobrodziej myślą, że ja zazdrość czuję, że on przede mną u waszmości?

– A tak nie jest?

– Owszem, nigdy nie miał tylu forów, ale może to już taka kolej rzeczy, że zdrajcy wyżej są wynagradzani od wiernych sług! – fuknął Witek.

– On zdrajcą? Gdzie dowody?

– Nie naszym, Jandźwiłowym. Mówił wszak ów grandmuszkieter, że kto zdrady raz posmakował, ten się przed nią nie cofnie.

– Wiernyś mi od dawna, wiesz, że cię szanuję i lubię, ale nie pozwolę, by ktokolwiek narzucił mi ocenę moich sług! Będę ich sądził według mojego własnego rozumu. Zaniechaj złości i otocz chłopaka opieką, o to cię tylko proszę.

– Kiedy wróci łaskawie, bo wszak się nie odmeldował, stanowisko porzucając.

– I nie karz go zbyt surowo – dodał podstarości.

Już odwracał się, aby wejść do namiotu i list do miecznikowej skreślić, gdy od strony lasu krzyk przeraźliwy usłyszeli. Niczym goniony przez wilki, pędził ku nim, machając rękoma, rzeczony Prot.

– Wiśniowieccy, Wiśniowieccy się zbliżają! Alarm! Alarm! Do broni!

Rzucili się wszyscy do flint, do pistoletów, co tam który miał. Wybiegli na plac i zbili się w kupkę ciasną. Za chwilę usłyszeli tętent koni, a na polanę wjechała przednia straż oddziału Wiśniowieckiego. Rozpoczęła się strzelanina, rąbanie szablami, walka na piki, sierpy i drągi. Oddział do stu ludzi liczący był znacznie liczniejszy i lepiej uzbrojony od Hadziewiczowego, jednak konfederacy nie zamierzali tanio sprzedać skóry. Podstarości na koniu dowodził i choć rąbał dzielnie, wiedział, że sił mu nie starczy. Po prawicy miał Witka, który gdy nabojów w pistolecie zabrakło, wyciągnął szablę i ciął nią równo po łbach wroga. Nigdzie jednak nie widział Protą. Szala zwycięstwa przechylała się powoli na stronę przeciwnika. Raz po raz któryś głośnym

zawodzeniem lub cichym jękiem z życiem się zegnał. Podstarość zrozumiał, że być może wybiła jego ostatnia godzina, i pomyślał z żalem, że listu pożegnalnego do Zofii nie zdążył napisać, gdy nagle z krzykiem i łoskotem na polanę wpadli ludzie strażnika polnego Paszkowskiego.

Teraz nie było już wątpliwości, że szanse się wyrównały. Wzmocniony oddział zyskał nowego ducha i powoli zmniejszał przewagę wroga. Rzeczywiście Wiśniowieccy jeden po drugim padali, kilku zawróciło nawet i z pełnym impetem wpadli w las, a za nimi poszli następni.

– Po posiłki zdążają! – krzyknął Paszkowski. – Gońmy ich!
– I pędem ruszył w ślad za umykającymi.

Tuż za nim mknął podstarość, Witek i tych kilku, którzy mieli konie. Ujechali może z ćwierć mili, jednak zrozumiałszy, że niespodziewanie mogą się natknąć na większy oddział, zawrócili.

– Gdyby nie wasza pomoc, już by po nas było! – wydyszał Kacper.
– I gdyby Prot nas nie ostrzegł! – kwaśno stwierdził Witek.

XXXVI

Zofia zakazała matce wspominać komukolwiek, że ma w posiadaniu weksel kasztelana. Trochę nawet żałowała, że w przyływie radości zawierzyła jej ten sekret. Cześnikowej mogło się wyrwać jakieś zdanie, które dotarłszy do Jandźwiłła, gotowe jeszcze zniweczyć zaskoczenie, a w nim właśnie Zofia upatrywała swą największą broń. Bolało ją, że nie ma kogo poprosić o radę, ale w tej sprawie pozostawała niezłomna. Weksel stał się również jej tarczą, na wypadek gdyby Strasz próbował wracać do kwestii rzekomych długów cześnika. Teraz, kiedy na jaw wyszło fałszowanie ksiąg, bo wszak pisarz kasztelana takich rzeczy sobie nie wymyślił, Bóg jeden wie, jakie jeszcze podrobione dokumenty ujrzą światło dzienne? To trochę niepokoiło miecznikową, bo wszak mogła się spotkać z oskarżeniem, że sama takiego pisarza wynajęła, skoro tyle lat po śmierci męża przedstawia nagle niewykupiony od pięciu lat weksel.

Jedynym zaufanym, który mógłby rozwiązać jej wątpliwości, był Szmul. Zofia niecierpliwie czekała na jego wizytę w Grodzie Orłowym, tak sobie układając zawczasu pytania, aby i on nie mógł poznać prawdy.

– Powiedzcie mi, Szmulu, bo w głowę zachodzę, gdyby tak kasztelan miał jakie dawne weksle mojego ojca, czy mógłby mnie zmusić do ich wykupienia, jeśli ich termin minął? – zapytała, gdy tylko zostali sami.

– Myślę, że tak, łaskawa pani. Weksel jest weksel.

– A gdybym odmówiła zapłaty?

– To by było nieładnie, pani miecznikowo, bo weksel to sprawa honorowa.

– A w przypadku, gdybym nie miała pieniędzy, co mój wierzyciel może z takim wekslem zrobić?

– Choćby odsprzedać go jakiemuś Żydowi. Oczywiście ten Żyd dużo nie da, może dwadzieścia procent od sta, ale jeśli wierzyciel stracił wszelką nadzieję, to i dwadzieścia procent dobre.

– Zapewne – powiedziała zamyślona. – Czy wy skupujecie weksle?

– Ja bym miał weksle cześnika kupić i wam je do wykupu

przedstawić?! No, to już bym chyba musiał być w wielkiej biedzie. Ale za innych nie ręczę. Jaki Żyd brzeski czy kobryński może się tu kiedyś pojawić.

– Nie myślałam o wekslach mego ojca, bo niczego niepokojącego w księgach nie znalazłam. A wam się wydaje, że mógł mieć długi?

– Pani dobrodziejko, długi może mieć każdy. Im większy pan, tym większe długi, bo u niego duża majątność i duży kredyt, więc nikt mu pieniędzy na procent nie pożałuje.

– A nasz kasztelan ma długi?! Mówią, że on bogaty – rzuciła od niechcienia.

– Nasz kasztelan to jest wielki pan! Ale też dużo potrzebuje, aby zamek i drużynę swą utrzymać.

– Mówią, że u niego skarbiec pełen złota.

– Po co własne złoto wydawać, jeśli kto chciałby dać na procent? A kiedy da, to już jego zmartwienie, nie kasztelana, żeby swoje odebrać. Bo z kasztelanem zadrzeć, oj, pani dobrodziejko, z kasztelanem zadrzeć to odwagi mieć trzeba niemało! Dlatego pożyczający nie proszą o zwrot, tylko jakiej się innej przysługi dopominają, urzędu albo przywileju.

– A wy, gdybyście taki weksel mieli, a kasztelan nie chciałby z wami rozmawiać o wykupie, to co byście zrobili?

Szmul uważnie popatrzył na Zofię. Nie bez powodu drążyła ten temat. Nie trzeba mu było tłumaczyć, aby w lot zrozumiał: miecznikowa jest w posiadaniu weksła podpisanego przez kogoś z rodziny Jandźwiłłów.

– Ja bym, pani miecznikowo, poszedł z takim wekslem do jego największego wroga.

Zofia popatrzyła na Żyda uważnie: chyba powiedziała za dużo. Tym bardziej nie mogła się teraz domagać lojalności i prosić, aby Szmul zachował wiadomość dla siebie. W ten sposób tylko by potwierdziła słuszność jego domysłu.

– Cóż... – Uśmiechnęła się, chcąc zmienić temat. – Szkoda, że go nie mam. Bardzo by mi się teraz przydał.

– Nie ma czego żałować. Z kasztelanem nikt jeszcze nie wygrał ani mu swoich pieniędzy nie wydarł. Siłą nie sposób, a sądy, jakie są, każdy widzi.

– To prawda. Takie rzeczy tylko po dobroci – rzekła Zofia, czym wywołała jego kwaśny uśmiech.

– Szczęśliwy, kto w baśni wierzy!

Nie kontynuowali już tematu weksli. Zofia dowiedziała się, czego chciała. Musiała przemyśleć sprawę w spokoju. Nie miała przecież pojęcia, kto jest największym wrogiem kasztelana i czy zdoła do niego dotrzeć. Dlatego nie śpieszyła się z ujawnianiem weksła, czekając na odpowiednią okazję. Na razie musiała jej wystarczyć odzyskana godność.

Następnego ranka wybrała się do Złotego Mostu, aby zobaczyć, jak postępują prace przy odbudowie dworu. Przekonana, że wkrótce wszystkie kłopoty się skończą, patrzyła z radością na majową zieleni i pola zapowiadające obfite plony. Kiedy przed południem dotarła na miejsce, zauważyła dziwny ruch na podwórzu. Kilka koni było jak przytroczonych do drzewa rżało nerwowo, jacyś obcy ludzie szarpali się ze służącymi, nie zwracając uwagi na jej przybycie.

– Co tu się dzieje?! – zawołała.

– Rekwizycja! – krzyknął wysoki i chudy jak szczapa szlachcic.

– Co za rekwizycja?! Jakim prawem?!

– Prawem konfederacji – pierwszego wsparł drugi.

– Nie widzisz wasze, że się spaliła? Z czego jeszcze chcesz mnie ograbić?

– Na polu dwa stogi słomy, zabieramy jeden. Dajcie trzy wozy jako podwodę.

– Ani mi się śni! Żadnych podwód ani zgody na rabunek nie daję! A jeśli się nie wycofacie, to was chłopci kijami pogonią. Jam ślubowała za Augustem, legalnego króla mamy, a wy nielegalnie haracz pobieracie!

– Pani chcesz chyba po raz drugi spłonąć, kiedy ci się już uda dwór z ruiny podnieść! Tak właśnie karzemy tych, co się prawego króla zaparli.

– Nie straszcie mnie, panowie, bo to próżny trud. Jeśli zabierzecie połowę słomy, niewiele mi zostanie, ale jakoś to przeżyjemy, zaraz sianokosy i żniwa. Ale rekwizycja obudzi w nas niechęć, a może i nienawiść do konfederacji i sprawy, o którą walczyacie. Zważcie na swe

zachowania, bo się zaraz cała Litwa przeciwko wam obróci!

– Co nam po waszej sympatii, skoro wy Augustowa stroniczka?
– prychnął chudy szlachcic. – A kur nie ma? Albo kaczek?! – zawołał w głąb podwórza. – Piwa chyba nie poskąpicie? – zwrócił się do Zofii, jakby nigdy nic.

– Rabujecie mnie w biały dzień i jeszcze się piwa domagacie?! Nawet gdybym miała wylać je do rzeki, tobym się z wami nie podzieliła!

– A czy dobrodziejka wystawiła po jednym człowieku z dymu na potrzeby konfederacji? – zapytał drugi szlachcic, popatrując w jakieś papiery.

– Nie wystawiłam i nie wystawię, boście władza nielegalna!

– Jak: nielegalna?! Sejmik województwa zatwierdził daniny na milicję obywatelską, czyście nic o tym nie słyszeli? Uniwersały były rozesłane, żeby jedną osobę z dymu wyposażyć i do konfederacji posłać.

– A jakże to sobie waszmoście wyobrażają? Że jedną rękę trzymając nad Biblią, aby zaprzysiąc wierność Augustowi, drugą będą wam zapasy z piwnic wydawać dla wojsk Stanisławowskich?

– Mówili, że nam sprzyjacie.

– Bo to prawda. W duszy i w sercu. Alem już przysięgła, a wy zmuszacie mnie do łamania przysięgi. Zważcie na moje trudne położenie. Straciłam niemal cały dobytek, jak mam nie bronić tej nędznej resztki, która mi została?!

– Każdy się tak tłumaczy, kiedy do danin na dobro narodowe przychodzi. Wszyscy nagle chcą uchodzić za biednych! Albo się spalili, albo ich kto obrabował, podatki dla nich za wysokie, a prawo zbyt twarde. A wolność kosztuje!

– Prawda, kosztuje, ale tylko słabych i bezbronnych. Bo gdybym tu dziś mogła postawić choćby mały oddział, toby waszmościowie tak ochoczo nie weszli i do rekwizycji się nie zabrali. Druga strona przynajmniej do sąsiedków mi nie zagląda.

– Druga strona się wrogiem naszym wsparła i Moskwa za nią wojuje.

– To żadna nowina, bom od niej spalona, ale o to mniejsza. Nie szukam pociechy.

Na te słowa zza krzaków wybiegł uradowany sługa któregoś

z owych szlachciców. Śmiejąc się od ucha do ucha, szarpał za sznurek, ciągnąc krowę schwytaną na pastwisku. Ale tamtych dwóch jakoś się zreflektowało.

– Zostaw krowę, Jędrek! – rzekł chudy szlachcic. – Ale słomę zabieramy. Takie prawo konfederacji.

XXXVII

No i masz! Już nawet w Lewartowie wiedzą, że mam wyrodnego syna! – zdenerwował się kasztelan, czytając list od Stanisława. – A coś ty taki... Strasz! Nie słuchasz mnie!

– Słucham, panie, słucham! – odpowiedział sekretarz, choć w rzeczy samej błędził myślami gdzie indziej.

– Jan w Gdańsku pod uzurpatorem walczy! Spodziewałeś się czegoś takiego? To poważna sprawa.

– Zawsze możecie, panie, wydziedziczyć starszego syna, młodszego ustanawiając jedynym spadkobiercą.

– Jest jeszcze Cecylia.

– Tu bym się nie śpieszył. Póki ten Lange się przy niej kręci.

– Jak to: kręci? Wszak mąż!

– Małżeństwo można unieważnić. Zdaje się kasztelanka byłaby nie od tego, a i on sam głośno się dopominał.

– A na co mi to potrzebne? Jeśli ją chce bez posagu, niech zabiera. Widać taki mój los, że się dzieci przeciwko mnie musiały opowiedzieć. Nigdy bym nie pomyślał, że takiej hańby dożyję!

– Jaka to hańba? Takie czasy.

– Hańba, hańba! Gdyby kasztelanowa, świętej pamięci, żyła jeszcze, może sprawy nie zaszłyby tak daleko? Dałaby mi jaką dobrą radę albo dzieciom uświadomiła ich powinności. Teraz nie ma odwrotu. Com zaniedbał? Gdzie popełniłem błąd, że się tak niewdzięczne okazały?!

Strasz nie był skory do rozmowy, bo myśli miał zajęte Cecylią. Zastanawiał się, czy proponując mu umowę, rzeczywiście zamierzała dotrzymać jej warunków? O, gdybyż mógł mieć pewność! Nie czekałby ani chwili z ich spełnieniem. Kiedy jednak w uniesieniu i radości wyszedł od niej, zrozumiał, że ona chce go jedynie zdyskredytować wobec kasztelana. Czy gdyby jej dał górę pieniędzy i kosztowności, zostałaby w Turowie? Mało prawdopodobne. A jeśli odmówi jej prośbom i nie spełni żadnego z warunków, czy zrezygnuje z wyjazdu, pozostając na zamku, czy tym prędzej go opuści? Mógł być pewien jej

zachowania tylko wtedy, gdy znajdowała się pod kluczem. Oddając jej wolność, tracił wszelką kontrolę. Cóż ona planuje? Co zamierza? Nie kochała Langego, to pewne, ale może był ktoś, do kogo tęskniła? Może dając pieniądze, tylko przyspieszyłby jej wyjazd? Kto jest ojcem dzieci? Chyba nie Rabiński? Jak spełnić warunki umowy, jednocześnie uzależniając ją od siebie, aby nie chciała się ruszyć z Turowa?

– Strasz, ty mnie nie słuchasz!

– Słucham, jaśnie panie.

– Więc radźże coś!

– Kasztelan ostatnio zrobił się zbytnio pobłażliwy.

– Tak sądzisz?

– Te gesty dobrej woli zostały opacznie zrozumiane. Córka wasza, ledwieście ją w łaskawości swojej do wspólnego stołu dopuścili, już marzy o stolicy, powrocie do męża, który dla was nie ma za grosz szacunku.

– Nawet nie wspomniał o posagu.

– Na razie. A jeśli się królowi poskarży?

– Nie śmie!

– Trzeba zrobić coś takiego, co przeważałoby wszystkie jego zasługi.

– Co niby?

– Stanąc w polu – spokojnie powiedział Strasz, a oczy kasztelana aż wyszły z orbit.

– Z moją podagrą?! Odwykłem od siodła!

– Panie mój, zrozumcie, że idzie nie tylko o zięcia i o dzieci, które wszelkich zasad poniechawszy, swym zachowaniem imię wasze na szwank narażają. Idzie o cały powiat, który się od was śmiał odwrócić. Jeśli nie przywołacie niepokornych do porządku właśnie teraz, okazując swą potęgę, to kiedy?

– W majestacie prawa pozbyć się takich Hadziewiczów, Szuksztów, Kociembów, ech!... – rozmarzył się Jandźwiłł.

– A wdowy głów nie będą podnosiły.

– Chyba że wezmą przykład z miecznikowej.

– I z nią sobie poradzimy. Tymczasem musicie koniecznie ruszyć do Brześcia. Stacjonuje tam kilka regimentów konnych, gwardia

litewska i pułk przedniej straży. Oddacie się pod komendę księcia Wiśniowieckiego. Krzywda się wam żadna nie stanie, a swą gotowość zademonstrujecie.

Kasztelan pokiwał głową i westchnął ciężko. Czuł widać konieczność, ale ochoty mu brakowało.

– Nigdy bym nie pomyślał, że w moim wieku będę się musiał na takie przygody rzucać. Com ja, młodzik nieopierzony?!

– A cóż to za wiek?! – bagatelizował Strasz. – Po powrocie jeszcze potomka spłodzicie.

– Ani słowa! – krzyknął kasztelan, niczym ugodzony żelazem.
– To temat zamknięty raz na zawsze! Nie śmiej mi do niego nigdy wracać! Zrozumiano?!

Sekretarz skłonił się z pokorą i odczekał dłuższą chwilę.

– Do Brześcia możecie pojechać kareta. Wygodniej będzie – rzekł, chcąc załagodzić złe wrażenie, jakie wywołał, mimowolnie wspominając kasztelanową. – Zostawicie mi plenipotencje i jaką niewielką załogę, to dopilnuję tu naszych spraw.

Tadeusz Jandził zagryzł wargi i pozostawał w milczeniu. Strasz ma słuszość, trzeba walczyć o nadwątloną pozycję, a nic tak nie opromienia rycerza, nic mu nie daje takiej mocy, jak zwycięstwo w bitwie. Gdyby miał przy sobie synów, ich by wysłał, a tak mus samemu stawać. Zresztą może to i lepiej, wspólnie przelana krew zbliży go z Wiśniowieckimi i Radziwiłłami, nawet jeśli będzie to tylko krew jego żołnierzy.

– Napisz do Wiśniowieckiego, że gotów, i zapytaj o rozkazy
– burknął bez entuzjazmu. – I wezwij mi dowódcę chorągwi zamkowej. Trzeba sprawdzić, czy się nie ośmieszę, wiodąc ją do walki.

Strasz aż się dziwił łatwości, z jaką udało mu się nakłonić kasztelana do stawienia czoła konfederacji. Niemniej pozostawał czujny. Natychmiast napisał list i na nic nie czekając, wysłał sługę do księcia Wiśniowieckiego. Gdyby kasztelan chciał zmienić zdanie, musiałby się gęsto tłumaczyć, czego zapewne wolałby uniknąć. Książę to nie jakiś byle zaściankowy szlachetka, złamanie obietnicy mogłoby Jandziłła wiele kosztować, zatem pewnie nie zaryzykuje. Odwlecze swój wyjazd

do Brześcia, jak się da najdłużej, ale musi wyruszyć, aby nie złamać wyrażonej w liście obietnicy. To doskonała i niezwykle wygodna okoliczność.

Zakręciwszy się na pięcie, Strasz skręcił w boczny korytarz, wspiął się na drugie piętro i minawszy kilkoro drzwi, zapukał do apartamentu kasztelanowej.

– Jak się dziś miewacie, pani?

Flora Jandźwiłł leżała w łóżku. Błada niczym chusta jej twarz świadczyła o złym samopoczuciu. Spojrzała na niego zmęczonymi, zaczerwienionymi oczyma.

– Dziękuję, lepiej.

– Przyszły listy z Lewartowa. Książę Lubomirski pyta o wasze zdrowie.

– Podziękujcie księciu za pamięć – rzekła, nie patrząc na niego i nie pytając, czy jakich innych wiadomości nie ma.

– Książę kasztelanica naszego wyróżnił, przyjmując go pod swą komendę – dodał Strasz, a ona nie zareagowała. Tylko mocniej zaciśnięta dłoń, w której Flora trzymała chusteczkę, potwierdziła Straszowi to, czego się i tak od dawna domyślał.

– Pani, możecie wracać do swego majątku – oświadczył Strasz i z biciem serca czekał na odpowiedź Cecylii. Ona jednak zwlekała.

– Czy mam wydać jakieś dyspozycje? – zapytał, nie wiedząc, jak rozumieć jej milczenie.

– Nikogo poza służbą nie ma w Szymankach?

– Nikogo. Klucz pozostaje u ochmistrzyni. Co zaś się tyczy dwóch pozostałych życzeń...

– Zbyt są wygórowane – uprzedziła jego odpowiedź.

W tej samej chwili, podciągając spodnie, zza zasłony skrywającej łoże wyszedł niekompletnie ubrany grandmuszkieter Kettler. Osłupiały Strasz przyglądał mu się przez chwilę, ale w końcu tylko skłonił głowę i wyszedł. Kasztelanica klasnęła i uśmiechnęła się szeroko.

– To mi się udała sztuczka!

XXXVIII

Kat z obraźnikiem niedługo zabawili w Kobryniu. Miasto wydawało się zbyt małe dla ich ambitnych zamierzeń. Siedząc w karczmie i popijając cienkie piwo, planowali znaleźć takie zajęcie, które nie wymagałoby wielkiego wysiłku, a przyniosło godny dochód. Chcieli poznawać inne miasta, obcować z kobietami bez konieczności żenienia się, słowem: pozostać wolnymi niczym ptaki.

– No i nie skończyć na szubienicy! – dodał po krótkim namyśle kat.

– Zatem musimy być szybsi od tych, których okradniemy!

– Obrażnik zarechotał.

– A gdybyśmy tak prawdziwymi obraźnikami zostali? – rzucił od niechcienia kat. – Ludzkie uznanie i szacunek, wędrowki po całym kraju, robota czysta i zasługa na tamtym świecie, czego chcieć więcej?

– Nie mamy grosza, aby się ubrać, kupić obrazy i inne świętości, a wejść w drogę takiemu to nie daj Boże. Gotów cię obić tylko za to, żeś miasteczko albo wieś w obrazy święte przed nim zaopatrzył.

– Idą sianokosy, to może przy jakim dworze się najmiemy?

Obrażnik popatrzył nań z politowaniem.

– Tyrać dla żadnego pana nie zamierzam. To już przed kościołem lepiej zasiąść i rękę po grosz wyciągać. Ale z moim pomysłem i twoim, kacie, doświadczeniem, nam lepsze życie sądzone.

– To może wrócić do Winnicy? Przed kasztelanem na kolana paść, w dłoń ucałować, katownię znów wziąć w dzierżawę. Nadałbyś się jako pomocnik.

– Nie mówiłeś aby, że z tego ostatnio był marny zysk?

– Bo mnie przeklęła wiedźma, taka jej mać! Ale od kiedym cię spotkał, jakby odstąpiła, może lepiej by szło?

– A jeśli nie odstąpiła, tylko przyczajona czeka, aż do Winnicy wrócisz?

Kat zmarkotniał.

– To może być. Wiele tam ona szkód uczyniła. Harda była sztuka za życia i nie zmieniła się po śmierci. Kto by pomyślał, że tak się

wszystkim wieść przestanie? Ale kiedy sobie wspomnę ten rynek winniczy pełen gawiedzi, jak to się tłoczyło, byle tylko bliżej stanąć i widzieć wszystko na własne oczy. Jakem tak zwlekał z daniem znaku, a oni czekali, przestępując z nogi na nogę w zimnie albo skwarze, wstrzymywali oddechy i wpatrywali się we mnie i w tego, com go miał za chwilę na tamten świat wysłać, to nie uwierzysz, alem się czuł równy kasztelanowi!

– Nie dziwota! – rzekł obraźnik.

Szli w kierunku Brześcia, bowiem uznali, że skoro na Litwie konfederacja się z Moskwą ściera, w Koronie może będzie spokojniej. A tam, gdzie spokojniej, ludzie chętniejsi, aby grosz żebrakowi rzucić. Pogoda sprzyjała wędrowce. Słońce świeciło, podmuchy lekkiego wietrzyku łagodziły skwar. Szli wzdłuż rzeki Muchawiec, więc i popasać było gdzie. Na polach chłopci uwijali się, ocierając pot z czoła i zazdroszcząc dwóm wędrowcom, których nikt nie poganiał batem ani słowem. Kat z obraźnikiem, usiadłszy w cieniu nad rzeką, posilali się resztkami suchego chleba, który kupili w oberży. I nagle, nie wiadomo dlaczego, od pola zaczęli ku nim biec z widłami jacyś ludzie. Gdyby nie przytomność kata, który krzyknął do leżącego druha:

– Prać nas chcą! W nogi! – Byliby pewnie zdrowo oberwali.

Dla bezpieczeństwa przeskoczyli na drugą stronę rzeki. Złamali po gałęzi i czekali.

– Nie deptać trawy, łachudry! – krzyknął jeden z chłopów.

– Takie małe, a takie wściekłe! – odciął się obraźnik, jako że chłopina był rzeczywiście nikczemnego wzrostu.

Nie było to mądre, bo ramię w ramię stało jeszcze paru drągali, chętnych do bitki, a może nawet i zabijania.

– Jeśliście tacy skorzy do bicia, to się do wojska zaciągnijcie, ciury jedne! – krzyknął kat, otrząsając się z wody. – Taka u was gościna?

– A spróbuj przejść jeden z drugim na tę stronę, to gnaty połamiemy! – Mały człowieczek potrząsnął kijem i odwrócił się do pachołków. – Wracać na pole! – Ale to im widać nie w smak było, bo się jeszcze jakiś czas ociągali, nim po kolejnym rozkazie obrócili się i do swych obowiązków poszli.

– Taki to u nas naród nieużyty! – Obrażnik westchnął ciężko.

– Cośmy im wadzili?

– Nic. Pan kazał gonić włóczęgów, to gonią.

– Przecie my nie włóczęgi!

– Ale ludzie luźni. Siedzimy nad rzeką, chleb pogryzając, kiedy oni w skwarze muszą pańszczyznę odrabiać. Z samej złości bym takiego obił – rzekł kat i zdjął mokre portki, żeby je wyżyć i rozwiesić na krzaku.

Tym razem, bojąc się kolejnej napaści, nie pozwolili sobie na drzemkę. Kiedy tylko portki kata podeschły, ruszyli w dalszą drogę i przed zmrokiem dotarli do Brześcia.

Wbrew ich oczekiwaniom w mieście panował dziwny spokój. Po ulicach nie włóczyli się obozujący w forcie moskiewscy żołdaci, nie przepijali żołdu w brzeskich karczmach i nie tracili pieniędzy w lupanarach. Rynek wydawał się dziwnie ospały. Z otwartych drzwi oberży wytoczył się pijany szlachcic i odlał wprost pod nogi umykających co prędzej mieszczek. Tu i ówdzie kręcili się śpieszący za interesem Żydzi. Stojące przed domem uciech gamratki, wyginając się, prezentowały gibkość swych ciał i zachęcały przechodniów, którzy nie reagowali, mijając je obojętnie.

Kat z obraźnikiem patrzyli na miasto i zastanawiali się, gdzie uda się znaleźć miejsce na nocleg. Na szczęście wieczór był ciepły, że choć oprzeć się plecami o ścianę i zasnąć, mogli jednak przez to mieć zatarg z miejscową strażą, która stanowczo zakazywała nocowania na ulicach. Wreszcie, mijając grupkę dziewczek ulicznych, kat zatrzymał się nagle.

– No patrzcie, toż to Walerka!

Nazwana Walerką, udając, że go nie widzi, odwróciła się do ściany.

– Idźcie swoją droga, człowieku! Nie zaczepiajcie porządnych niewiast! – krzyknęła stojąca obok dziewczka.

Kat podszedł bliżej i złapał za rękę tę, którą nazwał Walerką, zmuszając ją do spojrzenia na siebie.

– Walerka, nie poznajecie mnie?!

Odziana skąpo, bosa, potargana i brudna ładacznica próbowała się wyrwać, ale kat nie poluzował uścisku.

– Zostawcie ją, bo kogo zawołam! – srożyła się ta druga.

– Wszystkieście tu są? Jagna i Maryna też? – dopytywał się kat.
– I ów, co was zbałamucił i do ucieczki przywiódł?

– Jego nie ma! – powiedziała wreszcie Walerka.

Już się nie wyrywała, a kat patrzył na nią ze współczuciem.

– Nie wiecie się wam?

– Znów do Brześcia psie skóry przywieźliście? – zapytała, chcąc zmienić temat.

Kat rzucił przelotne spojrzenie zdziwionemu kompanowi i pokręcił głową.

– Szukamy z tym tu oto obraźnikiem jakiego kąta na nocleg. Wiele się zmieniło w powiecie od waszego wyjazdu. Jam opuścił Winnicę i moje miejsce, podobnie jak zbójca Rabiński.

– Rabiński kręci się po mieście, jurystą chce zostać, ale jakoś nikt mu swoich spraw powierzyć nie zamieruje. Widać na milę czuć go zbójcą. Gada, że jeśli klienta nie znajdzie, to do wojska wstąpi, ale leniwy jakiś, rozlazły, niechętny, jakby mu dusza zgasła.

– Pono ją w lochu kasztelańskim stracił.

– Co to się porobiło, patrzcie! – Walerka smutno pokiwała głową.

– Źle mi było u was? Roboty mało, jedzenia niby też, ale stara Katarzyna jak matka doglądała. Przyjechał ten bies i zbałamucił. Obiecywał Bóg wie co, że do Warszawy zabierze, że suknie nowe kupi, korale i trzewiki, tośmy uwierzyły. Urodziwy był i strojny, a gadać umiał, oj, umiał. I tylem Warszawy zobaczyła, że stoję tu o suchym pysku, z rzadka tylko kawałek chleba widząc. Nie patrzcie tak na mnie, bo nie zdzierzę!

– rzuciła, kaszląc.

– A wrócić nie chcecie? – zapytał.

Dziewka tylko wzruszyła ramionami.

– Bo to mam do czego?

– Wszystkich nas ta wiedźma wyгнаła! – rzekł kat ponuro i splunął. – Taka to jej zemsta.

XXXIX

Strasz jak nikt inny znał wszystkie tajemne przejścia, skrytki i zakamarki na zamku. Niektóre z nich zostały zresztą wykonane na jego zlecenie. Śledzenie służby, ale przede wszystkim kasztelana i jego rodziny oraz gości, pozwoliło mu trzymać rękę na pulsie. Jednak myliłby się ten, kto by mniemał, że sekretarz dbał jedynie o dobro rodziny kasztelańskiej. Jego oddanie Jandźwiłłom miało swoje granice i Strasz nie zrobiłby niczego, co nie służyłoby jego interesom. Tak więc nie wszystkie informacje z tych, które posiadał, docierały do kasztelana. Tadeusz Jandźwiłł nawet się nie domyślał, że grandmuszkieter, podobno kuzyn książąt kurlandzkich, a w gruncie rzeczy biedny szlachcic na służbie królewskiej, niemal codziennie odwiedza jego córkę w łożnicy.

Strasz odkrył to kilka dni po powrocie Kettlera i własnym oczom nie chciał uwierzyć. Jak szybko ten przybłęda znalazł dojście do kasztelanki! Niemal się nie widywali, jedynie przy stole, ale siedzieli zbyt daleko, aby wymienić choćby kilka zdań, jak więc to się stało, że dopuściła go do takiej poufałości? Nie mieli przecież ze sobą styczności w więzieniu, potem on wyjechał, a następnie z niewiadomej przyczyny wrócił, niby jako przyboczny Langego. Nic się tu nie zgadzało. Może Nepomucen Maria jest tylko zasłoną dymną? Bo niby dlaczego ni stąd, ni zowąd nagle przestał żądać posagu?

Sprawa między kasztelanką a Kettlerem wymagała szybkiego wyjaśnienia. Strasz wiedział, że Cecylia miewała przygody, jednak na widok wojaka w jej sypialni nie był przygotowany. Po kolacji wziął świecę i sam udał się do niewielkiej wykutej w załomie muru skrytki, gdzie mógł podsłuchać, a przy odrobinie szczęścia również podejrzyć Cecylię. Służył mu do tego polemoskop, czyli dalekowied, zmyślne narzędzie skonstruowane z kilku lusterek, tak ustawionych w drewnianym pudełku, że patrząc w nie, można było widzieć, co się dzieje w miejscu, którego nie zdołało się dojrzyć własnymi oczyma. Strasz zamówił je jakiś czas temu u pewnego wileńskiego mistrza, pewien, że kiedyś mu się przyda. I ta chwila właśnie nadeszła.

Gdy tylko usiadł w swej niszy, usłyszał niewyraźne głosy dwojga

ludzi. Mężczyzna mówił wolno, jakby uspokajał kobietę. Ta zaś najwyraźniej czyniła mu wyrzuty, krzyczała krótkimi, urywanymi zdaniami. A potem wszystko ucichło i słychać było tylko sapanie oraz jęki. Strasz nie musiał nawet popatrywać w polemoskop, aby się domyślić, co się tam odbywa. Zresztą i tak nie za wiele by zobaczył. Nawet jeśli kasztelanka nie zdmuchnęła świecy, w jej komnacie panował półmrok.

Jednak wiedziony bolesną ciekawością poruszył dalekowiedem i na tle ciemności spostrzegł zarys jasnego ciała kasztelanki, która klęczała na łożu tyłem do niego i kołysała się rytmicznie, z cicha pojękując. Mężczyzny nie było widać, ale bezwstydnym nie zamierzał milczeć! Głośno wyrażał ukontentowanie, zachęcając kochankę do większej werwy. Posłuszna jego życzeniu, Cecylia przyśpieszyła kołysanie. Obserwator nie pozostał obojętny. Początkowo wściekły nagle poczuł, że przyrodzenie mu pęcznieje, gotowe wziąć udział w podobnej scenie. Złapał je więc dłonią i trzepał, wsłuchując się w jęki tych dwojga, póki nie skończyli wszyscy troje.

Ta chwilowa słabość rozwścieczyła Strasza, ale jeszcze boleśniesz było przekonanie, że nie da rady sprostać gładkiemu wojakowi. Chciałby znów zamknąć Cecylię, aby samemu tylko mieć do niej dostęp, może wtedy wreszcie, z braku innego kandydata, spojrzalaby nań łaskawym okiem? Czy to się jednak kiedykolwiek stanie? Zniechęcony odłożył dalekowied i wyszedł z kryjówki. Ostrożnie niosąc dopalający się ogarek świecy, wszedł na piętro, cicho wsunął się do swej komnaty i długo w nocy snuł rozważania, jak się pozbyć niebezpiecznego konkurenta.

Kasztelanka z Kettlerem niczego nie spostrzegli, a pewnie nawet gdyby się zorientowali, i tak nie mieliby na tyle wstydu, by zaprzestać. Raczej przeciwnie, Cecylia chciałaby pokazać sekretarzowi całą swą pogardę. Zaczęłaby jęczeć głośniejsz, bujać się szybciej, aby go tylko upokorzyć. Rada była, że zobaczył wtedy grandmuszkietera wychodzącego z jej łoża, i oczekiwała reakcji, a nawet wezwania przed oblicze ojca, ale nic takiego się nie stało. Zatem Strasz się przyczaił, obmyśla, jak wykorzystać posiadane informacje. Może zechce ją szantażować? Na nic mu się to nie zda. Choćby był ostatnim

człowiekiem na zamku, a ona by miała umrzeć z braku mężczyzny, nie zaprosiłaby go do swej łożnicy, albowiem budził w niej wstręt. Ojca też przestała się bać. Dał dowód słabości, wypuszczając swych więźniów. Do tej pory nie wiadomo, co chciał przez to osiągnąć.

– O czym myślisz? – zapytał Wilhelm.

– Zastanawiam się, co robi teraz mój mąż. – Cecylia parsknęła śmiechem i opierając się na dłoniach i kolanach, wystawiła się ku niemu tyłem, zachęcając do działania, a on ukląkł, złapał ją za biodra i wbił się, wywołując długi, przeciągły jęk.

– Pewnie chędoży jakąś służkę – wysapał.

– Daj mu Boże!

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że dogadzanie swym potrzebom stanowiło jedyne zajęcie Cecylii Lange. W gruncie rzeczy zaprzętały ją sprawy o wiele poważniejsze. Chciała przed wyjazdem, który, jak sądziła, będzie ostateczny, pozałatwiać wszystkie sprawy, a przede wszystkim odzyskać klejnoty po matce i wyrwać kasztelanowi swój posag. Bynajmniej nie zamierzała dzielić się nim z Langem. Z Kettlerem zresztą również nie. Nie obmyśliła na razie planu, ale gotowa była sprzedać Szymanki i za uzyskane pieniądze wyjechać gdzieś daleko, dokąd nie sięgałaby władza ojca i gdzie mogłaby żyć tak, jak jej się spodoba.

Droga do tego celu wiodła przez jakieś przymierze ze Straszem, bo tylko on miał konieczne rozeznanie w sprawach kasztelana. Dlatego z radością przyjęła wieść, że jej ojciec zamierza wziąć udział w wojnie przeciwko konfederacji. Nie lędziła się, że zginie, choć to stanowiłoby okoliczność ze wszech miar pożądaną, jednak zyskiwała czas na rozejrzenie się w możliwościach i zaplanowanie działania.

Tymczasem połączone wojska książęce i moskiewskie, stacjonujące dotychczas w Brześciu, wyszły z miasta i kierowały się w głąb Litwy, staczając po drodze niewielkie potyczki z konfederatami. Nie była to dobra wiadomość dla kasztelana, zrozumiał bowiem, że goniąc główne siły, będzie się musiał, choćby przez jakiś czas, sprawdzić jako dowódca.

– Gdybym nie wysłał Stanisława do Lewartowa, miałbym kogo dać

na zastępstwo – skarżył się Straszowi. – Chciałem tylko posiedzieć u księcia pana w Brześciu i narzekając na podagrę, wrócić do Turowa. A teraz się okazuje, że to regularna wojna! Za stary jestem na takie harce. Nie wiem, gdzie szukać tych wojsk, jeszcze mnie napadnie jaki oddział konfederacki i się ośmieszę albo, nie daj Boże, rani mnie kto w bitwie? Diabli nadali! – syczał rozwścieczony.

- Wojsko u nas sprawne, ukrzywdzić kasztelana nie pozwolą!
- Zapewniał Strasz. – Dadzą bobu, komu trzeba, i wróćcie okryci sławą.
- Tylko żebyś mi tu wszystkiego doglądał! I tak strata, że cię pod bokiem miał nie będę, ale tyś do machania szablą niezdatny.
- Macham piórem, wasza wysokość. Inni tego nie potrafią.
- Niechby choć podstarość tu był, ten zawsze chętnie nadstawiał karku.
- On jednak po przeciwnej stronie wojuje – westchnął Strasz, a kasztelan pokręcił głową niezadowolony.

Tuż przed swym wyjazdem Tadeusz Jandził zarządził ucztę, która wyraźnie pokazała, jak już niewiele pozostało mu sojuszników.

- Sami starcy! – syknął do Strasza.
- Młodzi w polu.
- Rzeczpospolita boleśnie rozdarta. Spłynie krwią i po co? Dla jakichś rojeń Leszczyńskiego! Poddałby się wreszcie, oszczędził krajowi tej hekatombi! Nic już tu po nim.
- Będzie walczył do końca. Francuzi podobno przybili do Gdańska, aby dać królowi wsparcie.
- To tylko przedłuży wojnę. A potrzebujemy spokoju, żeby kraj podnieść z ruiny. Ile to jeszcze potrwa?
- Wzniescie kielich, panie, bo wojski Zabięło przemawia
- szepnął Strasz.
- Co on tam powie, nudny dziadyga! – burknął pod nosem kasztelan, ale kielich wznosił, uklonił się w podzięcie za mowę i wypił do dna. – Boję się, Strasz... – wyszeptał jeszcze. – Naprawdę się boję. Nie tego, że zginę, nie śmierci, nie cierpienia, chociaż wszystko może się zdarzyć. Boję się, jak będziemy żyć, kiedy się to wszystko skończy. Jaka to będzie Polska, rozdarta na dwoje. Walki bratobójcze toczą, jeden

drugiego nie umie i nie chce zrozumieć, a prawdy mieczem szukać trzeba. Jak przekonać konfederatów, że racji nie mają?

– Chyba nie o prawdę tu idzie, panie mój, ale o wpływy. Kto wygra, rządził będzie Rzeczpospolitą. Król August młody, to i panowanie przed nim długie.

– Byle tylko reform żadnych nie zechciał na siłę forsować!

– W razie czego mamy *liberum veto*, każdej reformie damy radę się sprzeciwić! – syknął Strasz. – Za króla Augusta!

– Za króla Augusta! – krzyknął kasztelan i wstał. – Pijmy za zwycięstwo władcy, który przywróci w Rzeczpospolitej ład i porządek!

Strasz spojrział na Tadeusza Jandźwiłła i kiwnął głową z podziwem dla jego mądrości.

XL

Niemal natychmiast po wyjeździe kasztelana w powiecie spłonęły dwa dwory. Nikt nie miał pewności, z jakiej przyczyny, jednak wieść niosła, że czując brak gospodarzy, którzy do konfederacji lub wojsk Wiśniowieckiego przystąpili, jakaś banda napadała na pozostawione w domach niewiasty, grabiąc doszczętnie ich majątko.

– I nas to czeka, bośmy same i bezbronne! – biadała cześnikowa.
– Na co nam ta konfederacja, na co ta cała polityka?! Czym to się skończy?! Jeden dwór już straciłyśmy, co będzie, jeśli i ten, nie nasz przecie, ktoś napadnie i spali? – Załamywała ręce.

Choć nie chciała tego przyznać wprost, Zofia również musiała brać pod uwagę podobny bieg wydarzeń. Największą jej troską stało się teraz zabezpieczenie dworu w Gnieździe Orłowym i budowy w Złotym Moście. Kłopot to był nie lada, udała się więc do pana Żaby, który jako jeden z ostatnich siedział jeszcze w domu.

– Jużem się nawojował i nigdzie się nie wybieram! – rzekł obojętnie. – Zresztą, kogo wesprzeć? Sprawa kaducznie trudna! Po mojemu Leszczyński sam zrezygnował, stolicę opuszczając. Siedzi w tym Gdańsku i czeka. Na co? Na kogo? Czy nam to lepiej pod jego rządami będzie się wiodło? Co za różnica? Obiecać każdy chętny, ale gdy do spełniania przyjdzie, zapomni o obietnicach. I jedni, i drudzy tylko o władzę walczą, ale władzy i stanowisk dla wszystkich nie stanie, jeno dla najbliższych, mam rację czy nie? – Spojrzał na Zofię, a ona nieznacznie skinęła głową, na znak, że się z nim zgadza. – O naród zaś... O naród dbają tylko wtedy, gdy przychodzi do głosowania i podatków ściągnięcia. Wtedy się umizgają, słodzą, wartość naszą podnoszą pod niebiosa, że gotowiśmy uwierzyć, żeśmy nie lada jacy. Ale przychodzi co do czego i znów ten szlachcic na zagrodzie tylko tyle wart, na ile mu možny pan pozwoli. Twierdzą więc, że nam ta wojna niepotrzebna, bo to wojna tych, co do władzy aspirują. A skoro Moskwa z całą potęgą za Sasem stanęła, to wynik konfederacji widzi mi się z góry przesądzony.

– Zatem mamy się im bez walki oddać w niewolę?

– Wybacz, pani, staremu. Nie twierdzą, że co złego jest

w konfederacji, tylko nadziei na jej zwycięstwo nie mam. Kraj krwią spłynie, a Moskwa Sasa na polskim tronie i tak osadzi. Zresztą on już naszym królem.

– Wiem, wszak mu przysięgałam. Ale radźcież, jak się bronić, zanim Kacper z konfederacji wróci? Jak kolejnych rekwizycji, jak rabunku uniknąć?

– Drzwi zarygłować, nie otwierać, i tyle! – zachnął się.

– Spaleniem mnie straszili.

– Strachy na Lachy, nie ośmielą się!

– A wy płacicie?

– Ano płacę, płacę. Ale targuję, żeby nie dać tyle, ile żądają.

Zofia westchnęła głęboko, zrozumiawszy, że położenie jest trudniejsze, niż sądziła. Lęk, jaki się wdarł w jej serce, nie dawał się niczym ukoić. Żadna rozsądna myśl nie była w stanie go odegnąć, bo też miecznikowa nie miała nadziei, że ją akurat nieszczyście ominie. Zachodziła tedy w głowę, kto mógłby się okazać jej sprzymierzeńcem, jednak niemal wszyscy walczyli po którejś ze stron, zostawiwszy powiat na łasce band i zbiegłego żołdactwa.

Pokonując głęboko zakorzenioną odrazę, wprost z Głębokiego Kąta kazała się zawieźć do Turowa. Niemal natychmiast została przyjęta przez sekretarza kasztelana. Strasz, nic sobie nie robiąc z niestosowności swego zachowania, siedział na miejscu swego pana. Gdy weszła do kancelarii, poderwał się, aby ją przywitać.

– Cóż panią sprowadza? – zapytał, udając troskliwość.

– Biedy rozliczne, panie sekretarzu. W tym ta najgorsza: obawa o życie moje i moich dzieci.

– Ktoś pani groził?

– Nie, lecz bandy swawolne krążą po powiecie i rabują dwory.

– To bardzo przykre.

– Mężowie walczą za króla, a żony tracą życie i majątki. Dwa dwory spłonęły tylko w ostatnim tygodniu.

– Och tak, wszak wyście też poszkodowana! Ale cóż ja mogę?...
– rzekł z udawanym smutkiem.

– Macie wojsko na zamku, niech się pokaże w powiecie, przegoni złoczyńców i zaprowadzi porządek.

Udając głębokie zatroskanie, Strasz pogładził się po wąsach.

– Rozumiecie, miecznikowo, że bez rozkazu kasztelana wojsko z zamku wyjść nie może. Zresztą ktoś musi bronić twierdzy.

– Czyli mamy się godzić na grabieże, pożary i morderstwa niewinnych, bo panowie szlachta wojnę sobie urządzają?! – wyrzuciła jednym tchem.

– Panowie szlachta, w tym kasztelan Jandźwiłł, walczą o spokój pani i całego społeczeństwa, przeciwko mścicielom pokroju naszego podstarościego. Czemu żony ich w domu nie zatrzymały? Miałyby i obrońców, i spokój święty.

Zofia zrozumiała, że stąd nie uzyska żadnej pomocy. Gdy zmartwiona wsiadała do powozu, zobaczyła wracającą z przejażdżki kasztelankę. Cecylia Lange, widząc ją, zeskoczyła z konia, oddała lejce służącemu i podeszła.

– Cieszę się, widząc was w dobrym zdrowiu! Cierpeliście z mojego powodu, wybaczenie! Co was sprowadza do Turowa?

– Lęk o życie i mienie. Bandy się w powiecie panoszą, a uspokoić ich nie ma kto. Miałam nadzieję, że tu znajdę pomoc, ale mi jej odmówiono.

– Och, Strasz by pomógł? Płonne to nadzieje. Zresztą on tak zagustował w roli kasztelana, że lękam się, co to będzie, jeśli memu ojcu przypadkiem coś by się stało. Nie uwolnimy się wtedy od pana sekretarza.

– Wierny i oddany sługa to skarb prawdziwy.

– Wierny i oddany zapewne, ale nie taki, co tylko stwarza pozory wierności i oddania. Dlatego wciąż tu siedzę, zamiast do Warszawy wyjechać, choć mąż mnie pogania. Nie ufam ja panu Straszowi za grosz.

– Więc czemu kasztelan go nie oddali?

– Oddalić najwierniejszego sługę?! – Kasztelanka zaśmiała się ironicznie. – Prędeż nas, wszystkie swoje dzieci, oddali. Co się zresztą już dzieje. Moi bracia wyjechali. Jeden w Gdańsku, drugi w Lewartowie, każdy innemu królowi służy. Czy tak powinno być? Mnie też już z Turowem nie wiążą żadne nadzieje poza jedną, że jakimś cudem posag uda mi się odzyskać. Odebrałam lekcję pokory, siedząc w zamknięciu.

Zofia patrzyła na Cecylię ze smutkiem. Żal jej było kasztelanki, ale

choćby chciała, nie mogła pomóc. Zresztą miała teraz o wiele pilniejsze zmartwienia.

– Zostańcie z Bogiem! – rzuciła tylko i kazała woźnicy ruszać.

Jechała do Złotego Mostu, aby sprawdzić stan bezpieczeństwa i postępy na budowie, ale kiedy dotarła do krzyżówek, zauważyła przy karczmie wóz Szmula. Weszła do środka, chcąc go pozdrowić i zapytać o nowiny. Żyd powiadomił ją o kolejnych rabunkach, które zdarzyły się bliżej Skrzeczewic, skąd właśnie wracał.

– Co czynić?! – zachodziła w głowę Zofia. – Nie możemy czekać na powrót kasztelana, bo nas wszystkich wyrzną!

– A czemu by milicji powiatowej do życia nie powołać? – spytał Szmul. – Patrzcie, pani, chłopcy jak drągi, tylko czekają na jakie zadania. – Wskazał na popijających piwo dawnych kompanów Bartkowych, smutnych zbójców, którym nie paliło się do powrotu na rolę.

Zofia przyjrzała się im uważnie.

– Jednak kto za to zapłaci? Kto miałby ich wyszkolić, uzbroić, przygotować do służby?

– Po mojemu, jest taki jeden człowiek, co by się nadał...

Zamiast pojechać do Złotego Mostu, Zofia kazała zawracać do Turowa. Po drodze starała się rozważyć wszystkie za i przeciw. Wywołała zdziwienie, żądając widzenia z grandmuskietierem. Gdy do niej wyszedł, zaprosiła go do powozu i ruszyła drogą ku lasowi, rozprawiając z ożywieniem. Trzy pacierze później jej powóz znów zajechał na zamek, a Zofia ponownie poprosiła o widzenie ze Straszem. Przyjął ją wyraźnie zniechęcony, starał się jednak zachowywać pozory uprzejmości.

– Panie sekretarzu, wiem, że zostaliście na zamku, aby pilnować spraw Jandźwiłłów i na pewno nie chciałby pan dopuścić do sytuacji, żeby na światło dzienne wypłynęły dokumenty, które mogłyby dać złe świadectwo o naszym kasztelanie, a zwłaszcza żeby się nie dostały w niepowołane ręce! – mówiła, zauważając, jak w oczach Strasza rośnie zainteresowanie. – Jestem w posiadaniu bardzo starego weksła podpisanego przez kasztelana i dotychczas niewykupionego. Pragnę, aby rzecz pozostała utajniona, i wiem, że nikt lepiej niż pan tej sprawy w tajemnicy nie zachowa.

– Weksel? To być nie może! Kasztelan nie ma długów, a już zwłaszcza bardzo starych! Co też waćpani opowiada! – oburzył się na pokaz.

Zofia nie podjęła tematu, wiedziała swoje.

– Jeśli go pan nie wykupi, oddam go brzeskim Żydom albo konfederacji – powiedziała twardo.

XLI

Chcesz przeznaczyć jedyne nasze zabezpieczenie na powiatową milicję?! – oburzyła się cześnikowa, gdy Zofia po wieczery wyjawiała jej swe plany.

– Matko, nie wiem, czy się uda i czy w ogóle odzyskamy pieniądze, ale jeśli Strasz połknie haczyk i wykupi weksel kasztelana, to zemszczę się podwójnie.

– Jakimże sposobem?

– Odbiorę to, co Jandźwiłł winien był od tylu lat memu mężowi, po drugie kasztelan zapłaci dwukrotność.

– Dlaczego?

– Żyd mi radził, aby udać się z wekslem do jego największego wroga.

– Toś kiepsko trafiła, bo Strasz to najwierniejszy sługa Jandźwiłła.

– Po tym, com dziś usłyszała na zamku, sędzę, że trafiłam bardzo dobrze. Jeśli Strasz wykupi weksel, zrobi to za pieniądze kasztelana, a potem, jak sędzę, przedstawi mu go do wykupienia jako własny.

– Co za bzdury!

– Aż mi żal, że owej transakcji nie zobaczę! – parsknęła Zofia. – Pojęcie wiernej służby, droga matko, bardzo się zużyło. Teraz wszystkim rządzi interes. A co do pieniędzy, za które zamierzam powołać owo wojsko, to pomyślcie, czy nie lepiej obrócić je na wspólne bezpieczeństwo, niż gdyby miały zostać spalone podczas napadu?

– Co racja, to racja... – westchnęła pani Salomea. – Popatrz, co za czasy nastały, żeby się niewiasty musiały zajmować ochroną dworów! Świat się kończy!

– Mylicie się, świat się nie kończy, kończą się rządy kasztelana. Mając milicję w powiecie z byłych zbójców stworzoną, nie będziemy już się lękały przeprować przez bród na rzece, bo nikt tam na nas czekał nie będzie. Nie zastanawiało was, czemu kasztelan tak długo sobie ze zbójcami nie radził? Dlaczego pozwolił im na ludzi napadać? Czy on czasem sam nie czerpał korzyści z tego, że porządni obywatele musieli na Polanie Zbójców myto płacić?

– Już sama nie wiem, co mam myśleć, moja Zosiu! – Cześnikowa pokręciła głową w poczuciu bezradności i poszła się położyć, a Zofia długo szukała ukojenia w modlitwie, prosząc Boga o powodzenie swych planów.

Strasz zapowiedział się kilka dni później. Robił wrażenie wyniosłego, udawał, że nie wierzy w prawdziwość relacji o wekslu. Zofia posadziła go w świetlicy i wyszła. Chwilę później wprowadziła do świetlicy pana Żabę i swoją matkę, którzy mieli być obecni przy podpisywaniu dokumentów.

– Oto rzeczony weksel. – Zofia podała dokument panu Żabie, który przeczytał go i podał Straszowi.

– Oto pieniądze – powiedział Strasz, kładąc na stole sporą sakiewkę ze złotymi talarami. – Proszę podpisać, że weksel został wykupiony przeze mnie! – dodał, potwierdzając przypuszczenia Zofii.

– Jak to: przez waćpana?! – zdziwiła się pani Salomea.

– A przez kogo?

– Przez kasztelana, pan jedynie *per procura* jego wolę wypełniasz.

– Ma się rozumieć, jedynie *per procura* – odpowiedział nie bardzo stremowany.

Kiedy dopełnili formalności, Strasz pośpiesznie opuścił Gród Orłowy. Nie chciał nawet zostać na obiedzie, choć nie wypadało odmawiać. Zofia jednak nie zatrzymywała gościa. Nie czuła doń sympatii, a i szanować go nie miała za co.

– Jeszczem nigdy nie widział tak szybko i bez ceregieli wykupionego weksła! – rzekł ze śmiechem pan Żaba. – Sprawdźcie, pani, czy to złoto aby nie fałszywe!

Zofia przestraszyła się przez moment, ale talary wydawały się prawdziwe. Czy to możliwe, że Strasz, najwierniejszy sługa Tadeusza Jandźwiłła, jest jego najgorszym wrogiem?

Po południu, jak się umówili, Zofia pchnęła do zamku sługę z zaproszeniem dla Kettlera. Ten nie odmówił poczęstunku, a ona wprowadzała go w swe plany.

– Wiecie już, że chcę stworzyć niewielki oddział do walki

z bandami napadającymi na dwory. Trwa wojna i wszyscy, którzy mogliby to zrobić, wyjechali. Dlatego proszę was, abyście się podjęli tego trudu. Sowiecie was wynagrodzę.

– Ale ja wkrótce być może do Warszawy będę musiał wracać!
– oponował Kettler.

– Nie szkodzi, byleście kogo na swoje miejsce naznaczyli, kto byłby zdalny do przewodzenia temu oddziałowi. Kwaterę wam dam i wyposażę dwudziestu młodzieńców zdalnych do wojaczki. Wy ich nauczycie rzemiosła i tego, jak z bandami walczyć. Zasłużycie na złoto i wdzięczność naszą.

Kettler nie zadawał zbędnych pytań, tylko z Zofią po okolicznych dworach się przejechał i wybrał rosnących parobków, którym na samą myśl o żołnierce oczy się z radości rozpałyły, a gdy dowiedzieli się, że będą jeszcze otrzymywać niewielkie wynagrodzenie, byli gotowi pójść za Kettlerem na koniec świata. Oczywiście nie wszystkim sąsiadom podobał się ten pomysł. Niektórzy obawiali się reakcji kasztelana, gdy wróci, inni uważali, że to nie ich sprawa, i nie dali ani pieniędzy, ani parobków zdalnych broń trzymać. Oburzali się na Zofię, że się w powiecie szarogęsi.

– Oby nam to wszystko uszło płazem... – westchnęła cześnikowa.
– Bo kasztelańska ręka ciężką dla poddanych bywała.

– Jeśli kasztelan wróci i zaprowadzi porządek, wojsko moje do domów rozpuszczę – spokojnie rzekła Zofia.

– Oby on twoich wojaków do siebie na służbę nie zabrał i na zbójców znów nie przerobił!

– Ja się tylko martwię, ile dworów może spłonąć, zanim Kettler oddział wyszkoli. I czy nasz się pośród nich nie znajdzie!

Późnym wieczorem Strasz przemyczał się ciemnymi korytarzami ku swej kryjówce obok sypialni Cecylii. Nie musiał długo czekać. Dwa pacierze później do komnaty wszedł Kettler. Bez pukania i bez służącego, sam niósł świecę. Od razu też zaczął się rozbierać. Naga Cecylia leżała już w łóżku. Wyciągnęła ku niemu stęsknione ramiona.

– Gdzieś był przez cały dzień, cudzołożniku?! – rzekła przymilnie.

– U miecznikowej. Chce, abym jej oddział zbrojnych stworzył –

powiedział, usiadł na łóżku i zaczął gładzić jej nogi.

– Na co jej oddział zbrojnych?! – kasztelanka prychnęła z kpina.

– Chce go na wojnę za króla wysłać?

– Nie, ma tutaj pilnować porządku.

– Od tego jest chorągiew kasztelańska.

– Nieobecna albo nieudolna, bo dwory w powiecie płoną, a ludzie giną.

– Co sobie ta gaska wyobraża, że będzie stanowić o tym, co ma się dziać w powiecie?! Kim ona jest? Starostą? Podstarościm? To tylko głupia białogłowa! Niech siedzi cicho, to może jej się nic nie stanie.

– Nie mogłem odmówić, przeznaczyła na to dużo złota.

– Skąd miała złoto? Przecież się spaliła!

Kettler wstał i sięgnął do kieszeni. Wyjął złotego talara i pokazał Cecylii.

– Nie do wiary! Ależ się ukrywała! Strasz musi jutro sprawdzić, czy o jakich podatkach nie zapomniała. Nie godzi się, aby w czas tak niebezpieczny miecznikowa musiała się martwić, czy jej kto tego złota nie ukradnie. Bo wszak bandy w powiecie grasują... – Roześmiała się perlistym śmiechem.

– Co chcesz zrobić?! – zaniepokoił się Kettler.

– Nic. Powiem Straszowi. Już on wymyśli, jak najlepiej miecznikową tego złota pozbawić.

Siedzący w kryjówce Strasz uśmiechnął się.

– Nawet nie wie, jak bardzo jest podobna do ojca! Ależ byłaby z nas para! – westchnął rozmarzony.

XLII

Nie zdołał tej nocy zasnąć. Intensywnie myślał, jak odpowie kasztelance, jeśli ta do niego przyjdzie. Czekał. Marzył. Planował. Chodził po swej komnacie i zastanawiał się, co zrobić, aby ją do siebie przekonać. Wreszcie tuż przed świtem zasnął krótkim, rwanym snem, budząc się raz po raz w przestachu, że prześpi porę śniadania. Jednak rano nie pośpieszył na posiłek, tylko jak mógł najdłużej zwlekał i od razu skierował się do kancelarii. Chciał, żeby zauważyła jego nieobecność i była zmuszona do poszukiwań.

Ale Cecylia o niego nie pytała. Zresztą Lange, który wynudził się na zamku, postanowił nagle wracać do Warszawy, kasztelanka towarzyszyła więc mężowi w przygotowaniach do odjazdu. A Strasz czekał, ukradkiem wyglądając przez okno kancelarii. I zobaczył na dziedzińcu rzecz dziwną. Oto Cecylia żegnająca Langego, który wsiadał właśnie do karety, odwraca się ku grandmuszkieterowi mijającemu ich konno. Ten, nie zsiadając z konia, coś do niej mówi, a ona przez chwilę biegnie za nim, po czym wzburzona uderza pięścią w bramę i tupie wściekła. Nie macha na odjeżdżającym mężowi, tylko zawraca do zamku, mocno rozdrażniona.

– Nikogo tu nie wpuszczać! – Strasz rzucił do służącego, który skłonił się i wyszedł.

Niewiele później pod drzwiami kancelarii rozległ się krzyk Cecylii, która złorzeczyła, żądając natychmiastowego posłuchania. Nie udało jej się jednak sforsować drzwi pilnowanych przez służącego, więc upokorzona i rozwrzeszczana odeszła.

Strasz odczekał kilka chwil i wyjrzawszy przez szparę, przywołał służącego.

– Wyjeżdżam do Brześcia. Pilnuj jaśnie pani, aby we wzburzeniu jakiej krzywdy sobie nie zrobiła. Najlepiej niechby została do wieczora w swej komnacie, bo słaba jeszcze.

– Wedle rozkazu! – Sługa skłonił się i odszedł, a Strasz ruszył do Grodu Orłowego.

Dotarł tam niedługo po Kettlerze, ale ani jego, ani Zofii nie zastał.

Nie bardzo mu zresztą na tym zależało. Chciał się tylko upewnić, czy wieści, które wczoraj usłyszał, są prawdziwe, ale teraz nie ulegało to już wątpliwości. Cześnikowa przyjęła go bez entuzjazmu. Nie siliła się na uprzejmość.

– Zofii nie ma, czegoś waszmość zapomniał?

– Przyjechałem, aby miecznikową ostrzec.

– Przed czym, jeśli wolno wiedzieć?

– Zdaje się, że zbyt odważnie sobie poczyna. Doszły mnie słuchy, że jakoweś wojsko tworzy. Kasztelanowi się to nie spodoba.

– Panie Strasz... – Cześnikowa wzięła się pod boki. – Dość mam już snów, w których raz po raz muszę przeżywać pożar Złotego Mostu. Czy kasztelan mnie przed nimi obroni? Czy obroni którąkolwiek z niewiast, które same zostały?! Mnie waćpan nie przestraszysz. Jeśli chcesz próbować tej metody z Zofią, to proszę przyjechać, kiedy wróci, a stanie się to zapewne nieprędko. I mam nadzieję, że w powiecie znajdzie się wiele odważnych niewiast, które jednego zdatnego do boju sługę nam oddadzą, bośmy pod waszymi rządami w srogim niebezpieczeństwie i radzić sobie musimy same!

Strasz nie dyskutował z panią Salomeą. Dowiedział się i tak aż nadto. Trzeba zawiadomić kasztelana i działać! Działać! Wskoczył do powozu i co tchu kazał gnać do Turowa. Zbliżała się pora obiadu, ale on wciąż nie był głodny. Musiał najpierw napisać listy, a gdy je zapieczętował i wydał dokładne instrukcje gońcowi, poszedł do Cecylii.

– Pani, wyświadczysz mi ten zaszczyt i zgodzisz się, abym dotrzymał ci towarzystwa przy posiłku?

– Czego chcesz?! – syknęła wściekła.

– Ach nic, doprawdy. Tylko mąż twój wyjechał, ten ladaco niby ksiązę kurlandzki też gdzieś się wybrał i nie wraca.

– Niech nie wraca! Niech sobie zamieszka na stałe w Grodzie Orłowym! Kiedy wróci, każ mu się zabierać z powrotem! Nie chcę go więcej widzieć!

– Mój Boże, czemu wasza wysokość taka wzburzona? Cóż uczynił ten łajdak? – nieszczercze zaniepokoił się Strasz.

– Najpierw każesz mnie uwięzić w komnacie, a potem udajesz troskę?! Warcieście siebie nawzajem! – rzuciła zła, jednak sekretarz nie

wyczuł w jej tonie niechęci, co wziął za dobrą monetę.

– Ależ tylko z obawy o wasze zdrowie. Tyle ostatnio pani przeszła, a dzieci potrzebują matki.

Kasztelanka wstała i skierowała się ku drzwiom.

– Idźmy, bo pieczyście ostygnie!

Ruszyła pierwsza, ale Strasz wnet się z nią zrównał.

– Dokąd wyjechał grandmuszkieter? – zapytał lekko, jakby go to prawie nie obchodziło.

– Do miecznikowej, dacie wiarę?! Co ona ma w sobie takiego, że wszyscy do niej lgną!

– Nie wszyscy, pani – odparł, nie patrząc jej w oczy.

– Tak, stary Strasz, ty jeden jesteś na jej urok całkowicie nieczuły.

– Roześmiała się. – Ale inni nie są! – fuknęła.

– Kettler też?

– Musicie wiedzieć, że ona wraz z Kettlerem jakiś rokosz powiatowy nam szykuje.

Strasz aż się zatrzymał.

– Jakże to?! Przeciwno kasztelanowi?! Jak?! Gdzie?! Kiedy?

– Udając nieświadomego i przerażonego, zauważył, że Cecylia prostuje się, zadowolona z posiadanej wiedzy.

– To się może obrócić przeciwko nam. Nie pozwólmy miecznikowej wojska stworzyć, wiadomo, co ona z tym wojskiem zamierza?

– Musicie mi, pani, wszystko dokładnie opowiedzieć! – rzekł Strasz, podając Cecylii ramię i czując gorąco w całym ciele, gdy ona wsparła się na nim zaprzątnięta myślami o Kettlerze.

Podczas obiadu ze względu na innych nie podejmowali tematu grandmuszkietera ani miecznikowej, ale kiedy wstali od stołu, ruszyli wprost do kancelarii. Strasz nie mógł opanować podniecenia. Z emocji zaschło mu w gardle, toteż kazał nalać wina i za drzwi wyprosił służącego, twierdząc, że sam będzie obsługiwał kasztelankę.

– Zatem sądzicie, pani, że nam rokosz grozi, którego wodzem miecznikowa?

– Kettler chce jej ludzi przysposobić do walki. A ona podobno ma złoto i za wszystko płaci.

Strasz nie słuchał, tylko napawał się jej widokiem, zapachem, ożywieniem, z jakim relacjonowała sprawę. Nie był już jej najgorszym wrogiem, ale sprzymierzeńcem, stąd krótka droga do zaufania, może przyjaźni? Zamyślił się, bo widział ją w swych ramionach, dyszącą z pożądania, proszącą, by ją wziął, jak to robił Kettler, dosiadającą go, jak ona go dosiadała, huśtającą się w przód i w tył przy świecy, jęczącą głośno, a wreszcie padającą na łóżko, wpół omdlałą i błagającą o jeszcze.

– Co za nierozsądna niewiasta! W takich czasach chwalić się, że złoto posiada, cóż to za brak rozumu! – rzekł wreszcie.

– Prawda? Tak samo myślę! – ożywiła się Cecylia. – Trzeba z nimi zrobić porządek, ale jak? Może miecznikowa zalega z jakimi podatkami, sprawdźcie to. Jeśliby jej te pieniądze zarekwirować, oddziału nie stworzy, a Kettler za darmo u niej siedział nie będzie.

– Znakomity pomysł! – odpowiedział Strasz. – Buntowników najlepiej trzyma się głodem. Zajęta szukaniem pieniędzy na odbudowę dworu nie będzie miała ani czasu, ani ochoty na inne sprawy.

– I Kettler wróci skruszony! – zatriumfowała kasztelanka.

– Zapewne tak się stanie... – rzekł w zamyśleniu, ale przecież nie o to mu chodziło. Kettlera też najchętniej odprawiłby gdzieś jak najdalej. – A czemu grandmuszkieter nie wyjechał razem z waszym mężem, pani?

– Sami go spytajcie.

– Czy na zamku nie trzyma go coś o wiele ważniejszego od złota miecznikowej?

– Widać nie, skoro poleciał za nią jak pies za suką w rui! Wierzyć się nie chce, że wystarczyło mu kilka złotych talarów!

– I pomyśleć, że niektórzy oddaliby życie za jedno wasze łaskawe spojrzenie! – westchnął z przesadą.

– Strasz, Strasz, ty się nigdy nie zmienisz! – zganiła go niby, ale tonem, który dawał nadzieję i pobudzał do działania.

XLIII

Po nieudanym ataku na okopy rosyjskie, kiedy to połączone siły wojsk gdańskich i francuskich nie zdołały pokonać wroga, Jan nie potrafił odzyskać radości i ochoty do życia. Nie ponosił za to żadnej winy, ale czuł się, jakby zawiódł. W tej sytuacji nie mógł odgrywać roli bohatera przed Suzanne, nie chciał też szukać w jej ramionach pocieszenia. Na razie zresztą Holenderka się nie pokazywała. Było to zasługą Florentyny, która uznała, że pora zakończyć ten romans, konsekwentnie odmawiając dziewczynie jakichkolwiek informacji. Wyznawała prostą zasadę, że co z oczu, to z serca, i kiedy Suzanne nie pojawiła się przez tydzień, zadowolona uznała, że ta porzuciła swe plany.

Tymczasem w Gdańsku zapanowały minorowe nastroje. Mniejszy niż oczekiwano kontyngent Francuzów, który zresztą sprawował się wyjątkowo ślamazarnie, nie był w stanie przechylić szali zwycięstwa na stronę obrońców. Francuzi dawali dowody wyjątkowego braku odwagi, co skazywało ich misję na niepowodzenie. Na dodatek dwunastego czerwca pod miasto przyplęnęło kilkanaście rosyjskich okrętów pod dowództwem admirała Gordona.

– Czternaście okrętów liniowych i osiem fregat, wasza wysokość!
– raportował Monti. – Nie ma się co łudzić, że unikniemy zmasowanego ostrzału tak od strony morza, jak i lądu, bo spodziewam się, że przywieźli też ciężkie działa i moździerze, które dostarczą Münnichowi.

Król niespokojnie chodził po komnacie.

– Zatem Wisłoujście i Westerplatte są zagrożone. Tylko patrzeć, jak twoi Francuzi się poddadzą! – rzucił gniewnie.

– Panie, cóż ja mogę?! Nie jestem ich dowódcą. Mówi się, że pozostały im tylko suchary, solone mięso i wódka. Brakuje wody i drewna, komary tną niemiłosiernie, a upały dają się we znaki.

– Nie usprawiedliwiaj ich! To wojsko, nie panienki ze szkółki klasztornej! Płacą im za narażanie się na niewygody! Oczekują sukcesów w boju, a nie marudzenia! Zresztą teraz będą mieli dodatkowy argument, żeby się wycofać. Oby tylko nie poddali się za naszymi

plecami!

– Nakazałem wysłanie im dwóch sztuk z żywnością. Jednak z wieści, jakie do mnie docierają, wnoszę, że stan ich ducha jest fatalny. Naciskają na pertraktacje z wrogiem, abyśmy mogli bezpiecznie opuścić miasto.

– A co się stanie z Gdańskiem?! – obruszył się król.

– Cóż, o tym już nie my będziemy decydować...

Rzeczywiście, z piętnastego na szesnastego czerwca flota rosyjska wznowiła ostrzał Westerplatte i Wisłoujścia. Oficerowie francuscy w większości opowiadali się za pertraktacjami z wrogiem, mającymi na celu ustalenie warunków kapitulacji. Nim to jednak nastąpiło, zwrócili się do Münnicha o zgodę na udanie się kilku z nich do króla w celu przedstawienia sytuacji. Dowództwo rosyjskie wystawiło paszporty i dwaj oficerowie bezpiecznie przeprawili się do Gdańska.

– Münnich wzywa nas do natychmiastowej kapitulacji!

– raportowali.

– A czemu was, wszak nie wy decydujecie o przebiegu tej wojny! – wzburzył się Monti. – Jestem jeszcze ja i król, to do nas należy głos decydujący w tej kwestii! Król zakazuje kapitulacji, takiego samego zdania są prymas i wszyscy senatorowie! Musicie się podporządkować. Zbudujcie piec chlebowy i zacznijcie wypiekać chleb z mąki, której macie pod dostatkiem. Palić możecie drewnem z uszkodzonych statków, wasze położenie nie jest wcale tak trudne, jak to odmalowujecie w swych raportach!

– Zaklinam was na honor króla i sławę waszego narodu, abyście wykonywali instrukcje i nie działali na własną rękę! – zażądał Stanisław Leszczyński. – Mamy szczegółowy plan waszego przebiccia się do Gdańska na uzbrojonych statkach. Nic jeszcze nie jest stracone! Posiłki z Francji nadciągną lada moment, wytrwajcie do tego czasu!

– Münnich wzywa was do kapitulacji, bo boi się, że pojawienie się nowych pułków oznacza jego przegraną – wsparł króla Monti. – Nie zostawiajcie Gdańska w potrzebie, okryjecie siebie i Francję złą sławą!

Oficerowie zwiesili głowy ze wstydu, a król pomyślał, że nie wykrzeszą już z siebie entuzjazmu niezbędnego zwyciężcom.

– Jak myślicie, panie oficerze, kiedy nastąpi nasz koniec?
– usłyszał Jan. Zamyślił się właśnie nad tą samą kwestią, bo choć ostrzał artyleryjski osłabł, mógł zostać wznowiony w każdej chwili.
– Kiedy Bóg zechce. – Florentyna wzruszyła ramionami.
– Francuzi podobno wytargowali honorowe warunki kapitulacji
– mruknął gość.
– Dadzą im wszystko, żeby jak najszybciej z nami skończyć.
– Rada nakazuje bronić Wisłoujścia, ale podobno posłuchu nie ma ni Rada, ni Monti, ni sam król. Mnożą się dezercje, morale upada, a niechby już podpisali tę kapitulację i wreszcie się wyjaśniło, na czym stoimy! – wycierając szklanki, warknęła oberżystka.
W tej chwili wszedł do karczmy chłopaczek może siedmioletni. Rezolutnie rozejrzał się po gościach i od razu skierował ku Janowi.
– Wyście są Jan z Litwy?
– Jam jest, a o co chodzi?
Chłopak wyjął z kieszeni nieco zmięty list i podał go kasztelanowi. Jan rozprostował papier.

Szlachetny Panie,

Wśród moich mówi się o rychłym końcu oblężenia. Truchleję na myśl, że już nigdy się nie zobaczymy. Kiedy Rosjanie zwyciężą, a podobno koniec obrony Gdańska jest rychły, wypłyniemy w morze. Dajcie mi szansę na ostatnie spotkanie, bym mogła zabrać Wasz obraz w mym sercu. Spotkajmy się pod kościołem Świętego Ducha jutro wieczorem. Pomodlimy się razem i rozstaniemy na zawsze.

Wasza Suzanne

Jan nie wiedział, co począć. Zdążył już odegnąć od siebie myśli o dziewczynie. Ton listu kazał mu jednak znów o niej pomyśleć. Niczego nie ryzykował. W kościele nie będzie mu czyniła wyrzutów. Tak, wypada się pożegnać.

Następnego dnia był dziwnie poruszony, aż Florentyna zapytała, czy aby nie zamierza znów brać udziału w jakiejś potyczce za króla, on jednak tylko smutno pokręcił głową.

– Obawiam się, pani gospodyni, że ni łupów, ni sławy, ni królewskiego szacunku z Gdańska do dom nie zabiorę, a jeno niesławę przegranej. Jeśli się poddamy, będzie to i moja osobista klęska, bom wszystko na jedną kartę postawił.

– Ale przecie wy z dobrego, szlacheckiego domu, nie dadzą was rodzice ukrzywdzić!

– Jedyna dla mnie przyszłość przy królu, ale nadzieje na to coraz wątlejsze. Bez protekcji i przelana krew nie wystarczy. Zresztą takich, co marzą o jakiej funkcji na dworze, na dziesiątki albo i setki liczą, jużem dawno stracił nadzieję.

– Nie upadajcie na duchu, kawalerze! Wszak życie przed wami! Młodziście, zdrowi, jeszcze zawojujecie świat!

– Dobra z was niewiasta, ale jaka na to nadzieja bez protekcji i pieniędzy?

– Co prawda, to prawda. Jeśli ojce was nie wyposażą, to samemu trudno w dzisiejszych czasach przebić się na stanowisko, a nawet i w handlu co zwojować. Ale was pewno do handlu nie ciągnie. To może posażnej panny szukajcie, co by na wasze nazwisko i pochodzenie chciała się skusić?

– Matka moja chybaby spokoju w grobie nie zaznała, gdybym tak nazwisko pohańbił.

– Matka od tego jest, żeby zrozumieć, i wasza pewno nie była inna. Wy sami od siebie czego innego wymagacie, ale jeśli tak się ułoży, to o matce nieboszczce nie myślcie, bo ona tylko waszego dobra by chciała.

– Dziękuję za te słowa! – smutno rzekł Jan. – Brakuje mi matki. Brakuje rodziny. Wróciłbym chętnie na Litwę, ale nie z pustymi rękoma, bobym chyba tego wstydu nie zniósł. Jeśli tu nie zginę, przyjdzie gdzie w szerokim świecie szczęścia poszukać. A teraz wybaczcie, zamierzam pójść do kościoła.

Przed świątynią Jan nie zauważył Suzanne. Na wieczornym nabożeństwie zebrało się niewielu wiernych. Usiadł więc w ostatniej ławce i popatrywał tu i tam, ale nigdzie jej nie widział. Cóż, spełnił prośbę. Był może trochę rozczarowany, bo jej błagania, dowody miłości, choć nieco krępujące, poprawiłyby mu samopoczucie. Jednak nie przyszła. Pewnie zatrzymali ją w ostatniej chwili, może to i lepiej.

Przeżegnał się i wyszedł. U wrót kościoła stało trzech mężczyzn: jeden starszy i dwóch młodych. Wzięli go pod ręce i bez słowa ruszyli.

– Czego ode mnie chcecie?! Zostawcie mnie, łajdacy, bo będę krzyczeć! – Jan próbował się wyrwać, ale tamci trzymali mocno. Wreszcie doszli do małego, cichego zaułka, gdzie się zatrzymali i najstarszy z nich przemówił:

– Tyś jest Jan z Litwy?

– A kto pyta?!

– Masz tu pieniądze, sto dukatów. To dobre holenderskie złoto.

Chcemy, żebyś się jak najprędzej wyniósł z Gdańska.

– Jak mam to zrobić?! Trwa oblężenie!

– Jeśli jutro jeszcze będziesz w Gdańsku, znajdziemy cię i obijemy tak, że przeklniesz dzień, w którym się urodziłeś.

XLIV

Rabiński wcale się nie palił do wojaczki. Bardziej marzyło mu się ujeżdżanie jakiejś majątnej wdówki, która by doceniła jego męską urodę. Chciał też wrócić do swego zawodu wyuczonego, bo na samą myśl o kolejnej zimie w jaskini zaczynało go łupać w kościach. Od dawna już pragnął zaznać trochę miłości i ludzkiego szacunku, sypiać w łóżku, a nie w barłogu. Tak długo zwlekał z zaciągnięciem się do wojska, aż wreszcie oddziały księcia Wiśniowieckiego odeszły z Brześcia.

„Widać tak miało być!” – pomyślał, wcale nie zmartwiony.

Żeby zarobić na jakąś strawę i marny kątek pod dachem, najął się u kowala. Ten, doceniając jego siłę i chęć do pracy, pozwolił mu sypiać w szopie na sianie. Kowalowa gotowała dobrze i nie żałowała omasty, co Bartkowi odpowiadało. Zamierzał popracować do jesieni, odłożyć trochę grosza, kupić lepsze odzienie i buty, nająć pokój i rozpocząć nowe życie w Brześciu, a może nawet wyjechać do Warszawy. Tymczasem jednak szukając w piwie zapomnienia, odwiedzał wieczorami gospodę Pod Czerwonym Toporem. A tam, jak już wszedłeś, wyjść z pieniędzmi było trudno. Towarzystwo udatne, dziewczki i napitek takie, że choćby i pięć razy tyle kowal mu płacił, Bartek przetraciłby wszystko.

Pod koniec maja do karczmy wstąpili niespodziewanie kat z obraźnikiem. Od progu usłyszeli Rabińskiego opowiadającego niestworzone historie. Odwrócony tyłem do drzwi nie mógł ich dostrzec, a że szło mu całkiem nieźle, poczekali, póki nie skończył, bo nie wypadało przerywać i psuć wrażenia zasłuchanej publice.

– Człowieku, znasz tak dokładnie tajemnice zbójców, jakbyś miał z nimi sprawę! – kat huknął mu nad uchem, gdy Bartek sięgnął po piwo.

Na dźwięk jego głosu zbójca odwrócił się nagle.

– Przyjacielu! Co też cię do Brześcia sprowadza?!

– Interesy – skłamał kat, choć nie do końca, bo wszak szukali z obraźnikiem jakiegoś zajęcia.

– Przepraszam waszmościów – Rabiński zwrócił się do oblegających go słuchaczy. – Przyjaciela żem spotkał, nie godzi się,

abym z nim toastu nie spełnił.

– Czyście nie kat winnicki? – zapytał któryś z mieszczan.

– On ci, on, ale już nie kat! – wesoło krzyknął Bartek i zamówił piwo. – Porządnych ludzi wieszkał nie będzie! – dodał, a oni zarechotali z uciechy.

– To jak amen w pacierzu zaraz w Winnicy porządnych przybędzie! – krzyknął ktoś z kąta.

– Ano, to już nie moje zmartwienie. – Kat rozłożył ręce w udanym geście bezradności, a towarzystwo znów się zaśmiało.

– Jużci, że nie wasze, ale ciekawość, kto teraz w mieście porządku pilnował będzie? Chorągiew kasztelańska pono po lasach harcuje, na konfederackich się zasadzając, podstarości już dawno wyjechał, tylko patrzyć, aż się jaka szarańcza zleci i Winnicę obsiadzie.

– Nie kracz, wasze! – burknął Rabiński. – Był podstarości i kasztelan na miejscu, a zbójcy i tak podróżnych na trakcie z sakiewek skubali.

– Ale sameś opowiadał, że w końcu przyszedł ich sądny dzień i trafili do lochu.

– A trafili! – przyznał Rabiński. – Tylko że udało im się jednak uwolnić.

– Możebne to?! Ze sławetnego turowskiego lochu ktoś o własnych siłach zdołał się wydostać? Opowiadajże, acan! Jakże to się stało?!

Znów zakrzyknęli o napitek i ani mowy być nie mogło, żeby Rabiński sam za siebie płacił. Popatrzył więc po zgromadzeniu i zaczerpnąwszy powietrza, w takie odezwał się słowa:

– Za sto lat, a może i za dwieście, ludzie, słuchając tej opowieści, będą się dziwować, jak też się udało zmyślnemu zbójcy Rabińskiemu dwukrotnie z głębokiego i zimnego więzienia kasztelańskiego uwolnić.

– Jakże to: dwukrotnie? Nic żeś o tym nie wspominał?! – zachnął się jeden ze słuchaczy.

– Spokojnie słuchajcie, zaraz się wszystko wyjaśni. – Bartek potoczył wzrokiem, upił łyk piwa, znów westchnął, aby wzmocnić napięcie.

– Urodzony komediant! – szepnął obraźnik, a kat, który wszak znał opowieść Rabińskiego, nawet nań nie spojrział, tylko bez słowa kiwnął głową. – Może by tak... – Obrażnik chciał jeszcze coś dodać, ale kat

syknał zniecierpliwiony.

Słuchali więc obaj, póki Rabiński nie skończył, a potem patrzyli łakomie, jak wcina zamówiony przez miejscowego bednarza kawał kiełbasy.

– A wyście znali tego Rabińskiego? – zapytał bednarz.

– Wszak bym ze szczegółami jego historii nie przedstawił, gdyby mi jej sam nie opowiedział! – chełpił się Rabiński, żując kiełbasę.

– Prawda to, prawda! A gdzie on teraz, ów sławny mąż?

– Gdzieś na Litwie wojuje.

– Za konfederacją czy za księżęciami i Moskwą się opowiedział? – zaciekawili się słuchacze.

– A jakże wy myślicie? – badał ich Rabiński.

– Że z konfederackimi trzyma! Na pohybel Moskwie i wielkim panom! – krzyknęli, a Bartek uśmiechnął się pod wąsem, jakby rozwiązali trudną zagadkę.

– Macie ich! Nawet wam nic mówić nie trzeba, tacyście rozumni! Który tam mi należe, bo mam wam jeszcze do powiedzenia, jak to było podczas elekcji i jak pałac saski polskie wojska zdobywały.

– A był tam Rabiński?! – zakrzyknął ten i ów.

– Jakżeby nie?! – zdziwił się Bartek. – Sam mi to opowiedział, jakem z nim w lochu turowskim czekał na kasztelańskie zmiłowanie.

– Toście z nim byli?!

Niektórzy aż podnieśli się z miejsc, aby Bartka lepiej zobaczyć. Nawet sam oberżysta zawisł na szynkwasio i słuchał chciwie.

– A skąd bym to wszystko mógł wiedzieć, gdyby mi Rabiński osobiście nie opowiedział?! – Zbójca wzruszył ramionami i znów popił piwa.

– We Warszawie też żeście z nim byli?

– Gdzie zaś! Toć u kowala w Zabiellowie żem za pomocnika robił!

– Aby lepiej ukryć swą tożsamość, Bartek nagle zmienił manierę, mówiąc po chłopsku. – No, ale potem... Potem... – Zamyślił się, jakby nie był pewien, czy są godni jego zwierzenia.

– Co „potem”?! Mówcie!

– Potem żem do jego bandy przystąpił! – wyrzucił z siebie i spojrzał w dół, jakby skruszony. – Wybaczcie, jeśli którego z was

obrabował.

Nawet jeśli tak było, żaden się do tego nie przyznał. Machali rękoma, jakby to nie miało znaczenia. Chciwi opowieści, gotowi wybaczyć mu postępek karany gardłem, byle tylko usłyszeć więcej o bohaterskich czynach Rabińskiego. Kata bawiło to, jak sprytnie Rabiński się swego życia wyparł i jak gładko sam o sobie opowiadał, ani razu się nie myląc. Zdawał się najgłębiej wierzyć w swoje opowieści, a jego wiara przelewała się na słuchaczy. Wpatrzeni weń czekali na więcej.

– A jak to się stało, żeście się z Rabińskim rozeszli? – zapytał nagle ktoś z ciemnego kąta.

Bartek momentalnie przybrał na twarz smutek i westchnął żałościwie.

– Jeszczeście się nie domyślili, o co poszło?

– O pieniądze z łupów?! O dowodzenie?! – wołali.

– Ot, durnie! – Pokiwał głową z lekceważeniem. – O niewiastę poszło! Nic innego by nas nie rozdzieliło!

– A kto ona? – pytali, zbliżając się do niego, bo mówił coraz ciszej.

– Ani byście uwierzyli.

– Szlachcianka? Z dobrego domu? – Wiedzieli, że Rabiński, ich Rabiński, nie poszedłby na amory z pierwszą lepszą.

– Córka pana na Turowie... – wyszeptał Bartek, a w karczmie zapadła długa cisza.

Wszyscy tu znali Cecylię Lange. Często bywała w Brześciu, sama lub z ojcem czy braćmi. Żydzi mieli w niej swoją najlepszą klientkę, bo nigdy się nie targowała. Drobnik kupcy poznawali ją po powozie, gdyż rzadko kiedy osobiście schodziła, by popatrzeć na ich nędzne kramy. Spoglądała z wysokości konia lub przez okienko karety, wskazując to czy owo dłonią w eleganckiej rękawiczce. A służka dokonywała zakupu. Nikt nie wątpił, że to Rabiński był szczęśliwym rywalem tego tu czeladnika kowalskiego. Bo że też poważny się on w ogóle spojrzeć na kasztelanę!

– Wygonił mnie jak psa! – burknął zbójca, niby to ze wstydem.

– A w czym żeś ty mógł zagrozić Rabińskiemu?! – parsknął ktoś z boku.

– Ja? W niczym, alem śmiał powątpiewać w jej urodę i to

wystarczyło, bym miejsce w jego kompanii postradał – rzekł smutno Bartek i pociągnął nosem, a oni zajrzeli do swych kubków, czy tam na dnie jest jeszcze piwo, co ukojenie w sercowych sprawach przynosi.

Kiedy późną nocą wyszli z karczmy, obraźnik klepnął Rabińskiego po plecach.

– Nie wiem, jakim byłbyś jurystą, pewnie dobrym, bo gęba ci się nie zamyka, ale mam dla ciebie lepszą propozycję. Rzuć tę robotę w kuźni i jutro z samego rana ruszaj z nami do Białej.

XLV

Na widok posłańca Kacper Hadziewicz radośnie się uśmiechnął. Zeskoczył z konia i zapytał:

– Gdzie listy?

– Jużem oddał.

– A co tam we dworze? Spokój?

Prot podrapał się za uchem i skrzywił, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

– O, dziwy, jaśnie panie, dziwy... – rzekł niepewnie.

Podstarości wszedł do namiotu, a chwilę później już się rozczulał, czytając list od Zofii.

Umiłowany mój!

Boję się, że może opacznie zrozumiesz to, co mam Ci do powiedzenia, i będziesz krzyw na mnie, że w Twoim majątku rozporządzam się niczym we własnym, ale spróbuj najpierw mnie wysłuchać, a dopiero potem oceń. Po Waszym wyjeździe w powiecie źle się dzieje. Nie ma bezpieczeństwa, bo mężowie, żony pozostawiwszy, walczą gdzieś daleko za jednego albo drugiego króla, na miejscu zaś rabusie z tego korzystają, pustosząc dwory. Po naradzie ze Szmulem przy pomocy grandmuszkietera Kettlera zebrałam ludzi Bartkowych oraz paru jeszcze z różnych majątków i oddział z nich uczyniwszy, staram się utrzymać porządek w okolicy. Dwór od tego czasu żaden nie spłonął, ale kilka dni temu przybył niezadowolony mocno sekretarz kasztelana i kazał jakieś zaległe podatki za Gród Orłowy płacić. Widzi mi się, że to fałsz, więc mówię mu, żeby czekał, i płacić nie zamierzam. Gdyby Cię jakie wieści o mnie i Kettlerze doszły, wiedz, że to kłamstwo będzie, bo nic mnie z onym kawalerem nie łączy oprócz interesu. Jeśli chodzi o gospodarstwo, to dzięki Bożej pomocy jakoś nam się udaje wszystko na czas zrobić, a zbiory się zapowiadają dobre. Czekamy Twego powrotu wszyscy, tęsknie poglądając na trakt, czyś się ze swymi ludźmi na nim nie pojawił. Oby Cię Najświętsza Paniienka chroniła od wszelkiego złego i do nas jak najszybciej na powrót przywiodła!

Przeczytał list po raz drugi, złożył papier i schował na sercu. Klepnął się jeszcze po piersi, jakby chciał uzyskać pewność, że list nie wypadnie. Potem westchnął i zamyślił się przez chwilę. To prawda, że walcząc o rzecz najważniejszą, o słusność elekcji, zaniedbali sprawy drobniejsze, powiatowe. Zostawili bez opieki kobiety i dzieci, które teraz niewinnie cierpią. Tak go to zdenerwowało, że kazał sobie dać wódki. Wypił i zawołał Witka.

– Każ trąbić wsiadanego!

– Panie, wieczór się zbliża, ludzie zmęczeni, dopiero wrócili z podjazdu!

– Nic im się nie stanie, jest wojna! – mruknął niechętnie podstarości, a Witek wyszedł z namiotu, aby wydać polecenie.

Pojechali całym oddziałem, zostawiając tylko strażę. Droga wiodła lasami, skrajem pól, nigdzie po drodze nie spotkali wroga, z którym podstarości mógłby się zetrzeć. Wrócili bardzo zmęczeni, ale nikt nie protestował. Popadali, gdzie komu wypadło, zmęczeni ciężkim dniem. Nim jednak ogniska dogasły, w straszliwym huku i wrzawie na obóz napadł oddział wroga. Nieprzygotowani konfederaci łapali w biegu broń i starali się rozeznac w sytuacji. Strzelali i rąbali szablami na oślep i wkrótce dało się widzieć, że ulegają przewadze liczebnej. Hadziewicz, zdzierając gardło, wyrzucał z siebie rozkazy, ale jego wojsko już zostało rozproszone i każdy walczył tylko o życie. Witek, ramię w ramię przy swym panu, gotów zginąć, osłaniając podstarościego własną pierśią. Niedługo potem dołączył do nich Prot. Hadziewicz uśmiechnął się do chłopaka, chcąc dodać mu otuchy, ale niemal w tej samej chwili Prot pchnął go szablą. Zdziwiony podstarości, nie czując jeszcze bólu, spojrzął na szablę, tkwiącą w jego boku. Prot wyszarpał ostrze i wmieszał się w tłum walczących, a Kacper zachłystnął się i upadł na kolana. Oddział walczył jeszcze przez jakiś czas, ale straciwszy dowódcę i widząc znaczną przewagę liczebną wroga, poddał się.

Hadziewicz został uznany za poległego. Nikt go nie podniósł z pola

bitwy, nikt nie zatroszczył się o pochówek. Królewscy zabrali jeńców i upojeni zwycięstwem ruszyli ku swemu obozowisku. Gdy tętent koni ucichł, Witek, który udawał zabitego, podniósł się na kolana. Było ciemno, choć oko wykol, a on został zraniony w udo, ale czołgał się, poszukując podstarościego. Płakał. Żałował, że nie zdążył zabić Prota, chroniąc swego pana, ale mimo podejrzeń, jakie wobec niego żywił, nie przypuszczał, że chłopak okaże się aż tak podły. Zrozpaczony nie czuł satysfakcji, że to on miał rację, podejrzewając Prota o szpiegowanie dla kasztelana. Kto mógł się spodziewać tak tragicznego finału? Pewnie to on, wracając z Grodu Orłowego, dał znać królewskim.

– Uważaj, jak cię kiedyś dorwę! – Witek syczał z bólu i rozpacz.

Zdjął koszulę, przytrzymując zębami, oderwał rękaw i zawinął dookoła rany. Spróbował wstać, ale ból był nie do zniesienia. Dopiero gdy nieopodal zauważył kubrak podstarościego, nie zważając na cierpienie, podczołgał się w jego stronę. Odwrócił ciało na plecy, aby spojrzeć na swego pana i zapłakać, ale usłyszał cichy jęk.

– Wy żyjecie, panie?!

Podstarości nie odpowiedział. Koszulą bez jednego rękawa Witek próbował zatamować krew sączącą się z boku Hadziewicza.

– Panie, słyszycie mnie?

– Przegraliśmy? – jęknął Kacper.

– To Prot, on waści pchnął! Widziałem! Może i on ich tu sprowadził.

– Teraz to już nieważne. Pochowaj mnie głęboko i zawiadom miecznikową. Zostań u niej na służbie, jeśli cię zechce...

– Panie mój, nie umierajcie! Wstanie świt, pójdę do wsi, przewiozę waszą miłość do jakiego dworu, znajdziemy cyrulika. Musicie żyć!

– płakał Witek.

Ujął rękę podstarościego i ucałował.

– Tegom się nie spodziewałem... – dyszał Kacper. – Nie żeby w ogóle, ale nie dziś... Nie dziś... Na śmierć się dziś nie gotowałem, a ona przyszła nieproszona i drwi sobie z moich planów. Miecznikową myślałem jeszcze dziećmi obdarować. – Zakaszłał z wysiłku.

– Nie mówcie nic, nie traćcie sił – prosił Witek. – Jak tylko zaczną świtać, poszukam ludzi, może kto się ulituje...

– Tyś cały?

– Drasnęli mnie w udo, ale nie głęboko. Trupów nie brali ani rannych. Tylko tych, co zdołali ustać o własnych siłach.

– A nas na śmierć zostawili.

– I dobrze, bo im sztuczkę zrobim. A tego Prota to ja jeszcze dopadnę, oj, dopadnę! – Witek cedził przez zęby. – Wypruję mu wątpia i powieszę na drzewie. Będzie zdychał długo i w męczarniach.

– Gdybym ci dał posłuch, nie leżeliby my tu dzisiaj jak dwa wieprzki zaszlachtowane i na śmierć nie czekali.

– To ja jestem od dawania posłuchu, jednak nie zaprzeczę, żeście się długo opierali. Ale co komu pisane... Może i bez tego zdrajcy dziś by my tu leżeli i na łaskę pańską czekali. Byle do świtu, panie! Wytrwajcie!

Podstarości już nie odpowiedział, zapadł ni to w sen, ni to w letarg i tylko ciężko dyszał. Raz po raz westchnął głośniejsz, a bliżej świtu zaczął majaczyć. Witek płakał, wiedząc, że musi swego pana w takim stanie zostawić. Bał się, że wróciwszy, nie zastanie go już pośród żywych. Rozejrzał się za jakimś kosturem i znalazłszy gruby kij, którym mógł się podeprzeć, ruszył w kierunku najbliższej wsi.

Uszedł może z ćwierć mili, kiedy natknął się na chłopską furkę.

– Ratujcie, dobry człowieku! Tu bitwa była niedaleko, ratujcie mego pana, jeśli w Boga wierzycie! – zaklinał gorąco.

Chłop popatrzył nań z ukosa.

– Co mam nie wierzyć, a daleko trza zbaczać? Bo mi za interesem pilno!

– Nie tak daleko i dużo tam trupów, to i butów zbierzecie niemało!

– Jak trupów wiele, to grzebać się godzi, a ja bez łopaty.

– Zawiadomimy konfederackich, to ich pogrzebią, a zacinaj konia co prędzej, bo mój pan tam ledwo żywy!

Chłop strzelił z bata i skręcił w las. Szarzało. Witek spojrzął na swą nogę. Opatrunek przesiąkł na wylot. Niedługo potem dojechali do pola bitwy. Na niewielkiej polanie, gdzie obozował oddział podstarościowego, leżało kilkanaście trupów. Kilku rannych jęczało, prosząc o wodę. Witek pokuśtykał do Hadziewicza, pochylił się nad nim z obawą i drżącym głosem zapytał:

– Żyjecie, panie?

XLVI

Prot skłonił się i wyszedł, a Strasz zatarł ręce zadowolony. Wreszcie się udało! W gorączce bitewnej, bez świadków, nikt więc nie będzie o śmierć podstarościego oskarżać kasztelana, jak wtedy, gdy spłonęła wieża. Ten chłopak się spisał! Początkowo Strasz mu nie ufał. Gdy przyszedł z pytaniem, czy mógłby zatrudnić się u Hadziewicza, by stamtąd wieści przynosić, sekretarz nie chciał dać zgody. Nauczony doświadczeniem obawiał się uroku podstarościego, który sprawiał, że nasłani nań słudzy przechodzili na jego stronę. Ale Prot chyba bardziej sobie cenił nadzieję na obiecywaną wdzięczność kasztelana, bo za każdym razem wracał z nowymi wieściami, aż wreszcie z tą najważniejszą! Zatem nagroda go nie ominie.

Strasz zaklaskał. Drzwi otwarły się i stanął w nich lokaj.

– Wezwijcie dowódcę straży! – rzekł Strasz i wrócił do pisania listów. Gdy niedługo potem dowódca stanął w kancelarii, list był już zapieczętowany.

– Dasz to Protowi. Ma natychmiast ruszać do kasztelana. Pismo jest ważne i pilne. Niech je dostarczy do rąk własnych jego wysokości.

Dowódca wziął list i rzucił okiem na pieczęć. Nie była to pieczęć kasztelana, tylko Strasza, którego herb, Mogiła, oznaczał, że ktoś zaufany ma podążyć za Protym, a on sam do adresata listu nie powinien dotrzeć.

– Wedle rozkazu! – mruknął dowódca, skłonił się i wyszedł.

Jeszcze raz spojrzął na pieczęć i skrzywił się lekko. Nie pierwszy to raz i nie ostatni sekretarz zaciera w ten sposób ślady swoich poczynań. Ciekawe, do kogo tym razem wiodą? Gdyby posłaniec złamał pieczęć, niczego by się nie domyślił, musiałby znać dobrze tajemnice kancelarii zamkowej, a te nie są odsłaniane byle komu. Pewnie mu Strasz podziękował z wylewnością, obiecując wszystko, o co tamten prosił, a teraz dostanie to, na co zasłużył. Taki jego los.

Odprawiwszy dowódcę straży, Strasz zamknął dokumenty w sekreterze i wyszedł z kancelarii. Chciał jak najszybciej zawiadomić Cecylię, liczył bowiem na jej wdzięczność. Nie były to rachuby

bezpodstawne. Od kiedy kasztelanka przegoniła grandmuszkietera, wyrzucając mu służenie miecznikowej, a ten zamieszkał w Grodzie Orłowym, Cecylia wykorzystywała każdą okazję, aby przeklinać niestałość Kettlera. Teraz będzie miała okazję do triumfu.

„Trzeba będzie i z nim kiedyś sprawę załatwić za pomocą mojej pieczęci” – pomyślał Strasz i przestępując po dwa schody, pędził do Cecylii.

Zastał ją podczas zabawy z niemowlętami, stanął więc spokojnie przy drzwiach. Musiała się domyślić, że chodzi o coś ważnego, bo popatrzyła nań uważnie i oddała córkę w ręce niani.

– Wyjdźmy! – rzuciła.

Odeszli w odległy kąt korytarza i niczym spiskowcy oglądając się wokół, stanęli blisko, aby nikt postronny nie wyłowił ni sylaby z tego, co mieli sobie do powiedzenia.

– Dobre wieści! – wyszeptał Strasz.

– Jakież to? – zapytała tonem niedowierzania.

– Podstarości zasnął w Panu.

Wystarczyło mgnienie oka, by zrozumiał, jak mylne były jego rachuby! Twarz Cecylii stężała, zbladła, wpółotwarte usta wykrzywiły się jak do płaczu.

– Coś rzekł?!

– Kasztelanic Stanisław może już wracać do Turowa, miecznikową się usunie z Grodu Orłowego, a kufer matki podstarościego przechodzi na Jandźwiłłów! – Strasz tłumaczył się ze swej radości, jednocześnie jakby szukając usprawiedliwienia.

– On... Nie żyje?!!! – wybąkała kasztelanka, jakby ciągle nie rozumiała.

– Wasz ojciec od dawna tego pragnął. Podstarości stał się zbyt niezależny, ostatnio był wręcz wrogiem domu Jandźwiłłów. W ten sposób osłabimy też miecznikową, już nie będzie nam bruździć.

– Zabiłeś go?! Morderco!!! – wyszeptała nieswoim, chrapliwym głosem.

Strasz złapał kasztelankę za przegub dłoni, spojrzał jej twardo w oczy i cicho rzekł:

– Podstarości zginął w bitwie. Nikt mu nie kazał z konfederatami

się bratać. A wy, pani, zachowajcie spokój, boście panią Lange i nie godzi się, abyście po Hadziewiczu rozpaczali!

Ona go jednak nie słuchała. Wyrwawszy rękę z uścisku, pobiegła przed siebie korytarzem, a on, rozdrażniony nieoczekiwanym obrotem sprawy, zaklął siarczyście i ruszył do kancelarii. Niedługo później tupot pojedynczego konia na moście zwodzonym uświadomił mu, że Cecylia pojechała do lasu płakać po Kacprze Hadziewiczu.

– Tym lepiej! – rzekł, zacierając ręce. – Dwie pieczenie upiekliśmy przy jednym ogniu.

Cecylia rzeczywiście gnała na oślep, płacząc i krzycząc. Dopiero wieść o śmierci Kapra uświadomiła jej, że tylko jego naprawdę kochała. Wspominała, jak razem wzrastali na dworze, często się przekomarzając. Jak robili sobie rozmaite psikusy, jak po jej ślubie dość długo się nie widzieli i jak wreszcie wybuchła między nimi nieokiełznana namiętność. Gdyby nie miecznikowa, pewnie nadal byliby szczęśliwi. Tak wielu rzeczy nie zdążyła mu powiedzieć! Pomyśleć, że go już nigdy nie zobaczy! Aż do dziś nie zdawała sobie sprawy z tego, jak ważny był w jej życiu. Zmęczona, wreszcie zatrzymała konia.

„Szczęśliwa miecznikowa, został jej przynajmniej jego dwór, pamiątki po Kacprze, jego konie, psy, służba, która go tak kochała. Ciekawe, gdzie jest ten sługa, Witek? Czy on też zginął? Może mógłby opowiedzieć o ostatnich chwilach Kapra? Może umierając, podstarość coś powiedział? Wydał jakieś dyspozycje? Może choćby wspomniał? Trzeba zawiadomić miecznikową! Strasz będzie z tym zwlekał, ale przecież ktoś powinien pojechać po ciało! Nie godzi się, żeby podstarość winnicki został pochowany gdzie bądź, pod przydrożną brzózką!” – myślała.

Dojechawszy do krzyżówek, roztrzęsiona zatrzymała się, rozejrzała i ruszyła na Gród Orłowy.

„Będę posłem złej nowiny, miecznikowa mnie znenawidzi. Trudno, trzeba działać! Nie ma czasu do stracenia!”. – Spięła konia i popędziła co tchu.

Na dziedzińcu dworu w Grodzie Orłowym kilkunastu chłopów ćwiczyło z bronią. Niektórzy wydawali się Cecylii znajomi. Kettler rzucił jej niepewne spojrzenie, ale nawet się przy nim nie zatrzymała.

We dworze szykowano się właśnie do obiadu. Miecznikowa, zobaczywszy rozgorączkowaną Cecylię, uniosła brwi i zamarła wyczekująco.

– Pani, wysłuchaj mnie! – poprosiła kasztelanka.

– Zapraszam! – Zofia wskazała drzwi do kancelarii. – Spocznijcie, bardzoście zdrożona – rzekła chłodno, gdy znalazły się w środku.

– Nie oceniajcie mnie teraz, wielem wam zawiniła, a dziś jeszcze przynoszę złą nowinę. Zechcijcie jednak zrozumieć.

Zofia usiadła. Opuściła głowę i nie podnosząc na nią wzroku, wyszeptała:

– Co mu się stało?...

– Zginął w bitwie. Przynieśli właśnie wiadomość.

– Kto?

– Sługa.

– Jaki sługa? Dlaczego do zamku, a nie tutaj?

Dopiero teraz Cecylia rozumiała, że za bardzo się pośpieszyła.

– Gdzie ten sługa? Jak go zwą? – dopytywała się Zofia.

– Musicie zapytać Strasza.

– Nie zamierzam jechać na zamek po takie wiadomości. Boję się usłyszeć coś, czego bym nie chciała – lodowatym tonem rzekła Zofia.

– Ale trzeba jechać po ciało! Kacper nie może zostać pochowany w polu! Zrozumcie!

– Nigdzie się stąd nie ruszę, póki nie dostanę oficjalnego zawiadomienia.

– Myślicie, że chcę was wywabić ze dworu? Co za bzdura, ja go kochałam! Rozumiecie?! Kochałam! Całym sercem! I on mnie kochał! Nie chcecie jechać po ciało, trudno, sama pojedę! A wy sobie siedzicie tu, w jego dworze!

Cecylia wybiegła na dziedziniec, a wstrząśnięta Zofia bez ruchu, zapatrzona w jeden punkt, próbowała zebrać myśli. Do kancelarii cicho wsunęła się pani Salomea.

– Czego chciała?

– Przyniosła wiadomość, że Kacper nie żyje. Ponoć zginął w bitwie. – Zofia mówiła z trudnym do zrozumienia, lodowatym spokojem.

– Jak to możliwe? Nicem złego nie śniła... – szepnęła cześnikowa i przeżegnała się wstrząśnięta.

– Tyle szczęścia zaznałam, co w marzeniach, i znów kir wdziac mi przychodzi – powiedziała Zofia. – Ale tego nie zrobię, matko, bom jest przy nadziei.

XLVII

Strasz nie spodziewał się tak żywiołowej reakcji Cecylii na wieść o śmierci Hadziewicza. Ale jeszcze bardziej się zdziwił, gdy przy kolacji oznajmiła mu, że chce powóz i kilku ludzi, bo zamierza się udać w kilkudniową podróż. Nie mógł jej tego zabronić, tylko by ją rozwścieczył, próbował więc zasłaniać się rozkazami kasztelana.

– Załoga zamku bardzo jest uszczuplona, trwa wojna z konfederacją, zaczekajcie dni kilka.

– Nie dasz mi ludzi, to pojedę sama.

– A dokąd jaśnie pani zamierza się udać?

– Do Warszawy – skłamała.

– Nie narażajcie się teraz! – prosił. – Nie mogę dać wam odpowiedniej eskorty. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby się co stało.

– Sprawy życia i śmierci są ponad naszymi ziemskimi. Pojadę z waszą zgodą lub wbrew niej!

Strasz westchnął ciężko. Reakcja kasztelanki oraz jej słowa świadczyły o tym, że nie zamierzała jechać do Warszawy, tylko w przeciwną stronę, na Litwę.

– A wiecie choć, gdzie się owa bitwa odbyła? – zapytał znużonym głosem.

– Nie, ale wszak mi powiesz? – stwierdziła hardo.

– Snów. Wioska nazywa się Snów. Musicie jechać na Kobryń, Baranowicze. Dałbym wszystko, aby wam towarzyszyć, jednak pozostawić zamku bez nadzoru nie mogę. A na co wam trup podstarościego? – dodał na koniec.

– Kacper był naszym domownikiem. Przez lata wiernie służył kasztelanowi.

– Ale ostatnio się zbiesił.

– Nie ma rodziny, ktoś go powinien z honorami pochować.

– Jest miecznikowa, niech się tym zajmie. Siedzi na Grodzie Orłowym niczym ślubna żona.

– Miecznikową zostawiam tobie. Trzeba ją z Grodu Orłowego jak najszybciej wykurzyć.

Strasz bez słowa spojrział na Cecylię. Nie chciał obiecywać zbyt wiele.

– Dam wam pięciu ludzi. Tylu musi wystarczyć. I pismo z pieczęcią kasztelana, oby was ochroniło!

– Poradzę sobie, wszak jestem z Jandźwiłłów! – rzekła i z szelmowskim uśmiechem wypięła dumnie pierś.

Rano ruszyła drogą na Winnicę, Kobryń i dalej ku Baranowiczom. Liczyła, że na miejscu będzie za tydzień, może za dziesięć dni. Woźnica niezmordowanie poganiał konie, zatrzymywali się tylko wtedy, gdy to było konieczne, i rzeczywiście po tygodniu dojechali do Baranowicz. Tu Cecylia kupiła trumnę i z tym niecodziennym bagażem ruszyli na Snów.

Następnego dnia o zmierzchu dotarli do niewielkiego brzozowego lasku, gdzie na świeżych mogiłach stało kilkanaście krzyży. Cecylia zrozumiała, że to właśnie owo miejsce. Jednak na żadnym krzyżu nie było nazwiska. Który więc oznacza mogiłę Kacpra? Aby zasięgnąć języka, kazała się wieźć do wsi. Chłopi właśnie wracali z pola. Byli to Rusini, poprosiła więc jednego z żołnierzy, który mówił w ich języku, aby dopytał się o groby. Pamiętali, że odbyła się tu potyczka, ale oni nie grzebali zmarłych, tak przynajmniej zgodnie twierdzili.

– Kłamią, jaśnie pani! Chłopi zawsze plądrują na polu bitwy, rozbierają żołnierzy, ściągają im buty. Teraz boją się przyznać, więc na wszelki wypadek mówią, że nie brali w tym udziału – zameldował.

Cecylia zastanawiała się, co robić. Nie będzie przecież rozkopywała wszystkich grobów!

– Powiedz im, że dam trzy dukaty za wskazanie miejsca pochówku dowódcy.

Żołnierz odszedł do zbitych w kupkę chłopów i zaczął ich przekonywać do ubicia targu. Wreszcie jeden z nich wystąpił naprzód, uderzył się dłonią w pierś i wymachując rękami, coś bardzo szybko mówił.

– Pani – tłumaczył żołnierz – ten tu mówi, że było kilku rannych i że wszystkich ich zawiózł do dworu w Wysokiej Lipie. Może tam się czegoś dowiemy?

– Daj mu trzy grosze! – szybko powiedziała kasztelanka.
– I zapytaj, gdzie się znajduje ta Wysoka Lipa.

Chłop wytłumaczył, jak dojechać do odległego o niecałą milę dworu Lipskich. Ruszyli więc z kopyta i przed nocą dotarli do modrzewiowego dworu pięknie położonego na niewysokim zniesieniu pośród olbrzymich lip. Wiodła do niego długa, wysadzana również lipami aleja. Cecylia czuła niepokój. Jej karetę z przytroczoną trumną budziła zdziwienie, tu będzie tak samo. Zauważyła, że przed ganek wyszedł starszy mężczyzna z długimi siwymi wąsami, pewnie dziedzic Lipski. Kazała zatrzymać konie i wysiadła.

– Pochwalony! – powiedziała.

– Na wieki wieków!

– Jestem Cecylia Lange, szukam rannych spod Snowa, podobno zaopiekowaliście się nimi.

– Zapraszam! – powiedział Lipski i wydał dyspozycje dotyczące ulokowania orszaku kasztelanki.

– Z daleka droga prowadzi? – zapytał uprzejmie.

– Aż z Turowa, w powiecie winnickim.

– Kogo szukacie, jeśli wolno zapytać, bo po trumnie sądząc, nikogo z żywych?

– Niestety, tylko o miejsce pochówku chcę zapytać, bo wiem, że ten, którego szukam, poległ – rzekła. – Nazywa się Kacper Hadziewicz.

W tej chwili do sieni przybiegło kilkoro dzieci, a za nimi nadeszła niewiasta w średnim wieku.

– Zapraszamy, pewnie pani zdrożona! Do wieczery czas siadać, posilicie się.

Cecylia uśmiechnęła się blado, najchętniej od razu wróciłaby na cmentarz we Snowie, ale zapadał zmierzch, więc i tak musiała prosić Lipskich o nocleg. Podczas posiłku rozmawiali o jej podróży i o trwającej wojnie. Lipscy sprzyjali konfederacji. Nie znając poglądów gościa, nie kryli się jednak ze swymi sympatiami. Gdy kolacja dobiegała końca, gospodarz poprowadził Cecylię do alkierza znajdującego się po drugiej stronie sieni. Kiedy otworzył drzwi, ledwo stłumiła okrzyk zdumienia. Mimo słabego światła świecy od razu poznała Witka, służbę Hadziewiczowego. Zatem ten, kto leżał na łóżku i na razie nie był widoczny, nie mógł być nikim innym, jak...

– Kacper? – wyszeptała szczęśliwa i podbiegła do łóżka.

Nieprzytomny, rozpalony, z mokrą szmatą na głowie Kacper łapał szybkie, płytkie oddechy.

– Po coście tu przyjechali?! – wysyczał Witek.

– Po niego. Potrzebny mu medyk.

– To czegoście go nie przywieźli?

– Bo mówili, że podstarości nie żyje.

– Żyłby, gdyby nie rozkaz kasztelana! – ostro rzekł służący.

– Licz się ze słowami! – skarciła go, siadając obok Kacpra. Ujęła jego dłoń i przytknęła do swego policzka.

Witek stał z boku, patrząc na nią z pogardą.

– Zostawcie go! Nie macie prawa...

Cecylia wstała, odwróciła się do niego i rzekła twardo:

– To ja decyduję, do czego mam prawo. Jeśli mi się sprzeciwisz, moi ludzie będą wiedzieli, co zrobić. A teraz wyjdź i ani słowa gospodarzowi, kim jestem!

Witek obrócił się na pięcie i wyszedł, a Cecylia długo trzymała w dłoniach rękę Kacpra, raz po raz całując ją i szepcząc coś, czego nikt nie słyszał.

Została w gościnie u Lipskich trzy dni i wszystkie trzy spędziła przy chorym, odchodząc od jego łóżka jedynie na posiłki. Przywieziony z Baranowicz medyk raz jeszcze przeciął i oczyścił ranę, dzięki czemu gorączka spadła. Trzeciego dnia Kacper zaczął odzyskiwać przytomność.

– Zofia? – wyszeptał z trudem.

– To ja, Cecylia.

Podstarości nie odpowiedział, odwrócił tylko twarz do ściany i zamknął oczy.

Kasztelanka kupiła wóz i kazała przygotować go do drogi. Nie posłuchała rady medyka, który odradzał podróż, i zapewnień gospodarzy, że Kacper może dochodzić do siebie tak długo, jak długo będzie to konieczne. Puściła jednego ze swej asysty do przebywającego w okolicy Korelicz kasztelana, aby zwolnił Dietricha, który jest pilnie potrzebny w Turowie. Wynieśli Hadziewicza i położyli na wozie z sianem.

– Dokąd mnie wiesziesz? – zapytał ochryple.

– Do domu, kochany. Do domu.

XLVIII

Jan Jandźwiłł, doznawszy największego w życiu upokorzenia, jakie zgotowało mu trzech nieznajomych mężczyzn, długo błąkał się zaułkami Gdańska. Że też śmieli mu grozić! I za co?! Dziewczyna sama chciała, przychodziła wielokrotnie, napraszała się wręcz! To nie jego wina, że wreszcie uległ. Zamiast jej pilnować, urządzają polowanie, straszą obiciem kijami i jeszcze złoto wciskają do garści, jakby nie był szlachcicem, tylko dziewczką uliczną! Poniżony, z piętnem hańby doznanej od kupca uzbrojonego w kij, aby uratować honor, Jan postanowił się zabić. Jednak nie znalazł dość siły, by dokonać tego ostatecznego kroku. Samobójstwo wymaga planu, a on go nie miał. Tylko wstyd ciążył mu coraz bardziej i bardziej, wyciskając z oczu łzy bezsilności. Późno w nocy kasztelaniec dowlóknął się wreszcie do karczmy.

Sądził, że wszyscy już będą spali i niezauważony zdoła przemknąć na górę, tymczasem w gospodzie nikt się jeszcze nie udał na spoczynek. Rozgorączkowany tłum gości i sąsiadów komentował wieści z ratusza, gdzie odbyła się sesja Rady Gdańska z udziałem księcia Czartoryskiego, wojewody ruskiego, i Poniatowskiego, wojewody mazowieckiego, występujących w imieniu króla.

– Król doradza Gdańskowi kapitulację! – rzekła z rozpaczą karczmarka. – Co z nami będzie?!

– Zwolnił nas z przysięgi na wierność, dobre sobie! – prychnął Herder. – Ja mu tam nie przysięgałem.

– Od kiedy Wisłoujście się poddało, nie ma ratunku. Teraz Münnich oblega nas z każdej strony. Jeśli się nie poddamy, weźmie Gdańsk głodem! – rzekł ktoś z boku.

– Pono król rozważa przebicie się z setką ludzi przez umocnienia wroga i ucieczkę do Prus – poinformowała Florentyna.

– Chyba na łodziach! – parsknął Klugge.

– Tymczasem Długie Ogrody już znajdują się pod ostrzałem.

– Na wszystko jest za późno. Rada obraduje, pojedą do Münnicha negocjować, ale i tak bez wielkiej kontrybucji się nie obejdzie. Rosja przetrzebi nam mieszki, oby tylko nie rościła pretensji do naszych praw!

– zmartwił się Herder.

– I na co nam to było?! Po cośmy tak Leszczyńskiego hołubili? Na co nam ten kłopot? Zastój w handlu, miasto w ruinie, jak się to skończy?

– biadolił Klugge.

– Dajcie spokój, mistrzu Klugge, kto z góry wiedział, że Leszczyński niczym żebrak będzie o pomoc błagał? Mieliliśmy wszyscy nadzieję, że wspomagając króla, własny interes chronimy!

– zaprotestowała Florentyna. – O, ten tu obecny, choć zda mi się tylko ciałem, polski szlachcic, Jan, także zasepiony mocno. Co wam to, kawalerze?

– Słucham, co mówicie – cicho odparł Jan.

– Aleście całkiem bez ducha!

– Moja misja zakończona. Na tarczy nas wyniosą, wstydem okrytych.

– Tak bywa na wojnie – uspokajała Florentyna. – Raz się zwycięża, raz przegrywa. Zresztą możecie się przebrać za pachółka i nikt was nie rozpozna. Przesiedzicie u mnie, póki się wszystko nie skończy. A potem kiedy wrócicie do siebie.

– Babskie gadanie! – parsknął Klugge. – „Przesiedzicie, ukryjecie się” – naśladował Florentynę. – A co to za honor dla szlachcica ukrywać się w przebraniu pachółka? Wszak to gorsze, niż poddać się wrogowi! Mam rację, kawalerze?

Jan nic nie odrzekł, ale z jego milczenia wszyscy zmiarkowali, że Klugge, choć młynarz, jakie takie pojęcie o żołnierskim honorze ma. Karczmarka nalała piwa i podała Janowi.

– Naści! Ja stawiam. Pijcie i idźcie spać. Sen na zmartwienia najlepszy.

Jan wypił piwo duszkiem i kiwnąwszy gościom głową, poszedł do siebie. Za nim jak cień powlókł się sługa, który widząc swego pana, również czuł kamień na sercu. Nie dopytywał się, co zaszło, bo i tak kasztelan teraz nic nie powie. Może kiedy indziej. Jan, nie zdejmując odzienia, padł na siennik twarzą w dół. Raz jeszcze przed oczyma stanęły mu obrazy dzisiejszego wieczoru. Cóż mógł uczynić? Musiał uciec z Gdańska. Nie przeżyłby tej hańby, gdyby go kto jutro znów ganiał z kijami. Jego, kasztelanica turowskiego! Jakiś kupiec śmiał

doradzać mu ucieczkę z miasta! Gdyby był bliżej króla, gdyby miał jakiego przełożonego, a nie bił się na własną rękę, może inaczej odpowiedziałby napastnikom? Zresztą na wszystko było za późno.

– Spakuj nasze rzeczy i zdrzemnij się trochę. O północy ruszamy – wymruczał, ledwie odchylając głowę.

– Dokąd, panie? – zapytał zdumiony sługa.

– Na Litwę, zda mi się, że na Litwę.

Spał krótko. Zerwał się obudzony przez sen jakiś straszny. Mówiący indykiem, gulgoczącym językiem ludzie w czarnych opończach i spiczastych kapeluszach stali nad nim, a on kulił się z obawy, że trzymane przez nich grube kije zaraz wylądują mu na karku. Odetchnął z ulgą, widząc, że znajduje się w swym mieszkaniu, na strychu gospody. Gdzieś niedaleko zadudniły dzwony. Jan trącił chłopaka.

– Wstawaj! Już druga! – rzekł po cichu.

Wyjrzał przez małe okienko. Na dworze szarzało, mogli ruszać.

– Zdejmij buty! – rozkazał twardo, a jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Każka.

Służący nie rozumiał, ale spełnił polecenie. Kasztelanic z sakwą w ręce uchylił drzwi i wyjrzał. W gospodzie panował spokój. Starając się stąpać jak najciszej, zeszli na dół. Drzwi na podwórze były zamknięte tylko na skobel. Jan podszedł do swego konia i poklepał go lekko po zadzie. Zwierzę zarżało. Jednak kasztelanic minął konia, rzucił swoją sakwę chłopakowi i wszedłszy na daszek niewysokiej komórki, zrobił znak, by Każko podał mu sakwy. Chwilę później wylądowały na ulicy, a za nimi Jan i jego sługa.

– Zostawiamy konie?! – przeraził się Każko.

– Trza nam się przeprawić przez szaniec obronny. Módlmy się o jaką łódź, bo jedyna droga prowadzi przez fosę. Konie muszą zostać. Zresztą decyzją Rady pola od wschodniej strony zostały zalane, konie tam na nic.

– I siodła? I rzędy? Panie... – Chłopak niemal się rozplakał.

– Cichaj! Bo kto nas zdybie! – szepnął Jan i chwycił swoją sakwę, po czym kuląc się, ruszył szybko w kierunku Wyspy Spichrzów.

Miasto spało. Gdzieniegdzie dało się słyszeć jakieś odgłosy, psie poszczekiwania, rzenie koni, krzyk pijanego, ale stłumione, odległe. Popatrując na boki, jakby z obawą, Jan z Każkiem szli ku Długim Ogrodom. Minęli dom króla, Jan dobrze pamiętał, gdzie został przyjęty, wreszcie skręcili ku Wiśle. Może tam znajdą jakiegoś przewoźnika?

Od czasu coraz liczniejszych dezercji przeprowadzanie uciekinierów przez Wisłę stanowiło dla posiadaczy łodzi doskonały zarobek. Noc zaś była najlepszą porą na przeprawę, dlatego oczekując klienta, przewoźnicy często nocowali w łodziach. Ale dziś nie było widać ani żadnej łodzi, ani barki. Jan przestraszył się, że wzejdzie słońce i ktoś ich zauważy. Przyśpieszył kroku. Wreszcie ujrzeli łódź, która minęła ich, płynąc w kierunku Wisły. W środku siedziało kilku ludzi, skrywających oblicza pod kapturami opończy.

„Trzeba tu było przyjść wczoraj, zamówić przeprawę” – pomyślał Jan.

– Panie, tam! – Każko szarpnął go za rękaw.

Rzeczywiście, nieco z boku, o jakieś staje od nich, rysował się kształt przypominający siedzącego człowieka. Przyśpieszyli kroku. Owinięty płachtą mężczyzna spał. Szturchnięty, otworzył oczy.

– Czego?!

– Na drugi brzeg, szybko!

– A bo was kto goni? – Przewoźnik podniósł się, przeciągnął i zmierzył wzrokiem kasztelanica i Każka. – Pieniądze macie?

– Mamy.

– A wiecie, że dalej bagna i znowuż Wisła do przepłynięcia? Jeśli się wam śpieszy, jak mniemam, to najlepiej byłoby aż do końca dopłynąć.

– Zgoda, płynmy do końca! – rzucił zniecierpliwiony Jan, przestępując z nogi na nogę.

– Ale czy tyle macie, bo to by z pięć sztuk złota warte...

– Ile?! – wściekł się Każko i zamachnął ręką, jakby chciał go uderzyć.

– Tyle nie mamy, więc tylko na drugi brzeg – nagle zdecydował kasztelanica. – Jakoś przejdziemy przez te bagna.

Na znak przewoźnika wsiedli do łodzi, która odepchnięta od

brzegu zakołysała się. W dwa pacierze byli po drugiej stronie. Jan wyjął z kieszonki przygotowaną wcześniej złotą monetę.

– Bóg wam zapłaci! – powiedział i wyskoczył na brzeg, a za nim sługa.

– Uważajcie na bagna! – krzyknął przewoźnik i już odpychał się wiosłem, aby jak najszybciej znaleźć się w mieście. – I na Kozaków... – dodał jeszcze. Po cichu, bo za takie ostrzeżenie mu nie zapłacili.

Wstawał świt. Kasztelanic spojrział na Gdańsk, po którym tyle sobie obiecywał, i ze smutkiem zwiesił głowę. Jak tu teraz stanąć przed kasztelanem?

XLIX

Kat z Rabińskim już dłuższą chwilę czekali na obraźnika, który wyszedł za jakimś pilnym interesem i obiecał szybko wrócić. Czas mijał, na ulicach w Brześciu panował ruch, słońce grzało coraz mocniej, a obraźnika nie było widać. Stali spragnieni, gotowi do drogi, skwar im dokuczał i zaczęli się już nawet trochę niepokoić, gdy wreszcie zobaczyli go o jakie sto kroków. Szedł wielce zadowolony, gwarząc z towarzyszącymi mu trzema skrzeczewickimi gamratkami, które żywo gestykulowały.

– Chyba nie każe nam się z nimi żegnać?! – zastanowił się Rabiński.

Katu też się dziwna zdała ta scena, ale że miał zaufanie do rozsądku obraźnika, tylko czekał, co z tego wyniknie. Dziewki niosły ze sobą niewielkie zawiniątka, co mogło oznaczać, że ruszają razem z nimi.

– A na co nam one? – mruknął niezadowolony Rabiński. – Baba w męskiej kompanii kłótnie i nieporozumienia zwiastuje. Jeśli ten pomysł obraźnika wiąże się z babami, to ja już wolę się zaciągnąć do Radziwiłłowskiego wojska.

Tymczasem uśmiechnięty od ucha do ucha obraźnik podszedł bliżej i rzekł:

– Te oto szlachetne niewiasty ruszają z nami. Zbierajcie swoje manatki, po drodze wyjaśnię wam, o co chodzi.

Rabiński skrzywił się, dając do zrozumienia, że jego zgody na interes z dziewczkami być nie może. Na razie jednak milczał. Kat również wstrzymał się od komentarza. Szli ponurzy, jakby im towarzystwo mocno doskwierało, ale i zaciekawieni. A obraźnik, wielce zadowolony, bawił ich opowieściami o różnych perypetiach swego życia. Rabiński zastanawiał się, czy prawdę gada, czy też zmyśla, bo były tak dziwaczne, jakby je w jakim romansie wyczytał. Opowiadał o tym, jak z karawaną kupców podróżował do różnych stron świata: Italii, Niderlandów i Turcji. Jak na statku płynąc, odwiedził Londyn, stolicę Angielczyków, i jak omal nie dojechał do krańców ziemi, gdzie słońce wschodzi i królestwo się Kitaju rozciąga. Uszli może z pół mili,

kiedy obraźnik wskazawszy na przydrożny rów, kazał im wszystkim usiąść w cieniu drzewa, a sam stojąc, założył ręce z tyłu i głosem kaznodziei rzekł:

– Długo żem myślał, ażem wymyślił i dumny jestem z siebie i z tego, do czego mnie mój rozum doprowadził!

Patrzyli na niego w skupieniu, o cóż mogło chodzić? Co za przedsięwzięcie mogą razem wykonywać trzy dziewczki, kat, zbójca i obraźnik? A on przygryzł wargi, popatrzył na nich, czy słuchają uważnie, wciągnął głęboko powietrze, aż wreszcie oznajmił:

– Założymy trupę komediantów!

Jeśli oczekiwał aplauzu, to przyszło mu się srodze zawieść.

– Co takiego?! – Walerka skoczyła na równe nogi. – Po toście nas ciągnęli tutaj aż z Brześcia? Ja, uczciwa dziewczka, mam zostać komediantką? Chyba wam się w głowie pomieszało!

– Nigdy! – fuknęła Maryna.

– No! – zawtórowała jej Jagna. – Albośmy to uczciwie na chleb nie zarabiał, żeby nam takie rzeczy proponować?!

– Już bym wołała pod kościołem zebrać!

Kat splunął tylko w bok, a Rabiński skrzywił gębę i nic nie rzekł.

– Widzę, że was moja propozycja nieco zdumiała. To i dobrze!

– ciągnął niezrażony obraźnik. – Nikt nikogo zmuszał do niczego nie będzie, ale wiedzcie, że z wami czy bez was ja właśnie w tej chwili trupę komediantów zakładam pod nazwą Komedianci Jego Królewskiej Mości!

– Jakiej znowu Królewskiej Mości? – kpił kat.

– To już zostawiam domysłowi naszych spektatorów.

– Żeśmy to niby komedianci króla Augusta? Toż fałsz wierutny, bo on o nas ani słyszał! – oburzył się Rabiński.

– Kto nam zabroni głosić wszem narodom chwałę polskiego króla? Myślisz, że w takiej Białej, Prużanie albo Drohiczynie będą nas ze znajomości z królem egzaminować? – pełnym wyższości tonem prychnął obraźnik. – A jeśli nawet, to chyba ci konceptu nie zbraknie, aby o królu cuda jakie opowiedzieć?

– Więc co właściwie robić mamy? – Rabiński rozłożył ręce.

– To, co onegdaj w karczmie: facecje interesujące opowiadać!

- Ale jakie? – zainteresowała się Jagna.
- Jakiegokolwiek: o królach, rycerzach, syrenach i upiorach, czarownicach i smokach. Mądrym do nauki, a głupim do zabawy.
- On opowiadał o rycerzach i upiorach?! – Kat skrzywił się z pogardą.
- Nie, o sobie opowiadał i wielce udatnie! Myślę, że opowieść o zbrojcy Rabińskim moglibyśmy odegrać w pierwszej kolejności!
- podchwycił obraźnik, a Rabiński aż pokraśniał z dumy.
- Ale jak odegrać? My nie umiemy! – złościła się Maryna.
- Gdzie i dla kogo? – zawtórowała jej pełna zwątpienia Walerka.
- Trzeba napisać historyję i role na poszczególne osoby rozdzielić – tłumaczył Rabiński. – Jam w szkołach bywały, wiem, na czym to się zasadza!
- Obrażnik pokiwał głową.
- Ale papieru nie mamy ni inkaustu, więc mus jakoś inaczej by się do tego zabrać. I nas sześcioro, więc *dramatis personarum* też więcej być naraz na scenie nie powinno.
- *Dramatis personarum*? A co to znów za czorty?! – dopytywała się Jagna.
- Osoby dramatu – z wyższością wyjaśniał Rabiński. – Czyli postacie, które będziemy odgrywali.
- Ja tam nie będę nikogo odgrywała! Wracam do Brześcia i tyle. Może i nie najlepiej nam się wiodło w brzeskim zamtuzie, ale żeby robić ze siebie jakieś *dramatis personarum*, na to mojej zgody nigdy nie dostaniecie! – wrzasnęła Walerka.
- Siłą trzymał nie będę – odciął się obraźnik. – Możesz wracać do Brześcia i na ulicy wywracać oczami albo i czym innym. Bywałem ja we świecie i tyle wam powiem: jeśli uda nam się ciekawą historię opowiedzieć, to jeżdżąc po jarmarkach, możemy żyć jak jaśnie państwo! I kraść nie trzeba, za co potem niejeden głową płaci. Ani żebrać. Ludzie są spragnieni słuchania i oglądania historii. Przyjdą na jarmark i rzucą po groszu, byleśmy ich tylko zabrali do krain zamorskich, gdzie szlachetni rycerze wyzwalają piękne księżniczki z rąk złych potworów. – Rzucił okiem na Rabińskiego. – A Bogu ducha winni zbrojcy napadają na podróżnych tylko po to, aby potem za zrabowane pieniądze wykupić

z rąk niewiernych porwaną za młodu kasztelanekę... – zawiesił głos.

– Która skradła serce potężnego kalifa – dopowiedział Rabiński.

– A kto to ten kalif? – zaciekała się Walerka.

– Taki ichni książę – wyjaśnił obraźnik.

– I co było dalej? – zapytały równocześnie Maryna i Jagna.

– Musimy się zastanowić, co chcemy przedstawić: trajedyją albo komedyją. Od tego zależeć będzie, co się dalej wydarzy: nawrócenie i ślub? A może rozstanie w serca boleści i śmierć kalifa z rąk chrześcijan? – głośno myślał obraźnik, rozpalając wyobraźnię dziewczek.

– Nie daj Boże! – zareagowały ostro. – Kalif żyć musi!

– I ślub na zamku kalifa huczny powinien się odbyć!

Obrażnik spojrział na kata porozumiewawczo.

– Zrobimy im ślub i wesele, jak się patrzy! Kapela będzie grała, a goście małmazyją pojeni tak długo pić będą, aż z ław nie pospadają! Możemy ich zresztą równie dobrze wszystkich otuć albo poderżnąć im gardła.

– Jak to?! Dlaczego?! – zapiszczały przerażone dziewczki.

– Możemy zrobić wszystko, na co nam przyjdzie ochota!

– Rabiński wsparł obraźnika. – Do lochu wtrącić albo wysłać na wojnę, osadzić na tronie albo na kraj świata pogonić.

– Kiedy opowiadasz ludziom historii, ważne jest jedno: aby była ciekawa. Może być niepodobna do prawdy, ale cóż jest prawda? I na co ona komu? Występy komediantów to nie sąd, tu można kłamać do woli. Sądzić nas będą tylko za to, czyśmy ich nie znudzili. A kiedy na wprost rozdziawionych gąb publiki staniecie, to jakby wam skrzydła przypięli, czujecie w sobie szczególniejszą moc, niech wam zresztą kat o tym opowie! – obraźnik przekonywał swoich przyszłych kamratów.

– Co mam opowiadać? – stropił się kat. – Lepiej o kalifie i kasztelance opowiadać, niż palić na stosie albo wieszać. Ja do tej trupy przystaję!

– I ja! – krzyknął Bartek. – Zbrzydło mi już zbójeckie rzemiosło. Dziewki popatrzyły po sobie, robiąc niepewne miny.

– Tylko czy idzie z tego wyżyć? – zatroskała się Walerka.

– O tym będziemy się musieli dopiero przekonać.

L

Wypełniony sianem i przykryty pierzynami wóz wiozący podstarościego podskakiwał na wertepach. Hadziewicz leżąc z zamkniętymi oczyma, co jakiś czas wracał do przytomności, by za moment znów ją stracić, nurkując w odmęty ciężkiego, nieprzynoszącego ulgi snu. Jechali już trzeci dzień, a drogi jakby nie ubywało. Co jakiś czas robili postoje, wtedy Cecylia opuszczała swój powóz i troskliwie opiekowała się Kacprem. Zadziwiająco dobrze odnajdywała się w tej roli. Przemawiając doń czule, głaskała go po twarzy i rękach oraz wycierała mu chusteczką spocone czoło. Kacper nie odpowiadał, a ona nie miała pewności, w jakim stanie się znajduje. Dlatego kiedy parę mil za Baranowiczami dogonił ich wreszcie kasztelański medyk, odczuła wielką ulgę. Dietrich zarządził postój w pierwszej napotkanej karczmie. Kazał ułożyć jęczącego Hadziewicza na stole i rozwinąć szmaty, którymi opatrzone jego ranę. Mimo że Kacper krzyczał z bólu, medyk zdobył się na żarty.

– No, panie kawalerze, nie jest źle. Trumna zwiastuje wam długie życie! – mówił, przemywając ranę.

– Jaka trumna? – z trudem wyjęczał podstarości.

– Ta, co ją jejmość na swej karecie wiezie.

Hadziewicz nie odpowiedział. Zaciskał zęby, starając się wytrzymać zabiegi Dietricha. Ten, niewiele mówiąc, czyścił i opatrywał jątrzące się wciąż cięcie. Kacper czekał na Witka, zamierzał go odpytać na okoliczność trumny i tego, co zaszło. Sługa jednak, którego Cecylia szczególnie nie lubiła, trzymany był z dala od podstarościego.

– Gdzie się podział mój podręczny? – podstarości zapytał medyka, gdy ten kończył owijanie rany. – Każcie mu przynieść trochę piwa, język mi całkiem skołowaciał.

Najpierw jednak dwóch z orszaku zniosło go ze stołu i położyło w osobnej izbie na przygotowanym dlań łóżku. Chwilę później za plecami Dietricha, który nie odstępował ранego, stanęła Cecylia, za nią szła dziewczka, trzymając dzban z piwem i druga z jakąś strawą. W karczmie zapachniało pieczonym mięsiwem.

– Dziękuję wam, Dietrich – powiedziała kasztelanka, a medyk ukłonił się i wyszedł. Cecylia była ubrana w świeżą suknię, miała misternie uczesane włosy, w które wpięła rubinową spinkę. Hadziewicz czuł zapach drogiego, orientalnego pachnidła i dziwił się, dla kogo to wszystko. Dokąd go wiozła i komu zamierzała oddać w niewolę?

– Za dużo pustych cel na zamku? – warknął wreszcie, kiedy służące wyszły, zamykając za sobą drzwi, a kasztelanka podała mu piwo. Połykał je chciwie, aż się zakrztusił.

– Piękne podziękowanie za mój trud! – Uśmiechnęła się i otarła mu usta. Potem wzięła jego dłoń i przyłożyła sobie do ust.

Hadziewicz skrzywił się z odrazą, ale ona nie puszczała jego ręki, przyglądając mu się z uwagą.

– Ta trumna to dla mnie? – spytał.

– Dla ciebie, boś miał nie żyć – odrzekła zgodnie z prawdą, odłożyła jego dłoń i spojrzała mu głęboko w oczy. – Kiedym się dowiedziała, że cię zabili, prawie odchodziłam od zmysłów. Nie potrafiłam sobie znaleźć miejsca. Zrozumiałam, że wciąż cię kocham, żywego czy umarłego. Nie mogłam pozwolić, żebyś leżał gdzieś w jakimś lesie, bez godnego pochówku. Tymczasem się odnalazłeś, na co i nadziei sobie wzbraniałam, czy to nie cud? – wyznała, biorąc na kolana półmisek z pieczystym i rwąc palcami na małe kawałki, wkładała mu do ust.

– Ach, jak to brzmi, niczym jaka baśń turecka! – kpił między jednym a drugim kęsem. – Szkoda tylko, że w tym prawdy za gorsz nie ma. Na zamku zapanowała radość z powodu mojej śmierci? Kasztelan i Strasz pewnie niejeden kielich wychylili, że nareszcie im się udało, a tu taka niespodzianka! Powiedz ojcu, że chybił ten jego protegowany.

– Jaki protegowany? O czym ty bredzisz?! – oburzyła się Cecylia.

– Prot. Nawet, kanalia, nie ukrywał, że na zamku służy. Skłamał tylko, że już mu się znudziło. Coście mu obiecali? Bo że zapłata będzie godna, w to nie wątpię.

– Licz się ze słowami! Nie lżyj kasztelana, boś jest na mojej łasce!

– Czy mówiąc o zapłacie, cokolwiek rzekłem przeciwko kasztelanowi? – Kacper zdumiał się przesadnie. – To mnie tylko dziwi nieco, że ty, jego niedawny więzień i wróg największy, tak zaciekle go

bronisz. Cóż, widzę, żeś już do pełni łask wróciła.

– Co nas obchodzi jakiś sługa! Najważniejsze, że żyjesz, że cię odnalazłam! – Cecylia zmieniła nagle ton.

Kacper westchnął kpiąco.

– Chciałbyś znów na służbę do zamku wstąpić? – dodała niespodziewanie.

– Możem raniony, ale nie w głowę, mościa pani! – fuknął podstarości i twarz odwrócił na znak, że dość ma jadła. – A jak kasztelan za służbę płaci, wiemy oboje. Nie ma już Prota na tym świecie albo siedzi tam, skąd tak bardzo chciał uciec, głęboko w lochu. Sam nie wiem co lepsze. Zbędny twój trud. Trzeba mnie było zostawić u Lipskich, bo służby nie szukam. Chcę założyć rodzinę i żyć spokojnie.

Cecylia spojrzała mu w oczy współczująco.

– Może będziesz musiał z kasztelanem walki zaprzestać, bo wrócić dokąd nie masz. A czy założysz rodzinę, to się dopiero okaże.

– Jak to?! – Podstarości spróbował się unieść na łokciu, ale wnet legł z sykiem. – Co się stało Zofii? Co z dworem?! Mów!

– Wszystko w najlepszym porządku – odpowiedziała z czułością.

– Nie dziwi cię jednak, że nie ona, a ja tu teraz przy tobie siedzę?

– Pewnie nikt jej nie powiadomił!

– Przeciwnie! Kiedym się tylko o twej rzekomej śmierci dowiedziała, zaraz pognałam do Grodu Orłowego. Miecznikowa nieprzystojnie rozparta siedziała w świetlicy z Kettlerem, a zażyłości swej nawet ukryć nie próbowali!

– Łżesz!

– Naiwnyś ty, oj, naiwny! Przyjeżdżała do niego na zamek, samam widziała. Wsiadał do jej powozu i po trzech pacierzach wracał. Rozgorączkowany, z mglistym wejrzeniem, wzdychający... Aż wreszcie spakował manatki i całkiem się do twego dworu wyniósł.

– Radzić się go chciała, bo Kettler jej pomaga dom chronić i porządek w powiecie utrzymać!

– Skoroś tak dobrze powiadomiony, to po co pytasz?

– Listu dawno nie miałem, tom ciekaw.

– Nie miałeś i mieć nie będziesz. Bo na mój rozum bardzo im się to wspólne chronienie powiatu podoba. Miecznikowa sprzedaje jakieś

ruchomości, bo Strasz do niej ze złotem jeździł. Ciekawość, czy nie twoje czasem...

– Łżesz jak pies! – wykrzyknął z bólem. Chciał się poderwać z miejsca, ale znów ból był silniejszy. – Broń musiała kupować dla oddziału, konie wyposażyć, siana kupić, ludzi nakarmić!

– Rzeczywiście, jaka ja głupia, że o tym nie pomyślałam! – Cecylia uśmiechnęła się fałszywie. – Cóż, za parę dni sam się przekonasz. Ale czy to nie dziwne, że ja, córka twego największego wroga, wiozę cię do domu? I czy aby w Grodzie Orłowym jeszcze będzie dla ciebie miejsce? – Pogłaskała go po twarzy i wyszła.

Hadziewicz nie wiedział, co o tym sądzić. Znając ją, nie chciał wierzyć kasztelance, ale jeśli prawdą jest, że Zofia wie o wszystkim? Dlaczego chociaż sług po jego ciało nie przysłała? Tak ją absorbuje odbudowa Złotego Mostu i obrona powiatu, że gotowa zaniedbać pochówku tego, którego pierścień nosi na swym palcu? Którego żoną zamierzała zostać? Chcąc nie chcąc, podstarości zaczął dopuszczać do siebie zwątpienie. Bo cóż za interes miała Cecylia, taki szmat drogi jadąc? Żadnego. Dzieci maleńkie zostawiła, aby uczynić zadość chrześcijańskiemu obowiązkom. Medyka sprowadziła, wynajęła wóz z sianem, tłukła się przez kraj ogarnięty wojną, w każdej chwili ryzykując, że ją wrogi oddział zatrzyma, a może i ograbi? Jak to tłumaczyć? A jeśli to wszystko prawda? Jeśli pomylił się co do Zofii i teraz ona kpi z niego, majątkiem przejętym rozporządzając? Jad, który Cecylia sączyła w jego uszy, zakiełkował w sercu, do niepokoju je przywodząc. Żyć tylko po to, by być na pośmiewisko wystawionym? To już lepiej nie żyć w ogóle!

Jednak tliła się w Kacprze jeszcze iskra nadziei, że to tylko intryga Cecylii. Nie wiedział, co chciała osiągnąć, i tego musiał się dowiedzieć w pierwszej kolejności. Jandźwiłłowym pachółkiem nigdy nie zostanie, ale może powinien odplacić kasztelance pięknym za nadobne?

LI

Po wizycie Cecylii Zofia zamknęła się w alkierzu i gryząc dłonie, łkała cicho. Bóg po raz kolejny wystawił ją na próbę! Tak się cieszyła, że wkrótce napisze Kacprowi o dziecku! Już układała sobie w głowie słowa listu, martwiła się, czy będzie zadowolony, jeśli urodzi się dziewczynka, zastanawiała, czy zdoła on wrócić przed rozwiązaniem. Te wszystkie radości i troski wobec jego śmierci przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Więc znów będzie zdana sama na siebie? Cześnikowa, jej matka, choć dawała Zofii dużo wsparcia, nie mogła zastąpić ukochanego mężczyzny.

– Panie, za jakie grzechy tak mnie doświadczasz? – wyszeptwała, wpatrując się w stojący na komodzie krucyfiks. – Cóż takiego zrobiłam? Czym zgrzeszyłam? Czy to szczęście, którego zaznałam, było już zbyt wielkie? Nie zasłużyłam nawet na taką odrobinę?

Ale coś jej mówiło, że szczęście, o którym marzyła, na które już się cieszyła, którego oczekiwała po powrocie Kacpra, było przeogromne, trudne do ogarnięcia. Na samą myśl o nim aż brakowało jej tchu. I jeszcze dziecko, ta maleńka istotka, która miała się urodzić, owoc miłości, ciało z ich ciał. Teraz już wiadomo, że nigdy nie pozna swego ojca.

Gdy wreszcie łez jej zabrakło, z sercem ciężkim jak kamień i podkrążonymi oczyma wstała. Szukając oparcia, na chwiejnych nogach doszła do kancelarii. Napisała oficjalny list do regimentarza generalnego Pocięja i marszałka Ogińskiego z pytaniem o los Kacpra Hadziewicza i o to, gdzie został pochowany. Natychmiast pchnęła umyślnego, ale ponieważ odpowiedzi nie spodziewała się przed upływem dwóch niedziel, a może i później, po kilkudniowym wahaniu pojechała więc do Turowa.

Na pytanie o kasztelanekę odpowiedź brzmiała, że wyruszyła w podróż, ale Strasz przyjął Zofię z należnymi honorami. Wydawało się nawet, że uradował go jej widok. Niestety, on również potwierdził złe wieści.

– Jak to możliwe, że wy już wiecie o śmierci Kacpra, a jam wciąż

listu oficjalnego nie dostała?

– To pewnie na karb gorszej organizacji wojsk konfederackich złożyć należy. Nie śpieszą się tam z zawiadaniem rodzin.

– Chce mi pan oświadczyć, że strona przeciwna dokonuje pochówku konfederatów? Bo skądże by wieści miała, kto przez nią ubity?

Strasz zrozumiał, że za daleko zabrnął.

– Nie wiem, jak to się stało, przyleciał chłopak od kasztelana z wieściami różnymi, pośród których była i ta. Bardzo ona naszą panią Cecylię wzburzyła, ale rozumiem, bo w końcu razem się z podstarościm wychowywali tu, na dworze. I waćpani wszak byłaś w tej kompanii?

– Kasztelanka nie wspomniała, gdzie grób się znajduje, a po ciało chcę pojechać. Powiedzcie, proszę, w jakiej okolicy ta bitwa się odbyła?

Aby zyskać na czasie, Strasz chrząknął i począł grzebać w papierach.

– Zaraz, zaraz... Soleczniki to były czy Ejszyszki...? – mówił niby do siebie.

– Nie pamiętacie? Trudno to pojąć!

Tymczasem on, czując, że wiarygodność traci, nagle uderzył palcem w jakiś list i rzekł:

– Tak, pod Solecznikami! Tam go szukajcie!

– Obyście się nie mylili! – rzekła twardo. – Zostańcie z Bogiem! – dodała i wyszła.

Zachowanie Strasza wzbudziło czujność Zofii. Nie wiedziała dlaczego, podejrzewała jednak, że sekretarz kłamie, być może kryjąc cel podróży kasztelanki. Ale na cóż by jej się przydały zwłoki podstarościego? Chyba że rzeczywiście pragnęła go odnaleźć z czysto chrześcijańskich pobudek. W takim razie czemu Strasz kłamał, jeśli kłamał? Bo może mówił prawdę i ku Solecznikom powinna podążyć?

Wróciła do domu i zarządziła przygotowania do podróży. Pani Salomea jak mogła odradzała jej ten pomysł, twierdząc, że droga przez tereny walk niebezpieczna, a Zofia musi chronić dziecię, które nosi w łonie.

– Spokoju nie zaznam, póki go nie odnajdę żywego lub umarłego. Zaopiekujcie się Ignasiem i Dorotką, Kettler zadba o wasze

bezpieczeństwo.

– Jakże to?! Kettler z tobą powinien do ochrony ruszyć!

– protestowała cześnikowa.

– Poza Kacprem tu zostawiam wszystko, co mam najdroższego, więc Kettler z wami zostanie, to już postanowione!

Wraz z trzema konnymi wyruszyła następnego dnia o świcie. Kłamstwo Strasza wydało się niemal natychmiast. Tuż za Winnicą zapytani ludzie przypomnieli sobie powóz z herbami i siedzącą w nim kasztelankę oraz towarzyszących jej konnych. Teraz Zofia wiedziała już, o co stangret ma pytać. Taki ekwipaż nie mógł pozostać niezauważony. Na nocleg zatrzymali się w Kobryniu, a rankiem ruszyli ku Berezie. Konie ciągnęły równo przy dobrej, suchej pogodzie. Ale po południu niebo zaczęło się zasnuwać ciężkimi granatowymi chmurami i widać było, że zaraz spadnie deszcz. Ciemniejący nieboskłon raz po raz przecinały błyskawice, a nadciągające po nich dudniące grzmoty budziły przerażenie. W dach powozu zaczęły uderzać pojedyncze krople deszczu, które gęstniały, aż zmieniły się w straszliwą ulewę. Zofia kazała stanąć, ale jeden z konnych, który ruszył do przodu w poszukiwaniu schronienia, wrócił z wiadomością, że o pół mili dalej jest karczma. Gdy szczęśliwie do niej dotarli, Zofia ze służącą, przestraszone burzą i zmoknięte, czym prędzej weszły do środka.

Nie liczyli na wieczerzę, mieli jeszcze dość zapasów, ale na suchy kąt i przeczekanie nawałnicy. Gospodarz uwijał się akurat przy kilkorgu gościach, ale dla Zofii oraz jej ludzi miejsce się znalazło. Dostali też po misce barszczu i ile kto chciał świeżego chleba. Przy stole wywiązała się rozmowa i byłoby pewnie doszło do zwady, bo obok siebie siedzieli przeciwnicy i zwolennicy konfederacji, ale nagle drzwi do karczmy się otworzyły i weszli nowi goście.

Zofia nie od razu ich poznała, a gdy to się stało, wstrzymała oddech. Byli to kasztelanka, jej podręczna oraz medyk turowski. Towarzyszyło im dwóch z gwardii, podtrzymywali słaniającego się na nogach, najwyraźniej rannego Kacpra Hadziewicza. Miecznikowa poderwała się z miejsca. Cecylia Lange, która ją w tej chwili zauważyła, wykrzywiła usta w fałszywym uśmiechu i nie zwracając na nią uwagi, krzyknęła do oberżysty:

– Mamy rannego, gdzie go położyć?

Karczmarz, wycierając dłonie, pośpieszył przodem. Otworzył drzwi do komory i wpuścił służących z Kacprem, za nimi weszli Dietrich i Cecylia, która zamknęła Zofii drzwi przed nosem. Poruszona do głębi miecznikowa wróciła na miejsce. Długo czekała, aż kasztelanka wyjdzie, musiały się przecież rozmówić. Najpierw pojawili się obaj gwardziści, potem Dietrich. Usiedli przy stole i jak mogli unikali wzroku Zofii. A ona coraz bardziej spokojna, pewna swego, czekała.

Kasztelanka wyszła po kilku pacierzach. Większość gości oberży poukładała się już do snu, ale nie Zofia. Cecylia spojrzała na nią i zagryzła wargi.

– Miecznikowo... – Lekko skłoniła głowę.

– Dlaczegoście nie pozwolili mi z nim porozmawiać?!

– Kacper potrzebuje spokoju. Był ciężko raniony.

– Ta podróż chyba mu nie służy?

– Już jest lepiej.

– Więc dlaczegoście mnie do niego nie wpuścili?

Swym zdziwieniem kasztelanka pokazała tylko, że nie była gotowa na takie pytanie.

– Co zamierzacie zrobić z moim narzeczonym? Teraz chyba ja mogę go objąć opieką?

Cecylia znów przygryzła policzek. Nie w smak jej były to spotkanie i rozmowa. Miała jakieś plany, których nie chciała Zofii wyjawiać, zatem z pewnością nie zamierzała odwiedzić Kacpra do Grodu Orłowego. A jeśli nie, to dokąd? I w jakim celu?

– Rano się z nim spotkacie. Dajcie mu teraz odpocząć.

– A nocą wy go stąd potajemnie wywieziecie?

– Uważacie, że taki on dla mnie cenny? – próbowała kpić Cecylia.

– Tak właśnie uważam i to mnie dziwi wielce, bo wszak macie męża.

– To siedźcie i pilnujcie. Możecie do niego wejść, ale śpi teraz.

Zofia niezrażona tonem kasztelanki wstała i uchyliła drzwi do komory. Panowała tam ciemność, w oberży płonęło tylko kilka łójówek, które wypalając się, gasły. Podróżni już spali, ona również czuła się zmęczona, słała się na nogach, jednak na wypadek gdyby mu czegoś

było potrzeba, postanowiła spędzić tę noc przy rannym. Weszła do środka i przez chwilę wpatrywała się w ciemność. Powoli zaczęła rozróżniać kształty. Znalazła dla siebie kawałek miejsca na sianie. Usiadła delikatnie, oparła się plecami o ścianę i wpatrywała w ukochanego. Kacper spał. Jego miarowy oddech sugerował, że najgorsze już minęło. Zofia żałowała, że nie porozmawiała z Dietrichem, ale najpierw pragnęła rozprawić się z Cecylią. Teraz zaś najważniejszy był Kacper.

Zofia przysunęła się ku jego głowie i położyła dłoń na rozpalonym czole podstarościego.

– Cecylia... – wyszeptał przez sen.

Nie sprostowała, ale nie zdołała powstrzymać łez.

LII

Oparta plecami o zimną ścianę przesiedziała do świtu. Co jakiś czas zasypiała ze zmęczenia, ale opadająca głowa budziła ją nagle. Niepomna, gdzie jest i co tu robi, odrętwiała, zmarznięta, myślała tylko o jednym: co przyniesie jutro? Kacper chyba nie wiedział o jej obecności. Spał, nękany majakami, przewracał głową to na tę, to na tamtą stronę, jęczał, mówił coś, pokrzykiwał, jakby wciąż był na polu bitwy. Gdy prosił o wodę, podawała mu do ust nasączoną szmatkę, którą moczyła w stojącym przy drzwiach cebrzyku. Kacper ssał ją chciwie i znów zapadał w sen. Jak zareaguje, kiedy ją zobaczy? Może uda się jakoś dojść do porozumienia z Cecylią? Pocieszała się, że imię kasztelanki na ustach podstarościego wynika wyłącznie z gorączki. Jeśli jednak jest inaczej?

Drżąc, przeniknięta chłodem, a może bardziej jeszcze złymi przecuciami, Zofia czekała świtu. Gdy w komorze poczęło szarzeć, wstała, aby rozprostować kości. Znów usłyszała ciche:

– Pić...

Zmoczyła szmatkę i dotknęła ust rannego. Kiedy wysssał wodę, niespodziewanie otworzył oczy. Nie rozpoznał jej albo może tak był zdziwiony widokiem narzeczonej, że patrzył tylko, milcząc.

– To ja, Zofia – powiedziała cicho.

– Zofia... – powtórzył. Zmarszczył czoło, jakby musiał sobie ją przypomnieć, a w oczach miał niepewność.

– Zofia – powiedział raz jeszcze i już jakby rozumiał, ale jego spojrzenie nie rozświetliło się, a usta nie uśmiechnęły. – Zofia... – Westchnął ciężko.

– To ja, kochany, przyjechałam po ciebie! Jesteś już bezpieczny, zawiozę cię do domu! – wyrzucała z siebie jednym tchem.

– Zofia... Zofia... – wyszeptał bez radości.

Usiadła obok niego i pogłaskała go po policzku.

– Wszystko będzie dobrze. Zabiorę cię do Grodu Orłowego, czekają tam na ciebie twoi ludzie. Powolutku wydobrzejesz, wojna się skończy, a potem zrobimy żniwa. Będziemy sobie siadywać w ogrodzie

pod lipą i popijając miód, słuchać brzęczenia pszczoł i śpiewu ptaków.

– O czym ty... mówisz... Zofio? – zapytał boleściwie.

– Nie martw się, konfederacja musi sobie poradzić bez ciebie.

Najważniejsze, że żyjesz, będę się tobą opiekowała, jak wtedy, w Złotym Moście, obiecuję! Przy mnie włos ci z głowy nie spadnie.

– Ty? – wyjęczał. – Ty?! Jak możesz mówić... takie rzeczy?!

Zadrżała.

– Co takiego powiedziałam? Że cię Kocham i chcę się tobą opiekować? Trwać przy twym boku w zdrowiu i chorobie.

– Przy wym... boku... – powtórzył niczym echo, a tyle w jego tonie kryło się żałości i bólu, że miecznikowej aż ścierpła skóra.

– Co ci o mnie nagadali? Wszak jeszcze niedawno twoje listy były pełne uczucia, co się zmieniło?

– Dlaczego po mnie nie przyjechałaś? Dlaczego to ona mnie odnalazła?

– Bom myślała, że wieść o twej śmierci to podstęp, aby mi Gród Orłowy odebrać.

– Wszak masz tam Kettlera do obrony... i zabawy.

– Gdybyś waćpan nie był ranion, tobym go... – przerwała, bojąc się coś niestosownego powiedzieć. – Słuchać nie chcesz, gdy kto do ciebie z miłością przemawia, ale na wroga głos chętnie ucha nadstawiasz. Co ci rzekła? Czym przekupiła, żeś jej kłamstwom do siebie dał przystęp?!

Z odwróconą głową i oczyma wbitymi w ścianę Kacper milczał.

– Nie przeczę, pierwsza w drogę ruszyła. Znalazła cię, ale skąd wiedziała, gdzie szukać? Mnie powiedzieli, że w innym kierunku walczyłeś. Ku Solecznikom Strasz mnie wysłał. Przypadek sprawił, że tam się nie wybrała. I obie po zabitego jechałyśmy. Kasztelanica ponoć nawet trumnę kupiła. Skłócić nas chcą, bośmy ostatni w powiecie, co się kasztelanowi postawili. Chociaż tyś już, jak widzę, przez nich przekabacony. Nie cieszysz się na mój widok, wyjeżdżałeś inny zgoła. O ożenku mówiłeś, a teraz wzrok ode mnie odwracasz. Co ci nagadała, żeś tak całkiem ochłódl?!
Kacper z zaciśniętymi ustami milczał.

– O co chodzi, mówże, bo rozum tracę! Myślałam, żeś nieżyw,

– O co chodzi, mówże, bo rozum tracę! Myślałam, żeś nieżyw,

płakałam, póki mi sił starczyło. Złorzeczyłam Bogu za jego okrucieństwo. A teraz, kiedym cię odnalazła, znów nadzieję mi odbierasz? Co takiego ci powiedzieli, jak mnie oczernili?

– Podobno Kettlera pod mój dach przyjął.

– Przyjęłam, aby dokończył to, coś ty zaczął. Miałam bramę rozewrzeć i bandy do środka wpuścić, by zrabowali, czegoś się dorobił? Kto inny by mi wojsko wyszkolił?

– Skąd na to wzięłaś pieniądze?

– Strasz mi dał. Wykupił stary weksel mego męża.

– Strasz dał ci pieniądze, abyś wojsko przeciw kasztelanowi uzbroiła?!

– Tak właśnie było. Znalazłam stary weksel, pytałam Szmula, co z nim zrobić można, a potem Strasz go wykupił, żeby kasztelanowi wstydu nie robić.

Kacper westchnął ciężko.

– Dlaczego Kettler? Dlaczego akurat on?

– Bo się na tym zna. Kogo miałam wziąć, starego Żabę? Wszyscy po jednej lub po drugiej stronie wojują, a kobiety same we dworach, zdane na łaskę losu. – Popatrzyła na niego i zrozumiała, że nie zdołała go przekonać. Czy wobec tego mogła mu teraz powiedzieć, że spodziewa się dziecka? – Kilka dni temu, kiedym ruszała w podróż, myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę, i dalibóg wołałabym, aby tak było! Nie wiem, co zamierzasz, ale wróciwszy do Grodu Orłowego, mnie już tam nie zastaniesz! – powiedziała i wyszła.

Jej ludzie właśnie wstawali. Kazała zaprzęgać. Zapłaciła oberżyskie i minęła się z Cecylią, która akurat wychodziła z komory. Kasztelanka wyprostowana z błyskiem w oku popatrzyła na Zofię.

– Co chcecie z nim zrobić? – zapytała miecznikowa.

– Odwieźć do domu – odpowiedziała Cecylia, nie kryjąc zadowolenia.

LIII

Poskąpienie pieniędzy na przewodnika i łódź było dużym błędem. Ani Jan, ani Każko nie znali drogi i rychło się przekonali, że to, co początkowo wzięli za łąkę, okazało się bagnistymi zaroślami, przez które nie dało się przejść bez ryzyka. Gdy wreszcie trafili na groblę, obaj już byli mokrzy po pas, a w butach im chlupało. Na dodatek nie chcąc dać się złapać Moskalom, musieli być bardzo ostrożni, bo w okolicznych wioskach rozlokowało się wiele rosyjskich oddziałów. Po kilku godzinach uciążliwego marszu, mając wciąż w uszach kanonadę armat bombardujących Gdańsk, Jan zdecydował, że ukryją się w zaroślach, aby trochę odpocząć. Śpiąc, oszukiwali też głód, który już dawał się im mocno we znaki.

W pewnej chwili kasztelaniec poczuł szturchnięcie. Ponieważ spał czujnie, otworzył tylko oczy. Spojrzał na Każka, ten nieco wychylony poprzez zarośla spoglądał w kierunku łąki. Szło tamtędy dwóch rosyjskich oficerów, za nimi postępowali żołnierze, prowadząc konie. W kryjówce należało więc zostać do wieczora. Dopiero po zapadnięciu zmroku, gdy żołnierze zabawiali się piciem i śpiewami wokół rozpalonych ognisk, Jan i Każko postanowili ruszyć dalej. Pech chciał, że gdy się podnieśli, stanęli oko w oko z Kozakiem, który w tym ustronnym miejscu postanowił opróżnić pęcherz. Uratowała ich błyskawiczna reakcja Każka. Już trochę przyuczony do wojny, złapał żołnierza od tyłu i przewróciwszy go, ogłuszył. Ściągnął mu szybko buty, odebrał broń i dał znać kasztelanicowi, żeby uciekał. Jan, skulony niemal wpół, przebiegł na tyłach obozu i zatrzymał się dopiero, gdy nie było już widać ognisk ani słycać ochryplego śpiewu Kozaków.

Na szczęście niezbyt daleko zobaczyli mdłe światło zabudowań. W nadziei na kupienie czegoś do jedzenia i nocleg, choćby w stajni, uważając, aby nie zboczyć z grobli, ostrożnie szli w tamtym kierunku. Niedługo potem jednak światło zgasło, a oni stracili orientację. Dotarcie do zabudowań zabrało im prawie całą noc. Świtało już, gdy stanęli obok nędznego obejścia, na które składała się niewielka chata, obórka i szopa. W szopie leżało trochę słomy. Ledwie na niej usiedli, próbując zdjąć

z nóg mokre buty, usłyszeli okrzyk przerażenia starszej kobiety, która weszła do środka. Jan starał się ją uspokoić, jak mógł, poprosił też o coś do jedzenia, ale stara darła się, że Rosjanie wszystko jej zabrali, nawet zgniłą rzepę, i zagroziła, że ich zawoła, jeśli Jan z Każkiem nie odejdą. Śmiertelnie znużony kasztelaniec wyjął z wewnętrznej kieszeni mieszek i dał jej niewielką złotą monetę, błagając, aby pozwoliła im się przespać i przyniosła choćby kawałek chleba. Stara wzięła pieniądze i odeszła bez słowa.

– Żleście zrobili, panie, pokazując, że macie złoto – zafrasował się Każko. – Baba poszła, ale nie po chleb pewnie, tylko po pomoc, żeby resztę wam zabrać. Niech nas Bóg ma w swej opiece, byśmy ująć cało zdołali!

Trudno się było Janowi nie zgodzić z tą chłopską logiką. Chciał uczciwie kupić chleb i schronienie na jedną noc, może za cenę życia. Zerwał się więc na równe nogi, zabrał swój bagaż i wyszedł za Każkiem na podwórze. Sługa stał już na drabinie przystawionej do szopy i z dłonią nad oczyma, lustrował okolicę.

– Widzę ją chyba, tam biegnie, ale się uwija...! Domów tu na szczęście niewiele i rzadko stoją, więc zanim wróci z pomocą, będziemy daleko – stwierdził.

Szybko zszedł na ziemię i nic sobie nie robiąc z nieobecności gospodyni, ruszył wprost do chaty. Jedno, drugie, trzecie kopnięcie i drzwi ustąpiły. Chwilę później przyniósł garnek zsiadłego mleka, drewnianą łyżkę i duży kawał chleba.

– Mówiła, że nic nie ma... – zdziwił się Jan.

– I wy tak rzec powinniście. Gdybyśmy jej nóż do gardła przystawili, stałaby się bardziej gościnna. Jedzcie, bo na pogawędki czasu szkoda! I byłoby dobrze, panie, gdybyście przestali rozmyślać.

– Skąd wiesz, że rozmyślam?

– Boście cisi i markotni. Nie mówię, żebyście ze mną dumki śpiewali, ale z rozmyślania nic dobrego nie wyniknie. Nie powiodło nam się w Gdańsku, i cóż? Czy to już koniec świata?

– Dla ciebie może nie, boś planów wielkich nie miał.

– Wielkie plany nie dla sługi, bo i tak on życiem swoim nie rządzi – rzekł Każko. Nie było w tym wyrzutu ni żalu, jedynie stwierdzenie

faktu, z którym nikt nie dyskutował. – Kończcie już, panie, bo gospodyni tylko co widać i czasu do ucieczki robi się mało. Z góry widziałem ścieżkę, prowadzi na wschód, może zdołamy ją przejść suchą nogą?

Miał rację, trzeba się było zbierać. Zgłodniały Jan rażno zabrał się do zsiadłego mleka, ale widząc, że Każko tylko suchy chleb pogryza, oddał mu garnek i łyżkę.

– Bierz, tyś też głodny.

Chłopak się długo nie certolił, szybko wyjadł pozostałe w garnku mleko. Wkładając do kieszeni niewielką pajdę chleba, rzekł zadowolony:

– Dawnom tak nie ucztowałem! Gotowiście? To ruszamy!

Choć w butach nadal chlupało, bo nie zdążyli ich nawet zdjąć, a co dopiero wysuszyć, musieli opuścić zagrodę i znaleźć bezpieczniejsze schronienie. Szli jeden za drugim. Chłopak wziął na siebie trud przedzierania się przez wysokie trawy. Jan, co nieco rażniejszy po śniadaniu i zadowolony, że nie musi podejmować żadnych decyzji, zdał się na sługę. Szli szybko, rozglądając się i kuląc tam, gdzie roślinność nie była wysoka. Zalane łąki porastały turzyca, tatarak i skrzyp, w wielu miejscach wyższe od człowieka, tam byli bezpieczni.

Po raz pierwszy Jan czuł się całkowicie bezradny. Zmęczony, zniechęcony, że stracił czas i zmarnował swą szansę, uciekał z Gdańska przed niesławą! A wszak już sama ucieczka hańbiła go niewyobrażalnie. Wypełniony wstrętem, a jednocześnie jakimś smutkiem i głęboką gorczyzą, która, jak się zdawało, nigdy mu już nie pozwoli radować się życiem, zniechęcony, nie widząc żadnej perspektywy, rozmyślał o śmierci. Gdyby można było szybko i bezboleśnie umrzeć, zgodziłby się natychmiast. Ale bał się bólu, umierania w męczarniach, z przykrością też wyobrażał sobie bezimienny, samotny grób, nad którym nikt się nigdy nie zaduma. Wążąc wartość życia i śmierci, choć niechętnie, wybierał jednak życie w całej jego obecnej niedoskonałości.

– Odpuśćmy... – poprosił po dłuższym marszu, jakby to Każko o wszystkim decydował.

Usiedli w milczeniu pod samotną gruszą. Jan przymknął oczy, a chłopak w skupieniu nasłuchiwał odgłosów. Gdzieś w dali grzmiała rosyjska i saska artyleria nadal ostrzeliwująca Gdańsk, a tu poza ptakami odzywającymi się w szuwarach i przysiadającymi na rozłożystych

gałęziach drzewa oraz bzyczeniem much i komarów nic nie mąciło sielskiej ciszy. Każko patrzył na swego pana, który ufając mu bezgranicznie, zasnął oparty o pień. Oddałby za kasztelanica życie. Nie tylko dlatego, że po szturmie Rosjan na mury Gdańska tak troskliwie się nim zaopiekował. Również z tego powodu, że nie czynił między nim a sobą wielkiej różnicy. Chłopak zerwał gałązkę turzycy i odganiał muchy, które przeszkadzały Janowi spać. Ani przez chwilę nie pomyślał, że mógłby zrobić użytek z noża, a sam odejść z mieszkem pełnym dukatów.

Gdy cień gruszy przesunął się w lewo i nic nie chroniło już twarzy Jana przed promieniami słońca, kasztelaniec otworzył oczy. Pokręcił głową, spojrział w jedną stronę, potem w drugą, wreszcie nieco nerwowo się obmacał. Wstał i popatrzył dookoła.

– Tum jest! – usłyszał chłopaka, który siedział na drzewie. – Widać stąd całą okolicę. Trochę wojska się kręci, ale nie za wiele. Znow trzeba by szczęścia popróbować w jakiej chacie. Albo co ukraść. Piezonego mięsa bym zjadł... – rozmarzył się.

Jan pomyślał z rozrzewnieniem o pieczonych kapłonach serwowanych na zamku w Turowie. Mięciutkich, delikatnych, ociekających tłuszczem, rozpływających się w ustach.

– Kiedy już będziemy bezpieczni w Prusach, kupię ci piezonego kapłona! – rzekł rażno, aby siebie i chłopaka natchnąć nadzieją i odwagą.

– Panie, dla takiej nagrody jam gotów iść do piekła! – krzyknął z werwą Każko i zeskoczył z drzewa.

Ruszyli przed siebie. Znow grzęzli na grobli, ale perspektywa jedzenia dodała im sił, a kiedy przed wieczorem trafili na jakieś zabudowania, po krótkim wahaniu zatrzymali się przy furtce.

– Pochwalony! – powiedzieli w kierunku kilkunastoletniego chłopca, który siedząc w kucki, czyścił uprząż.

Odwrócił się zdziwiony. Dopiero wtedy zaszczekał przywiązany do budy nikczemnej postury pies.

– Na wieki wieków!

– Dalibyście kubek wody? – zapytał Każko.

– A wy ktoście? – Chłopak patrzył na nich rezolutnie.

– Z Gdańska uciekinierzy. Lada chwila Moskal tam wejdzie.
– Przed Moskałem uciekacie tu, gdzie jest go najwięcej?
– Stoi dookoła miasta. Na tych mokradłach przynajmniej umocnień i szańców nie ma. Musimy się przez Wisłę przeprawić, aby jakoś do Prus dotrzeć.

Chłopak wstał i podszedł do furtki.

– Dobrzeście trafili! Wejdźcie!

Każko i Jan zmierzyli się szybkim spojrzeniem i weszli na podwórze.

LIV

Chata była podobna do innych w tej okolicy. Obejście również, dlatego Jan od początku zadawał sobie pytanie, dlaczego chłopak wzbudził w nim takie zaufanie. Może chodziło o szczere spojrzenie szarych oczu, może o uśmiech, a może głód i zmęczenie tak już im się dały we znaki, że lekceważąc niebezpieczeństwo, postanowili zaryzykować?

– Jesteś sam? – zapytał Każko.

– Matka poszła do sąsiadki pomóc przy porodzie. Wejdźcie, proszę. – Wskazał ręką wewnątrz chaty.

– Nie boisz się nas?

– A wy mnie? – odparł i wszyscy trzej zaczęli się śmiać.

– Nie macie czego do jedzenia? Możemy w zamian pomóc przy jakiej robocie – poprosił Jandźwiłł.

– Spocznijcie najpierw. A wam, panie, najpierw by się zdało ubiór zmienić, bo widać, żeście polski szlachcic, to jak was tu gdzie Kozacy zdybią, nie będzie tłumaczenia. Paszport macie?

– Nie twoja rzecz! – zrugął go Każko.

– Moja, jeszcze jak moja! Bo jeśli was tu znajdą w tym stroju bez paszportu, to i mnie się dostanie, i matce mojej.

– Tacy oni srodzy?

– Latają po wsiach jak suka w rui, bo ponoć król polski z Gdańska uciekł, więc go szukają. Pewnie dla nagrody.

– Po nas się nagrody nie spodziewaj. My tam tylko za króla walczyli i niczegośmy się dorobić nie zdołali. Nawet konie postradaliśmy – wtrącił Każko.

– Wszak widzę, ale tak to już bywa. Raz na wozie, raz pod wozem.

– Westchnął i wyciągnął z sagana chochlę zupy, którą wlał do miski. Następnie dał im po drewnianej łyżce.

– Zalewajka, jeszcze ciepła, jedzcie!

Chwycili za łyżki i bez ceregieli sięgali do jednej miski.

Tymczasem chłopak ukroił jeszcze po kawałku chleba.

– Dlaczego nam pomagasz? – spytał Jan.

– Czy Pan Jezus nie nakazał pomagać potrzebującym?
– Matka wróci i cię zruga. A ojca gdzie masz? – dopytywał Każko.
– Ojciec nie żyją. A matka nieprędko wróci. Na strychu jest siano, to się prześpijcie, bo widać, żeście zdrożeni, a nocą was odprowadzę do Kiezmarku albo i dalej, jeśli zechcecie.

Najedzony Jan walczył z ogarniającą go sennością. Ciężkie powieki raz po raz opadały i bał się, że uśnie przy stole. Gdy chłopak wskazał drabinę na stryszek, posłusznie wszedł, nie zastanawiając się nad ewentualnym niebezpieczeństwem. Każko został na dole. Postanowił jeszcze trochę wybadać chłopaka.

- Wódki nie masz?
- Nie, tylko piwo.
- Daj trochę spragnionemu.

Chłopak sięgnął po kubek i wyszedł na chwilę, po czym wrócił z kubkiem zimnego ciemnego piwa. Wypijając do dna, Każko delectował się smakiem każdego łyka.

– To twój pan? – spytał gospodarz.
– Strasznieś ciekawski! – fuknął Każko.
– Nudno tu u nas, to pytam. Ale dzięki wojnie coś się wreszcie dzieje! Poszedłbym z wami trochę świata zobaczyć, ale matki zostawić nie mogę.

– Wszak ją zostawisz, idąc do Kiezmarku.
– To nie to samo. Idźcie się zdrzemnąć. Noc będzie ciemna, ale świt wczesny, przed północą trzeba ruszyć.

Każko wszedł na strych, ale lęk nie dawał mu zasnąć. Czekał na matkę chłopaka, ta jednak nie wracała. Wreszcie się zdrzemnął, tuż przed tym, jak chłopak wszedł na drabinę i zawołał, że już czas. Gdy zeszli, zobaczyli na ławie znoszone portki i koszule.

– Przebierzcie się, panie. W tym stroju nikt w was żołnierzy nie pozna.

Z węzełkami w dłoniach ruszyli. Wąziutki sierp księżycyca nie oświetlał drogi, ale chłopak wiedział, którądy iść, a oni postępowali tuż za nim. Czasami przechodzili zadziwiająco blisko płonących ognisk. Mieli jednak dużo szczęścia, bo nim się na dobre rozwidniło, przez nikogo niezatrzymani doszli do Kiezmarku.

– Zaczekajcie tu – nakazał im, wskazując gęste krzaki. – Ukryjcie się dobrze! – dodał i oddalił się.

– Myślisz, że nas nie wyda? – zaniepokoił się Jan.

– Kto to wie, panie? Trzeba mieć oczy otwarte.

Chłopak wrócił po kilku pacierzach.

– Dobrze się składa. Stryjek jadą do Tczewa, to się z nim zabierzecie. W razie czego powie, żeście jego parobki. Dalej idźcie na Białą Górę i tam dopiero szukajcie przeprawy na drugą stronę, bo w Malborku Moskwa stoi. Z Białej Góry dacie radę i pieszo dotrzeć do Kwidzyna.

Nie zastanawiając się, czy dobrze robi, Jan wyjął złotego talara i dał go chłopakowi.

– E, panie, to za wiele! – oburzył się, patrząc w swą dłoń.

– Zostańcie z Bogiem! – rzekł Jan, zamykając dyskusję.

Stało się, jak rzekł chłopak. Z jego mrukliwym stryjem dojechali do Tczewa i choć zatrzymywało ich po drodze kilka rosyjskich patroli, jedynie na starego żołnierze zwracali baczniejszą uwagę, prześlizgując się wzrokiem po siedzących z tyłu fury parobkach. Woźnica nie wdawał się w dyskusję z Kozakami, tylko od razu pokazywał im jakiś papier, nad którym poważnie kiwali głowami, pozwalając mu ruszać dalej.

– Co to za dokument? – zapytał Każko.

– A bo ja wiem? – Stary wzruszył ramionami. – Pieczęć wielka, to musi być ważny! – odpowiedział z dumą i schował papier za pazuchę, nie mówiąc, skąd go ma ani ile za niego zapłacił.

Jan zwalczył pokusę odkupienia dokumentu. Zbliżyli się do Prus, chcąc dotrzeć do Białej Góry, a potem znaleźć jakiegoś przewoźnika z łodzią. Koło południa stanęli na rynku w Tczewie. Pożegnali się, płacąc złotym dukatem, do którego oczy się chłopu zaśmiały, i rozejrzeli za karczmą. W mieście było trochę wojska, ale nikt nie zwrócił uwagi na dwóch brudnych, zarośniętych i nieogolonych chłopów.

– A może zamiast do Prus, toby my się do Warszawy udali?

– głośno zastanawiał się Każko. Pogrążony w zadumie kasztelan nie odpowiedział. Musiał jednak rozważyć tę myśl, bo po jakimś czasie odrzekł:

– Nieważne dokąd, wszędzie niesława.

– Wódki dajcie! – krzyknął Każko do karczmarza, tylko to jedno lekarstwo znając na duszy bolenie.

Wypili raz, potem drugi i chłopak wyszedł przed karczmę za potrzebą. Nim zdążył się rozejrzeć, gdzie by tu w jakie krzaki można pęcherz opróżnić, kątem oka dojrzał nieopodał gospodarza, który ich przywiózł. Stary rozmawiał z konnym patrolem Kozaków, wskazując palcem wprost na karczmę.

– A to bydlak! – syknął i czym prędzej skoczył do środka. – Panie, w nogi! – krzyknął i złapawszy w locie oba węzłki, uchylił okno wychodzące na podwórze.

Przełożył nogę przez parapet i wylądował wprost na kupie gnoju przygotowanego do wywiezienia. To samo zrobił kasztelan. Ledwie wstali z kolan, rzucili się do ucieczki. Przeskoczyli płot i skręcili w zaułek. Klucząc między domami, biegli, starając się zgubić trop. Wąska ścieżka wyprowadziła ich na tyły zabudowań, gdzie aż po odległy las ciągnęły się już tylko pola i łąki.

– Sprzedawczyk jeden! – ledwie wydyszał Każko. – A jużem miał nadzieję, że się wam humor poprawi.

– Od wódki? – zapytał kasztelan i popatrzawszy na swój strój gnojem uwalany, rzekł z przekąsem: – Chciałbym, aby mnie teraz mój ojciec zobaczył.

– Chyba nie chcielibyście, panie? – poprawił go sługa, ale Jan nie sprostował.

– Zazdroszczę ci. Ty nic nie musisz.

– I dlatego niewiele mogę – odparł Każko, a Jan spojrział nań z ukosa, ale nie podjął dyskusji, zamyślił się tylko i westchnął.

Bolały go poobcierane stopy, a do wszystkich jego udręk dołączyła jeszcze i ta, że był brudny. Nieogolony, czuł, że łązi po nim chmara robactwa, które dotkliwie gryzło. Drapał się to w głowę, to po nogach i pod pachami jak jakiś chłop pańszczyźniany, a szybkiej nadziei na kąpiel nie widział. Tak nisko upaść! Niżej już chyba nie można.

Odpoczęli trochę i polami ruszyli na południe. O zmierzchu dotarli do Białej Góry, miejsca, gdzie od Wisły odłączał się Nogat. Nieco dalej na południe od wschodu do Wisły przylegał wąski pasek Królestwa Prus.

Długo szukali przewoźnika, ale nikt im się nie trafiał, przenocowali więc nad rzeką. Rano jakiś handlarz bydlęm ulitował się i zabrał ich do kompanii. Jakież było jego zdziwienie, gdy za swą bezinteresowną pomoc otrzymał złotego dukata! Nim ochłonął, Jan i Każko byli już w drodze do Kwidzyna.

– Nigdy w życiu nie chodziłem tyle pieszo! – powiedział kasztelanik, przekraczając bramy miasta. – Chyba pora kupić konie... – rzekł i odskoczył na bok przed nadjeżdżającym zaprzęgiem.

Na koźle wiejskiej fury siedział zażywny jegomość. Podobny do mijanych okolicznych chłopów, niczym by się nie wyróżniał, gdyby nie jakiś szczególny uśmiech zadowolenia, który rozjaśniał mu oblicze. Dumnie rozglądał się na boki, jakby właśnie dobił korzystnego targu, i trzymając lejce, cmokał na konie.

– Boże mój! – szepnął zdumiony Jan. – Toż to król Stanisław!

LV

Flora Jandźwiłł trzymała w dłoni lustro, z którego popatrywało na nią blade, zasmucone i wychudłe jej własne oblicze. Ileż to już czasu minęło owej domowej niewoli? Nie tak wyobrażała sobie małżeństwo i swoje życie. Nie o tym marzyła. Żadna z dwórek księcia nie poszła co prawda tak wysoko, ale też żadna nie dostała tak szpetnego i starego męża! Jakaż różnica w porównaniu z pięknym i młodym Stanisławem! Gdyby jeszcze kasztelan okazywał jej choć odrobinę czułości, może by się w końcu doń przekonała. Jednak Tadeusz Jandźwiłł opętany zazdrością, przekonany o zdradzie żony, odsunął ją od siebie, nie dając wsparcia nawet w cierpieniu i chorobie. Zresztą ona sama, kiedy tylko poczuła pierwsze symptomy ciąży, znienawidziła swe przyszłe dziecię. Opuszczona przez wszystkich, nie mając na zamku ani jednej życzliwej duszy, rozważała nawet, czy nie rzucić się z murów, ale Bóg ją pokarał poronieniem i nie znajdowała już nawet sił, aby wyjść z komnaty.

Leżała całymi dniami, raz w tygodniu odwiedzana przez księdza, ale niedługo zabawiał, bo spowiadać się nie miała z czego. Czasami przychodził też Strasz. Flora odnosiła wrażenie, że czeka, kiedy ona umrze. Niby pytał o zdrowie i czy czego nie trzeba, jednak unikał jej wzroku i wychodził szybko, zasłaniając się pilnymi obowiązkami. Od kiedy na czas nieobecności kasztelana stał się faktycznym panem zamku, zjawiał się częściej i przebywał w jej komnacie dłużej. Zawsze w obecności służących, jednak Flora trochę się przestraszyła. Nie potrafiła odgadnąć, do czego sekretarz zmierza.

Pewnego dnia przyniósł jej ptaszka w klatce. Słowik wywodził cudne trele, zmieniając odrobinę nastrój w ponurej komnacie. Uroczy ten prezent jeszcze bardziej zaniepokoił Florę. Czy to wyznanie? Jednak Strasz nie posuwał się ani o krok dalej, nie mówił niczego, co można by uznać za wyznanie, nie próbował się do niej zbliżyć. Siadywał zawsze na brzeżku krzesła, sztywny i oficjalny, próbował konwersacji, nigdy zaś żartów. Zdawał jej relacje z wydarzeń na wojnie, ale tylko wtedy, gdy wieści były pomyślne dla kasztelana. Chyba robił to z własnej inicjatywy, bo w żadnym liście Jandźwiłła nie było wzmianki o żonie ani

żadnej dla niej wiadomości. Florze to nie przeszkadzało. Bała się raczej, że kasztelan wróci, zechce się z nią godzić i, nie daj Boże, znów sypiać w tym samym łożu, a tego sobie nie potrafiła już wyobrazić.

Strasz na razie nie wspominał o powrocie kasztelana. Tego wieczoru był jakiś inny, jakby rozmowniejszy. Pod koniec wizyty rzucił mimochodem:

– Poczta do Lewartowa jutro odprawiam. Gdyby kasztelanowa jakie listy przekazać chciała, to proszę dziś napisać.

Początkowo bardzo się ucieszyła, ale za chwilę opadły ją wątpliwości. A może to podstęp? Może Strasz chce sprawdzić jej intencje wobec Stanisława? Bardzo chciała napisać, ale nie miała pojęcia, jak daleko może się posunąć. Zwalczyła jednak opory i postanowiła zaryzykować. Poza listem do księcia napisała również króciutki oficjalny list do Stanisława. Pismo nie mogło wzbudzać żadnych podejrzeń, ale Stanisław, jeśli je dostanie, i tak zapewne wyczyta to wszystko, co ona chciała mu przekazać.

Rankiem oddała listy Straszwowi. Nie okazał zdziwienia na ich widok, zabrał obydwie i od razu na jej oczach odprawił umyślnego. To oczywiście nie dawało Florze pewności, że list dotrze do Stanisława ani że nie zostanie przeczytany przez postronnych, jednak przez kilka dni da jej trochę słodkich złudzeń, a to już i tak wiele w nudnej egzystencji, jaką wiodła na zamku.

Stanisław własnym oczom nie wierzył! List od Flory! Własnoręczny! Jak to się mogło stać, że zdołała go dołączyć do kasztelańskiej poczty? Pewnie kogoś przekupiła. Drżącymi dłońmi złamał pieczęć i uśmiechnął się szeroko, czytając tych kilka z pozoru nic nieznaczących zdań. Flora informowała go o swym dobrym zdrowiu i pytała, jak się czuje w służbie księcia. Tyle jej było wolno. Kasztelanic przyłożył usta do listu, a potem schował go na sercu niczym najdroższy talizman. Przez cały dzień chodził niczym oczadziały, a wieczorem został wezwany do księcia i ku swemu zdumieniu zaszczycony misją.

– Oddaję waści pod komendę rotmistrza Polkowskiego. Wiedzie on swój oddział do twego ojca, pomocny mu będziesz w marszu przez Litwę, pisma do kasztelana zawieszysz i wrócisz z odpowiedzią. Trochę

odmiany zaznasz, dom rodzinny odwiedzisz, ojcu się pokłonisz.
Zasłużyłeś za wierną służbę.

Stanisław nie posiadał się z radości. Misja książęca – rzecz nie byle jaka, kasztelan zapewne doceni to wyróżnienie. Ale najważniejsze, że odwiedzi Turów i chociaż z daleka zobaczy Florę! Przygotował się w pośpiechu i nazajutrz skoro świt, jako przyboczny rotmistrza, ruszył ku Litwie. Kiedy trzeciego dnia pod wieczór zbliżali się do Turowa, nie potrafił zapanować nad wzruszeniem. Oto dom, w którym nie był od kilku miesięcy, ale to też przede wszystkim miejsce, gdzie przebywa najukochańsza i najcudowniejsza niewiasta.

Kasztelanic wiedział, że nie wolno mu podnieść oczu na macochę, ale już samo przebywanie z nią w jednym pomieszczeniu, to, że razem usiądą do wieczerzy, napawało go bezgraniczną radością. Na zamku oczekiwano ich przybycia. Gdy tylko wjechali na dziedziniec, wybiegł kto mógł, aby przywitać kasztelanica. Stanisław szukał wzrokiem ukochanej, ale zobaczył ją dopiero przy wieczerzy. Była blada, lecz uśmiechnięta. Z uwagi na złe języki, które zawsze znajdują powód do plotek, trochę obawiali się spoglądać ku sobie. Wystarczyło jednak kilka ukradkowych spojrzeń, aby zrozumieli, że nic się nie zmieniło. Flora, nadzwyczajnie ożywiona, czuła, że serce wyskoczy jej z piersi. Tak dawno nie widziała Stanisława! Zmężniał, wypiękniał! Był ceniony przez księcia! Ze szczęścia brakowało jej tchu.

Gdy Strasz poszedł oznajmić kasztelanowej o przybyciu gości, ta aż się zachwiała. Podczas przyjęcia również nie dało się ukryć, że tych dwoje nadal ma się ku sobie. Są skrępowani, to świetnie! Ze względu na zmęczenie gości kolacja nie trwała zbyt długo. Strasz zakończył ją toastem za zdrowie kasztelana, po czym życzył wszystkim dobrej nocy.

Leżąc na łóżku w swej dawnej komnacie, Stanisław nie mógł zasnąć. Nie rozebrał się nawet, wciąż myślał o Florze. Tak mu było słodko na duszy, ale i ciężko, bo znajdowała się blisko, za kilkoma tylko ścianami. Wstał i podszedł do drzwi, jednak dłoń zawisła nad klamką. Wrócił, usiadł na łóżku. Znowu wstał. Pragnienie ujżenia ukochanej walczyło w nim z wiernością synowskiemu przykazaniu. Wprost z Turowa miał jechać do kasztelana, jak spojrzy mu w oczy? Tarł brodę i chodził po komnacie od okna do drzwi, aż wreszcie, gdy ledwie

niewielki ogarek świecy został w lichtarzu, nagłym ruchem nacisnął klamkę i wyszedł w ciemność korytarza.

Musiał dojść do jej komnaty, zanim zgaśnie świeca. Nie był pewien, czy Flora nań czeka. Może już zasnęła? Może go przegoni, wyśmieje, zbeszta? Ale wszak jutro ruszali dalej, to była jedyna okazja, aby zamienić z nią choćby kilka słów! Zapukał cicho do drzwi, które niemal natychmiast się otworzyły, i stęskniona Flora wpadła w jego ramiona.

– Boże mój! Boże! – szeptała, całując go i przytulając. – Jużem myślała, że umrę, zanim was znowu ujrzę!

– Dnia nie było, abym was nie wspomniał! – zapewniał ją. – Miłuję was, ile tchu w piersi, i miłować nie przestanę do zgonu!

– Com ja łez wypłakała za wami!

Stanisław przywarł do jej ust i całował każde słowo, spijał je niczym miód najśłodszy, nie myśląc o tym, jak straszna może być kara, gdyby się kasztelan o ich schadzce dowiedział.

– Jak to się stało, żeście do mnie list mogli przekazać? – zapytał.

– Strasz mi dozwolił.

– To dziwne, nie sądzicie?

– Alem nic takiego nie napisała.

– Sekretarz ma widać z kasztelanem jakiś porachunek, inaczej nigdy by was do pisania nie zachęcał. Zatem uda, że się nie domyśla, że tu przyszedł. Choć nie wiem dlaczego, sądzę jednak, że nam sprzyja.

– Kupił mi ptaszka, jest dla mnie bardzo miły.

– O co może mu chodzić? Oby nie o to, aby mnie z kasztelanem jeszcze bardziej skłócić, bo wtedy już nigdy na zamek nie wrócę.

– A jeśli szuka dowodu, aby was czym prędzej ożenić?

– zaniepokoiła się Flora.

– Czy kto kogo zdołał do małżeństwa siłą przymusić? Prędzej już wstąpię do klasztoru! – zapalił się Stanisław.

– W ten sposób nigdy szczęścia nie zaznamy! – westchnęła Flora.

Patrzył na nią z zachwytem. Nie myślał już o ojcu i jego prawach, nie myślał o grzechu, jakim się właśnie obciąża, porzucił wszystkie skrupuły. Podniósł ją i delikatnie położył na łóżku. Ogarek świecy

dopalił się, gasnąc z cichym sykiem w chwili, gdy suknia spadła z jej ramion.

Ile szczęścia zaznali owej krótkiej nocy! Jak bardzo różniła się od tych, które z młodą żoną spędzał w łożu kasztelan. Stanisław był delikatny, czuły, pieścił ją niemal z lękiem. Ważył każdy gest, jakby bał się zbyt mocno dotknąć. Na ten czas, gdy przebywał u niej, zapomniał o ojcu, jednak nad ranem wracając do swej komnaty, czuł nieznaną mu dotychczas słodycz zemsty.

Rankiem Flora Jandźwił kazała sobie podać śniadanie do łóżka. Strasz, dotrzymujący gościom towarzystwa, nie pokazał po sobie, że domyśla się, co zaszło. Był równie swobodny jak Stanisław, a rozmawiali przede wszystkim o konfederacji i o tym, kiedy się wreszcie zakończy ta bratobójcza wojna. Sekretarz dał kasztelanicy listy do swego pana, oznajmiające, że wszystko na zamku pozostaje w najlepszym porządku, życzył Stanisławowi pomyślnej podróży i prawie zażądał, aby w drodze powrotnej również zatrzymał się w Turowie.

LVI

Pani Salomea patrzyła na Zofię szeroko otwartymi oczyma.

– Nareszcie rozumiem, dlaczego nic złego o podstarościm nie śniła! Wkrótce zdrów będzie!

– Źle mu nie życzę. Ale teraz mówcie, co czynić wypada? On ochłódł, choć był ze mną po słowie. Zły jakiś i zimny, jakby się stał innym człowiekiem. Słuchać mnie nie chciał. Nie śmiałam mu nawet o dziecku powiedzieć. Musimy Gród Orłowy opuścić, bo jałmużny od niego nie zniosę!

– Dokąd pójdziesz? Budowa niezakończona, dachu nad głową nie mamy!

– Dokądkolwiek, choćby do oberży. A kiedy dach na dworze złotomojskim gotów będzie, to i na gołej podłodze spać mogę, byle trochę siana podrzucić.

– Dalibóg, przecież dziecko podstarościego nosisz pod sercem! Zaczekaj tu, wytłumacz jakoś, porozum się. Wszak on cię kocha.

– Tak mi się wydawało, ale kiedy w malignie leżał, kasztelanka wsączyła mu do serca jad jakiś i już nierad na mnie patrzy. A jam nie z tych, co o dobre słowo proszą. Pakujcie nasze rzeczy, dużo ich nie mamy. Przed wieczerzą chcę ruszyć.

– Zastanów się jeszcze... dokąd pojedziemy?

– Do Winnicy. Rozmawiałam ze Szmulem, udzieli nam gościny na noc, a rankiem pojedziemy do domu. Gdzieś znajdziemy schronienie. Na szczęście jest lato i ciepło na dworze, to choćby i pod drzewem się rozłożymy.

Podjąwszy decyzję, Zofia wreszcie odetchnęła spokojnie. Zarządziła pakowanie i zaprzęgnięcie koni. Raz po raz serce zabiło mocniej, gdy dzieci przybiegały z pytaniem, czy wolno im zabrać jakiś drobiazg, który do nich nie należał. Surowo im tego zakazywała, aż wreszcie Dorotka zaczęła lamentować, trzymając w dłoni małą srebrną łyżeczkę, używaną przez cały pobyt w Grodzie Orłowym.

– Obiecuję, że kupię ci taką samą, kiedy tylko pojedę do Brześcia! Albo poproszę Szmula. Nie płacz, za kilka dni wracamy do Złotego

Mostu. Pozwolę ci się opiekować kurczątkami.

Słyszając tę niespodziewaną propozycję, Dorotka się rozpromieniła. W Grodzie Orłowym kura wodziła właśnie małe stadko kurcząt i dziewczynka biegła za nimi, łapiąc raz po raz kurczaczka, i tuliła go do piersi, nie szczędząc mu pocałunków.

– Tak? I kaczuszki też będą?

– Będą, ile tylko zechcesz!

– Ja bym chciała dużo!

„Też chciałabym dużo kurcząt i kaczek, ale kto wie, jak to będzie?”

– pomyślała Zofia.

Wszedł Kettler.

– Ledwie waćpani wróciłaś, a już widzę przygotowania do nowej podróży?

– Na razie tylko zmieniamy lokum. Zapraszam do Złotego Mostu.

– Wszak tam dwór jeszcze niegotowy!

– I w takim tymczasem przyjdzie nam zamieszkać.

– Cóż przyczyną?

– Powrót podstarościego.

– Wybaczcie, pani, ale nie rozumiem.

Zofia spojrzała na Kettlera i nagle przyszło na nią olśnienie.

– Kto wie, czy nie wy, panie kawalerze, tego przyczyną...

– Ja?

– Uwiadomiona przede mną o śmierci Hadziewicza kasztelanka pojechała szukać jego zwłok. Jednak znalazła żywego, co by nas wszystkich ucieszyło, gdyby nie fakt, że zanim się spotkaliśmy, w podstarościm nastąpiła jakaś zmiana. Oskarżał mnie, że waści zatrudniłam, jakbym was tu na zabawę ściągnęła i niegodziwości jakie. Sądzę, że kasztelanka wykorzystała stan maligny, w jakiej znajdował się podstarości, i wmówiła mu to wszystko, aby się na mnie zemścić za to, żeście ją opuścili.

– Nikogo nie opuściłem. Bąki bym tam tylko zbijał, a tu robię coś pożytecznego, na cudzy rachunek nie żyjąc.

– Znając kasztelana, nie mam wcale pewności, czy bandy, z którymi walczyacie, nie powstały z jego inspiracji i jego interesom nie służą.

- Okradałby i rujnował własnych sąsiadów? Nie, w to nie uwierzę!
- Zapytajcie ludzi Rabińskiego, jak to u nas bywało. Dlatego proszę, abyście mnie jeszcze nie opuszczali, bo na podstarościego liczyć nie mogę. Wróci on za dzień, dwa, dwór zostawiam mu czysty i zaopatrzony. Będzie się kurował kilka tygodni, a potem odda swe służby Jandźwiłowi, już się Cecylia zapewne o to postarała. Ubogo będzie w Złotym Moście, bom się jeszcze z ruiny nie podniosła, ale jak przyjaciela was proszę, nie porzucajcie mnie teraz! – rzekła w końcu tonem prośby.
- Wszak żem obiecał. Póki król do stolicy nie zjedzie, ja w waszych służbach pozostanę.
- Bóg wam zapłać, kawalerze! – wyszeptwała z wdzięcznością, a on popatrywał ku niej, zastanawiając się, czyli to prawda, co paplały służące, że miecznikowa dziecię Kacprowe w łonie nosi.

Ruszyli przed wieczorem, zostawiając w Grodzie Orłowym służbę Hadziewicza, która żegnała ich ze smutkiem. Powóz Zofii poprzedzało sześciu konnych na czele z Kettlerem, za nią jechały dwie fury z rzeczami, szło kilkoro służby, dla których brakło miejsca na wozach. Pochód zamykało znowu sześciu konnych. Szmul, zawiadomiony przez umyślnego, już czekał. Przyjął ich gościnnie, jednak w łózkach jego domu załęgły się pluskwy i nic nie pomogło założenie czystej pościeli. Lepiej mieli ci, którzy spali w stodole na sianie. Zresztą nawet gdyby robactwa nie było, Zofia i tak nie zmrużyłaby oka. Przez całą noc myślała o tym, jak się teraz ułożą stosunki w powiecie. Kasztelan będzie triumfował, ma nareszcie z powrotem podstarościego, ona została ze swoim oddziałem sama. Pieniądzy na długo nie wystarczy i na nic się tu zda dobra wola Kettlera. Kiedy zaczną ponownie formować jego regiment, ruszy do Warszawy, nigdy tego nie krył. Trzeba więc będzie oddział rozpuścić, bo kto zostanie jego dowódcą? Jednak należałoby go zatrzymać, bo teraz się dopiero zaczyna rozgrywka z Jandźwiłłem, a ktoś przecież musi bronić Złotego Mostu. Tylko czy to nie rozwścieczy kasztelana i nie skłoni do tym szybszej rozprawy? Miecznikowa kręciła się na wszystkie strony, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Rankiem Szmulowa przygotowała dla Zofii i jej świty sute śniadanie, na które składała się jajecznica, chleb razowy i piwo, a dla dzieci upiekła pyszne maślane bułeczki, do których podała gorące mleko. Zjedli z apetytem i dziękując za gościnę, ruszyli. Miecznikowa nie wiedziała, jak tam sprawy stoją, ponad tydzień nie była w Złotym Moście. Kiedy ostatnio nadzorowała budowę, cieśle stawiali już więźbę dachu. Miała nadzieję, że uda się wejść choćby i do pustego domu. I mimo że przepełniał ją lęk, uśmiechała się i żartowała, jakby nie doskwierały jej żadne troski.

Widziany z daleka nowy dwór w Złotym Moście wyglądał imponująco! Ogrodzenia jeszcze nie postawiono, toteż jasne ściany białały z daleka. Wysoki dach również wydawał się ukończony.

– Oto nasz nowy dom! – powiedziała Zofia, a dzieci zaklaskały z radości.

– Piękny! – westchnęła cześnikowa. – Piękny! – powtórzyła.
– Anim śniła o takim.

Nim dojechali, chmara domowników i chłopów ze wsi wybiegła, aby się przywitać. Kłaniali się w pas, wzruszeni, że pani wreszcie wróciła, bo mimo trwającej budowy mieli wątpliwości, czy ich nie zostawi albo komu dworu nie sprzeda.

Wysiedli z powozu i stanęli w sieni pachnącej świeżością. Weszli do środka, a poza dziećmi nikt nie śmiał się odezwać. Pozbawione mebli izby wydawały się ogromne! Ignas i Dorotka biegali, piszcząc z radości.

– Może na ławach nam przyjdzie spać albo i na sianie, ale u siebie, nie po prośbie! – radowała się miecznikowa, na później zostawiając troski, ile długów trzeba będzie jeszcze zaciągnąć, aby się przed zimą urządzić.

Służący wnosili już skrzynie z ubraniami, naczyniami i pościelą kupionymi podczas pobytu w Grodzie Orłowym. Radość z odbudowy dworu i uśmiech rozkwitający na twarzy Zofii nie mogły przesłonić lęku. Znów została sama, z nieżyczliwym sąsiadem i z dziecięciami, które po Nowym Roku przyjdzie na świat. Już niedługo nie da się tego faktu ukryć. Wieść rozniesie się po okolicy. Ludzie będą gadać, plotkować, uśmiechać się krzywo, że miecznikowa dziecię bez męża poczęła.

Gdyby dziś przyjechali do Złotego Mostu pan Żaba albo który z braci Szuksztów i o rękę ją poprosili, toby pewnie nie odmówiła. Ale na razie nikt się nie kwapił z odwiedzinami, bo wieść się jeszcze nie rozniosła, że pani Niezgodzka do dworu wróciła.

– Każcie zbić stoły i ławy na wypadek nieoczekiwanych gości
– rzekła do matki i zmęczona podróżą usiadła. – A potem wypchać sienniki świeżym sianem i ludzi wygodnie rozlokować. Niech zawołają ekonoma, o pracach w polu chcę usłyszeć, i cieślę, co bramę ma budować.

– Nie wszystko naraz, Zosiu! – upomniała ją pani Salomea.

– Nie naraz, po kolei.

LVII

Snując wielkie plany, sprzecząc się i na powrót godząc, trzy dziewczki, kat, obraźnik i zbójca szli rażno w kierunku Kodnia. Choć nie mieli wozu, przywileju na dawanie widowisk po jarmarkach ni stroju żadnego, to gdyby ich kto spytał, kim są, odpowiedzieliby zgodnie, że Komediantami Jego Królewskiej Mości. Tak już się zżyli z tym pomysłem, tak w nim zagustowali, tyle razy wyobrazili sobie jarmarki z rynkami pełnymi widzów, a co najważniejsze, nigdy jako trupa nie doznali porażki, więc gotowi byli zaryzykować wszystko, co mieli. A że mieli niewiele, szli posłusznie za obraźnikiem ku swej świetlanej przyszłości.

– Na to by jaki papier godziło się mieć... – zasugerował kat.

– Pozwolenie albo przywilej.

– Od króla nie dostaniem, próżno i marzyć, zresztą Warszawa daleko. Może od księcia? Gdyby tak w Lewartowie jakie *spectaculum* pokazać? Miasto duże, to i publiki wiele przyjść powinno – na głos rozmyślał Rabiński.

– Mnie to zostawcie! – Obraźnik wypiął pierś z dumą. – Miałem ja interesa na dworze lewartowskim, wywiem się co i jak.

– Ale taki przywilej to może kosztowny bardzo? – zmartwiła się Maryna. – A u nas kieszenie wiatrem podszyte.

– Ja tam myślę, że zanim do Lewartowa dojdziemy, powinniśmy w jakiej karczmie na próbę wystąpić, jak Rabiński to robił. Za samą strawę, bo nikt z nas nigdy komediantem nie był, ani wiemy, na czym to się zasadza – trzeźwo stwierdziła Walerka.

Spojrzeli po sobie, ale nikt się nie wrywał, żeby zaprzeczyć.

– Widzieć widziałem różne widowiska, po części pasyjne, w kościołach dawane, po części jarmarczne i wyobrazenie jakieś mam – obraźnik bronił swego. – Ale to racja, że warto by spróbować sił w jakiej karczmie.

Mijane karczmy świeciły jednak pustkami i dopiero pod wieczór w Kodniu znaleźli gospodę pełną pielgrzymów, co się Matce Boskiej Kodeńskiej przyszedli pokłonić i o łaski specjalne ją błagać. W to im było

graj. Zajęli więc miejsce przy samych drzwiach, bo już upchać się nigdzie nie dało, i zażądali kapusty oraz piwa. Gdy oberżysta przyniósł im dwie miski z kapustą i kilka pajd chleba, a także dzban piwa, obraźnik popatrzył na siedzących cicho, zmęczonych pielgrzymów i niby do Rabińskiego zagadał:

– Opowiedzże, bracie, co tam na Litwie słyhać? Zbójca Rabiński wciąż w lasach na kupców napada?

Rabiński nieśpiesznie odłożył łyżkę, wziął kubek i do ust go przytknął. Pił długo, chciwie, póki ostatnia kropla piwa nie spłynęła mu do gardła. I gdy się już dno w kubku pokazało, a chciwa opowieści gawiedź przysunęła bliżej, Rabiński odstawił kubek na ławę, wąsa otarł, chrząknął i tubalnym głosem rzekł:

– Jak się sprawy na Litwie mają, pytacie? A nie za dobrze, niedobrze! Bo choć Rabiński na kupców już przy grobli winnickiej nie dybie, co wielu podróżnikom sen spokojny wróciło, to po stokroć gorsze się tam rzeczy dziać zaczęły! Ale dajcie mi piwa, bo na samą myśl o tym, co mam wam powiedzieć, w dygot jakiś wpadam i w gardle mi zasycha.

Karczmarz, sam ciekaw, co też się w Litwie dzieje, skwapliwie nalał kolejny kubek piwa i ucha nadstawił.

– Ano wiecie, jak to w lasach głębokich różne się dziwy zdarzają, a już zwłaszcza wokół turowskiego zamku, gdzie pan zły i okrutny i na ludzką krzywdę nieczuły, a loch jego pełen więźniów, co światła dziennego latami nie oglądali i ludzkich kości niepogrzebanych, od których dusze oderwać się nie są zdolne. – Wstrzymał oddech i powiódł wzrokiem po słuchaczach. Wpatrzeni w niego, czekali. Nawet towarzysze wędrowki, którzy wiedzieli, czego mogą się spodziewać, patrzyli, jakby chcieli go ponaglić. – Więc kiedy bezksiężycową nocą samotny podróżny zapuści się w okolice zamku, łącno dojrzy fruwające wokół niego niebieskie ogniki dusz zawieszonych między niebem a ziemią. Bywa, że dusze strój jaki skradłszy, w habicie się mnicha ukażą lub dziewczki służebnej. Wtedy z wyglądu całkiem człowieka przypominają, tylko bezcielesne są, ale głos wydają ponury, jakby wilczych szczeniąt zawodzenie. I kiedy mnisi koło Wielkanocy chcą tym duszom wieczne odpoczywanie zapewnić, chodząc i kropidłem na prawo

i lewo machając. Woda święcona w zetknięciu z nimi w żywy się ogień zamienia, który po chwili krótkiej gaśnie z sykiem.

– Strach na takim zamku mieszkać... – ze zgrozą wtrąciła jedna z pątniczek.

– A strach, bo i po komnatach się pokazują, zniecka wpadając przez okno, chichocą lub zawodzą boleściwie, byle tylko żywym spokojność odebrać. Zamek to przeklęty i żadne modły ani uroków odczynianie na nic się zdadzą. Jeśli kto z Litwy mnie słucho, to ostrzegam, by inną drogę do siebie obrał, bo zdarzało się czasem, że upiory porwały podróżnych i tak się nimi nocą zabawiały, że ludzie ci odnajdywani potem byli jako pozbawieni rozumu lub na drzewach powieszani z sercem wyrwanym i oczyma wydlubanymi.

Rabiński popatrzył na obraźnika, a ten kiwnął lekko głową na znak potwierdzenia. Tymczasem Bartkowi kończyła się wena. Dawne to lata, kiedy co czytał, przypomnieć sobie bardzo nie mógł i szukał w pamięci, jak by tu opowieść pociągnąć, więc znów chrząknął i stuknął kubkiem o blat stołu.

– A jakby tak procesję dziewic z krzyżami tam wysłać? – rzucił ktoś nieśmiało.

– Myślałeś, że tego nie próbował kasztelan? – zadrwił Rabiński.
– O! To było straszne, widzieć jakby piórko poderwane do góry dwanaście dziewic w białych sukniach, które wiatr ponad drzewami pogał i niczym chmurkę odległą na niebie zawiesił. Przeklęty! Po stokroć przeklęty ten zamek i pan jego nieszczęsny, co spokoju ni za życia, ni po śmierci za swe szkaradne czyny nie zazna!

– A jakie to czyny? Opowiedzcie! – zasugerował kat, chcąc wzmocnić opowieść Rabińskiego, ale ten go tylko zmierzył wściekłym spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: „Sam sobie opowiadaj!”. Zmęczony otarł dłonią pot z czoła i zastukał znów kubkiem w blat stołu, zmuszając karczmarza do działania.

– Toście nigdy nie słyszeli o krwawym niktzemniku, co się zrodziło jako dziedzic tego zamczyska? – Rabiński powiódł wzrokiem po słuchaczach, a oni milcząco pokręcili głowami. – Najstarsi ludzie powiadają, że prababka jego z wilkami w pobliskim lesie obcowała! – rzekł dumny z pomysłu, ale gdy spojrział na obraźnika, głos mu się

załamał, bo ten ledwie się od śmiechu powstrzymując, zasłonił oczy dłonią, jakby go złe wspomnienie naszło. – O, dawno to już było, ze sto lat pewnie! – Rabiński wpadł na nowe tory opowieści. – Kiedy młoda kasztelanka, dziecięciem będąc, z sań wypadła i przez wilki wychowaną była. Potem w każdą noc księżycową musiała do lasu uciekać, bo głos puszczy ją wzywał i tamże kochanka znalazła pewnej nocy podczas pełni. Kiedy się okazało, że jest brzemienna, a wszak męża nie miała, kasztelan, jej ojciec, usunąć ją kazał do najdalszej komnaty i tylko jedna sługa przy niej została. Ale i tej wytrzymać widoku się nie udało, kiedy jej pani urodziła potwora: pół człowieka, pół wilka. Biedaczka z przestachu się do zamkowej fosy rzuciła, śmierć sobie zadając. Kasztelanka zaś dziecko z siebie wydawszy, usłyszała pod zamkiem wycie swej wilczej rodziny, toteż czym prędzej zawiązała niemowlę w giezło i sobie tylko znanym sposobem zamek opuściła.

Po karczmie przeszedł szmer. Nawet na twarzach mężczyzn rysowało się oczekiwanie i strach. Rabiński myślał w pośpiechu, jak efektownie zakończyć, bo zmęczony już był i chętnie oddałby dalsze opowiadanie komuś z grupy, nikt się jednak nie kwapił podjąć dzieła.

– Wróciła kiedyś? – zapiszczało młode dziewczę zza kontuaru, pewnie córka gospodarza.

– A juści! Rychło potem wróciła, mówiąc, że nic takiego miejsca nie miało, i szczerze żałując służebnej. Ale od tamtej pory dwa razy do roku się wymykała, raz, by z wilkami obcować, a potem, by swe nowo narodzone wilcze dziecko im oddać. No, ale dość na dziś, zmęczonym srodze. Komu się baśń podobała, niech do czapki grosz wrzuci, to może jeszcze jutro co powiem!

Kilka rąk się wyciągnęło i garść groszy Rabińskiemu wpadła. Zły był tylko zbójca, że nie wiedzieć kiedy obraźnik czapkę zabrał. A jeszcze mniej był zadowolony, kiedy następnego dnia wyszli z gospody i poza Kodniem przy rowie usiedli, bo obraźnik za ocenianie jego opowieści się zabrał.

– Nieźleś gadał, całkiem nieźle! Trochę bez ładu i składu, ale taka publika to jedynie strachu i upiorów pragnie, zwłaszcza że dziś do sanktuarium się wybiera. Musisz tylko bardziej zadbać o to, aby twoja opowieść początek, środek i koniec miała.

- Wszak miała wszystko, co trzeba! – Kat ujął się za zbójcą.
- I jeszcze grosze na ów koniec! Znak widomy, że się podobało.
- Pamiętajcie, że ludziska same nie wiedzą, czego chcą, ale naszą jest rzeczą ciekawie im to opowiedzieć i do moralnego polepszenia doprowadzić. I tego mi w twojej historii zabrakło. Kto ciebie posłucha, musi czuć się przejęty litością i trwogą, by tym większą bojaźń bożą w sobie odczuwając, dążył do naprawienia swej duszy poprzez jej oczyszczenie.
- Gadaj zdrów! – obruszył się Rabiński. – Com ja kaznodzieja jaki, żebym o ludzkie dusze miał zabiegać?
- Żebyś wiedział! I jak jeszcze. Masz cnotcie jej obraz pokazać i niecnotcie także. Niecnota, jak sam już chyba żeś zauważył, do pokazywania sposobniejsza, bo słuchacze cnotę za nieciekawą uznają, toteż skup się na niecnotcie, a grosze zarobisz.
- A my? Jakie nasze zadanie?! – zainteresowały się dziewczki.
- Słuchać tylko?
- Nie, wy macie stać się ową wilków kochanką i tak ją przed spektatorami oddać, aby wam uwierzyli. Wtedy dopiero *theatrum* prawdziwym będzie! – powiedział obraźnik, a one pozwieszały nosy, domyśliwszy się, że rzeczy niemożliwej od nich wymaga.

LVIII

Cecylia odczekała kilka dni w oberży, tłumacząc to złym samopoczuciem podstarościego. Spodziewała się, że w tym czasie Zofia uniesie się honorem i opuści Gród Orłowy. Miała słusność. Wkrótce umyślny przyniósł dobre wieści: miecznikowa już opuściła dwór i wróciła do Złotego Mostu.

– Anim sądziła, że mi tak łatwo pójdzie! – zacierając dłonie z uciechy, powiedziała sama do siebie. Trzeba było jakoś o tym zawiadomić Kacpra. Ale jeszcze nie teraz...

– Dokąd jedziemy? – zapytał podstarości, widząc, że minąwszy Winnicę, nie kierują się na Gród Orłowy.

– Tak jak powiedziałam, do domu.

– Wiesz mnie do Turowa? – domyślił się. – Chcesz ze mnie zrobić kasztelańskiego więźnia?!

– Gdzieżby zaś! Na co mu taki więzień?

– Loch zamkowy pusty, a kasztelan nie cierpi pustego lochu. Zaśmiała się perliście.

– Żartowniś! Widzę, że zdrowiejesz, skoro ci humor wrócił – rzekła zadowolona.

– Nie chcę jechać na zamek! Zawieź mnie do mojego dworu!

– Na razie musisz pozostawać pod opieką Dietricha. Stanowczo na to nalegam! Skoro cię wyrwałam ze szponów śmierci, twoje życie należy poniekąd do mnie.

– Poniekąd... – Uśmiechnął się kwaśno.

– Na dodatek miecznikowa powinna mieć czas na przeprowadzkę. Nie chcę, żebyś teraz musiał się z nią spotykać. Jej widok byłby ci niemiły! – zdecydowała za niego.

Hadziewicz milczał. W rzeczywistości zastanawiał się już kilka razy, ile prawdy kryło się w tym, co mówiła Cecylia. Czy Zofia naprawdę złamała dane słowo? Czy uległa Kettlerowi? A co, jeśli to wszystko potwarz? Może zbyt szybko się pośpieszył, dając wiarę kłamstwu? Teraz zaczynał żałować pochopnego kroku, było już jednak

za późno. Zresztą nie czuł się na siłach jechać do Złotego Mostu. Nie zdołałby jeszcze stanąć na nogach, a jak się rozprawić z konkurentem, leżąc? Wiedział, że każdy dzień pogarsza sprawę, ale nie miał pojęcia, co powinien w tej sytuacji zrobić. Może Witek przywiezie jakieś wieści? Czekał na sługę, ale ten nie przybywał.

– Gdzie mój służący? – kilka dni później zapytał Cecylię, kiedy przyszła dowiedzieć się o jego zdrowie.

W Turowie co prawda ulokowano go w osobnej komnacie, miał służącego i na niczym mu nie zbywało, jednak nie mogąc wstać o własnych siłach, zdany na kasztelańską łaskę i niełaskę, czuł się jak więzień. Nie był też wcale pewny, jaki los mu tutaj pisany.

– Do twego dworu pojechał z rozporządzeniami – odparła, patrząc mu prosto w oczy.

– Czyimi?

– Moimi. Chcesz wszystko w najlepszym porządku zastać? Więc napisałam, żeby ład dawny zaprowadzili i jeśli miecznikowa co zmienić nakazała, aby przywrócone zostało. Za kilka dni, gdy Dietrich pozwoli, odwiozę cię do dworu. Chcę, abyś czuł się tam jak u siebie.

Kacper popatrzył na nią z ukosa.

– Skąd u ciebie tyle oddania? Całkiem inną cię postrzegam.

– Może nie jestem taka zła, jak przypuszczałeś?

Bez przekonania pokiwał głową, a ona dłoń jego ująwszy, palec sobie do ust włożyła i poczęła ssać i lizać, aż oczy wywrócił, oddychając szybciej i szybciej. A wtedy rękę wsunęła pod przykrycie i znalazła wzgórek pulsujący jakby w oczekiwaniu dalszych pieśczoł. Kiedy go dotknęła, Hadziewicz jęknął. Powoli, delikatnie ujęła jego męskość, Kacper odrzucił głowę i tylko drżąc, czekał, aż pocierając łagodnie i coraz szybciej, doprowadzi go do ekstazy. Nie patrzyli sobie w oczy i nic nie mówili. Skończywszy, kasztelanka bez słowa wyszła z komnaty.

W kolejnych dniach zdrowie podstarościego nieco się poprawiło, trawiąca go gorączka opadła, zaczynał wracać do sił, ale nadal nie mógł ustać na nogach, a ręce, kiedy co jadł, drżały mu tak bardzo, że nie wiedział, czy szablę jeszcze kiedykolwiek w ręku zdoła utrzymać. Cecylia, chcąc zachować pozory, odwiedzała go zaledwie raz dziennie

i pozostawała niedługo. Podstarości nie rozumiał przyczyny, dla której wciąż go trzymano na zamku.

– Chciałbym do domu wrócić – napomknął wreszcie. – Doktor mnie już nie odwiedza, co znakiem najlepszym, że w lepszej kondycji.

– Ale na nogach wciąż ustać nie zdołasz.

– Mam służbę.

– Która z takim oddaniem miecznikowej służyła, że teraz pustki w Grodzie Orłowym, bo wszyscy za nią poszli i ani jest komu koło gospodarstwa się zakręcić.

– Nie wierzę! – ostro zaoponował podstarości. – Moi ludzie...

– Twoi ludzie... Chcesz się przekonać? – odpowiedziała pewnym siebie tonem. – W tej chwili każę zaprzęgać, przed nocą zdążysz. Tylko kto cię tam obsłuży, wieczerzę przygotuje, w piecu napali i zaścieli łożę? Woźnica? – Westchnęła współczująco. Tak była szczerą w tych kłamstwach, że skruszyła jego wolę. – A co zrobisz, jeśli rzeczywiście wiatr po Grodzie Orłowym hula?

– I nikt dworu nie pilnuje? – zaniepokoił się.

– Pilnują moi ludzie. Ale nie martw się, kiedy tylko wyzdrowiejesz, odwołam ich.

– Za jaką cenę? – domyślił się wreszcie.

Cecylia uśmiechnęła się lekko.

– Sam ją ustal – rzuciła i z westchnieniem żalu, jakby zatęskniła za dawnymi czasami, musnęła jego policzek.

Od kiedy Kettler wyniósł się do miecznikowej, nie miał kto gasić żaru, który wciąż płonął w kasztelance. Hadziewiczza sprowadziła na zamek już ponad tydzień temu i każdego dnia myślała o tym, czego nigdy najpierw po kryjomu, a potem już wstydu się znając, razem dokonywali. Dziś również szła doń rozpalona tym wspomnieniem. Usiadła na łożu i wsunęła rękę w rozcięcie koszuli. Głaszcząc go niewinnie po piersi, pochyliła głowę i dotknęła ustami jego ust. Kacper usiadł nagle i chwycił ją za włosy. Nawet nie pisnęła, patrzyła nań hardo. W jego oczach płonęły dzikie iskry żądzy. Pociągnął ją ku sobie i wpił się w usta, których od tak dawna nie smakował. Cecylia odrzuciła koldrę i poczęła pieścić podstarościego, aż obydwojemu zabrakło tchu. Wtedy podkasawszy suknię, wgramoliła się na łóżko i w poczuciu całkowitej

władzy dosiadła go niczym dzikiego rumaka. Gdy wydawał z siebie charkotliwe dźwięki, a oczy zasły mu mgłą, dokończyła dzieła. Nie popatrzyła nań i nie odezwała się, tylko zeszła z łóżka syta i zadowolona.

Zmęczony wysiłkiem podstarości zapadł w krótki sen. Jak na ironię przyśniła mu się Zofia. Stała w bramie Grodu Orłowego i machała mu dłonią, jakby się żegnała. Kacper otworzył oczy i popatrzył po komnacie, przypominając sobie, co się wydarzyło. Zagryzł wargi, bo nie miał złudzeń: cena za to, co zrobiła dla niego kasztelanka, mogła być tylko jedna. Zrozumiał, że znalazł się w pułapce.

– Powiedziałam, coście mi kazali – rzekła Cecylia, zamykając za sobą drzwi kancelarii.

– Naprawdę nie domyślił się, że kłamiecie? – Strasz nie mógł uwierzyć.

– Wy też byście się nie domyślili.

– Jak przyjął wieści, że nasi ludzie obsadzili jego dwór?

– Całkiem spokojnie.

– To nie do wiary! – Zadowolony sekretarz zatarł dłonie. – Teraz trzeba tylko pilnować, aby się ten jego sługa na zamek nie wślizgnął. Czas jest naszym sprzymierzeńcem. Im dłużej zatrzymamy podstarościego, tym trudniej mu będzie wrócić do łask miecznikowej.

– Ale w końcu odkryje prawdę, co wtedy?

– Wasza w tym głowa, aby do tej pory całkowicie na nią zobojętniał – powiedział Strasz i spojrzał jej w oczy, a ona zobaczyła tam to wszystko, co wyjawiał jej już dawniej, gdy jeszcze była ciężarna.

– Każecie mi go uwodzić? Wy?!

Strasz na chwilę zaniemówił. To pytanie zabrzmiało dlań jak jakaś odległa obietnica. Ale nie chciał roić teraz o wdziękach kasztelanki, za wiele wzgardy doznał z jej strony. Za dużo wiedział, zbyt wiele widział. Jednak jego uczucia zainteresowały ją po raz pierwszy. Dotychczas zawsze odnosiła się doń ze wzgardą. Udał jednak, że nie zauważył tej zmiany.

– Pani, wam oprzeć się nikt nie byłby zdolny.

Popatrzyła na niego z uśmiechem zadowolenia. Lubiła takie komplementy.

LIX

Ku Prużanie, gdzie stacjonował Tadeusz Jandził, Stanisław jechał zamyślony, rozmarzony dokonany dopiero co podbojem, ale i z ciężarem popełnionego grzechu. Obawiał się stanięcia oko w oko z kasztelanem. Lękał się, że zostanie przejrany na wskroś i mimowolnie zdradzi tajemnicę sekretnego spotkania z macochą. Czy uda mu się ukryć zmieszanie? Czy zdoła wytrzymać badawcze spojrzenia ojca? Czy nie powie czegoś, co zostanie opacznie zrozumiane i tym samym nie narazi Flory na srogą karę albo i na uwięzienie? Zamyślony, przejęty nie był wesołym kompanem rotmistrza.

Z Turowa do Prużany jechali półtora dnia. Obóz zwolenników króla rozłożony na dużej łące pod lasem zauważyli już z daleka. Kilka dużych namiotów ustawionych w jego centrum, gdzie stacjonowało dowództwo, okalało kilkadziesiąt mniejszych. Usadowione wokół kilkunastu ognisk wojsko szykowało się właśnie do wieczery. Na znak dobrej pogody prosto ku szarzejącemu niebu unosił się dym.

– Dobrześmy trafili! – zagadnął rotmistrz, a Stanisław, którego ścisnęło w środku, ale bynajmniej nie z głodu, jedynie skinął głową.

Do namiotu kasztelana szedł na sztywnych nogach, jednak przyjęty został z uczuciem. Tadeusz Jandził wstał, żeby uściskać syna. Wziął Stanisława za ramiona, a ten, kornie schyliwszy głowę, klęknął i ucałował dłoń ojca. Gdy wstał, popatrzyli na siebie. Być może w wyniku długiej rozłąki wzrok kasztelana jakby złagodniał.

– Siadaj, pewnieś głodny?

Stanisław, z zaschniętym gardłem, tylko pokiwał głową. Służący wnieśli tacę, na której znajdowały się pieczona szynka, chleb i piwo. Kasztelan usiadł, złamał pieczęć książęcego pisma i zabrał się do lektury. Stanisław jadł, nieśmiało popatrując na ojca. Tadeusz Jandził wydał mu się zmęczony, postarzały, przygaszony. Podczas czytania listów chrząknął kilka razy.

– Książę Lubomirski nie może się ciebie nachwalić – rzekł, rzuciwszy okiem na list. – Pisze, że chce ci wyswatać posażną pannę z dworu księżny – dodał, czego nie było w liście.

– Będę mu posłuszny – powiedział Stanisław, co wywołało u kasztelana uśmiech zadowolenia, bowiem ani przez chwilę nie przypuszczał, że młodszy syn kroczy już własną niezależną drogą.

– No dobrze, dobrze... – zamruczał i kazał sobie podać wina.
– Zatem Leszczyński uciekł z Gdańska? – Podniósł kielich i upił duży haust, a Stanisław kiwnął głową i uściślił wieści.

– Podobno nocą z dwudziestego siódmego na dwudziesty ósmy czerwca. Uczynił to nie tylko dlatego, by uniknąć uwięzienia i – kto wie – może nawet zsyłki na Syberię, lecz także aby ocalić miasto przed karą carowej Anny. Zaraz potem wstrzymano bombardowanie. Pewnie już został podpisany akt kapitulacji.

– A o Janie wieści nie masz?

– Nie, ojcze. Książę miał wiadomość, że Jan przy boku króla wojuje, jednak jakie dalsze jego losy, nie wiadomo. Mówi się też, że Gdańsk ma uznać władzę króla Augusta oraz wypłacić Rosji kontrybucję.

– To bogate miasto, poradzi sobie. Pozostaje pytanie, co z królem?! Jeśli go Münnich schwyta, da Bóg, będzie koniec wojny, jednak może to oznaczać, że i król, i Jan, jeśli nadal trwa przy jego boku, popadną w niewolę. Jeżeli natomiast Leszczyńskiemu uda się jakimś sposobem uciec, pewnie licząc na życzliwość czy chociażby neutralność Fryderyka pruskiego, podąży do Królewca. Przynajmniej ja bym tak zrobił. Wtedy, nie daj Boże, zacznie znów jaką partię klecić, wojnę niepotrzebnie przedłużając. Teraz najważniejsze pozostaje: co z Janem? Napiszę list do księcia, aby pozwolił ci do Gdańska wyruszyć. Pewnie i on jest ciekaw nowin. A jeśli Jana w Gdańsku nie znajdziesz, jedź do Królewca i tam go szukaj. Ludzi ci dam ze trzech, abyś nie zwracał na siebie uwagi. I pośpieszaj co rychlej, bośmy o los Jana niespokojni! Przywiedź go z powrotem, bo jak syna marnotrawnego go czekam! – dorzucił kasztelan z nieznaną u niego czułością.

– Zrobię wszystko, co rozkażecie! – Stanisław schylił kornie głowę, a Tadeusz Jandźwiłł pomyślał, że służąc w Lewartowie, jego syn nabrał nie tylko ogłady, lecz także rozumu. Dobrze by się stało, gdyby Lubomirski szybko mu znalazł jaką pannę i wysłał gdzie daleko, do Warszawy albo i do Wielkopolski. Niech tam siedzi, o urzędy zabiega,

dzieci płodzi i wychowuje, zaznając codziennych trosk. Takie życie najlepsze dla szlachcica.

– Nie sądziłem, że to będzie tak długo trwało – rzekł nieoczekiwanie. – Męczy mnie ta wojna. Niby do boju nie chodzę, ale wróciłbym chętnie na zamek. Choć, jak się zdaje, konfederacja wcale broni nie składa. Ile to jeszcze potrwa...?! – Zamyślił się na dłuższą chwilę. – Co nowego w Turowie?

Stanisław stropił się nieco, ale twarz nieporuszoną utrzymał.

– Krótkom tam zabawił, więc niewiele mi wiadomo, przeczytacie w listach Strasza.

– Pisz, że spokojnie, Bogu dzięki.

Stanisław nie skomentował, tylko przyglądał się ojcu. Cóż było przyczyną tej dziwnej zmiany? Z jakiego powodu kasztelan tak bardzo złagodniał? Czyżby trudy wojny tak go odmieniły?

– Jak wasze zdrowie, ojczy? – zapytał z troską.

– Trwam na posterunku, walcząc z rebelią, ale stary już jestem. Wojaczka mi nie służy. Ciągłe czuję pieczenie w żołądku i łupanie w kościach. Siedzenie w siodle jest dla młodych. Kiedyś nic by mnie z pola bitwy nie zegnało. Poza zwycięstwem oczywiście. Teraz myślę tylko o tym, kiedy wreszcie konfederaci się poddadzą. Dlatego wracaj czym prędzej, bo ktoś mnie tu musi zastąpić, aby nie pomyśleli, że stchórzyłem. Pięknie by było, gdybyście się obaj, ty i Jan, zasłużyli w boju. Wojna z wrogiem to chrzest każdego szlachcica i zacy początek kariery. Idź, prześpij się. Ja podyktuję listy do księcia. I każ wracać Dietrichowi, tu jest jego miejsce.

Stanisław spojrzawszy po raz ostatni na ojca, uklonił się i wyszedł. Zachowanie kasztelana napełniło go głęboką zadumą. Po raz pierwszy zrobiło mu się go żal. Zawsze władczy, wzbudzający podziw, respekt, a często nawet strach, teraz wydawał się godzien litości. Kasztelanowi nie poprawiało nastroju, że ojciec na razie niczego się nie domyślał. Wręcz przeciwnie, to, jakim go zastał, powodowało jeszcze większe wyrzuty sumienia.

Następnego ranka po krótkim pożegnaniu Stanisław wyruszył z powrotem ku Lewartowu. Chciał ominąć zamek, ale im bliżej Turowa się znajdował, tym miał mniej siły, aby zanocować w Brześciu.

Ostatecznie nie oparł się pokusie ponownego ujrzenia Flory. Na zamek przybył już po wieczery. Rad usłyszał, że spotka siostrę, oburzył się jednak, że ta niczym służka dogląda podstarościego.

– Cóż to za nowe obyczaje, wrogów kasztelana pod jego dachem przyjmować?! – zapytał surowo, gdy wyszła wreszcie z komnaty, w której umieściła podstarościego.

– Kochany bracie, nigdyś specjalnie bystry nie był, więc nie sądź po pozorach! – Cecylia ofuknęła go urażona. – Myślałam, że skorośmy razem w więzieniu zamkowym niedole cierpieli, to znajdziemy dla siebie nawzajem więcej wyrozumiałości. Na przykład zda mi się, chętnie byś się z kasztelanową oko w oko spotkał. Tuszę, że będziesz chciał to zrobić nocą, by nikt cię nie widział. Chcesz straż pod jej drzwiami zastać? Masz ty swoje plany, mam i ja swoje – ciągnęła. – Póki jedno drugiemu nie przeszkadza, po co się wadzić?

– Jakie to plany?

– Sprowadzić podstarościego na drogę cnoty – odrzekła i roześmiała się z żartu, Stanisława to jednak nie rozbawiło.

– Kasztelan żąda powrotu Dietricha, medyk jemu bardziej potrzebny.

– Zgoda, odeślę medyka.

– Odeślij też podstarościego. Nie wypada, byś go tu hołubiła.

– Dość już tych pouczeń! – rozsierzdziła się Cecylia. – Jedziemy na jednym wozie i albo mnie zostawisz w spokoju, albo poinformuję kasztelana o twoich zalotach!

– Zrobiłabyś jej krzywdę... – powiedział łagodnie.

– Ona nam tu potrzebna jak...

– Nie zapędzaj się! – uciał Stanisław.

– Jeśli chcesz, abym ją dobrze traktowała, spróbuj i ty się wysilić.

Zresztą Kacper niedługo wraca do swego majątku. Muszę go jeszcze trochę przetrzymać, to ważne. A w odróżnieniu od ciebie i Flory nic mnie z nim nie łączy!

– Nie krzycz tak! – Stanisław rzekł pośpiesznie.

– Myślisz, że ktoś jeszcze nie wie? Służba już dawno o niczym innym nie szeptce. Byłeś chyba zbyt naiwny. Zresztą przepadło. Wszyscy wiedzą, więc to tylko kwestia czasu, kiedy ktoś, chcąc się zasłużyć,

poleci z tym do kasztelana.

– Wszystkiego się zaprę! Zresztą jadę do Gdańska. Jutro ruszam.

Cecylia zmarszczyła brwi.

– Ty się zaprzesz, ona się zaprze, a ojciec i tak uwierzy. Kto cię posyła? Kasztelan czy książę? Będiesz składał hołd Münnichowi?

– Będę szukał Jana.

– Wreszcie nasz ojciec przejrzał na oczy! A jeśli go nie znajdziesz?

– Odprawimy egzekwie. Wybacz mi, siostrze, strudzonym wielce, pora się udać na spoczynek.

Cecylia skinęła głową w zamyśleniu.

– Idź, idź! I baw się dobrze... – powiedziała sama do siebie, kiedy za Stanisławem zamknęły się drzwi.

LX

Kasztelaniec starał się nie okazać tego przed siostrą, ale wrócił do swej komnaty przejęty. Nie przewidywał tak błyskawicznego rozwoju wydarzeń. Co robić?! Czekał nocy, aby znów niepostrzeżenie odwiedzić Florę i przynajmniej ją przestrzec. Chociaż czy miało sens ukrywanie się, skoro, jak mówiła Cecylia, wszyscy na zamku już wiedzą? Na tę myśl znów wstrząsnął nim zimny dreszcz. Nie lękał się o siebie od czasu swej choroby, podczas której wielokrotnie żegnał się z życiem, zrozumiał, jak niewiele w gruncie rzeczy zależy od niego samego. Ta konstatacja nie zgasiła w nim jednak pragnienia miłosnych uniesień. I im bardziej był przekonany, że człowiek jest tylko igraszką fortuny, tym usilniej dążył do realizacji swych marzeń. Chociaż jednocześnie bał się, co może czekać Florę, jeśli ktoś – ze służby, Cecylia albo Strasz – wyjawি kasztelanowi prawdę. Czekał, aż wszyscy zasną. I gdy nie słyszał już ruchu na korytarzach, około północy ruszył do komnaty Flory.

Zapukał cicho. Natychmiast otworzyła drzwi. Była sama. Zarzuciła mu ramiona na szyję i długo tak trwali w uścisku.

– Nareszcie! – wyszeptała pomiędzy pocałunkami. – Strasznie mi było bez was.

– Mnie też niełatwo, a jeszcze ojcu musiałem w twarz spojrzeć. Siostra mi powiada, że na zamku już wiedzą, czegośmy się dopuścili.

Flora utkwiała wzrok w posadzce.

– Biada nam... – wyszeptała. – Co poczniemy?

– Boję się, aby kto was dla zysku lubo łaski kasztelana nie wydał, gdy wyjadę.

– Jeśli zechce wydać, to wyda. Rady na to nie ma żadnej. Za dużo tu służby i domowników.

– Długom o tym myślał i jedynym wyjściem zda mi się ucieczka. Spojrzała na niego zdumiona.

– Dokąd chcecie uciekać?

– Do Gdańska? Królewca? – rzucił z pozorną niedbałością. Sam nie wiedział, czemu wybrał te właśnie miasta. Może odwagi dodawała

mu myśl, że gdzieś tam powinien znajdować się Jan, i w bracie upatrywał wspomnienia?

– Mnie się stąd ruszyć nie wolno. Zresztą jaki los nam pisany, gdybyśmy się na to szaleństwo porwali? Co byśmy robić mieli? Za co byśmy żyli? Wy od księcia, ja od kasztelana zależymy. Daleko byśmy zaszli bez grosza przy duszy?

– Mam trochę pieniędzy, na podróż do Gdańska wystarczy.

– Prędzej czy później pod kościołem przyszłoby o grosz żebraczy prosić. To już wolę tutaj czekać na mój los, choćby i karę ponieść przyszło.

Stanisław namawiał jeszcze Florę, aby szczęścia nie odrzucała. Nawet gdyby ryzykowne było, da Bóg, z głodu nie zginą. Ale im więcej jej tłumaczył, tym ona w silniejszą zaciętość popadała, aż wreszcie zrozumiał, że nic nie wskóra. Co gorsza, za oknem świt już się poczynał robić i trzeba było, resztek honoru broniąc, wracać do swej komnaty. Przytulił zatem Florę czule na znak pożegnania i zasmucony wyszedł.

Przy śniadaniu jedno na drugie nie popatrywało, zresztą otoczeni wrogami nie mogli pokazać wzajemnego uczucia. A co najmniej dziesiątek oczu przyglądał im się uważnie, świdrująco, czekając jakiegokolwiek wymiany spojrzeń, z której cokolwiek można byłoby wywnioskować. Zaraz po śniadaniu Stanisław pożegnał Cecylię, zlecił Straszowi odesłanie medyka i co koń wyskoczy ruszył ze swymi ludźmi wprost na Lewartów.

Księżę Lubomirski, zapoznawszy się z listami kasztelana, wyraził zgodę na podróż Stanisława do Gdańska.

– Jutro listy podyktuję i pojutrze możesz ruszać w drogę. Tuszę, że brata znajdziesz wśród żywych i wkrótce go do mej służby zaliczymy! Najwyższy czas się po słusznej stronie opowiedzieć. Trwanie przy Leszczyńskim to strata czasu i niepotrzebna nikomu wojna

– przekonywał księżę, ale Stanisław, spotkawszy wśród ludzi księcia kilku znajomych młodych szlachciców, wiedział swoje.

Młodzież wcale nie chciała słuchać głosu starszych. Ich namowy do opowiedzenia się za Augustem traktowała niemal jak nawoływanie do zdrady ojczyzny. Tu i ówdzie zapalały się coraz to nowe zarzewia buntu przeciwko królowi i wspierającej go Rosji. Posłyszawszy te

wieści, Stanisław zaczął rozważać przystąpienie do rebelii. W kraju wrzało. Niewielkie grupki konfederatów to tu, to tam ścierały się z wojskami rosyjskimi i saskimi, raz przegrywając, to znowu wygrywając. Po stronie zwolenników króla dało się widzieć brak koordynacji i naczelnego dowództwa, co nierzadko przechylało szalę zwycięstwa na stronę przeciwnika. Jednak nadzieja w młodych nie gasła.

Gdańsk poddał się dziewiątego lipca. Ambasador Monti ręczył słowem honoru, że ani panowie polscy, ani członkowie Rady Miasta Gdańska nie przyczynili się do ucieczki króla Stanisława. Całą winę wziął na siebie, za co, podobnie jak prymas Potocki, zapłacił uwięzieniem.

LXI

Stojąc w progu, Zofia przyglądała się, jak cieśle kończą stawianie wrót. Nareszcie! Znów bramni będą dawać baczenie na to, kto zbliża się do dworu, i niechcianych gości nie wpuszczą. Chociaż wojna z konfederacją toczyła się dość daleko, w głębi Litwy, ciągła obawa przed bandami nie dawała miecznikowej zasnąć. Zofia sądziła, że postawienie solidnego ogrodzenia pozwoli jej odzyskać tak potrzebny teraz spokój. Trwały sianokosy, za chwilę trzeba się przygotowywać do żniw. Żydzi mówili, że jeśli Rosjanie zdobędą Gdańsk, to otworzy się port i ruszy handel zbożem. Będzie je można znów sprzedawać gdańskim kupcom i ceny wzrosną. Chcąc nie chcąc, modliła się więc miecznikowa o zwycięstwo tych, których uważała za wrogów. Zresztą sama już nie wiedziała, co myśleć w związku z trwającym konfliktem. Pragnęła jak najszybszego zakończenia wojny, choćby i Sas miał na zawsze pozostać na polskim tronie.

Pokiwała głową i weszła do domu, aby usiąść nad rachunkami. Nadal brakowało tu wielu rzeczy: mebli, pościeli, naczyń. Zwłaszcza na te ostatnie niechętnie wyłuskiwała kolejne złote monety, bo ciągle najpilniejsze jej się zdawały potrzeby gospodarskie. Wiele też kosztowało utrzymanie oddziału dowodzonego przez Kettlera. Powiat chętnie przyjmował ochronę, sąsiadki dziękowały za nią wylewnie, spotykając ją w kościele, ale nie kwapiły się, aby dorzucić choć parę groszy. Tymczasem żywność i odzienie żołnierzy, pasza dla koni, wynagrodzenie Kettlera i kowala pochłaniały niewyobrażalne kwoty, a sakiewka z dnia na dzień robiła się lżejsza. Gdyby konfederacja wreszcie została pokonana, kasztelan wróciłby i zaprowadził jaki taki porządek. Niechby nawet kosztem myta na przeprawie przez rzekę. Niechby i swoimi okrutnymi rządami komu się naraził. Pragnąc spokoju, Zofia godziła się na znane zło, które wydawało jej się lepsze niż obawa przed spaleniem czy wyrżnięciem przez jakąś obcą bandę. A oddział, chcąc nie chcąc, wkrótce będzie musiała rozwiązać.

– Dziecię w mym łonie sprawia, że gotowam dobrowolnie sobie kajdany na ręce założyć, byle tylko mu zapewnić bezpieczeństwo

– zwierzyła się cześnikowej. – Co ze mną uczyniła ta wojna?

– Moja Zosiu, nie obwiniaj się bez przyczyny. Wszyscy o pokoju marzymy, nawet gdyby cenę jaką przyszło zań zapłacić. A tyś doświadczona mocno, to i nie dziwota.

– A tu wojna wciąż trwa i końca jej nie widać. Jak długo jeszcze? Ile nam cierpieć wypadnie?

– Sny mam niespokojne. Trzeba w gotowości trwać i choćby grosz ostatni przyszło oddać, oddziału rozpuścić nie możesz.

Nim pani Salomea wypowiedziała to zdanie, do świetlicy weszła sługa.

– Miłościwa pani, pod bramą chłopak jakiś domaga się posłuchania.

– Czyj on? – zainteresowała się Zofia.

– Mówi, że Hadziewiczowy.

– Psami poszczuć!

– Ale, Zosiu... Nie wiemy, co za sprawa... – mitygowała ją matka.

– Psami poszczuć, niech wraca, skąd przyszedł! – Miecznikowa nie zamierzała zmienić zdania.

– Może co ważne? – cześnikowa próbowała delikatnie.

– Nie chcę go znać ni pana jego!

Pani Salomea pokręciła tylko głową i nic już nie rzekła. Rozumiała złość córki, ale jakieś przecucie nie dawało jej spokoju. Ten Witek zawsze porządny jej się wydawał i gdyby mogła, kazałaby go wpuścić lub przynajmniej pod bramą wysłuchać, kto wie, co za nowiny przynosi. Nie ona tu jednak była panią. Srogi zawód doznany z przyczyny Hadziewicza tłumaczył surowość Zofii wobec jego sługi. Jednak nawet najbardziej zawiedziona nie powinna straszyć go psami!

– To zachowanie godne kasztelana, ale nie ciebie, któraś o ludzi zawsze dbała, choćby i wroga sługami byli! – powiedziała wreszcie.

– Wiem, nie ja tu rozkazy wydaję, jednak bacz, moja Zosiu, byś zbyt swemu żalowi folgować nie pozwalała, bo się to przeciwko tobie wnet obrócić może.

Zofia zagryzła wargi.

– Już za późno, matko. Stało się. Będę z poplecznikami kasztelana walczyła tak, jak na to zasługują. Niech się cieszy, żem go puściła

wolno. Opowie na zamku, żeśmy się już z ruiny podniosły, chociaż tyle wygramy.

Te rachuby jednak musiały zawieść, bo na zamek sługi podstarościego też nie wpuszczono. Po to zresztą przyszedł, aby Zofia pomogła mu się dostać do Hadziewicza, a tu spotkał go srogi i niespodziewany zawód. Wlókł się więc od Złotego Mostu ku karczmi na rozstajach trochę zły, a trochę rozżalony, nie wiedząc, co począć. Wrócić do Grodu Orłowego i czekać? Czy wziąć sprawy w swoje ręce? Kasztelan i jego córka dość już swymi intrygami napsuli! Kto ich tam wie, jak traktują podstarościego na zamku, może go do lochu wtrącili albo i co gorszego? Tylko jak sforsować bramę, jeśli się nawet w Złotym Moście nie udało?

Z tego strapienia wszedł Witek do karczmy, a tam jakby na niego czekali dawni Bartkowi kompani, teraz pod dowództwem Kettlera, zadowoleni i syci, popijali piwo.

– Cóżes taki markotny? – zapytał ten i ów, ale Witek tylko wzruszył ramionami.

– Albo to nie wiecie, że pan mój poróżniony z miecznikową, na zamku niczym więzień zamknięty, a przystępu doń mi bronią? Raniony w boju od Jandźwiłłowego pachółka, przez kasztelanekę w rzekomej trosce do Turowa przywieziony, nie wiem nawet, czyli żyw jeszcze. A miecznikowa gniewem ku mnie zapałała, jakbym ja był temu winien.

– Tyś tu winien na pewno nie jest... Już prędzej podstarości – ucieszył się grandmuszkieter.

Witek popatrzył nań bacznie, bo mu się nie widziały ni mina, ni ton.

– Bo ona ponoć przy nadziei... – tłumaczył się Kettler. – Ale czekajże! – odezwał się Kettler, jakby go nagle olśniło. – Jeśli tak się sprawy mają, to tylko patrzeć, a Strasz do Złotego Mostu z poselstwem ruszy, aby ранego na nasz oddział wymienić.

– Nie może to być! – zawołali gromko zbójcy.

– I pewnie srogi go od miecznikowej zawód spotka – starał się uspokoić ich wzburzenie. – Chociaż, kto wie, czego się spodziewać powinniśmy... Jeśli się dogadają, ja do Warszawy, wy do lasu,

a Hadziewicz do domu powróci.

– A jeśli się nie dogadają? – spytał Witek.

Kettler spojrzał nań z ukosa i przygryzł wąsy.

– Skąd waszmości to przyszło do głowy? – Zofia aż poderwała się z miejsca. – Niby dlaczego mieliby mi proponować taką wymianę?

– Bo spokoju chce Strasz, a moje wojsko mu nie na rękę

– tłumaczył Kettler, bacznie spoglądając ku kibici miecznikowej.

– Gdyby bandy wcześniej przegonił, nie miałyby kłopotu.

– Niebezpieczeństwo to najlepszy bat na poddanych. Każdy się swym życiem i majątkiem przejmuje, głowy zanadto nie unosząc i rządzącym się nie przyglądając. To jasne, że na rękę kasztelanowi były owe bandy. Nikt też nie mógł przewidzieć, że miecznikowa żołnierką się zechce na złość Jandźwiłłowi trudnić.

– Ale wymiany was na podstarościego nie chcę! Nie ścierpiałabym widoku Hadziewicza ani on mojego, jak mniemam, więc próżny trud sobie zadajecie, próbując mediacji. Jeśli wam służba u mnie zbyt mocno dojadła, wracajcie do stolicy, rozpuszczę oddział i zdam się na łaskę Opatrzności. Bogiem a prawdą, już w szkatule dno widzę, więc ulgą mi będzie wasza rezygnacja. Wiele dobrego uczyniliście dla powiatu i jego mieszkańców, nie sądzicie, że miewdzięczna! Własne zdrowie na uszczerbek narażaliście, doceniam to i z serca wam błogosławię. Ale nie mam majętności kasztelana i mojemu poświęceniu dla dobra powiatu muszę wreszcie postawić tamę, dlatego dobrze się stało, żeście do mnie przyszli.

Zofia wstała i podeszła do małej komódki. Wyjęła z szuflady irchową sakiewkę, w której przechowywała ostatnie złote monety. Wysypała zawartość na stół. Pięć talarów potoczyło się po blacie.

– To wszystko, co posiadam. Mogę wam dać już tylko jedną.

Grandmuszkieter nie spodziewał się takiego dowodu zaufania. Opuścił głowę, przez chwilę ważył w myślach odpowiedź, wreszcie rzekł:

– Kiedym tu jechał, zachęcony przez podstarościego, anim pomyślał, że przyjdzie mi porządku na Litwie pilnować. Ot, kasztelanka zawezwała, abym czoła stawił jej wrogom. Znaliśmy się jeszcze

z Warszawy, obiecywała sowitą nagrodę za odzyskanie dworu, to i dałem się namówić. Za drugim razem także z braku innego zajęcia postanowiłem towarzyszyć Langemu. Ale żadne z nich nie chciało własnych pieniędzy na bezpieczeństwo sąsiadów obrócić. Jeślibym teraz zniechęcony brakiem zapłaty wyjechał, bandy pewnie by powróciły. Szkoda waszego wysiłku i straty tak wielkiej. Więc pozwólcie, że ostanę, póki nie uznam, że już mi pora do stolicy wracać – rzekł i chciał jeszcze coś dodać o ciąży, ale mu śmiałości zbrakło.

– Róbcie, jak uważacie, panie kawalerze – smutno odrzekła Zofia.

– Będzie mi was brakowało, boście dzielny i prawy. A z czym nam się tu mierzyć przyjdzie, kiedy kasztelan z wojny wróci, ani śmiem myśleć. Ale kontent na pewno nie będzie.

– Dlatego źle się stało, że się podstarości kasztelance dał omamić.

– Biedny to człowiek. Nie wie on, kto jego wróg, a kto przyjaciel...

– westchnęła, wstając na znak, że rozmowa dobiegła końca.

LXII

Od kiedy Strasz podejrzwał kasztelanę, jak niecznie grzeszy z grandmuszkietierem, głowę miał zajęta tylko tym, aby także tego miodu zakosztować. Teraz wydawało się to łatwiejsze, bo Kettler, pozostając na usługach miecznikowej, straszną zjadłość ku sobie obudził. Cecylia nie mogła mu darować, że wołał tamtej oddać swe służby i za złamany szeląg uganiać się po polach i lasach, twierdząc, że porządku w powiecie pilnuje. Pozbawiona nocnych igraszek kasztelanka stała się drażliwa, wybuchała bez powodu, łajała służące, wsiadała na koń i pędziła przez las, jakby tam kogoś szukała. Ale chyba nie znajdowała, bo podczas wieczery siedziała zła, milcząca lub unosila się z byle powodu.

Z podstarościem też się nie dogadała. Hadziewicz zdrowiał powoli, dochodził do siebie, kuśtykając już kilka kroków po swej komnacie, i Strasz nie wiedział, co z nim zrobić. Najchętniej odesłałby rywala do Grodu Orłowego, aby mu nie wchodził w paradę, ale podejrzewał, że gdy Cecylia się o tym dowie, na złość właśnie każe podstarościego jeszcze na zamku przetrzymać. A gdyby go tak oświecić? Dopomóc w powrocie do domu i nim kasztelan z wojny wróci, uczynić jego córkę swą nałożnicą? Strasz uśmiechnął się do tej myśli.

„Gdybyśmy połączyli siły, nikt by nam nie dorównał” – westchnął rozmarzony. Nie myślał, jak wiele przeszkód musiałby pokonać, zanim kasztelanka zostałaby kasztelanową, a on z kolei kasztelanem. Obłąkańczo pragnąc władzy, pożył jednocześnie tej, która ją uosabiała. Gotów byłby nawet zapłacić za jej przychylność, oczywiście nie swoim, tylko kasztelańskim złotem, i w taki sposób, aby mieć pewność, że ono znów do niego wróci, ale taką intrygę należało tkać w spokoju długie miesiące. A tu czas naglił.

Klepnąwszy się w udo, wstał i ruszył ku komnacie podstarościego.

Podpierając się grubym kosturem, Hadziewicz próbował chodzić.

– No, jakże się miewacie, podstarości? Widzę, że już wkrótce wyfruniecie spod naszych opiekuńczych skrzydeł – rzekł Strasz niemal z radością.

– I dziś bym wyfrunął, gdyby kto miał mi we dworze usłużyć

– mruknął Kacper.

– A niby nie ma? Zaraza na Gród Orłowy jakaś padła?

– Czyżbyście nie wiedzieli? Moi ludzie do Złotego Mostu za miecznikową poszli, a we dworze ponoć jeno wiatr po komnatach hula.

– To chyba przesadzone wieści. Jeśli wracać chcecie, ludzi z wami pošlę, którzy gotowi wam we wszystkim dogodzić.

Kacper popatrzył na Strasza uważnie.

– Chłopaka tylko mojego przyślijcie, to mi wystarczy. I wozu z sianem użyczcie, bo na koń wsiąść jeszcze niezdatny.

Mówił to wszystko bez najmniejszej nadziei, że sekretarz kasztelana którąkolwiek z tych próśb spełni. Jakież więc było jego zdziwienie, gdy usłyszał pośpieszne:

– Cokolwiek sobie zażyczycie. A po chłopaka zaraz pchnę kogo z gwardii, do jutra się znajdzie.

– Co to się stało, panie Strasz? Czyżby was wieści o zwycięstwie stanisławczyków doszły, że mnie, kasztelańskiego wroga, do takiej konfidencji dopuszczacie?

– Nic podobnego. Nasze wojska coraz bliżej zwycięstwa i nie chciałbym, aby was tu kasztelan zastał, bo ten widok go nie ucieszy. A jeśli by kto jeszcze jakie plotki o was i kasztelance rozpuszczał, to już całkiem byłoby nie na miejscu.

– Zapewniam was, że do niczego nieobyczajnego między nami nie doszło i nie dojdzie. Co zaś się tyczy moich z kasztelanem spraw...

– Zostawmy to do powrotu mego pana. Decydować za niego ni chcę, ni mogę – powiedział Strasz. – Co do waszej osoby rozporządzeń żadnych nie mam i tuszę, że jako człowiek honoru przeciwko panu memu na razie występować nie będziecie.

– Brak mi i sił, i animuszu. Może z tego powodu również z podstarostwa przyjdzie zrezygnować...

– A to by szkoda była wielka – nieszczercze zmartwił się Strasz.

– Ale róbcie, co wam sumienie dyktuje. I tylko jedną mam prośbę na koniec... – zawahał się.

Hadziewicz spojrzał nań z wyczekiwaniem. Tu musiał pojawić się szkopuł, coś, co go zatrzyma w kasztelańskiej niewoli, zbyt piękne były te zapewnienia. Westchnął więc, spodziewając się złych wieści. Strasz

zaś popatrzył po kątach, cmoknął, węża pogładził i ze wzrokiem wbitym w kąt podłogi rzekł:

– Chciałbym, abyście po cichu wyjechali. To znaczy bez pożegnania.

– Mam zbiec? Uciec z zamku, którego brama zawarta jest i strzeżona przez strażę?!

Sekretarz uśmiechnął się lekko.

– Pod sianem się ukryjecie, rozkaz dam strażom. Chodzi o to, aby kasztelanki bez powodu nie martwić. Tak bardzo się smuciła na wieść o waszej śmierci, pojechała, wyratowała, a teraz jej czmychacie. Toż to czarna niewdzięczność.

Kacper zrozumiał wreszcie i podjął grę.

– Zatem prośbę mam ogromną o wskazanie momentu stosownego i drugą, aby mnie pan sekretarz u kasztelanki wytłumaczył.

Strasz skłonił głowę i z powagą, jakby o jaką ważną sprawę chodziło, rzekł:

– Waszym prośbom stanie się zadość.

Jeszcze przed nocą odnaleźli Witka w karczmie na rozstajach i uszczęśliwionego przed oblicze Hadziewicza w tajemnicy przywieśli. Od niego też dowiedział się podstarości, że Cecylia kłamała, jakoby ludzie z Grodu Orłowego odeszli, i poznał prawdę o Zofii, co mu ponoć z grandmuszkietorem rogi przyprawiła.

– Nasza pani święta niczym z obrazka! Aż dziw, żeście się tak kasztelance omamić dali, panie! – wzdychał ze smutkiem Witek. – Dużo nieszczęścia z tego się narobiło. Miecznikowa już wasza, zda mi się, nie będzie, bo dumna jest niewiasta.

– A dziecko czyje? – dopytywał się podstarości.

– Czyje by zaś, jak nie wasze?

Kacper przygryzł węża.

– Nie Kettlerowe aby?

– Co też wam się roi?! – zakrzyknął oburzony Witek. – Gdzie by ona na Kettlera oczy podniosła!

– To psia wiara! – syknął Kacper, myśląc o kasztelance. – Pora nam już do domu wracać i za grzechy zapłacić. Tylko jeszcze mnie tu jedna ważna sprawa trzyma, bo nie wiem, czy kiedykolwiek noga moja

w tych murach postanie. Ale to głębszego namysłu wymaga. Wracaj do dom i czekaj mnie za dni kilka.

– Abo was wypuszczą? – powątpiewał Witek.

– Rabińskiemu udało się uciec z lochu, to i mnie z komnaty powinno się udać.

Witek do ręki pańskiej przypadł i ucałował z uszanowaniem.

– A idźże! – Kacper wyrwał mu dłoń ze złością. – I pilnuj naszych spraw! Do miecznikowej byś pojechał, wywiedziały się co i jak.

– Kiedy psami mnie poszczuła za karę, żem wasz sługa!

– Prawdę rzekłeś? – ucieszył się nie wiadomo czemu Hadziewicz.

– To jest jeszcze dla nas jakaś nadzieja! – powiedział, a Witek z powątpiewaniem pokręcił głową.

Trzy dni później kasztelanka, wracając z przejażdżki, minęła w bramie wóz wyładowany sianem. Przypomniała sobie o nim dopiero, kiedy po wieczery poszła do komnaty, w której przebywał Hadziewicz. Nie zastawszy go, rozpoczęła poszukiwania, wreszcie pobiegła do kancelarii.

– Gdzie podstarości?

Strasz, podniósłszy głowę znad jakiejś księgi, wstał.

– Zamknąłeś go pan w lochu?!

– Nie widziałem dziś podstarościego ani nie wydawałem odnośnie do jego osoby żadnych rozkazów.

– Jego komnata jest pusta! Coś z nim zrobił?!

– Ja? – zdziwił się Strasz.

– Ty! Nienawidzisz go od samego początku! Zazdrościsz mu urody, majątku, mojej miłości, wszystkiego! – krzyknęła i podbiegła doń, zamachnąwszy się, jakby go chciała uderzyć. Tymczasem on złapał ją za rękę i szarpnął ku sobie. Zdziwiona nie stawiała oporu, nie krzyknęła, kiedy chwycił ją wpół i zaczął całować. Zawahała się przez moment, jakby rozważała, jak powinna się zachować, ale oddała mu pocałunek.

Zdumiony, pewien raczej uderzenia w twarz niż przychylnego przyjęcia, zrozumiał nagle, że znalazł się u progu ogrodu rajskiego i musi się bardzo śpieszyć. Delikatnie popychał kasztelankę w kierunku

ściany. Jego dłoń namacała już bieliznę i wsuwała się ku upragnionemu, gorącemu miejscu.

Cecylia westchnęła, gdy wyłuskiwał ze stanika jej pierś, krzyknęła cicho, gdy ugryzł sutek; gdy go ssał, jakby był jej dzieckiem, tylko donośnie dyszała.

– Tak! Tak! Mocniej! Mocniej!

Wystarczyło mu dotyku tej piersi i jej westchnień, by poczuć zbliżającą się rozkosz. Była tak wielka, że nigdy z żadną ze skrzeczewickich dziewczek podobnej nie doznał. I zląkł się, że nie zdoła na wysokości zadania stanąć, gdy ona, wciąż niesyta, będzie żądać więcej i więcej.

LXIII

W upalny lipcowy poranek kat z obraźnikiem i resztą kompanii ruszyli z Kodnia wprost ku Sławatyczom. Ale zanim tam dotarli, raz po raz przy drodze przysiadając, układali historię o krwawym kasztelanie i jego córce, co wilkom kochanicą i siostrą się stała. Obrażnik i Bartek snuli opowieść, przydzielając role i pouczając przyszłych komediantów, jakie słowa pasują do konkretnej sceny. Dziewki, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów, dodawały swoje trzy grosze, tak że raz po raz dochodziło do kłótni, bo każdy chciał przeforsować własną wersję. Musieli zdać się wyłącznie na pamięć, bo o kupnie papieru, piór i inkaustu nie było co marzyć. Zresztą jak pisać w drodze?

Około południa, zmęczeni i głodni, dotarli wreszcie do Sławatycz. Miasteczko wyglądało jak wymarłe, z powodu upału mieszkańcy chowali się po domach. Kat i reszta kompanii weszli do karczmy. Pora była zbyt wczesna, aby czekało tu na nich jakie towarzystwo spragnione opowieści. Zamówili więc tylko garniec piwa i swe role zaczęli na nowo przepowiadać.

– Ty, Rabiński, będziesz narratorem. Boś tę historię wymyślił. Narrator najważniejszy, bo mając wzgląd na opowieść, daje też baczenie na publikę i odpowiednio ku trajedyi się skłania, kiedy smutno opowieść się toczy, lub komedyi, kiedy na wesoło rzecz jest przedstawiana – tłumaczył obraźnik.

– Nasza mi na trajedyję wygląda – rozsądnie zauważyła Maryna.

– Jeszcześmy nie ustalili, kto w niej kasztelankę odegra – wtrąciła się milcząca dotychczas Jagna. – Po mojemu mnie do niej najbliżej, bo i lico u mnie najgładsze, i kibić najsmuklejsza. – Wygięła się zgrabnie i powiodła po nich wzrokiem.

– Zwłaszcza w tych łachmanach kasztelankę przypominasz!

– fuknęła zezłoszczona Walerka, a Maryna pokiwała głową.

– No i tegom się właśnie obawiał! – Rabiński popatrzył na dziewczki z dezaprobatą. – Kłóćcie się, kłóćcie, to do niczego nie dojdziem.

– I prawdziwa trajedyja się zacznie – zawtórował mu obraźnik.

– A tu jak najszybciej do Lewartowa trza nam zmierzać, gdzie u jakiego

Żyda odzienie strojne nabywszy, przed księciem się skłonić i o przywilej na widowisk dawanie prosić.

– A jeśli księżę przywileju nam nie udzieli? – zmartwił się kat.

– To do inszego jakiego miasta pójdziem. Teraz przepowiedzmy raz jeszcze historyję o kasztelance, żeby jutro w Parczewie powtórzyć ją bez zająknięcia. Bartek, zaczynaj! – rozkazał obraźnik.

– Ale nijako tak, bez publiki... – certolił się Rabiński.

– Patrzcie, temu to już tylko w głowie darmowe piwo od karczmarza i gości! A żeby się coraz lepszym stawać, wprawiać w swej sztuce, aby jak najudatniej wypaść przed widzami, to o tym się już myśleć nie chce?

– Bo kiedy mnie słuchają, kiedy widzę, jak wybałuszają oczy ze zdumienia, to jakby mnie kto na rączego konia wsadził i strzelił jeszcze z bata! – tłumaczył się Bartek. – Wtedy i ochota, i pomysły się nowe rodzą, którymi ich zadziwić pragnę. A do pustych ścian karczmy jak gadać?

– My będziemy twoją publiką! – zapewnił go kat.

– Ale pamiętaj: gębę musisz szeroko otwierać, aby cię wszyscy w oberży usłyszeć mogli. Nie burcz i nie miel ozorem, tylko wyraźnie i składnie gadaj. Czasem zatrzymaj się, powiedź po słuchaczach wzrokiem. Spójrz im w oczy, a ujrzysz, czy twoja opowieść w dobrą stronę zmierza. Gdy będą na cię patrzeć z ustami rozwartymi, dolewaj oliwy do ognia i wiedz, żeś na dobrej drodze ku sowitej zapłacie! Nade wszystko zaś baczyć musisz, zaliś do kogo plecami nie ustawiony! Drobne to rzeczy, ale w słuchaniu i oglądaniu przeszkodą się stają – obraźnik nie ustawał w pouczeniach.

– Tyle tego, że spamiętać trudno... – zmartwiła się Jagna.

– Bo też i nie od razu wszystko udać się musi. Rzemiosło to takie samo, jak i każde inne, do wprawy dochodzisz poprzez obserwację i doskonalenie.

– My czeladnikami, a tyś może naszym majstrem? – zaśmiał się Rabiński.

– Trochę już świata widziałem, pod różne zaglądałem dachy, kiedym się rzemiosłem obraźniczym trudnił. Handel wymaga umiejętnego do ludzi podejścia. I niejeden raz, aby swój towar sprzedać,

musiałem naprędce zmyślić jaką bajdę: ducha zobaczyć albo opowiedzieć, że mnie tu głosy przywiodły, zależy, co mi tam zalegało. Jeśli obrazki, to szukałem miejsca na ścianie, gdzie najlepiej pasowały, jeśli różańce – to na plebanii z księdzem ubijałem interes, a on wygłaszał kazanie, że wprost z Ziemi Świętej w drodze.

– Toś kłamca! – zauważyła Walerka.

– Nawet jeśli, to zawsze rozgrzeszenie dostał, byłem tylko kilka różańców w kościele zostawił. Bo towar, musicie wiedzieć, nieważne, dobry czy też lichy, musi marzenia ku lepszemu światu budzić. A różaniec z Ziemi Świętej w czym sposobniejszy niż taki sam z Częstochowy czy Przysuchy? Książ nad nim kropidłem machnie i już zrównane w swej mocy. Podobnież opowieści prawdziwe czy też zmyślane, byle zdołały zawładnąć umysłami słuchaczy, zabrać ich do świata, który im nigdy dostępny nie będzie, byle pokazały, że w innych stronach może i piękniej, ale księżniczki i kasztelanki też swoje zmartwienia mają i nie warto im zazdrościć.

– Ja bym tam nie chciała być wilczą kochanicą! – Maryna wzdrygnęła się ze wstrętem.

– Ale kiedy Rabiński opowiadał, toś oczy wytrzeszczała, jakby cię już wilk miał w swej mocy! – Obrażnik zarechotał, a ona nadała się, jakby obrażona. – Widzowie będą raz tacy, raz owacy, czasem ich nasza opowieść zadowoli, innym znów razem nie. Wtedy przyjdzie pójść spać o suchym pysku. Jutro przepowiemy sobie naszą historię jeszcze kilka razy i myślmymy o tym, że nas w Parczewie nie lada sukces czeka! Oby tylko karczma pełna się okazała! – zakończył obraźnik, a oni popatrywali nań, słuchając z przejęciem tych nauk i nie zastanawiając się, skąd on sam je pobrał.

Rabiński powtórzył więc historię o kasztelance, ale nijakiego zainteresowania nawet w swych kompanach nie wzbudził. Widać snuciu opowieści noc sposobniejsza niż dzień biały. Potrzebni też są ciekawi ciągu dalszego spektatorowie, bo gdy tych zabrakło, nijako było Rabińskiemu ze swą bajdą ruszyć. Legli zatem w cieniu pod kasztanem, a pobudziwszy się, z wielkimi nadziejami samozwańczy Komedianci Jego Królewskiej Mości ruszyli w dalszą drogę.

Gdy po dwóch dniach dotarli wreszcie do Parczewa, zbójca

odzyskał swą moc. Snuł baśń jedną po drugiej, rozwijał wątki, mnożył bohaterów, aż się słuchaczom w głowach kręciło. Niesyci zakończonej, żądali następnej, jeszcze i jeszcze. Jakby spać iść nie chcieli, siedzieli zasłuchani, z oczami mgłą zaszłymi. Wzdychali i tylko coraz się który ocknął, żeby piwa zażądać. A kiedy zgłodnieli późną nocą, to karczmarza poszli budzić i kazali mu smażyć jajecznicę na słońnie.

– Dobra baśń w ludziach hojność budzi – stwierdził kat między kęsami.

– A ich serca dla innych miększe się stają. Jak żyję, żaden podróżny tak mnie nie uczył – rzekł z zadowoleniem obraźnik.

– Może i mieliście rację, że to fach zacny – przyznała Walerka.

– I jeśli się nadam na tę wilczą kochanicę, to mogę się poświęcić!

– I ja! I ja! – zawtórowały jej Maryna i Jagna.

– Aniby się domyślił, że w takim przyjdzie mi rzemiośle robić. I że jajka na co dzień jeść można, nie od święta.

– Nie zawsze na kupców trafimy, ale trza szanować każdego, bez względu na to, czym odpłacić się za opowieść może – wymamrotał obraźnik. – I coś wam rzeknę jeszcze: ludzie będą grosze srebrne pod nasze nogi rzucać!

Popatrzyli nań z nabożnym skupieniem i gdyby nie jedli właśnie jajecznicy na boczku przez nieznanym sobie kupców zapłaconej i nie pili zacnego miodu, nie uwierzyliby. A tak śmiać się nie było powodu. Obraźnik miał rację: na razie nie mogli się uskarżać.

LXIV

Gdy podstarość wygramolił się z szaflika, Witek owinał go czystym prześcieradłem i usadził na zydlu.

– Aleście zarośli, panie mój – westchnął i zabrał się do golenia.

– Ano zarosłem – powtórzył niczym echo Kacper.

– Smutniście czegoś?

– Smutny? Nie... A cóżbym miał za powód? – Hadziewicz próbował sam siebie przekonać, ale Witka nie zwiódł.

– Choćby to, żeście pokpili sprawę z miecznikową – zasugerował sługa.

– Ty mnie, Witek, mądrości nie nauczaj, bo sam mógłbyś je pobierać.

– Wszak wiem, że m głupi – zgodził się chłopak. – Ale do głupoty waszmości to mi jeszcze daleko.

Kacper zerwał się na równe nogi i wskazując drzwi, krzyknął co sił:

– Paszoł won!

Wolnym ruchem Witek odstawił miseczkę z mydlinami i pędzel, zostawił swego pana z namydlonymi policzkami i wyszedł ze świetlicy. Nie oddalał się nawet. Oparty o ścianę czekał. Jakoż chwilę potem usłyszał zza drzwi zachrypnięty głos.

– A chodźże tu!

Niezrażony popatrzył na Hadziewicza. Musiał mu wybaczyć te wybuchy złości, zawsze wybaczał. Kochał swego pana i wiedział, że serce ma złote, tylko czasem zbyt łatwo daje się na manowce wyprowadzić. Ufny jak dziecko. On sam na ten przykład nigdy by takiej kasztelance nie uwierzył. Toż to diablica wcielona, kłamać potrafi jak żadna. A miecznikowa złota niewiasta.

– Co też was podkuśiło, żeby kasztelance uwierzyć?

– W malignie byłem – pojednawczo rzekł Hadziewicz.

– A jużci, że w malignie, chętnie w to wierzę, ale żeby sługę najwierniejszego precz oddalić? To się nie godzi.

– Gorączką trawiony nie wiedziałem, co czynię.

– I co teraz będzie?

– Pojedziesz do niej i sprawę wyjaśnisz.

– Ja?! Nigdy! Wszak psami mnie poszczuła! Wy już, panie, w Złotym Moście szczęścia nie szukajcie, bo po próżnicy się do wrót tamtejszych będziecie dobijać. Miecznikowa swój honor ma i nigdy wam nie wybaczy podejrzenia o zdradę. Ja bym na jej miejscu...

– Nie rezonuj tyle! – fuknął Kacper. – Ale zgoda, przyznaję ci słusność, tylko że to nic nie zmienia. Intrygę by trzeba jaką wykoncypować, aby Zofia znów chciała na mnie spojrzeć łaskawie.

– Może rozgłosim, żeście jedną nogą na tamtym świecie i prosicie o wybaczenie swych win. A kiedy miecznikowa przyjedzie...

– Dajże spokój, nawet dziecko zrozumie, że to grubymi nićmi szyte. A nawet gdybyśmy ją tu jakimś cudem ściągnęli, co miałbym jej powiedzieć?

– Pokajać się i za swe przewiny przeprosić...

– Lepiej by mi było z tego pola się nie podnosić, złożyć tam głowę gdzie pod jaką brzozą i już tu nie wracać. – Podstarości westchnął ciężko.

– Gadacie banialuki, to wstyd doprawdy! Jesteście ostatni z rodu, obowiązek na was spoczywa, żeby nazwisko przetrwało. Dzieci wam płodzić, i to nade wszystko synów, a nie rozpaczać, żeście nie zginęli. Miecznikowa będzie wasza, jeśli taka wola boska.

– A jeśli nie?

– To inną jaką pannę sobie upatrzymy, wszak to nie koniec świata – rzucił lekko Witek, a Hadziewicz popatrzył nań z ukosa. Potrzebował chwili, aby zrozumieć, że sługa żartuje. – Te amory, amory! Niewiasty rządzą światem. Szczęśliwy, kto ich urokowi nie ulegnie – rzekł niczym preceptor do ucznia.

– Po pana Żabę skocz mi co prędzej – zdecydował Kacper. – Jeśli nie on, to już nikt nam nie pomoże!

Pan Wenanty Żaba, uradowany, że może uściskać przyjaciela, słysząc, że Hadziewicz do domu wrócił, co prędzej kazał zaprzęgać i pozostawiwszy gospodarstwo trosce ochmistrzyni, ruszył do Grodu Orłowego. Ale nie uradowało go to, co zobaczył. Kacper zdał mu się

smutny, osowiały, dwór zapuszczony i senny. I choć zastał go na próbach fechtunku, od razu spostrzegł, że ze zdrowiem podstarościego jeszcze nie najlepiej.

– Bogu dziękować, żeś tej przygody konfederackiej nie opłacił życiem! – rzekł, spoglądając nań z troską.

– Możem i nie opłacił, ale wkrótce wracać zamierzam, jeśli wojna tylko na mnie zaczeka – odparł Hadziewicz.

– A dajże ty już jej pokój! Swoje zrobiłeś, krew przelałeś. Teraz do sił wracaj.

– Krew to moją przelał kasztelan, którego sługa znienacka mnie ugodził.

– A to parszywiec! I gdzie on teraz?!

– Nie wiem, pewno w łaskach u Jandźwiłła z królewskimi wojuje. Panie podstoli kochany, mam ja do was prośbę wielką... – Kacper zmienił temat. – Nikt jak wy mi w tej mierze pomoc nie zdoła.

– O cóż chodzi? Ale zanim mi powiesz, bo widzę, że dłuższa to będzie dysertacja, każ co polać, bo gorąc upiorny i straszniem spragniony. Choć i chłodniku by się człek napił. Lata tak upalnego nie pamiętam, tylko patrzeć, jak żyto się sypać zacznie.

Gdy już gość najadł się do syta chłodniku, pieczeń miodem popił i jeszcze na wety zimnych cukrów dostał, rozsiadając się wygodnie, acz poziewując, wysłuchał trosk podstarościego.

– Toś mnie zmartwił. Rzecz smutna, że kasztelanka taki klin między was wbić zdołała. Czyś się temu przeciwstawić nie mógł? Wszak ona znana ze swych knowań.

– Staralem się, nie wiem, ki czort mnie opętał. Albom na swój honor nazbyt czuły, albo mi czego zadała...

– Już ja wiem dobrze, czego ona ci zadać mogła! – powiedział imć Żaba i zaśmiał się nagle, a ogromny brzuch zaczął mu się trząść.

Podstarości spojrział nań oburzony.

– Trafiliście jak kulą w płot! Anim był zdolny, ani ona o to zabiegała.

Żaba przestał się śmiać, zmierzył Kacpra uważnym spojrzeniem.

– To cię w tej konfederacji chyba wałachem nie uczynili? – spytał, a w końcu gruchnął jeszcze głośniejszym śmiechem.

– Bo to zaraz takie śmieszne... – Obrażony Hadziewicz wzruszył ramionami. – Lepiej radźcie, jak do miecznikowej drogę odnaleźć.

– Trza jej było nie gubić, mospanie! Po mojemu to ona już cię nie zechce. I sam bym jej to radził. Czy to z ciebie taki znowu godny zaufania kawaler? Miecznikowej potrzebny jest mąż stateczny, ktoś na wzór świętej pamięci Niezgodzkiego, a tyś szalawiła, pędziwiatr, ladaco... Sam nie wiem, co ona w tobie widziała, bo ja bym swej córki za takiego nie wydał.

– A kto mnie takiego wychował? Ilem miał lat, jakeście przysięgali matce mojej, że na mnie baczenie mieć będziecie? Zda mi się, że dziesięć? Nie wasza to wina, zem ladaco?

– Może i moja... – przyznał się pan Żaba.

– To radźcie, co czynić. Jedźcie do miecznikowej i sprawę zbadajcie! Was ona psami nie poszczuje.

– Spodziewam się, mospanie! – fuknął pan Żaba, podkreślając wąsa, i zaczął w myślach snuć intrygę, co wyraziło się szelmowskim uśmiechem. – Ale za skutek ręczyć nie mogę – dodał na wszelki wypadek, aby nadziei zbyt wielkich podstarościemu nie robić.

Bogiem a prawdą, choć różni niczym ogień i woda, pasowali do siebie ci dwoje jak nikt! W powiecie nie znalazłbyś lepszej partii dla miecznikowej, a i Hadziewicz z lada jaką panną wszak by się nie ożenił. Jemu taka potrzebna, która by go w ryzach zdołała utrzymać. Podstoli Żaba nie miał co do tego wątpliwości, zastanawiał się tylko, czy gniew miecznikowej zdoła skruszyć tak, by znów poczuła afekt ku podstarościemu. Jakiego się imać podstępu, jakiego fortelu użyć, czym zagrozić, co obiecać, by tych dwoje znów ku sobie skłonić?

Miecznikowa twarda sztuka, tak samo uparta jak Kacper. Niełatwa z nią będzie przeprawa. Ale pan podstoli Żaba nie takie supły rozplątywał, nie z takich tarapatów siebie i przyjaciół wyciągał. Na wszystko jest skuteczna rada, czasem tylko należy się dłużej zastanowić, aby wpaść na pomysł. Cóż tym pomysłem, co ją skruszyć zdoła? Lęk? Troska? Jaka obietnica? Miny mądre robił, ale z miejsca nie ruszył. Jednak wczesnym rankiem opuścił Gród Orłowy i podążył ze swą misją, wielkie nadzieje budząc w sercu skruszonego Hadziewicza.

LXV

Stanisław Jandźwił z niewielkim oddziałem i pismami księcia Lubomirskiego adresowanymi do samego Münnicha jechał śpiesznie ku Warszawie. Zabawił tam jedynie dwa dni, aby poruczone przez księcia sprawy załatwić, i czym prędzej puścił się w dalszą drogę. Do Gdańska dotarł piętnastego lipca. Miasto przedstawiało opłakany widok: wszędzie ślady po kulach, zrujnowane i poszczerbione duże fragmenty murów obronnych, popalone, zniszczone domy, ale odwrotnie niż w Warszawie ruch jakiś zawrotny panował, a ludzie zdawali się zadowoleni. Na murach kręcili się murarze i cieśle, załadowane towarem wozy ciągnęły tam i sam, przekupki wołały zza stoisk, posłańcy biegali, wymijając przechodniów.

Gdy tylko Stanisław zakwaterował się w jakiejś oberży, posłał do dowódcy rosyjskiego pismo z prośbą o audiencję, której mu w ciągu kilku dni udzielono. Otrzymałszy pozytywną odpowiedź na listy księcia, w sprawie osobistej niczego nie zdziałał. Wśród więźniów rosyjskich Jana nie było. Natomiast ludzie rozpytywani na mieście wspominali kogoś, kto mógł być Janem i zyskał sobie niejaką popularność. Mówiono nawet, że sam król odwiedzał go podczas choroby. Za drobną opłatą znaleźli się ludzie, którzy wskazali gospodę, w której kasztelanic rezydował.

– Jan Jandźwił?! – warknęła karczmarka. – A mieszkał tu, ladaco! Jak syna własnego przygarnęłam, a on nocą dał drapak, za lokum nie płacąc! Znacie go, kawalerze?

– To mój brat – rzekł ze smutkiem Stanisław, bo jako żywo w tym czarnymi barwami odmalowanym konterfekcie Jana nie rozpoznawał.

– Ile jest wam winien? Ja zapłacę, abyście go źle nie wspominali

– powiedział ugodowo.

– Osiem dukatów! – wypaliła oberżystka, zwiertżywszy dobry interes i nie wspominając o dwóch koniach z uprzężą, zostawionych przez kasztelanica w rozliczeniu długu.

Stanisław nie dociekał, czy stara mówi prawdę. Wyłożył pieniądze i zażądał, aby powiedziała, co wie o miejscu, w którym można Jana

odnaleźć. Ale stara zarzekała się, że nic jej nie jest wiadomym. Nie potrafiła też powiedzieć, kto mógłby służyć jakimiś wskazówkami.

– Tyle tylko wam rzeknę, że się tu taka Holenderka kręciła.

– Holenderka? – powtórzył za nią zdziwiony Stanisław.

– Robiłam, co w mojej mocy, żeby ich rozłączyć, ale krew nie woda, jak to mówią... I nawet urodziwa nie była. Ruda taka, piegowata, fuj! – Oberżystka skrzywiła się wymownie.

– Więc twierdzi pani, że może ona coś wie o Janie? Znacie jej imię?

– Mówiła, ale kto by tam spamiętał... – Florentyna podrapała się po głowie.

– Suzanne – rzucił któryś z piwoszy, za co natychmiast został spiorunowany wzrokiem.

– Prawda! Suzanne! Jak żem mogła zapomnieć?! – niby zreflektowała się karczmarka.

Nie było to wiele, ale ilu Holendrów mogło przebywać w Gdańsku? Dla Stanisława stało się jasne, że znalazł trop. Czym prędzej udał się do portu i zaczął rozpytywać o holenderskie statki. Ścisk tam był niczym na rynku winnickim w Wielkanoc. Statki tłoczyły się przy nadbrzeżu, załadowywane w pośpiechu, aby jak najszybciej odpłynąć. Gdzieś daleko na morzu kołysały się kolejne, oczekując wolnego miejsca. Gwar i ruch, przepychanki, krzyki. Po polsku, francusku, rosyjsku, niemiecku. Ktoś wskazał kasztelanicy ogromny trójmasztowiec, ale zagadnięty tragarz odparł, że nie zna żadnej Suzanne. Dopiero kiedy dostał do kieszeni talara, spytał o oberżę, dokąd miałby przynieść wieści.

Stanisław pokręcił się jeszcze po porcie, rozdał temu i owemu trochę grosza, ale skutku to nie przyniosło żadnego. Wreszcie zmęczony i zniechęcony wrócił na kwaterę. Nim zdążył się posilić i zastanowić co dalej, do karczmy weszła rudowłosa i piegowata dziewczka pasująca do opisu.

– Szukam kawalera, który się rozpytywał w porcie o Holenderkę imieniem Suzanne.

– Jam jest! – Stanisław poderwał się na równe nogi.

Dziewczyna rozejrzała się po karczmie i widząc, że jej osoba nie

wzbudza niczyjego zainteresowana, dosiadła się do Stanisława.

– Suzanne to moja pani, czego od niej chcecie?

– Szukam wieści o mym bracie, Janie, który tu walczył. Zali żyw jeszcze?

– Czy żyw do tej pory, tego nie wiem, ale był miesiąc temu, kiedy Gdańsk się poddał. Spotkał się z moją panią, a potem przepadł jak kamień w wodę.

Stanisław zagryzł wargi.

– Czy to możliwe, że za królem podążył? Pono Stanisław Leszczyński ku Królewcowi zmierza. Czy Jan mówił coś o swoich planach?

– Wiem tylko, że z całego serca chciał służyć królowi.

– Czyli że kasztelan miał rację... – powiedział do siebie Stanisław.

– Trza mi do Królewca podążyć. Obym go tylko żywym odnalazł!

– Weźcie mnie ze sobą, panie!

– Was? A to czemu? Niepotrzebna mi sługa... – zawiesił głos i spojrzał na nią uważnie. – Czyście aby przypadkiem nie tą Suzanne, z którą Jan się spotykał?

Dziewka spojrzała nań hardo.

– Jam jest! A kasztelanic zostawił mnie tu bez pożegnania.

– Jeśli wasze z nim sprawy niezakończone, wypłacę wam, ile się należy.

– Nie o pieniądze chodzi, ale o to, że go miłuję!

Stanisław nie spodziewał się takiego *dictum*.

– Ale pani, jaką pewnośc macie, że nie zmitręcycie tylko kilku tygodni? Nie wiem nic zgoła o powodach, dla których kasztelanic was odjechał bez pożegnania. Ręczę honorem, że nie jest to człek płochy.

– Skoro tak, to, jak mniemam, ze swych wobec mnie obietnic chętnie się wywiąże.

– Nie narażajcie się na niewygody podróży, ja zaspokoję wasze roszczenia. Powiedzcie, ile chcecie.

– Tylko dlatego, że jestem niewiastą i pochodzę z obcego kraju, chcesz mnie pan obrazić?! – Suzanne uniosła głowę i spojrzała nań hardo, po czym wstała i wyszła z obozu.

Stanisław otarł czoło chusteczką i zażądał piwa. Pił z ponurą miną

i zastanawiał się, w jaką kabałę z tą Holenderką wpakował się Jan. Wyglądało na to, że była z nim w dużej zażyłości. Dziwne, że nie chciała pieniędzy. Oby tylko nie próbowała zepsuć mu reputacji u króla, ale do tego się chyba nie posunie? Uregulował należność i ruszył na poszukiwanie siedziby pruskiego namiestnika, aby otrzymać glejst uprawniający do podróżowania po tym kraju. Zajęło to kilka dni, co niezmiernie Stanisława martwiło, bo już mu nic do roboty nie zostało, a stęskniony za bratem rad by go jak najszybciej uściskać. Równocześnie rozglądał się za jakimś statkiem, który by do Królewca podązał. Wreszcie znalazł i opłacił miejsce dla siebie i swych ludzi.

Stanisław, z wielkimi nadziejami i radością w sercu, oparty o burtę statku patrzył, jak Gdańsk powoli się oddala. Coś mu mówiło, że zostanie brata w Królewcu. Oddychał pełną piersią i uśmiechał się do swych myśli. Zastanawiał się, co też mogło łączyć Jana z tą Holenderką? Zadowolony, że zdołał jej umknąć, podejrzewał, że brat nie byłby kontent ze spotkania. Za kilka dni wszystko się wyjaśni, oby tylko Jana zastał przy królu, a Leszczyński rzeczywiście wybrał Królewec na swą rezydencję, bo jeśli nie, przyjdzie wracać na Litwę z pustymi rękoma.

Tymczasem dwudziestego lipca pod przybranym nazwiskiem pułkownika Seebacha król Stanisław Leszczyński wraz z towarzyszącą mu niewielką świtą, w której znajdował się również Jan Jandźwiłł, drogą przez Prabuty przybył do Pisu. Zgoła inna to była podróż, król nie musiał drzeć o życie, bo tu właśnie czekał już na niego głównodowodzący wojskami pruskimi, Johann von Kalt. Rozważano, które miasto: Szczecin czy Królewec powinno ugościć polskiego króla, a tym samym stać się centrum politycznym skupionej wokół Leszczyńskiego szlachty. Wybór padł ostatecznie na Królewec i to tu wreszcie dotarł w początkach sierpnia, godnie przyjęty przez króla pruskiego Fryderyka Wilhelma I, który nie tylko ugościł Leszczyńskiego, lecz także przyznał mu trzysta talarów pensji na utrzymanie dworu.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Jan znalazł się wreszcie tak blisko króla, jak tego nigdy nie zdołał osiągnąć w Gdańsku. Nieoczekiwanie stał się zaufanym do specjalnych poruczeń, co było obowiązkiem, ale i przywilejem. Teraz zyskał już pewność, że zasłuży

na jakieś stanowisko i związane z nim intraty, nie będzie musiał wracać do Turowa i pod kasztelanem giąć karku. Znów gotów był oddać za króla życie i miał nadzieję, że koalicji uda się ostatecznie zwyciężyć Rosjan. Trochę tęsknił za rodziną, ale w ferworze zajęć i spraw do załatwienia niezbyt często o tym myślał. Dlatego bardzo się zdziwił, kiedy nagle dowiedział się, że do Królewca przyjechał Stanisław.

Młodszy kasztelan nie miał wielkiego problemu ze znalezieniem siedziby króla Stanisława. Przybycie monarchy stanowiło w mieście temat żywych dyskusji. Widziało się tu coraz większe grupy polskiej szlachty, która ledwie zwiedziawszy się o szczęśliwej ucieczce Leszczyńskiego, podążała pod jego sztandary, pewna, że wkrótce wybuchnie wojna z Rosją. Niektórzy, zwłaszcza magnateria, oczywiście uznali zwycięstwo Augusta II Sasa i złożyli mu w Gdańsku poddańczą przysięgę. Wielu jednak, przede wszystkim łaknąca odmiany młodź, wciąż miało wielkie nadzieje związane z Leszczyńskim.

Gdy wreszcie się spotkali, Jan i Stanisław padli sobie w objęcia. Przypatrując się jeden drugiemu, zasypywali się nawzajem pytaniami, na które ledwie zaczęli odpowiadać, już kolejna sprawa domagała się wyjaśnienia.

– Jak zdołałeś umknąć z Gdańska?

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? Co w Turowie? Co u Cecylii? Strasz wciąż rządzi?

– Co za urząd tu piastujesz?

– Kasztelan w jakim pozostaje zdrowiu? Na czyjej pozostajesz służbie?

Aby spokojnie zdać sobie nawzajem relację, poszli do gospody i tam właśnie pod wieczór odnalazła ich Suzanne Van der Dijk.

LXVI

Było piękne popołudnie. Wenanty Żaba, bardzo z siebie kontent, zbliżał się do Złotego Mostu. Już z oddali wielkie wrażenie robiła nowa, jasna brama, teraz rozwartą szeroko, jakby gospodyni żadnych wrogów nie musiała się lękać.

– To i lepiej, to i lepiej! – mruknął do siebie podstoli i w zamyśleniu poskubał wąsa.

Chwilę później minęli bramę i pan Żaba, otoczony przez sługi, wygramolił się z powozu. Wszystko tu było nowe i czyste, aż dziw brał, że miecznikowa tak się szybko uwinęła.

– Cud to prawdziwy – rzekł radośnie, widząc Zofię wychodzącą mu naprzeciw – żeś pani tak pięknie i szybko dwór odbudowała!

– Nie moja to zasługa, jeno ludzi, którzy pracowali bez wytchnienia. Co was sprowadza, panie podstoli? – zapytała, choć domyślała się powodu.

– A ciekaw jestem jedynie i z chęcią niesienia pomocy chciałem się oświadczyć – wysapał. – Jeśli się jeszcze do czego nadam, bo tu...
– Znów potoczył wzrokiem po obejściu. – Niewiarygodne!

Zofia nie miała wątpliwości, że pan Żaba przybywa z poselstwem od Hadziewicza i niezbyt się radowała z tej wizyty. Wiedziała od dawna, że podstoli z Kacprem trzyma, dlatego przyjęła chłodną i wyniosłą pozę, aby czym prędzej pozbyć się natręta. Jednak trafiła na godnego rywala, bo on ani myślał dać się wyprosić wyniosłym tonem czy nie dość serdecznym przyjęciem. Niczym niezrażony wszedł do świetlicy, a tu mu w sukurs jeszcze przyszła cześnikowa, która jakby na niego czekała. Dość się nagadać nie mogli! A to o wojnie, a to o plonach, jakie w tym trudnym roku się zapowiadają, a to o cenach zboża i o konfederacji, czy wreszcie zwycięży, czy też padnie pod naciskiem silniejszych wojsk stronnictwa saskiego.

– Rosja nas z różnych stron podchodzi. Boimy się tu trochę, że ten Kondyriew kogo naśle, żeby się zemścić – cześnikowa wyjawiała swe strapienie. – Bo dwór nowy, to i kole w oczy, i do czynu jakiego zachęcić może.

– A wasza policja z grandmuszkietierem? – przypomniał pan Żaba.

– Latają dookoła, sprawdzają, ale pojedą na wschód, a tu z północy co się przywlecze... – westchnęła pani Salomea. – Biedneśmy, biedne...

Zofia sztywno siedziała przy stole i tylko wtrąciła słowo bądź dwa, jednak panu Żabie to jakby nie przeszkadzało. Czekwała zatem, aż przejdzie do rzeczy, coraz bardziej niespokojna. Myśl o Kacprze raniła jej duszę, najchętniej już by o nim zapomniała. Niestety, nie mogła, a dziecię rosnące w jej łonie przypominało codziennie, że ojca swego nigdy nie pozna.

Podstoli, zbyt biegły w intrygach, aby rzecz całą od razu wyłuszczyć, zwlekał z rozmową o istocie swej wizyty. Popatrywał na Zofię z ukosa i widział jej smutek. Podejrzewał, że myśli miecznikowej krążą wokół Kacpra, bo jak tu się oprzeć takiemu ladaco. Pan Żaba, choć kawaler, doskonale znał niewiasty i wiedział, że lgną one do tych, co je poniewierać są zdolni, jakby jakąś potrzebę męczeństwa w sobie nosiły. Potem składa taka swe cierpienia Matce Boskiej w ofierze, dumna, że idzie ścieżką Chrystusa Bolesciwego. A wszak żadnej w tym martyrologii nie masz! Jeno niewieścia głupota i zaślepienie. No, ale Kacper jest inny! I kocha ją, bez wątpienia ją kocha. W ogień by skoczył za miecznikową, a jeszcze i to dziecię ponoć jego, więc jakże ich tu nie swatać? Pokiwał pan podstoli głową i jakby do siebie rzekł:

– Moja pani, toście już po słowie z Szuksztami? Do kaduka, nigdy nie pomnę, który jest który!

– Po słowie? – jak echo powtórzyła pani Salomea, a Zofia uniosła brwi i uśmiechnęła się lekko.

– A któż podobnych plotek narobił?

– Chodzą takie słuchy po zaścianku. Szuksztowie drugiej odmowy nie zdzierzą, raz już u was harbuzem poczęstowani. Wiem z pierwszej ręki, że się szykują, aby o rękę miecznikową prosić.

Zofia zbladła.

„Tylko mi brakowało waśni z Szuksztami! – pomyślała. – Raz odprawieni rzeczywiście gotowi ponowić swą propozycję. Jeśli gdzie usłyszeli, że z podstarościem zwaśniona, mogą nabrać odwagi. Co począć?”

– Nigdy od nikogo z tej rodziny żadnych oświadczeń nie

przyjmowałam. Skąd u waćpana takie wieści, że ktoś im tu odmawiał?

To stropiło nieco pana Żabę. Za nic nie mógł teraz wyjawić mocodawcy swej misji.

– Nie od was?

Z kolei Zofia się zawstydzila. Może i mówiła panu Żabie o nieudanej próbie Szuksztów, którą pijany Kacper przerwał. Czyżby bracia poczuli się dotknięci? Sądziła wtedy, że wyjechali bez urazy, nigdy jej zresztą nie dali najmniejszego dowodu.

– Och, może i było coś...

– Ale nigdy oficjalnie – wsparła ją pani Salomea.

Nagle twarz miecznikowej się rozpuodziła.

– Mnie mąż stateczny się widzi i takiego bym znaleźć pragnęła.

– I z jakim majątkiem, a nie jak te golce! – rzekła pani Salomea, która niespodziewanie wsparła córkę. – Więć jeśliś pan od nich przysłany, to wiedz, że mojej zgody na taki mariaż nie będzie!

– Jakże ja bym mógł być swatem Szuksztów?! – niby to oburzył się pan Żaba, zadowolony, że tak żywą reakcję wywołał. – Samem się zmartwił, żeś już waćpani w lepszych kandydatów zwątpiła i na taką gołotę się godzisz. Chłopy to jak malowanie, niczym dęby jeden w drugiego...

– Ale gęby krzywe! – fuknęła jejmość. – I nigdy nie trzeźwieją!

– Sąsiedzi dobrzy. – Zofia łagodziła zapalczywość matki.

– Za żadnego Szuksztę cię nie oddam! – Cześnikowa uderzyła pięścią w stół i w tej samej chwili zreflektowała się, że może zbyt mocny to był gest w przytomności gościa uczyniony. – Wybaczcie, panie podstoli, ale tyle na nas trosk spada, że już doprawdy człek gotów grzeczności zapomnieć.

– To się rozumie, moja dobrodziejko. Ani mi w głowie was o to obwiniać. Chciałoby się pomóc, ale jak?

– Męża mi nie szukajcie – odparła Zofia. – Jam niegotowa do zamążpójścia. Zresztą kto mnie zechce z cudzym dziecięciem?

Pan podstoli aż się zachłysnął piwem, którym zamierzał właśnie gardło przepłukać.

– Coście rzekli?!

– Zosiu! – karcąco wykrzyknęła pani Salomea.

– Matko, i tak się wkrótce wyda, a pan Żaba wszak nam sprzyja.

– Jak mało kto! – solennie zapewnił podstoli. – Zatem żeście przy nadziei... Pogratulować, pogratulować!

Zofia uśmiechnęła się krzywo.

– Mam już dwoje bez ojca się chowających, to i trzecie różnicy nie zrobi.

– Miecznikowo, rzeknijcie, co zamierzacie? Wszak godzi się dzielić trudy życia, samemu nie sposób ze wszystkim poradzić!

– Szanowny sąsiedzie – rzekła z namysłem Zofia. – Myślałam, że już znalazła kandydata na męża i nawet pierścień od niego miałam na znak przysięgi sobie nawzajem złożonej. Z serca skorzystałam z zaproszenia, by zamieszkać w jego dworze i sił nie szczędziłam, doglądając nie mojej majątkości. Tymczasem podstarośći uwierzył kasztelance, która jawnie mnie oczerniała. Nie sprawdził, nie zapytał, wystarczyło, że pierwsza przyjechała. Wiem, żeście jego posłem, zatem powiedzcie mu wprost, że pierwiej bym niewolę turecką niż takiego męża wybrała. Nigdy, rozumiecie, przenigdy za Kacpra Hadziewicza nie wyjdę! Wybaczcie, alem zmęczona. Cześnikowa dotrzyma wam towarzystwa. – Skinęła głową i wyszła ze świetlicy, zostawiając tych dwoje w osłupieniu.

Pani Salomea już otworzyła usta, aby usprawiedliwić zachowanie Zofii, ale Wenanty Żaba tylko machnął dłonią.

– Widzę, że nie przyjechał tu na darmo. Miecznikowej nie wypada się przyznać, ale na odległość czuję, że jej wciąż na podstarośćim zależy. Gdyby było inaczej, nie uniosłaby się i nie zostawiła nas samych.

– Obyście się nie mylili, sąsiedzie. – Cześnikowa westchnęła smutno. – Bo ją ta zgryzota całkiem radości życia gotowa pozbawić.

– Albo w karnawale urządzimy tym dwojgu weselisko, albo nie nazywam się Wenanty Żaba! – rzekł dobitnie i uderzył pięścią w stół, a pani Salomea Żelska z nadzieją spojrziała ku drzwiom.

Ani się domyślili, że Zofia w swoim alkierzu upadła w sukni na łożo i zasłaniając usta, aby nie było słychać, zanosła się łkaniem.

LXVII

Tadeuszowi Jandźwiłłowi od kilku tygodni dokuczały jakieś dziwne bóle, których medyk Dietrich nie potrafił żadnymi miksturami uśmierzyć. Kasztelan już prawie nie wychodził z namiotu. Nie chciał jednak sam prosić o zgodę na wyjazd do Turowa. Liczył, że kto zaufany doniesie księciu Radziwiłłowi, w jak złym kasztelan jest stanie, i księżę przyśle kogo albo i sam przybędzie, by druha wiernego do domu odprawić. Medyk już dawno twierdził, że chłodne noce i brak odpoczynku rujną wątłe zdrowie kasztelana. Leżał więc Tadeusz Jandźwiłł w namiocie, na zmiłowanie księcia oczekując i o wygodnym łożu marząc.

– „Chyba nie przyjdzie mi z dala od domu ducha wyzionąć?”
– myślał.

Wbrew rozsądkowi ufał w zapewnienia Dietricha, że czerstwy wciąż, do niejednej jeszcze bitwy stanie. Więc medyk zapewniał, ale coraz mniej żarliwie, okładał kasztelana maściami na borsuczym łożu, poił go nalewką z tarniny i inne medykamenty wykorzystywał, całą swą wiedzę stawiając do dyspozycji.

– A gdzież to kasztelanice? – wyjęczał Tadeusz Jandźwiłł, popatrując tęsknie na rozległe łąki rysujące się w prześwicie uchylonego wejścia do namiotu. – Gdzież oni? – westchnął.

– Pewnie dotrą tu lada dzień – nieudolnie pocieszał Dietrich.

– Dotrą albo i nie dotrą. Drogi niebezpieczne, a zapłaczą się w jaką przygodę, to i życie postradać łatwo.

– O, z paniczów tęgie rębajły, nie dadzą się byle komu ubić!

– Byle komu nie, ale jeśli wroga siła będzie, to cóż począć?

– Kasztelan zasępił się i zamilkł, by po dłuższej chwili dodać: – Czasy dziwne. Nie wiem nawet, zali Jan żyw jeszcze... Listów nie było?

– Nie, panie.

– Nie łzesz, żeby mnie przed złymi wieściami chronić?! – upewnił się Jandźwiłł.

– Gdzieżbym śmiał!

– To może żywi jeszcze. Złe wieści szybko dochodzą. Ale nawet

jeśli żywi, czy wierności staremu ojcu dochowają? Bo Jan po drugiej się stronie opowiedział, czy do rozumu go Stanisław zdoła przywieść? A co, jeśli tamten mu w głowie zamąci i obaj mnie odbieżą?

– To być nie może! – żywo zareagował medyk. – Wszak kochają waszą miłość.

– Ale czasy takie, że syn na ojca rękę podnosi. Ten jednemu, ów drugiemu królowi chce służyć. Jeden się zwie patriotą, toż samo i drugi, ale według pierwszego ówże zdrajcą narodu. Pierwszy za wcześniej obranym królem się opowiada, drugi za tym, który koronowany. Gdzie słuszność, gdzie racja?

– Nie mnie to osądzać – z ulgą rzekł Dietrich. – Wasza wysokość zawsze był w tych zawilościach biegły, to i teraz pewnie wie lepiej.

– Niby wiem, bo jak nam tu w Litwie przeciwko Rosji się buntować? A skoro Rosja nam króla wybrała i ten król zwie się August, to o jego królowanie bić się należy. Tylko widzisz, tak mi czasem przemknie przez głowę, czy Rosja powinna nam króla narzucać?

– Przeciśmy tego ich pułkownika w Turowie z honorami przyjmowali.

– A jużci, przyjmowałem i nie szczędziłem złota, żeby się, psia wiara, dobrze czuł na zamku. Ale czym mu sprzyjał w duchu? Czy mnie to raduje? Czy leżąc w tym barłogu, dumny jestem, że królowi polskiemu służę?

– Nie jesteście, panie? – zdumiał się Dietrich.

– Wyżynamy się tylko, a z boku jakbyś spojrział, to kto ma z tego pożytek?

Medyk popatrzył pytająco, ale bał się ryzykować odpowiedź, nie chcąc pana do złości przywieść.

– Wrogowie nasi – fuknął ze złością kasztelan.

– Czyli na ten przykład stanisławczycy?

– Ot, głupiś! Rosja, Saksonia, Prusy, Austria, a nawet i Francja! Bo się sami we własne sidła motamy.

– To czemu wasza miłość nie opuści tego obozu? Wszak choroba czyni was niezdolnym do walki.

– Trza mi tu być i interesów pilnować, bo co, jeśli jednak magnaci wsparci przez Rosję wygrają? W Warszawie zaczniesz się podziać

stanowisk na dworze, to dla Stanisława albo Jana może jaką synekurę dzięki księciu wyblągam. Nie na darmo tu jesteśmy, mój druhu, nie na darmo – rzekł, ziewnął i zapadł w drzemkę.

Obudziły go podniesione głosy, dochodzące z zewnątrz. Uniósł lekko głowę i usłyszał Dietricha, jak sprzecza się z kimś, zabraniając mu wejść. Mieszanina słów polskich, niemieckich i rosyjskich nagle ustała, medyk został brutalnie odepchnięty i w tej samej chwili do namiotu wszedł wysoki mężczyzna. Oświetlony od tyłu nie od razu został rozpoznany. Tadeusz Jandźwiłł uniósł się na łokciu, podczas gdy przybysz rozejrzał się, gdzie by tu usiąść.

– Kasztelan Jandźwiłł – zaciągnął z ruska. – Jakże zdrowie?

Chcąc wobec gościa godnie wypaść, kasztelan z trudem usiadł i odchrząknawszy, wskazał mu stołek.

– A toż to pułkownik Kondyriew! Spocznijcie, wasze. Cóż za nowiny przywozicie?

– Nasi ludzie z Królewca przyjechali. Tam dwór Leszczyńskiego ustanowiony.

– Nie omyliły mnie więc przeczucia! – kasztelan zawołał niemal radośnie.

– Jeśliś wasza miłość to przeczuwał, czemu żeś złemu nie zapobiegł? – przybyły rzekł jakimś osobliwie ciężkim głosem.

– Wybaczcie, nie mnie oceniać. Wasze poświęcenie dla ojczyzny i spraw naszych znane jest szeroko, a dzieci, cóż...

Tadeusz Jandźwiłł zmarszczył brwi i przyjrzał mu się uważnie.

– O cóż chodzi?

– Na dworze Stanisławowym dwóch Jandźwiłłów służy.

– Nie może to być! – żywo zakrzyknął kasztelan, wkładając w owo zdumienie cały swój kunszt polityka. Zerwał się przy tym na równe nogi, ale natychmiast opadł, siadając z grymasem bólu. – Moi synowie u renegata?!

– Jan i Stanisław, wszak to oni? Nie zaprzeczysz, wasza miłość? – dopytywał się Kondyriew, a kasztelan opuścił głowę na piersi i wstrząsnął się, jakby siłą tłumił łkanie.

– Imiona się zgadzają, ale póki na własne oczy tego nie zobaczę, nie uwierzę, że moi synowie na stronę wroga przeszli i honor domu

swego splamili! Nie takem ich wychowywał! – rzekł nadspodziewanie twardo i pokręcił głową.

– Skoro synowie tak rodzicu nieposłuszni, to co myśleć o poddanych? Taki ten wasz powiat winnicki cały. Mnie o mało życia miecznikowa nie pozbawiła. Cudem wyszedłem.

– No, ale dałeś jej popalić, wasze! – Kasztelan zachichotał z żartu, ale widząc, że Kondyriew nie rozumie, wyjaśnił: – Wszak dwór miecznikowej spłonął. Nie wiecie? Mówili, że to wasi ludzie. Ale nie turbujcie się, przeżyła, odbudowała, ma się dobrze. Bruździ mi nawet, jakeście słusznie zauważyli, bo policję powiatową za własne pieniądze powołała. Kto to słyszał, żeby niewiasty się takimi rzeczami zajmowały?!

– To czemużecie tej policji nie zgnetli? – zdziwił się pułkownik.

– A bo jakoś nie było kiedy... Tuśmy się wielkimi rzeczami zajmowali. Ale przyjdzie czas i na miecznikową... – Kasztelan ciężko westchnął.

– Zdrowia żelaju! – Kondyriew skinął głową i wyszedł z namiotu.

– Dzieci, dzieci... Ile by im człek nie dał, zawsze niewdzięczne! – mruknął kasztelan. – Dietrich, wołaj mi tu Borcińskiego!

Gdy do namiotu wszedł dowódca gwardii przybocznej, Jandźwił siedział już na stołku.

– Jak samopoczucie waszej miłości? – zapytał z uszanowaniem żołnierz, widział bowiem z trudem maskowany ból.

– Pójdiesz do kancelarii księcia i poprosisz o posłuchanie – rzucił Tadeusz Jandźwił. – Sprawa niecierpiąca zwłoki! – dodał z werwą, a gwardzista skłonił się i wyszedł.

Gdy kasztelan znalazł się znów sam na sam z Dietrichem i spróbował wstać, poczuł, jak kolana się pod nim uginają, oczy ómi mgła, a w głowie się mąci. Usłużny medyk wnet podał mu ramię, a Jandźwił, krzywiąc się i stękając z wysiłku i bólu, uczynił kilka kroków.

– Jakże ja się przed księciem pokażę w takim stanie?!

– Panie mój, tym prędzej księżę was do Turowa wyśle!

– Myślisz, że nie wiem?! Odesłany jak koń, który okulał.

Powinienem był zwyciężyć w bitwie lub przynajmniej zginąć okryty

chwałą! A ja cóż? Niedołężny starzec, który na nogach ustać nie może...

– Bo wojna dla młodych.

– I oni właśnie u boku Leszczyńskiego stanęli! Moi synowie! Obaj! Dasz wiarę! Splamili imię Jandźwiłłów! Jak ja oczy na księcia podniosę?! Co mu powiem, gdy zapyta, gdzie moi synowie?! Do tej pory mogłem udawać, że Jan zaginął, a Stanisław u Lubomirskiego sprawie Augusta służy. Teraz już wszyscy wiedzą, że wychowałem zdrajców!

– Nikt waszej miłości winił nie będzie – próbował perswadować medyk, ale widząc drżenie brody swego pana, odwrócił wzrok.

– Zadbaj, bylebym tylko przed księciem zdołał ustać. A potem niech się dzieje wola nieba...

LXVIII

Za oknem znów zagrzmiało. Potężna letnia burza przetaczała się nad zamkiem, napełniając pobożne serca trwogą. Jednak na Cecylii Lange nawałnica nie robiła żadnego wrażenia. Kasztelanka przekręciła się na bok i westchnęła ostentacyjnie. Nagi Strasz podniósł się z łóżka i sięgnął po pantalone. Gdy miał już na sobie koszulę i kubrak, wyjął z kieszonki jakiś drobiazg zawinięty w chusteczkę.

– Zamknijcie oczy, pani – powiedział, a ona posłusznie spełniła prośbę.

Poczuła, jak chwyta ją za rękę i kładzie na dłoni chłodny metalowy przedmiot. Natychmiast otwarła oczy i w świetle świecy przyjrzała się ogromnej złotej broszy z szafirem otoczonym diamentami, perłami i emaliowanymi listkami.

– Ach! – westchnęła po raz drugi. – Rozpieszczasz mnie! – dodała kokieteryjnie.

Choć nie ulegało najmniejszej wątpliwości, skąd Strasz mógł mieć ową broszę, Cecylia o to nie dbała. Klejnot wydawał się niezwykle cenny. Do kogo mógł należeć wcześniej? Nie była to ozdoba jej matki, czyja więc? Przyłożyła ją sobie do piersi.

– Ładnie mi?

– Jesteście warta wszystkich diamentów świata!

Powiódł wzrokiem triumfatora po jej nagim ciele i wyszedł z wysoko uniesioną głową.

Od kiedy używała mu swych wdzięków, bardzo się zmienił. Zachmurzone oblicze coraz częściej opromieniał uśmiech. Strasz złagodniał dla służby i wrócił do snucia planów, jakby ona mu cokolwiek obiecywała! Gdy obdarowywał ją klejnotami z kasztelańskiego skarbcza, robiła uszczęśliwioną minę. Dziękowała wylewnie i odwdzięczała się w jedyny, właściwy dla siebie sposób.

Strasz przychodził co noc. Kochanek był z niego marny, ale Cecylii podobała się zdobyta nad nim władza. Kiedy raz czy drugi nie chciała go dopuścić do swego łóżka, naburmuszony ciskał się, krzycząc

na służbę, pomstował. A potem wracał i jak pies skomlał o łaskę. Być może sądził, że zapomniała doznanych upokorzeń, nie znał jej jednak dość dobrze. Chuć przyćmiła mu rozum. Dopóki mógł nocą lec w jej łóżu, niczego nie podejrzewał. Więc kupczyła swym ciałem, udając, że ją zadowala. Pozwalała mu się łudzić, odkładając do szkatuły przynoszone przez niego kosztowności. Strasz był hojny, bo pozwoliła mu snuć plany, w których nie zamierzała uczestniczyć. Podsycała je jeszcze, patrząc, jak rozgorączkowany buduje wizje wspólnej przyszłości.

– Musimy tylko o rozwód wystąpić – rzucił, trąc czoło. – A pani mi do Warszawy nie czmychniesz? – upewniał się jeszcze.

– Czy mi tu źle? – Popatrywała nań z ukosa i już topniał w środku, uśmiechał się do swych myśli, bo wreszcie miało się ziścić to, o czym skrycie marzył. I kiedy najtrudniejsza przeszkoda, to jest sama kasztelanka, została wzięta szturmem, niemal niczego się już nie obawiał.

– My dwoje... My dwoje zawojujemy świat – szeptał w chwilach czułości, których mu nie skąpiła.

Mając raj na wyciągnięcie ręki, Strasz stracił swą zwyczajną czujność. Tymczasem list przywieźli od kasztelana, że zamierza wkrótce powrócić, bo na zdrowiu zapadł i książę Radziwiłł postanowił go z dalszej służby skwitować. Sekretarz przyjął wieści z niepokojem.

– Cóżżeś pan taki skwaszony? – zapytała przy śniadaniu Cecylia.

– Kasztelan powraca...

– To i cóż? Czego się lękacie?

– Że mi do was dostęp będzie zakazany.

– A co to zmieni? Czy mój ojciec waszym stróżem?

– Nie, ale jakoś tak niezręcznie pod boki kasztelana...

– Z jego żoną obcować, być może, ale z córką? Wszak jam już nie dziewczica, mąż mój daleko, a choćby i tu był, nic go moje życie nie obchodzi – uspokajała.

Miała w tym swój interes, jej skarbczyk rósł z każdą spędzoną ze Straszem nocą. Aż dziw, jak był hojny, dysponując kasztelańskim złotem.

„Że też tak długo się opierałam... Trzeba mi było dawno zagrać tą

kartą. Teraz mam go w garści. W każdej chwili pod pretekstem kradzieży mogę się pozbyć pana sekretarza. Ale jeszcze nie teraz, nie teraz...” – myślała i w fałszywym geście oddania wyciągała ku Straszowi spragnione uścisków i nowych darów ramiona, a on Ignął do niej, przekonany, że już niemal kasztelańskim zięciem został. Od czasu do czasu tylko jakaś myśl niejasna go nawiedzała, że być może ktoś ze służby zdradzi go przed Jandźwiłłem i cała intryga w łeb weźmie. Dlatego wszystkim nagle starał się dogodzić, groszem sypał i łaskami, co doń zupełnie podobne nie było.

Cecylia nie pokazała tego po sobie, ale wcale jej nie ucieszył spodziewany rychły powrót ojca. Nie dokończyła swoich spraw tutaj, nie odebrała, co jej się należało, a kiedy kasztelan wróci, nic już się nie da zrobić. Desperacko poszukiwała współnika, który byłby w stanie wykonać jej plan, toteż wybrała się pewnego dnia do Grodu Orłowego.

Podstarości na dziedzińcu wprawiał się w walce na szable. Szło mu całkiem nieźle, choć na twarzy pojawiał się co chwila grymas bólu. Gdy zobaczył Cecylię, zagryzł wargi i odłożywszy broń, czekał z założonymi rękoma, co mu powie.

– Widzę, żeście już niemal zdrowi – powitała go z uśmiechem, ale wnet spostrzegła czujne spojrzenie, które Kacper kierował ku jej piersiom.

„Będzie łatwiej, niż przypuszczałam! – pomyślała. – Biedaczek, dawno nie doznawał rozkoszy, lubieżnik z niego i niecnota, wzrok sam mu zawisa na niewieścim dekolcie. Miecznikowa niczym mniszka, to i nie dziwota, że tęskno mu do raję”.

Gdy znaleźli się w świetlicy, podstarości skoczył ku niej z błyskiem w oku, chcąc chwycić za broszę, którą miała wpiętą pomiędzy piersiami.

– Skąd to masz?! – syknął zezłoszczony.

Wyrwałby jej może klejnot razem z materią, niszcząc przy tym suknię, ale uchyliła się zręcznie.

– Od kiedy to podstarości stał się tak łasy na błyskotki? Czy to przystoi mężowi, co chwałę swą z wojny pragnie czerpać?

– Ten klejnot należał do mojej matki! Zabrałaś go z jej sepetu u kasztelana złożonego, o który się już wielokrotnie, lecz bezskutecznie

dopominałem.

– Hola, hola! Nic nie wiem o żadnym sepecie, ale skoro tak, tym łatwiej się dogadamy – rzuciła bez ogródek. – Mam tego więcej, być może zdołam zgromadzić wszystkie kosztowności.

– Skąd masz?! – oskarżycielsko rzucił Kacper. – Czyżby kasztelan zaczął kupczyć złotem powierzonym sobie pod opiekę?

– Kasztelan pod Radziwiłłem z konfederacją walczy, jeśliś waćpan zapomniał – odparła, nie zwracając sobie głowy insynuacjami.

– A zamek trzymany przez garstkę załogi jest łatwym łupem.

– Proponujesz mi, żebym zdobył zamek? – nie dowierzał podstarości. – Ty?! Chcesz, abym zawisł na szubienicy?

– Masz z kasztelanem stare rachunki? Jeśli chcesz je wyrównać, to tylko teraz, póki załoga osłabiona. Kasztelan już zresztą jest w drodze powrotnej, za jedną, może dwie niedziele nic nie wskórasz.

– Nikomu się to dotychczas nie udało.

– Bo nie działał z zaskoczenia. Nie proponuję ci oblegania zamku.

– Więc jak mam go zdobyć?

– Właściwie nawet nie ma potrzeby zdobywania. Musimy się tylko dostać do skarbcza. Mnie samej Strasz tam nie wpuści, próbowałam. Ale przymuszony siłą...

Kacper westchnął i odwrócił się ku oknu. Kusiała go ta propozycja, jaką jednak mógł mieć pewność, że Cecylia znów go nie zwodzi? Czy nie zastawiła na niego pułapki, obrażona nań za odrzucenie? Było to do niej podobne, zwłaszcza że lubowała się w zemście, jaką więc mógł mieć pewność, że nie chodzi tylko o schwywanie i wydanie go kasztelanowi?

– Czemu przychodzisz z tym do mnie? Masz swojego grandmuszkietera, niech dla ciebie zamek zdobywa.

– Nie chcę go znać! Zresztą tu trzeba twojego sprytu i znajomości zamku. Chcę odzyskać klejnoty mojej matki, zanim wróci kasztelan. Ty masz taki sam cel. Mogę cię wprowadzić przez bramę w każdej chwili, ty tylko musisz sobie poradzić ze Straszem.

– Ja?! Wszak ty już sobie z nim poradziłaś, Cecylio! Masz na piersi broszę mojej matki. Skoro nie posiadasz jeszcze klucza do skarbcza, znaczy to, że dostałaś ją od sekretarza. Poczekaj zatem, postaraj się

bardziej, użycz mu jeszcze swych łask, a cały skarbiec stanie się twoją własnością. Po co mnie do tego mieszasz?!

– Cóż, pewnie bym tu nie jechała, gdybym się była domyśliła, żeś waćpan całą swą odwagę postradał. Ale widzę, że mi się do niczego nie nadasz, boś lękliwy jak baba. Po co zatem wprawiasz się w robieniu szablą, czyżbyś nią chciał ścinać dynie? Bo chyba w tym stanie ducha niczego innego nie zdziałasz. Bywaj zdrów, widzę, żeś tylko czas zmarnowała! – rzekła i nie czekając ni zachęt, ni próśb o pozostanie, ruszyła do wyjścia.

LXIX

Pan podstoli Żaba celowo zwlekał z pojawieniem się w Grodzie Orłowym. Raz, że chciał, aby Kacper całkiem do zdrowia wrócił, dwa, by skruszał trochę, ciekaw, co tam w Złotym Moście się dzieje i czy Zofia wciąż urazę chowa, trzy, że żadna myśl panu Wenantemu jeszcze w głowie nie zaświtała, którą mógłby podstarościemu przedstawić. A trzeba było działać z rozwagą, by ni jedno, ni drugie podstępnie się nie domyśliło. Podstoli miał obietnicę pani Żelskiej, że tajemnych knowań córce nie zdradzi. Co więcej, cześnikowa sama zaproponowała, że położenie Złotego Mostu i ich samych będzie w jak najczarniejszym świetle odmalowywać, by w końcu Kacper mógł zjawić się niczym wyzwoliciel i na wdzięczność dozgonną oraz rękę Zofii zasłużyć. Pan Żaba nie wątpił, iż rolę tę wypełni z wrodzonym sobie wdziękiem.

Tymczasem jednak nic nie wskazywało na możliwość pogodzenia się tych dwojga i podstoli w głowę zachodził, jak też uda mu się z nałożonego na siebie zobowiązania wywiązać. Na wszelki wypadek pojechał do Grodu Orłowego z wizytą. Podstarości wywijał szablą na dziedzińcu i raz po raz krzywił się z bólu, widać dawały mu się we znaki rany wciąż jeszcze niezagojone.

– A cóż to, mospanie, czyżbyś do konfederacji powrócić zamierzał? – rzucił pan Żaba, uśmiechając się szeroko. – Zdrowym cię znajduję, to mi radość wielka!

– Witam dobrodzieja! – Kacper rzucił się, by uściskać gościa, ale wnet zmarkotniał, jakby mu ten o jakim nieszczęściu przypominał.

– Zjadłbym co! – huknął podstoli, wyczuwając trafnie posępny nastrój gospodarza.

Wnet się ochmistrzyni zakręciła i co lepszego miała w spiżarni, kazała podać. Usiedli za stołem. Pan Żaba chętnie się posilał podanym natychmiast chłodnikiem, Kacper machnął dłonią, by talerza przed nim nie stawiano.

– To wypijmy! – lekko rzucił podstoli, kielich wzniósł i pijąc, popatrzył na smętną minę podstarościego.

Otarłszy wąsy, chrząknął i znów zabrał się do jedzenia.

– No mówże, waćpan! – niemal krzyknął Hadziewicz. – Z czym poselstwo, bo duchota taka, że z domu pewnie bez istotnej przyczyny byś się nie ruszył.

– Po sąsiedzku zajechałem i przy okazji, bom w Winnicy u Szmula miał interes.

– Miecznikowej po drodze nie spotkaliście? A może jakieś słuchy was o niej doszły? – spytał podstarości, wpatrując się w podłogę.

– Szmul z nią blisko i powiada, że ponoć Złoty Most odbudowała, na gołej ziemi sypiając, alem tego nie sprawdzał, bo mi wstyd za waszmości i na szwank się narazić nie chcę. Jam też winien, że się sama boryka ze wszystkim, a dobra to dusza, i mnie we wątpiach pali, że jej usłużyć nie mogę.

– Więc wyślijcie swaty! – wyniośle prychnął Hadziewicz.

– Może myślisz, żeś do tego niezdolny?! – obruszył się pan Żaba.

– Piękna to niewiasta i szacunku godna, ale też lepszego potrzeba jej męża niżli ja, stary niedołęga.

Kacper westchnął.

– Nie sądź – kontynuował podstoli – że o tobie myślę. Nie, kiedym cię wspomniał w rozmowie, to się miecznikowa tak rzuciła, jakby ją kto żelazem przypalił. Gdyby nie dobre wychowanie, toby mnie pewnie ze dworu wyprosiła. Widać, żeś jej niemiły bardzo i ja tu rady żadnej znajdować się nie poważę. Pora sobie powiedzieć wprost: z tej mąki chleba nie będzie. Już prędzej ona swą rękę któremu z Szuksztów odda.

– Który tylko spróbuje słać swaty, długo nie pożyje, bo najpierw ze mną będzie miał do czynienia! – zachnął się podstarości.

– No patrzcie go! – Pan Żaba tak mocno odstawił kielich, aż miód trysnął na stół. – Ty pierwszy, mój podstarości, się nie ośmielisz do spraw miecznikowej mieszać. Zabraniam ci raz na zawsze! Wszystko szło dobrze, byliście po słowie, pierścień od ciebie przyjęła i do łoża cię swego dopuściła, nie dbając o reputację. Trza być rozumu pozbawionym, by mając to wszystko, odwracać się ku kasztelance! I teraz twoje dziecię kto inny będzie piastował... – Westchnął przesadnie.

– Ubiję jak psa!

– Kogo?!

– Każdego, kto stanie na mojej drodze!

– Ot, durnyś, mój podstarości, durny! Ty nikogo nie ważysz się ubić, bo tylko złość jeszcze większą ku sobie wywołasz, co na stryczek cię powieść może prostą drogą.

– To cóż robić, aby miecznikową ku sobie obrócić? Radźcie!

– Hadziewicz już nie udawał obojętnego, widać, że bolesną mu zadrą w sercu tkwił ów konflikt z Zofią.

– Niewiele możecie uczynić, by jej gniew oddalić.

– Jakąś jednak nadzieję widzicie? Radźcie zatem, co zrobić, by znów mi przychylną była, by dziecięcia, co jak mówicie, moim jest, kto obcy nie wychowywał, by znów między nami harmonia zapanowała.

– Trudna to rada, ale zda mi się jedyna.

– W słuch się zamieniam, co czynić?

– Zginać.

Kacper zawisł spojrzeniem na twarzy pana Żaby. Przez chwilę milczał, a potem zaczął się śmiać tak głośno i donośnie, jak mu się od dawna nie zdarzyło. Nadal rechocząc, wstał, uderzył się dłonią po udzie i chodził po świetlicy, wybuchając raz po raz to tubalnym, to znów piskliwym śmiechem.

– Zginać, powiadacie? – odezwał się wreszcie. – Czyli życie oddać? No cóż, fraszka to dla takiego jak ja, co ginął ostatnimi czasy dwukrotnie. Tylko na pozór czy prawdziwie? Za jakąś sprawę czy bez żadnej przyczyny? U siebie, w Turowie, a może w Winnicy na rynku dać się spalić? Jako niewinny czy też grzechem śmiertelnym obarczon? W zdrowiu czy chorobie? Samotnie czy towarzystwo ze sobą na tamten świat zabierając? Widzicie, że nie takie to proste, jak by się z pozoru wydawało.

Pan Żaba patrzył na przyjaciela z troską. Widać było, że nie pojął rady, skoro w żart ją natychmiast obrócił.

– Chcę powiedzieć, że powrotu do łaski miecznikowej żadnego nie masz, panie podstarości – rzekł smutno. – Zbyt niós jej zaufania nadużył, by jakiegokolwiek dobre uczucia ku tobie zachowała. Długom siedział ze Szmulem przy piwie i na wszelkie sposoby rozważaliśmy, jaką by dla ciebie radę znaleźć, ale nie masz nijakiej. Zofia już twoja nie będzie – dodał i patrzył, jak Hadziewicz w bezsilnym bólu rzuca się od ściany do ściany niczym zwierz w klatce. Wreszcie oparł dłoń na framudze i bił

głową, jakby rzeczywiście śmierć zamierzał sobie zadać, aż serce zabolalo pana Żabę, że patrzeć na to musi. Wstał więc, otrzepał suknie i chrząknął.

– Cóż, pora na mnie. Wybaczcie, żem z takimi nowinami przybył. Opuście myśli o miecznikowej. Może wam, jako i mnie, nie pisane rodzinę założyć? Być dobrym patriotą, gospodarzem i sąsiadem to całkiem pięknie i Bóg to będzie miał na uwadze, kiedy przed nim staniam.

Ale w Kacprze zbyt wiele było żalości i bólu, aby takie pocieszenie przyjąć.

– Diabła tam! Prędezej zginę, rozsiekam wszystkich na Turowie albo i w całej Litwie, nim mnisi habit przywdzieję! – huknął.

– A kto ci każe habit przywdziewać? Chociaż, nie przeczę, trochę by się przydało grzechów odpokutować. Może do Ziemi Świętej byś się z pielgrzymką udał?

Kacper spojrzal na podstarościego zdumiony.

– Teraz? Kiedy w kraju wrze i każda szabla na wagę złota?!

– Prawda! To może chociaż do Częstochowy? Albo przynajmniej do Kodnia!

– Akurat mnie tam wyglądają! Wrócę po prostu do konfederacji, tylko jeszcze trochę rany zaleczę. I może znajdę chwalebną śmierć w polu, jak wam się marzy.

Pan Żaba przygryzł wusa, ale od powziętego zamiaru nie chciał Kacpra odwodzić.

– A przyjedź się wcześniej pożegnać... I nie daj się ubić wrogom ojczyzny! – huknął jeszcze, aby jak baba nie kończyć.

Kacper uśmiechnął się i objął swego mentora.

– Co komu pisane.

Pan Żaba odjechał, pozostawiając w sercu podstarościego jakiś ból nieznośny, jakby się już nigdy widzieć nie mieli.

– Co komu pisane... – powtórzył Hadziewicz i gdy tylko za podstolim kurz na drodze opadł, kazał co prędzej siodłać konia.

– Dokąd, panie? – zapytał Witek, wskakując na swoją klacz.

– Do Turowa! – rzucił przez zęby podstarości. – Może tam nas wreszcie śmierć spotka – dodał ciszej, by bez potrzeby chłopaka nie

straszyć.

LXX

Kacper jechał do Turowa w ponurym nastroju. Nie w smak mu było bratać się ze Straszem, ale jak inaczej miał zeń wyciągnąć wieści o sepecie swej matki, już częściowo rozgrabionym? Sekretarz nigdy go nie lubił, nawet wtedy, gdy jeszcze kasztelan traktował Hadziewicza jak trzeciego syna, być może zazdrościł mu tej zażyłości, bo zawsze jego lekcje oceniał surowiej, a występki karał bardziej, niż gdyby to samo zrobił któryś z kasztelaniców.

Dopóki sądził, że Strasz wykonuje jedynie polecenia swego pana, Kacpra to specjalnie nie obchodziło. Tłumaczył sobie gorliwość sekretarza jego niskim pochodzeniem oraz ambicją nieco ponad stan. A że sam był hulaka i ladaco i o przyszłości nie myślał, to się Straszem ani jego intrygami nie zajmował. Przyszedł jednak czas, że podstarość przejrzał na oczy i zrozumiał, że ze Straszem nikt nie powinien zadzierać. Dopóki sekretarz nie poprowadził kasztelaniców przeciwko Gniazdu Orłowemu, jakoś się tolerowali, potem było znacznie gorzej. Hadziewicz najchętniej ubiłby Strazę gdzieś w pojedynku, ale ten na wszelki wypadek broni nie tykał. Trzeba więc było sposobu.

– Zginać nietrudno – odezwał się znienacka Witek. – Już się waszmości parę razy prawie udało.

Niepomny swych trosk Kacper parsknął.

– Ano prawda.

– Więc może i teraz się uda? Ale skoro to wasze dziecię miecznikowa pod sercem nosi, warto by ją wreszcie zaślubić.

– Dość już o tym! – warknął podstarość, jakby mu kto kij w zadawnioną ranę wraził.

Witek tylko wzruszył ramionami i już się nie odzywał. Ale widział troskę na twarzy swego pana i z serca rad by mu ulżyć. Ów jednak snadź cierpienie wolał, a może zamyślał nad jakim fortem, bo nie odezwał się aż do samego zamku. Tu Witek wśród koniuszych się zakręcił, a Hadziewicz różnym krokiem ruszył ku kancelarii. Spodziewał się, że Strasz będzie go trzymał w korytarzu, na posłuchanie nie wpuszczając, usiadł więc na ławie i popatrując na portrety Jandźwiłłów rozwieszane

jeden za drugim, zdawał się całkowicie obojętny na upływ czasu.

Pierwsza pojawiła się kasztelanka.

– Cóż ty tu tak siedzisz, jakbyś o co u kasztelana zabiegał?

– Ano widać zabiegam, skoro pan sekretarz czasu dla mnie nie ma.

Stary to sposób, alem ja nie cześnik i wywieść się na tamten świat nie dam.

Cecylia obruszyła się i bez pukania weszła do kancelarii weszła. Chwilę później niemal wybiegł z niej Strasz i kłaniając się jak komu zasłużonemu, jął prosić Kacpra do środka.

– Psubraty nie powiedzieli mi, że waćpan na posłuchanie czekasz! – skłamał. – Trzeba było ponaglić, zawołać, no przecież wszystko bym przerwał, byście czasu nie mitrężyli! – dorzucił słodko.

– Chciałbym z panem sekretarzem w cztery oczy porozmawiać – powiedział Hadziewicz, a kasztelanka, słysząc to, fuknęła zła na niewdzięcznika, obróciła się na pięcie i wyszła.

– Co was sprowadza, podstarości? – Strasz wskazał Kacprowi krzesło, ale ten nie usiadł.

– Alboż to nie wiecie?

– Domyślam się zaledwie, a przyznacie, że to nie to samo...

– Panie sekretarzu, zostaliście przez kasztelana dopuszczeni nie tylko do spraw jego, lecz także do skarbcza, w którym klejnoty mojej matki schowane nie otrzymują należytej ochrony.

Strasz drgnął nieznacznie, ale wnet na twarz przyoblekł szeroki uśmiech i rzekł z nietajonym zdumieniem i troską:

– Jakże to możliwe? Waszej matki?

– Sepet z drewna orzechowego na przechowanie tuż przed śmiercią kasztelanowi powierzyła, mam dokumenty ze spisem, a wy kasztelance te kosztowności niczym swoje oddajecie!

– A skąd mam mieć pewność, że dokument niepodrobiony?

– Strasz próbował się targować.

– Bo to nie moja specjalność dokumentów podrabianie. Nikt mnie nigdy nie oskarżył, że komukolwiek coś chciałem odebrać, na fałsz się powołując.

Strasz aż się z fotela poderwał.

– Insynuujecie, że ja...? Że kasztelan...?

– Niczego nie insynuuję. Oddajcie sepet, a we mnie przyjaciela znajdziecie.

Sekretarz zamyślił się przez chwilę.

– Bez rozkazu kasztelana niczego ze skarbcza wydać nie mogę.

– Ale zabrać możecie?! – obruszył się Hadziewicz. – Coś mi się widzi, że was nadmiernym zaufaniem kasztelan obdarzył. – Może byłby ciekaw, jak z waszej przyczyny jego starszy syn na tułaczkę i śmierć niemal wygnany został?

– Z mojej przyczyny?! A to paradne doprawdy! Jam ten rozkaz wydał?! Niemal na klęczkach błagałem kasztelana, aby pochopnie syna z zamku nie oddalał!

– Ale ten nie dał się ubłagać... A to, że Cecylia ze Stanisławem za błahostkę w lochu niemal do śmierci doprowadzeni zostali, to też nie wasza rada? Oj, Strasz, Strasz, wy się jeszcze doigracie... Jednak wtedy nikogo nie będzie, co by chciał waszej niewinności dowieść. Może to i lepiej? Poczekam z tym sepetem, ale jeśli choć jednej sztuki będzie brakowało, to was przed sąd pozwę!

– Mnie? – prychnął Strasz.

– Tak, a kasztelanka, pani Lange... – poprawił się. – Będzie świadczyć.

Coś jakby cień przestachu pojawił się w spojrzeniu sekretarza, ale wnet Strasz znów swą dawną butę na twarz przywołał.

– Pani Lange? Doprawdy? Śmiem wątpić – rzucił, nie kryjąc pychy, a Kacper spojrzał nań z ukosa i z pozorną niewinnością brew lewą uniósł.

Nie wiedzieć czemu to rozwścieczyło Strasza.

– Więc to tak?! Zmawiacie się za moimi plecami, żeby na szkodę kasztelana działać?! Ale wróci on lada dzień i zobaczymy, czyje będzie na wierzchu!

– Rzekłeś, waćpan – obojętnie odpowiedział Kacper.

– Zobaczymy.

Wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Zaczekaj! – rzucił się ku niemu sekretarz. – Kasztelan ponoć chory do zamku wraca. Dajże mi go przyjąć godnie i wtedy przyjedź, bo teraz mam głowę czym innym zajęta.

– Oj, wierzę, wierzę...

Nim dokończył zdanie, do kancelarii weszła Cecylia. Zmierzyła wzrokiem obu mężczyzn, jakby z ich twarzy chciała zgadnąć, za którym lepiej jej się opowiedzieć, ale widać niczego z ich lic nie wyczytała, bo rzuciła nerwowo:

– I cóż, waszmościowie?

– Zastanawiam się właśnie, czy straży nie wezwać, bo niecna tu padła propozycja, bym skarbiec kasztelański obrabował – obruszył się Strasz.

Słyszając to, Cecylia nieoczekiwanie wybuchła śmiechem, co stropiło sekretarza.

– Wszakżeś już dawno to zrobił i tylko dzięki mnie i Kacprowi uda się ten fakt zataić przed kasztelanem.

– Jakimże sposobem?

– Jeśli dasz nam to, o co prosimy, a my zechcemy milczeć, to wszak kasztelan jeszcze długo może żyć w nieświadomości, jaki z ciebie niecny sługa. Oddaj Kacprowi zawartość sepetu, skrzynkę zostaw, jak stała. To samo zrób z klejnotami mojej matki. Jeśli kasztelan jest chory, nie będzie sprawdzał skarbcza. W każdym razie nie od razu. I może unikniesz kary.

– Nie macie wyjścia. – Kacper westchnął z pozornym żalem. – Za przyjemności trzeba płacić...

Cecylia, żeby mu dopiec, podeszła do Hadziewicza i udając czułość, pogładziła go po policzku.

– Ale, ale... Mój Strasz... – ciągnęła, patrząc w oczy Kacpra.

– Nie skończyliśmy jeszcze ze sobą... Oczekuję, że dziś również przyniesiesz mi piękny prezent... Wiesz co...

Strasz przełknął ślinę i opuścił głowę zmieszany.

– Więc jak będzie, panie sekretarzu? – dopytywał się Kacper.

– Załatwimy sprawę czy całkiem bez przyjaciół chcesz waść zostać?

LXXI

Więc mówicie, że Monti i prymas Potocki uwięzieni?

– zatroskanym głosem rzekł król Stanisław. – Ostatni sprawiedliwi, którzy nie odwrócili się od naszego tronu...

– Nie ostatni, panie! – gorąco zapewniał Solignac. – Wielu ich, a król Prus najpierwszym z waszych stronników!

Leszczyński wsparł głowę na dłoni i zapatrzył się w podłogę. Upłynęła dłuższa chwila, zanim co rzekł.

– Myślisz, przyjacielu, że te marne trzysta talarów na utrzymanie i ten zimny zamek, w którym mnie Fryderyk Wilhelm osadził, to dowód przyjaźni? – powiedział wreszcie ze smutkiem.

– Jakże to inaczej rozumieć, panie? – dopytywał się sekretarz.

– Ano tak, żem pionkiem w jego rękach, którym partię między Sasem a Rosją rozgrywa. Dopiero co był gotów sprzedać mnie za kawał ziemi, więc jakże mam się cieszyć z tej gościny? Więznięm ja jego, nie gościem. Bym kroku nierozważnego nie uczynił, pilnuje mnie oddział pruskich grenadierów. Mógł mnie król wesprzeć, gdym był w Gdańsku oblężony, wtedy to miałoby sens. Ale mu się za słabszym stanąć nie opłacało. Niskie i pożałowania godne, jak się ten królik wysługuje silniejszym od siebie! Na cóż liczy?! Że go do grona europejskich monarchów przyjmą?! Niedoczekanie!

Z zawisłym w powietrzu piórem Solignac popatrzył na króla, by gdy co godnego uwiecznienia powie, zapisać to w księdze. A król kontynuował.

– Przyjacielem mnie swoim nazywa? Ale ponoć uważa, że nadaje się bardziej na króla Lotaryngii! Ja królem Lotaryngii, no, Solignac, słyszałeś podobne brednie?! – Leszczyński wstał z fotela i w bezsilnej złości zaczął chodzić po komnacie.

– Jeszcze Wasza Wysokość odbierze Polskę Sasowi! Coraz więcej poddanych zjeżdża do Królewca. Dużo młodzi gotowej umierać za wasz majestat.

– Słyszałem. Młódź się garnie, bo nie ma nic do stracenia, niczego jeszcze nie osiągnęli, smaku życia nie poznali, chętnie by co starszym

uszcześnie, ale starsi, a zwłaszcza arystokracja, Augustowi na wypródkę przysięgają. – Król westchnął z żalem. – Co robić? Armii nam trzeba, by wojnę wygrać, nie młodzieży, choćby i najbardziej zapalanej. Pensja, co mi ją król pruski wypłaca, na armię nie wystarczy, na mego zięcia nie mam co liczyć, bo gdyby mu Polska na sercu leżała, nie dałby kardynałowi Fleury’emu gęby sobie obietnicami wycierać. Nikomuśmy niepotrzebni, mój Solignac...

– Nie upadajcie na duchu, panie! Tyle wytrwaliście, oblężenie, bomby, ucieczkę przez bagna, czy to nie znak od niebios, że wszystko jeszcze być może?

– Ale już coraz bardziej zmęczony, mój przyjacielu.

Do kancelarii cicho wsunął się szambelan. Stanął przy drzwiach, czekając, aż mu król zezwoli oznajmić, z czym przybywa. Na znak monarchy skłonił się i rzekł:

– Kupcy holenderscy proszą o posłuchanie.

– Odprawcie ich, nic mi nie trzeba! – król fuknął zezłoszczony, że mu przeszkadzają.

– Kiedy im, Wasza Wysokość, nie o handel idzie. Żądają sądu nad jednym z dworzan.

– Kupcy?! Nad którym?

– O Jana Jandźwiłła im chodzi. Podobno się raptu dopuścił na ich dziewczecę.

Król, początkowo zniechęcony, ożywił się nieco. Nie chciał wierzyć, że szlachetny i prawy, jak mu się zdawało, młody Jandźwiłł, był zdolny do takiego czynu. Uznał więc monarcha, że sprawę rozważy i obu stronom głosu udzieli.

– Poszukajcie no mi Jandźwiłła, a kiedy się stawi, kupców przyjmę.

Niedługo potem nieco stropiony Jan zameldował się u szambelana. Na korytarzu spotkał trzech Holendrów, w tym człowieka, który groził mu w Gdańsku i do wyjazdu namawiał.

– O cóż poszło? – zapytał król.

– Córkę mą porwał! – rzekł najstarszy z przybyszy. – Najpierw w Gdańsku ją zbałamucił, a kiedy go o jej poniechanie prosił, to co prawda wyjechał, ale nie sam!

Jan stał cicho i ze wstydem w podłogę patrząc, czekał, aż mu król głosu udzieli. Wszystko się jednak w kasztelanicy gotowało na taką niesprawiedliwość. Noga mu drżała, jakby uciekać chciał albo na koń wskoczyć.

– Prawda to, co ów człowiek powiada? – zapytał wreszcie Leszczyński.

– Najjaśniejszy Panie, kłamie on, bom Gdańsk wbrew swojej woli opuścił, ulegając przymusowi tegoż właśnie kupca. Użył wobec mnie siły i grożąc mi, do ucieczki z miasta zmusił. Jako i wy, panie, przemykałem wraz ze sługą pomiędzy nieprzyjaciółmi, narażając się na niewolę, a może i na śmierć. Zostawiłem w mieście mój honor, bom nie wiedział, że podzielam los Waszej Wysokości. Alem słowa danego pod przymusem dotrzymał.

– Cóż więc kupcze robisz w Królewcu? – nie rozumiał monarcha.

– Córki szukam, co za tym tu z Gdańska odpłynęła.

– A skąd ci wiadomym, że ona w Królewcu przebywa?

– Bo mi rzekli, co ją widzieli, jak w Gdańsku na statek wsiadała.

– Zatem o co prosisz, dobry człowieku? – Stanisław Leszczyński zaczął mieć dość tego posłuchania.

– Byście ukarali owego kawalera za złamanie danego słowa i przymusili go do córki mej poślubienia, skoro honor jej zhańbił.

Król popatrzył na nietęgą miną Jana Jandźwiłła. Więcej w niej było bólu i rozpacz niż młodzieńczej hardości. Widać, że myśl o poślubieniu owej dziewczki budzi w nim lęk jedynie i niepewność.

– Szlachetny panie – król zwrócił się do kupca. – Taki to już widać los ojców dorastających panien, że czasem im one trosk przysparzają. Jam spotkał tego tu kawalera samotnie zdążającego do Prus, nie było z nim waszej córki.

– Bo się pewnie wcześniej zmówili, że każde osobno w podróż wyruszy! Skąd wiedziała, dokąd on zmierza? Mieliśmy wracać do domu, wszystko już było przygotowane, towar załadowany, gotowi byliśmy odbijać!

– Więc dlaczego córki nie zabierzecie, choćby siłą, tylko chcecie przymusić szlachcica do ślubu? Wszak taki sakrament wartości żadnej przed Bogiem mieć nie może! A na dodatek on, jak mniemam, katolik,

wy zaś wiary protestanckiej jesteście, czyście dobrze przemyśleli swą prośbę?

Kupiec zwiesił głowę i przez dłuższą chwilę milczał.

– A wy, młodzieńcze, wiecie, gdzie kupcówna przebywa?

– W oberży Pod Końskim Łbem.

– Widzicie?! Wszak się wydał! – wykrzyknął kupiec.

– Alem jej nie tknął, od kiedy do Królewca przybyła... – tłumaczył się Jan.

– W to już nikt o zdrowym umyśle uwierzyć nie zdoła! – krzyknął Holender i rzuciłby się na Jana z pięściami, gdyby go wzgląd na królewski majestat i lęk przed uwięzieniem nie powstrzymał.

– Mości Jandźwił – rzekł poważnie król. – Nakazuję wam miejsce pobytu panny wskazać i oną w ręce ojca wydać. Ażeby mi się bez burd jakowychś obyło, pójdzie z wami kilku grenadierów z mojej gwardii i porządku dopilnują. Wy, mości kupcze, pójdźcie z nimi. A córkę należy otoczyć ochroną, by wam już więcej nie uciekała.

Słudzy otwarli drzwi na znak, że posłuchanie zakończono. Jan ukłonił się królowi i ze zwieszoną głową wyszedł na korytarz. Nie zwracał uwagi ni na kupca, ni na resztę orszaku, szedł prosto ku karczmie, w której przebywali Stanisław i Suzanne. Żadne się zresztą nie spodziewało takiego obrotu sprawy. Jan wskazał kupcowi budynek i nawet nie wszedł do środka; ukrywszy się kilka domów dalej, słyszał Suzanne wołającą pomocy, jakby ją zbójcy napadli. Widział, jak ją niesie zarzuconą na ramię, niczym jagnię na rzeź wiedzione, ów olbrzym, który nań napadł w Gdańsku. Stał i patrzył bez słowa, bez smutku i bez radości.

– Wiesz, co się stało? – zapytał Stanisław, gdy Jan wreszcie wrócił na kwaterę. Jan tylko kiwnął głową. – Tak będzie dla wszystkich najlepiej. Bóg nam zesłał tego ojca – dodał ponuro.

Jan podobnie się zasepił. Takie jak Suzanne porzucało się bez skrpułów, dlaczego więc czuł wyrzuty sumienia? Wszak nigdy by jej nie poślubił. Nie wyrzekł się wiary ojców. A ona? Kim byłaby w Turowie? Posługaczką? Znajdzie jej ojciec zacnego męża, kupca i będą żyć szczęśliwie. Z czasem zapomni, z czasem oboje zapomną.

– Muszę wyjechać – powiedział głucho.

– Dokąd? – Stanisław nie zrozumiał.

– Nic po mnie na dworze. Zhańbiony nie będę mógł spojrzeć królowi w twarz. Wracam na Litwę, może uda mi się zginąć w walce z Rosjanami i przynajmniej w ten sposób honor uratować?

Stanisław nic nie rzekł. Sam nie wiedział, co go tak długo zatrzymało w Królewcu. Jemu też już pora była wracać.

LXXII

Upalne dni spędzając pod drzewami, ciepłe zaś wieczory na opowiadaniu historii księżniczek i rycerzy, branek tureckich i nałożnic w haremach, a także panien i niewiast przez wilkołaki i utopce zniewolonych, trupa Komediantów Jego Królewskiej Mości wędrowała od miasteczka do miasteczka. Trzeba przyznać, że na głód nie narzekali, bo zawsze się znalazł ciekaw opowieści kupiec lub jaki szlachcic w drodze pozostający, ale zarobić na wóz z koniem, aby nie na własnych nogach, tylko rzemiennym dyszlem drogę przemierzać, okazało się niezmiernie trudno.

– Radź, obraźniku, co nam czynić trzeba, by powagi jakiej dostąpić? – zamartwiał się kat. – Trza nam więcej do czapki zbierać, wóz z chabetą kupić i jakie stroje bogatsze, bo zamożniejszy zawsze uważniej jest słuchany i lepiej opłacany.

– Sposobu na to nie masz innego, jak kogo na drodze ograbić.

– Nie o to nam wszak chodziło, by dać głowę za taką podłość!

– wyrwała się oburzona Maryna.

– Czym ja wam obiecywałem, że będziemy jako pan udzielny karocami się od miasta do miasta przenosić? Nicem takiego nie mówiłem. Komedianci i sztukmistrze raz zarobią, raz stracą, a bywa, że i kijami z miasta przegonieni zostaną, kiedy się w ich bajaniu co nie spodoba. Wszyscyśmy równi na tę wędrowkę wyruszali, groszem złamanym nie śmierdząc. Miesiąc nie minął, a waćpanna już by się wozem chciała poruszać? A może kareta i w złotogłów ubrana łaskę pospólstwu udzielać?! – unosił się coraz bardziej obraźnik.

– Jeśli taka wola, zawsze możesz do Skrzeczewic albo Brześcia wrócić! – mruknął kat.

– A gdybyśmy tak zamiast do Lewartowa, jednak ku stolicy ruszyli? – zaproponował Bartek. – Byłem tam i wiem, gdzie by osiąść można. Większy tłum to większe zarobki.

– Aleśmy z naszą grą niegotowi jeszcze! – perswadował kat.

– Zanim do stolicy dotrzem, to i wprawy w bajaniu nabierzem!

– zapaliła się Jagna. – Nikt poza Bartkiem i może wami, obraźniku,

Warszawy nie widział. Jam tam gotowa pójść choćby i na klęczkach!

– A wy, kamraci, co sądzicie? – obraźnik zwrócił się do kata i zbójcy.

– Moja rada: zamiast do Lewartowa, na Radzyń ruszyć, a przed nami drogi na miesiąc z okładem i miast bez liku. Radzyń, Łuków, Siedlce, Kałuszyn, Mińsk, a także pomniejsze. Zanim do Warszawy dotrzemy, w sztuce naszej się wprawimy, a wtedy i o sukces łatwiej! – rzucił zbójca, łypiąc na Marynę i przygarniając ją ku sobie.

Złakniony już był amatorów, a kiedy dziwy po karczmach opowiadał, dziewczka patrzyła nań oczyma wielkimi z zachwytu. I nie omylił się Bartek w swych rachubach. Kiedy zgarnęli grosz rzucony przez słuchaczy w parczewskiej karczmie, Maryna, pociągnięta za rękę, ruszyła bez słowa. Wnet zniknęli w mrokach nocy, pewnie by lec gdzie pod jakim drzewem nieopodal i tam się miłosnym igraszkom oddać. Reszta poszła ich śladem. Obrażnik już dawno na Jagnę łakomie spoglądał. Ona też nie była od tego, kiedy więc zerknął ku niej i uczynił nieznaczny ruch, sugerujący wyjście na zewnątrz, skinęła tylko głową i podobnie jak Maryna podążyła za nim, aby lec gdzie pod gruszą i rozkoszować się letnią nocą.

Kat marudził najdłużej. Siedział sztywno, popatrywał po kątach, Walerce się wydawało, że się już nigdy nie zdecyduje, a ona na pośmiewisko przez inne dziewczki wzięta zostanie. Przysunęła się więc ku niemu i ocierać nogą o jego nogę poczęła.

– Czemuście tacy markotni, kacie?

– Ja? To wam się tylko tak widzi.

– Podobam się katu? – rzuciła wprost. – Bo jeśli nie... Tamci poszli, nam też by wypadało, bo inaczej żartować sobie będą. Czyśmy to gorsi, że jak te kołki w płocie tkwimy, kiedy oni tam wywczasu zażywają?

Kat chciał się jakoś wytłumaczyć, opowiedzieć o wiedźmie, której czar zapewne wciąż nad nim wisi i ani chybi niemoc nań sprowadzi w najważniejszej chwili, na pośmiewisko go wobec niej narażając. Ale spojrzał i poczuł, że może się myli, może tamta już mocy nad nim nie ma, bo zdało mu się, że zdolnym będzie do wypełnienia tego, czego Walerka oczekiwała. Dał się jeszcze chwilę prosić, bo głowę tak

przekrzywiła ucieszenie i usta wydeła, aż się je chciało własnymi zdusić i sprawdzić dłonią, czy rysujące się pod koszulą piersi ma jędrne. Napawał się tą chwilą kat, aż wreszcie wyciągnął ku niej dłoń i oni też ruszyli na poszukiwanie jakiego stogu siana, by w nim harce aż do świtu wyprawiać.

Słońce już stało wysoko, kiedy się wszyscy pod karczmą zjawili. Zmęczeni i senni, z włosami w nieładzie, ale nie krzywiąc się ni narzekając, weszli do oberży i zażądali kaszy na grubych skwarkach, jajecznicy i chleba. Oberżysta zdziwiony wielce, bo już się tych wagabundów nie spodziewał ujrzeć, przygotował, co tam miał w komorze, a oni zjadłszy, ruszyli drogą na Radzyń.

Nie odeszli i pół mili, gdy ich jakiś konny dognał. Pędził na łeb na szyję, coś tam pokrzykując, więc zeszli z drogi, aby mu na zawadzie nie stać. On jednak, zrównawszy się z nimi, konia zatrzymał i rzecz przedziwną obwieścił. Oto zapraszał ich do siebie pan na Królewskim Dworze! Początkowo nie zrozumieli, wyobrażając sobie, że ich sława już do samego Augusta Sasa dotarła. Potem dopiero się okazało, że majątek zwany Królewskim Dworem jest własnością pana podkomorzego Ostrowskiego, któremu sługa o tym, co się działo w oberży, zdał sprawę, i możny pan zaprasza trupe w gościnę.

– Poczytujemy to sobie za zaszczyt ogromny, ale, mości kawalerze... – zawahał się obraźnik – goni nas czas, bośmy już do Radzyna zaproszeni.

Pozostali popatrzyli po sobie, jednak żadne słowa nie rzekło.

– Ale wszak nie odmówicie grzecznej prośbie? Pan mój hojnie was wynagrodzi, byście tylko pokaz dali na Święto Wniebowzięcia i gości jego ku ukontentowaniu przywiedli.

– Czemu nie, to dla nas nie pierwszozna. Tylko widzicie... W Radzynie mieliśmy otrzymać sowitą zapłatę, która nam skradziony wóz i stroje by wynagrodziła. Bo, jak widzicie, ostaliśmy się tylko w tym, co na sobie mamy.

Posłaniec pana na Królewskim Dworze kiwnął głową, nie wiedzieć: ze współczuciem czy też niedowierzaniem.

– Zawróćcie i idźcie prosto tą drogą, na krzyżówkach w lewo

skręcając. Droga was doprowadzi. Pojadę przodem i powóz po was każę przysłać. A uciekniecie gdzie na bok, to odnaleźć każę i wlepić baty, że ruski rok popamiętacie.

– Gdzież byśmy mieli uciekać, skoro tak pięknie zapraszają? Nie wiem tylko, zali my nie za ubogo odziani, by we dworze pańskim się pokazywać? – nadal targował się obraźnik.

– Coś tam się dla was znajdzie, byście się mogli godnie zaprezentować – rzucił przybysz, cmoknął na konia, spiął go kolanami i kurz na drodze wznosząc, pędem ruszył z powrotem.

Pierwszy zarechotał Bartek.

– A to mi nowina! Śnię ja czy też naprawdę na królewskim dworze wystąpić nam przyjdzie?

– Nie na królewskim dworze, tylko w Królewskim Dworze – sprostowała Walerka.

– To nie ma znaczenia! Gwiazda szczęśliwa nam dziś zajaśniała i nie jest ważne, czy pan dworu nazywa się August Sas czy podkomorzy Ostrowski, bo kto na królewskim dworze wystąpił, ten do miana Komediantów Jego Królewskiej Mości słuszne ma prawo!

Pokiwali głowami i rażno ruszyli drogą wskazaną przez sługę imć podkomorzego. Rzeczywiście w kilka pacierzy wyjechała ku nim wygodna drynda. A kiedy około południa dotarli do Królewskiego Dworu, zobaczyli bogate obejście, budynki schludne i wiele służby kręcącej się tu i ówdzie. Nie zdziwiło ich kordialne przyjęcie. Podkomorzy gości oczekiwał, a taka atrakcja, jak wędrowna trupa, się tutaj nie zdarzała, toteż sąsiadów zadziwić, nie tylko obiecał suto wynagrodzić komediantów, lecz także w nowe stroje ich przyodziać i do Radzyna, kiedy czas przyjdzie, odstawić.

Jagna, siedząc w cebrze pełnym gorącej wody, rozglądała się po izbie czeladnej. Pierwszy raz w życiu myła się pachnącym mydłem! Westchnęła, jakby się już w siódmym niebie znalazła.

– Anim się takiego przyjęcia spodziewała, ani takiej kąpeli. A co na suknię popatrzę, to mi się płakać zachciewa... Cóż to za państwo łaskawi, jaka u nich hojność nadzwyczajna, jaka dobroć! – rozpływała się szczęśliwa.

– Oby nas tylko psami nie poszczuli, jak nam co nie wyjdzie. Bo

nie masz nic gorszego ponad niezadowolone państwo. Kto wie, co im ten sługa nagadał? Wszak nie to samo przy miodzie bajdy w oberży pleść, co u wykształconego obywatela na salonach stanąć. Mnie tam nie do śmiechu wcale – zamartwiała się Maryna. – A jeśli im się nie spodoba?

Jagna się zasępiła.

– Dość już czasu zmitrężyłaś! – krzyknęła Walerka. – Wyłaźże z tego cebra, teraz moja kolej! Będiesz marudzić podczas toalety.

Do izby weszła służka i dygnawszy jakby jakiemu państwu, zapytała, czy której czego nie trzeba. Walerka o wrzątek poprosiła, bo myjąc się po Jagnie, wodę już nieco wystudzoną dostała. Służąca znów dygnęła, śmiech dziewczek wzbudzając, i wnet z cebrzykiem wrzątku przybiegła.

– Co wam powiem, to wam powiem, alem nigdy takiego zaszczytu nie dostała, żeby kto przede mną dygał i wodę mi do cebra nalewał! Jeśli tak dalej pójdzie, to nas jeszcze na prawdziwym królewskim dworze przyjmą – rozmarzyła się Walerka.

– A ja to tylko bym chciała, aby mnie tych trzewików i tej sukni pozbawić nie chcieli, bom tak pięknej jak żyję nie widziała! – westchnęła Jagna.

LXXIII

Trzech dni potrzebował podkomorzy, aby powiadomić sąsiadów. Gońców zatem do okolicznych obywateli wysłał z zaproszeniem na niedzielny obiad i niespodziankę, o której służy nie ważyli się pisać ni słówka ponad to, że jest ekstraordynaryjna¹. Tymczasem według instrukcji obraźnika budowano w ogrodzie scenę. Ludzi miał podkomorzy chętnych i pracowitych, zwłaszcza cieśla radował się jak dziecię, bo nigdy nic podobnego nie stawiał. Najpierw wysłuchał więc, jak ma wyglądać podest i słupy do zasłony, a potem razem z pomocnikiem w dni dwa go pośród drzew umieścił.

W tym samym czasie artyści szykowali swe przedstawienie. Krępowwały ich rozliczne obawy i nagła, zgoła nieoczekiwana trema. Obrażnik jedynie i Bartek zimną krew zachowywali, reszta niczym kurczęta z lęku przed ośmieszeniem się kulila, role swe wypowiadając cicho i bez przekonania.

– Jeśli was tak pętać będzie ten majestat pański, to nikomu nasza opowieść do gustu nie przypadnie. Śmiało macie mówić i głośno, tak jakbyście wszelką wiedzę posiadli i na salonach wielmożów bywali – instruował ich obraźnik.

– Ale jak to zrobić, skorośmy tylko dziewczkami ze Skrzeczewic, co nawet porządnych sukni nie mają?!

– Ich to nie obchodzi wcale i kiedy na was patrzą, to nie widzą kata, zbójcy i dziewczek z zamtuza, tylko królów, księżniczki, utopców, wilkołaki i smoki. Skoro oni to widzą, wy nie możecie temu przeszkadzać. Komediant musi mieć wiarę w to, co oddaje na scenie, inaczej przepadnie. Stać prosto, patrzeć w oczy, mówić swoje i liczyć na aplauz. Widzieliście, z jakimi honorami nas ów podkomorzy przyjął? Jakbyśmy książętami udziałnymi byli! A czemu? Bo stąd do świata daleko i odrobina odmiany jest zawsze pożądana. Ludzi po sąsiadów rozesłał, aby się nami pochwalić. Skoro zatem gospodarz uznał, żeśmy godni, wam żadnych wątpliwości w tym względzie mieć nie wypada! Dobrze się spisujemy, to po niejednym dworze przyjdzie nam popasać, bo nie ma nic lepszego, niż gdy się jeden gospodarz przed drugim pochwali.

Sprawicie się dobrze, to do wiosny małmazyję pić będziecie. Tylko zamiast zrzędzenia chcę widzieć uśmiechy i entuzjazm! I głośno mówić, bo was nie usłyszą. Pamiętajcie, nie przed takimi spektatorami występowaliście! Sam król was z ukontentowaniem oklaskiwał, bisów się domagając.

Popatrzyli po sobie, a w oczach czało się im pytanie, skąd ten obraźnik tyle rzeczy wie? Ale dochodzić szczegółów nie było czasu, bo we trzy dni musieli całość swej opowieści przegadać i w nowej się sytuacji rozeznąć. Święto Wniebowzięcia przypadało w niedzielę i po mszach porannych zaczęli do Królewskiego Dworu zjeżdżać sąsiedzi z okolicy. Podkomorzy aż się skręcał z radosnej niecierpliwości, jaką im siurpryzę wykreśli, kiedy po wetach wszyscy przejdą do ogrodu i zasiądą w cieniu, aby *theatrum* obejrzeć. W sobotę wieczorem kazał sobie pokazać baśń już dwukrotnie przećwiczoną i wielce ukontentowany tym, co zobaczył, jeszcze lepszych zażądał szat dla dziewczek i Bartka, aby rzeczywiście na księcia i księżniczki perskie wyglądali.

Tego wieczoru ani Bartek, ani obraźnik, ani kat wina, miodu, ni piwa nie tknęli. Dziewki biegały raz po raz za potrzebą, choć od śniadania nic w ustach nie miały. Każda szukała miejsca odludnego, aby kołaczące z trwogi serce uspokoić, i siadała, gdzie popadło, bo drżące nogi unieść jej nie były zdolne. Gdy nazajutrz około południa przez szeroko rozwartą bramę zaczęli wjeżdżać pierwsi goście, komedianci siedzieli w jednej z izb. Zamknięci, by ich kto niepowołany ujrzeć nie zdołał, niewiele mówiąc, czekali na znak. Po zachodzie słońca wymknęli się do ogrodu i za gęstą zasłoną miejsce zajęli, podglądając, ilu też spektatorów mieć będą. Krzesel i foteli w trawie stało parę tuzinów. Z przodu zacne, obijane karminowym suknem, gdzie zasiąść mieli starsi i znaczniejsi goście, dalej w krzesłach młódź i dzieciarnia, a na końcu służba. Drogę oświetlały ustawione przez służbę lampiony, które gdy zapalono, podkomorzy w pierwszej parze na miejsce korowód poprowadził.

Wśród żartów i przekomarzań goście usiedli, popatrując na podest, który oświetlały oliwne kaganki. Obraźnik uświadomił sobie w tej chwili, że przydałby się jaki bęben, aby widzów uciszyć, dając sygnał rozpoczęcia widowiska, ale już było za późno. Przy rozmowach i żartach

rozsunął więc kurtynę, licząc, że zaciekawieni widzowie sami ucichną.

– Szanowni goście tego tu sławnego dworu – rozpoczął. – Z kraju dalekiego przybywamy, aby wam opowiedzieć historię o kasztelance, co się w kochanicę wilkołaka podczas pełni księżyca przemieniała. A kto strachliwy lub nerwy ma słabe, niech mu sole trzeźwiące zawczasu przygotowują, bo tu dziwów a strachów moc wielka będzie. Działo się to w kraju odległym, Persyją zwanym, gdzie limony i inne zamorskie frukta na drzewach rosną, w rzekach i lasach stwory straszliwe naszym niepodobne zamieszkują. Dziwny to kraj i ludzie, a obyczaje w nim niezwykle, bo czarów i mocy tajemnych doświadcza się na każdym kroku. W owym niezwykłym kraju żyła sobie piękności księżniczka... – zamilkł i wyciągnął dłoń ku Marynie, która drobiąc kroki, z ustami w ciup i wzrokiem wbitym w ziemię podeszła bliżej skraju sceny. Jej strój przypominał odzienie polskiej szlachcianki, udziwniony wszelako zwisającymi jedwabnymi szalami i wykonaną naprędce tiarą, mógł od biedy uchodzić za przebranie księżniczki perskiej.

Ale widzom to nie przeszkadzało. Nikt z nich w Persji nie był, może kto zaledwie słyszał coś od kupców wędrownych, a zawsze to były dziwy nie do pojęcia. Siedzieli więc z ustami otwartymi, tak dziatwa i młódź, jak dorośli i starzy, widowisku się przypatrując, i nawet jeśli który z komediantów swój tekst zmylił, to nikomu to nie przeszkadzało, bo losy nieszczęsnej kasztelanki przykuwały całkowicie ich uwagę, a porównać ich z czym nie mieli.

I kiedy komedianci całą już opowieść wysnuli, kłaniając się na znak zakończenia, brawa się zerwały niczym letni huragan, widzowie zaś bisów się zaczęli domagać. Wypchnęli więc Bartka, aby im historię Rabińskiego opowiedział, bo w tym nie miał sobie równych. Znów śmiechu było i radości, gdy zbójca o swych przygodach opowiadał, a z każdym wybuchem Rabińskiemu jakby skrzydła rosnać poczynęły, bo kolejne jeszcze śmieszniejsze zdarzenie przywoływał, tak że nawet matrony chusteczki do oczu przykładają.

– Jeszcze – wołali. – Bis! Bis! – I obraźnik poczynął się niepokoić, bo cały już swój repertuar przedstawili, ale na szczęście ochmistrzyni zadzwoniła na kolację i goście poczęli się z miejsc podnosić.

Zaczerwieniony od śmiechu i ukontentowany wielce podkomorzy

Ostrowski przyszedł we własnej osobie za kurtynę i okazał mieszek ze złotymi monetami wręczył obraźnikowi.

– A jutro was do samego Radzyna odwiozą! Aleście mi gości rozbawili, długie lata będą to wspominać! Jeszcze u żadnego z sąsiadów *theatrum* się nie odprawiało! Na Stanisława w przyszłym roku zapraszam z nową jaką komedią! Ugoszczę po królewsku! – Zatarł dłonie i odszedł, aby dołączyć do pozostałych gości, wycieńczeni zaś komedianci usiedli na scenie.

– No i macie. To się nazywa triumf! – cieszył się Bartek.

– A tyś chciał po sądach występować – przypomniał mu kat.

Maryna wyciągnęła się, jakby na jakim drogim łożu, nie na gołych deskach leżała, i westchnęła głośno.

– Obrażniku, tyś największym czarodziejem!

– Ale bo też ten podkomorzy to prawdziwie po królewsku nas przyjął! I groszem sypnął... – Potrząsnął sakiewką. – Mniemam, że dla wszystkich wystarczy, a może i na chabetę jaką...

Zaśmiali się zadowoleni. Niedługo potem przyszedł sługa i do osobnej ich izby zaprosił, gdzie mieli przygotowany posiłek i napitki. Żegnani wylewnie i serdecznie zapraszani na przyszły rok, rankiem następnego dnia wyjechali Komedianci Jego Królewskiej Mości ku Radzyniowi.

Wyjątkowa, szczególna (łac.). [wróć]

LXXIV

W niedzielę Wniebowstąpienia orszak kasztelana dojeżdżał do Winnicy. Tadeusz Jandźwiłł czuł się coraz gorzej i żadne usiłowania Dietricha nie mogły poprawić jego stanu. Chory kasztelan gorączkował, bolało go całe ciało, miał wzdęty brzuch, oddychał z trudem.

– Jeszcze tu gdzie umrę po drodze, domu ni bliskich nie obaczywszy! – wzdychał w rzadkich chwilach odzyskiwania przytomności.

– Wasza miłość dojedzie i z choroby się wykaraska! – żywo oponował medyk, w którego arsenale pozostawało już tylko lekarstwo nadziei. – Dotrzemy na miejsce, to krew puszczyć albo pijawki przystawię i zaraz się lepiej poczujecie. Czyżem was kiedy oszukał?

– I nie raz jeden! – próbując żartować, zmęczonym głosem odrzekł Jandźwiłł, ale swoje wiedział. Gorączka trawiła go od środka, a upalna sierpniowa pogoda przysparzała dodatkowych cierpień.

Kareta toczyła się powoli, ostrożnie prowadzona przez woźnicę, ale i tak raz po raz podskakiwała na przydrożnym kamieniu lub wpadała w jaki dołek. Kasztelan czuł, że to ostatnia już jego godzina. Pojękiwał z cicha, przypominając sobie czasy, kiedy mógł spędzić dwa dni w siodle bez jedzenia i snu, zagrzewany wyłącznie gorączką bitewną. A potem wystarczyło zdrzemnąć się krótko na derce pod drzewem i człek był gotów do dalszej drogi.

– Co dziś za dzień mamy? – wychrypiał z trudem.

– Niedziela – odpowiedział Dietrich.

– Jakiego świętego?

– Wniebowstąpienie Najświętszej Maryi Panny.

Kasztelan odchrząknął i zamknął oczy. Przez chwilę oddychał ciężko, raz czy dwa otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, wreszcie rzekł:

– Chyba Bóg takiego grzesznika jak ja nie wyróżni, zabierając go w tak wielkie święto?

– Jeszcze wam nie pisane – spokojnie, choć bez przekonania, odparł medyk.

- Daleko do Turowa?
- Dzień drogi. O zachodzie staniemy w Winnicy.
- O zachodzie, powiadasz? To dobrze. Przenocuję u karmelitów.

Daj mi trochę wina.

Dietrich ucieszył się z tej prośby. Sięgnął po bukłak, ale upiwszy nieco, stwierdził, że wino skisło. Uchylił więc okienko karety i krzyknął do towarzyszącego im jeźdźca, aby od kucharza trochę wina w kubku przywiózł. Słońce zachodziło właśnie za lasem i upał zelżał. Medyk zmienił kompres na czole kasztelana, ale ten ani się odezwał. Ujął więc dłoń chorego, aby zbadać puls, i poczuł słabiutkie, nierówne uderzenia. Westchnął. Ta podróż nie sprzyjała zdrowieniu. Gorąco, kurz, wstrząsy. Może leżąc we własnym łożu, otoczony kochającą rodziną, kasztelan jakoś by wydobrzeł? Choć i jego wola życia nikła, karłała. Od śmierci żony miał coraz mniej energii, nowy mariaż tylko na chwilę tchnął weń męską ambicję, ale obawy o wierność Flory okazały się zbyt poważne. Zawód, który mu raz po raz sprawiali synowie i córka, konieczność pokazania się na polu bitwy, to wszystko razem pogarszało samopoczucie kasztelana. Tu nawet medyk nie mógł pomóc.

Kareta stanęła i Dietrich wziął podany przez przybocznego kubek. Pochylił się nad chorym i podnosząc lekko jego głowę, wyszeptał:

- Wino, wasza miłość.

Jandźwiłł upił jeden mały łyk, ale przy drugim się zakrztusił. Kiedy przestał kasłać, medyk pozwolił mu się położyć i kazał ludziom ruszać. Za parę pacierzy będą w Winnicy. Ułoży kasztelana w chłodnej celi u karmelitów, zrobi mu nowy kompres, rozbierze, zawinie w mokre prześcieradła, to powinno złagodzić bóleści. Pchnął umyślnego do karmelitów, aby szykowali się na przyjazd gościa, oraz drugiego ze złymi wieściami do Turowa.

Kiedy orszak dotarł do bramy klasztoru, przeor i zakonnicy wyszli powitać swego dobrodzieja. On jednak nie wysiadł z karety, jak to miał w zwyczaju, z kordialnie rozwartymi ramionami i szerokim uśmiechem na zadowolonym licu. Zrozumieli, że musiało zająć coś poważnego. Dwóch silnych żołnierzy usadziło go w krześle z podłokietnikami i wniosło do środka. Ze zwisającą bezwładnie głową kasztelan nie zauważył nawet powitania. Odetchnął dopiero, gdy sługa rozpiął mu

i ściągnął szaty, pozostawiając w samej koszuli. Dzięki chłodnym okładom i maściom z bobrzym sadłem Tadeusz Jandźwiłł odzyskał przytomność.

– Gdzie ja jestem? – zapytał, rozglądając się po celi.

– U karmelitów w Winnicy, wasza miłość.

– Wezwij przeora! – rozkazał.

Przez chwilę w jego głosie zabrzmiało coś znajomego i Dietrich chciał nawet perswadować kasztelanowi, że lepiej z rozmową zaczekać do jutra, ale Jandźwiłł syknął tylko z trudem:

– Wezwij przeora, głup...cze!

Dietrich zerwał się na równe nogi i co tchu popędził do refektarza, gdzie zakonnicy posilali się z co znaczniejszymi członkami orszaku. Podszedł do przeora i wyszeptał mu na ucho prośbę swego pana. Być może dodał coś jeszcze, nikt słów nie dosłyszał, ale pośpiech, z jakim przeor się poderwał, wycierając jedynie usta, skazał pozostałych na domysły, które jeszcze się powiększyły, gdy nie powrócił aż do końca wieczery. Zaczęto też szeptać, że poszukiwano pisarza, więc pewnie kasztelan dyktował jakieś pisma, może swą ostatnią wolę?

Nazajutrz przed południem stawili się w klasztorze zawiadomieni jeszcze w nocy: Flora Jandźwiłł, Cecylia Lange oraz Wacław Strasz. Kasztelan wyglądał bardzo źle: obrzmiała twarz, usta wykrzywione w jakimś okrutnym grymasie, zmierzwione włosy, których nikt nie starał się uczesać. Był już nieprzytomny i mimo wysiłków medyka do końca wizyty nie odzyskał świadomości. Flora Jandźwiłł uklękła przy mężu i z kamienną twarzą modliła się, bezgłośnie poruszając ustami. Cecylia płakała widowiskowo. Łzy płynęły strumieniami, a z nosa zwisała kropla. Strasz ukląkł na jedno kolano i ze zwieszoną głową zmówił krótką modlitwę.

– Jest nadzieja? – zapytała Cecylia, kiedy wyszli na korytarz.

– Robię wszystko, co w mojej mocy – odparł Dietrich. – Ale efekt jest w rękach Stwórcy.

– Możemy go zabrać do Turowa? – ponuro odezwał się sekretarz.

– Tylko jeśli stan się poprawi. Podróż nie jest wskazana.

– Zostanę przy nim! – powiedziała Cecylia i weszła do celi.

– Każcie przynieść gromnicę! – rozkazał Strasz.

– Nie! – krzyknęła Cecylia. – Jeszcze nie.

Usiadła na niewygodnym zydlu obok łoża, na którym leżał poszarzały na twarzy kasztelan. Wydał jej się znacznie mniejszy, niż go zapamiętała. Oddychał płytko. Wzięła rękę ojca i patrzyła na jego twarz. Cała miłość i nienawiść, jakie do niego czuła, gdzieś się ulotniły, jakby nagle zdrętwiała. Tysiące pytań rodziło się w głowie Cecylii: Co dalej? Co się stanie, jeśli kasztelan umrze tej nocy? Co trzeba zrobić potem? Co teraz? Co teraz?...

Z korytarza dobiegały przyciszone głosy. Ktoś tam chodził, Strasz wydawał jakieś polecenia. Chyba nie przygotowywał pogrzebu? Nagle kasztelan otworzył oczy. Spojrzał przed siebie niewidzącym wzrokiem i jakby odpowiadał na czyjeś wezwanie, wyszeptał:

– Idę.

Zanim Cecylia zdążyła o cokolwiek zapytać, zamknął powieki, a głowa opadła mu bezwładnie na bok. Przerazona poderwała się, by wołać medyka. Czekał pod drzwiami. Ujął dłoń kasztelana i nie wyczuł pulsu, podniósł więc lekko powiekę chorego, a w końcu przystawił do jego ust małe lusterko. Wreszcie smutno pokręcił głową. Tadeusz Jandźwiłł nie żył.

– Chcę się wypowiedzieć... – powiedziała bezwolnie Cecylia. Gdyby jej medyk w porę nie przytrzymał, być może by upadła.

– Zaprowadźcie mnie do przeora! – wyszeptała.

Słaniając się na nogach, wyszła z celi, minawszy się w drzwiach z Florą, której towarzyszył Wacław Strasz. Sekretarz jednym rzutem oka ogarnął sytuację, przez chwilę badawczo spojrzął na swego pana i energicznym krokiem ruszył, aby wydać dyspozycje.

Przeor przyjął Cecylię w kancelarii. Nie udali się do kościoła, bo tam ruch się zrobił i wrzawa. Braciszkwowie pobiegli świece zapalić i drzwi otworzyć. Już rozbrzmiały dzwony i to się Cecylii wydało okolicznością wielce korzystną, bo nawet ktoś podsłuchujący pod drzwiami nie zdołałaby usłyszeć, jakich grzechów się dopuściła.

A potem przeor wyszedł, zostawiwszy panią Lange i przywoławszy pisarza, bo kasztelanka chciała jeszcze podyktować listy do swych nieobecnych braci. Skończywszy, złożyła pisma i udała się do kościoła. W zakrystii bez słowa skinęła głową przeorowi, podała mu

zapięczętowane listy i wyszła przed ołtarz, aby odbyć pokutę.

LXXV

Zwiastując jakoweś nieszczęście, spokój sierpniowej nocy zburzył posępny dźwięk dzwonu u karmelitów. Trąc oczy, rozespiani mieszkańcy Winnicy wybiegali z chałup, aby sprawdzić, czy gdzie nie rozgorzał ogień. Ale łuny widać nie było, tylko ogromny księżyc w pełni oświetlał rynek, a na nim gęstniejący tłum. Ludzie zbierali się przed kościołem, spoglądali przez otwarte drzwi na modlących się wewnątrz ojców zakonnych i nieśmiało wchodzili do kruchty. A gdy dowiadawali się przyczyny alarmu, kręcili głowami w zdumieniu odejmującym mowę. Zatem ich pan, ten, który był nim, niemal od kiedy pamiętali, i na zawsze miał pozostać, kasztelan Tadeusz Jandźwiłł, zasnął w Panu? Wydawało się to niemożliwe, niedorzeczne. Wszak niedawno, jakby dziś, widzieli go tu, na tym rynku, czuli stanowione przezeń twarde prawo, gięli karki pod jego rządami. Ten i ów zamyślił się nad naturą śmierci, co wszystkim jednak koniec szykuje. Może poczuli satysfakcję, docenili swoje, choćby i nędzne, ale przecież dłuższe od Jandźwiłłowego życie. Niektórzy pozostali na rynku, inni zdejmując z uszanowaniem czapki, opuszczali głowy i wstępowali do świątyni, aby uklęknąć i zmówić pacierz lub dołączyć do modlitwy różańca. Modły w kościele trwały całą noc i ludzie dopiero przed świtem do domów powracali. To zdarzenie zapisywało się na zawsze w ich pamięci, podobnie jak ów ranek, kiedy kat spalił ostatnią czarownicę, albo dzień świętego Wojciecha, kiedy na jarmark kupcy do Winnicy nie przyjechali.

Wacław Strasz czynił gorączkowe wysiłki, chcąc jak najszybciej wyekspediować zwłoki do Turowa. Przeor klasztoru zaproponował, aby msza żałobna odbyła się u karmelitów, dając ludowi szansę na wzięcie w niej udziału. Wszak potem można by drugą dla zacniejszych gości na zamku zorganizować. Ale ani sekretarz, ani córka zmarłego początkowo nie przychylali się do tego pomysłu. Jedynie kasztelanowa zdawała się całkowicie obojętna na to, co się wokół niej działo. Towarzysząc nieboszczykowi, nieporuszona siedziała w kącie celi i ścisnęła chusteczkę, tępo patrząc w podłogę. Tymczasem Strasz starał się mieć

baczenie na wszystko. Teraz on, w zastępstwie synów kasztelana, sprawował władzę w powiecie. Wydawał więc dyspozycje odnośnie do pogrzebu i rozbudzając swe przyczajone nadzieje, planował przyszłość.

– Sprawy się toczą w dobrym kierunku! Dokładnie jak zaplanowaliśmy! – szeptał do Cecylii, kiedy ta wyszła na chwilę, aby ochłonać w przyklasztornym ogrodzie. – Teraz już nic nam nie zawadzi. Rozwiódę cię, to nie będzie trudne. Spłacimy Langego, ta kanalia ciągle potrzebuje pieniędzy. Twoich braci wyśle się do Warszawy i Lewartowa. Stanisław niech sobie bierze wdowę, aż się do niej pali. Coś tam mu damy na otarcie łez, żeby nie bruździł, wyprawimy wielkie wesele, wszak to rodzina. Po żałobie, ma się rozumieć, po żałobie... – dodał, pochwyciwszy jej spojrzenie, ale do Cecylii, poruszonej śmiercią ojca, niewiele docierało.

Okolo południa zaczęli się w Winnicy pojawiać co znaczniejsi obywatele powiatu. Przybyli bracia Szuksztowie, pan Żaba, Skirgiełłowie, Kozielłowie, Kociembowie i cała reszta. Wreszcie przyjechał i podstarość Hadziewicz. Ale składać kondolencji nie było komu, bo Strasz zakazał ich wpuszczać do klasztoru, toteż zamiast do kościoła, niektórzy szli wprost do karczmy. Dziś gwaru wielkiego tam nie było, tylko zmieszanie jakieś i konsternacja. Wypijali wódkę za wódką, nie wiadomo, w intencji spokoju duszy kasztelana czy aby zagłuszyć własne lęki.

Kacper ledwie jedną wódkę z panem Żabą zdążył wypić, kiedy tumult się jakiś zrobił na rynku. Wyjrzeni przez okno, a tam, niemal tratując ludzi, w pełnym galopie przeleciał grandmuszkieter z garstką dawnych zbójców, goniony przez oddział kilkunastu Kozaków.

– Ki czort? – rzucił podstarość i wybiegł przed karczmę.

Konni tymczasem, wzbijając tumany kurzu, pędzili już w kierunku traktu na Brześć.

– Panowie, toż ludzie miecznikowej w opałach! Na pomoc, kto w Boga wierzy!

Kacper gwizdnął na Witka, ten pognął po konie. Tymczasem zbójcy i podążający za nimi Rosjanie oddalili się na sporą odległość. Podstarość ze sługą ruszyli ich śladem, nie patrząc, czy im kto ruszy

w sukurs. Z dala spostrzegli, że na krzyżówkach jeźdźcy nie skręcili na Turów, tylko na Złoty Most.

– Co ten Kettler robi?! Boi się stanąć naprzeciw Kozaków! Myśli, że zdąży skryć się we dworze, ale jeśli bramy zawrzeć nie zdołają, to Rosjanie wedrą się do środka i wyrzną tam jednego po drugim!

– krzyczał.

– Matko Boska Kodeńska! – przeraził się Witek.

– W las powinien uciekać! Albo ku zamkowi, może by kto wyskoczył na pomoc. W las! – wydarł się, ale wątpliwe, by go tam kto usłyszał. Oby do Złotego Mostu nie dotarła jeszcze wieść o śmierci kasztelana, bo jeśli ta horda spotka miecznikową na drodze, to będzie nieszczęście! „Oby mieli zawarte wrota!” – myślał, poganiając siwka.

Kiedy wyjechali z lasu i mieli już dwór w Złotym Moście jak na dłoni, odetchnął z ulgą. Grupa jeźdźców, najwidoczniej nieprzygotowana na taką okoliczność, kłębiła się pod zamkniętą bramą. Choć siły były nierówne, zbójcy z Kettlerem dzielnie dawali odpór Kozakom. Ktoś coś krzyczał i wymachiwał do bramnych, jakby ich namawiał do otwarcia wrót, ale na szczęście służba nie była skora do spełnienia tych żądań.

– Leć do wsi, niech na pomoc przylecą, bo dwór znowu spłonie! – podstarość krzyknął do sługi i wyciągając szablę z pochwy, rzucił się do walki, Witek zaś popędził w kierunku wsi, wołając do każdego, kogo napotkał:

– Ludzie! Kozacy na dwór napadli! Łapcie, co się da, trzeba ratować miecznikową! – Wreszcie spiął konia i zawrócił, nie dbając, czy kto go wesprze, czy też nie, bo od strony dworu posłyszał strzały.

Hadziewicz łatwo pokonał dwóch pierwszych. Skupieni na tym, co się działo pod bramą, nie zauważyli niebezpieczeństwa. Potem już miał trzech, a wkrótce pięciu przeciwko sobie. Naraz poczuł draśnięcie w rękę. Nie zważając na krew i ból, walczył z wrogiem, kiedy zauważył nadciągającą pomoc. Kilkunastu chłopów z widłami, cepami i sierpami co tchu biegło ku dworowi. Odetchnął z ulgą.

Rozgorzała regularna bitwa. Zbójcy, widząc pomoc, natarli z większą zawziętością. Gdzieś mignął Kacprowi grandmuszkieter sprawnie wywijający szablą. Hadziewicz uśmiechnął się i zerknął ku dworowi. Wydało mu się, że na bramie zauważył miecznikową. Kozacy,

mimo zmniejszającej się przewagi, nie ustępowali. Jednak byłby może zginął podstarość, a wraz z nim chłopci ze Złotego Mostu, zbójcy i ich dowódca, gdyby w porę nie przybyła odsiecz kilku szlachty z Winnicy. Dopiero teraz przeciwne strony zrównały się liczebnie i napastnicy zaczęli się wycofywać. To wlało otuchę w serca obrońców i dodało im nowych sił. Kilkunastu Rosjan już pędziło w stronę lasu, a za nimi polska szlachta, która tak niedawno wobec ich dowódcy przysięgała na wierność Augustowi Saskiemu. I nie wiedzieć, mszcząc się za niedawne upokorzenie czy też rozgorączkowani zwycięską bitwą, postanowili do cna rozgromić podjazd.

Ze ściśniętym sercem, dopóki było można, Zofia obserwowała przebieg bitwy. Kiedy jednak konni wpadli w las, przestała widzieć, co się dzieje. Ale w każdej chwili Rosjanie mogli wrócić pod bramę.

– Szykować wrzątek! – krzyknęła. – I kamienie! – Tylko to przychodziło jej do głowy.

Potworny niepokój trwał kilka pacierzy, wreszcie z lasu wyłoniła się grupka konnych i zaraz bramni zaczęli radośnie krzyczeć:

– To nasi! Nasi wracają!

Pod miecznikową ugięły się nogi. Drżącą ręką ściskając poręcz, z drugą zaś na brzuchu, zeszła z bramy i ruszyła w stronę domu. Chwilę później na podwórze zaczęli wjeżdżać ludzie z jej oddziału.

Pokrwawieni, zmęczeni, brudni. Trzeba im było jak najszybciej udzielić pomocy. Już dziewczki rwały płótno na bandaże, przecierały i obwiązywały rany. Zofia kręciła się wokół nich i ze strachem myślała o tym, że nie widzi nigdzie Hadziewicza.

– Trza kogo pchnąć po księdza – powiedział Kettler, który wszedł do dworu. Po twarzy płynęła mu cienka strużka krwi. – Weźmiemy wóz, żeby zebrać zabitych.

Ponieważ rozpacz ściskała jej gardło, miecznikowa tylko skinęła głową. Nie miała siły zapytać, czy wśród nich nie ma przypadkiem Kacpra.

– Czemuście Kozaków do zwady przywiedli? – nie mogła zrozumieć cześnikowa. – Wszak to dla nas pewna zguba! Zaraz im tu kto w sukurs przyjdzie i znowu dwór spali. I kto nas obroni? Wy, kawalerze? – dodała pełna żalu.

– To nie my ich, to on nas napadli. Bez dania racji, bez pardonu. Myśmy się tylko bronili. Czyśmy to samobójcy, żeby przeciwko Kozakom broń wyciągać, wszak to i dla nas śmierć pewna! Chociaż może teraz coś się zmieni, nowy pan na zamku porządek może zechce w powiecie zaprowadzić – z trudem powiedział Kettler.

– O kimże mówicie? – nie rozumiała Zofia.

– Nie wiem, kto kasztelana zastąpi. Podobno na marach u karmelitów leży.

Zofii zakręciło się w głowie, przysiadła więc i trzymaną w ręku chusteczką otarła czoło.

– Strasz... – wyszeptała ze zgrozą. – Strasz nowym panem na Turowie będzie...

LXXVI

W poniedziałek po Wniebowstąpieniu Jan i Stanisław Jandziłłowie dotarli do Brześcia. Nie mieli powodu, aby się śpieszyć. W Turowie nie czekało ich nic dobrego. Stanisław co prawda tęsknił za Florą, sądził jednak, że trudno mu się będzie z nią spotkać bez wzbudzania podejrzeń. Jan po krótkim odpoczynku zamierzał oddać się do dyspozycji kasztelana, wiedział, co go w związku z tym czeka. Zastanawiał się, jak wytłumaczy ojcu opuszczenie króla Stanisława, i nic nie przychodziło mu do głowy. Czekala go ciężka przeprawa, albowiem zawiódł oczekiwania. Kasztelan wybaczyłby mu przejście do obozu wroga. Gdyby wrócił jako wysłannik króla Stanisława, przyjąłby syna z szacunkiem, ale teraz, gdy zmuszony przez okoliczności musiał dwór opuścić, ojciec nie znajdzie dlań wytłumaczenia. A ilu połajanek znów będzie trzeba wysłuchać od Strasza?

– Może jedźmy od razu do Lewartowa? – zaproponował po dłuższym milczeniu.

– A jeśli w Turowie jakie listy do księcia czekają? – odparł Stanisław.

Jan kiwnął głową i zdał się na los. Będzie, co ma być. Próbował szczęścia, wojując na własną rękę, nie udało się bez protekcji ojca niczego osiągnąć. Może tak właśnie jest świat urządony, że trzeba głowę schylić i przyjąć nauki od starszych? Nie miał już ani sił, ani pieniędzy, a przygoda z Suzanne, zamiast napawać go dumą, zawstydzała. Jak wytłumaczy kasztelanowi swój powrót w sromocie?

– Nic nie zwojowałem... – powiedział cicho. – Niczem nie dokonał.

– Jak to nie?! Gdańsk i króla uratowałeś! Jesteś bohaterem!
– zachnął się Stanisław.

– Taki tam bohater, co po prośbie chodzi.

Stanisław milczał. Żał mu było Jana, bo w gruncie rzeczy podzielał jego opinię. Ani ojciec, ani Strasz nie pochwalą tego powrotu. Będzie dużo gadania, besztania i wstydu. Popasali w Brześciu niezbyt długo i ruszyli traktem na Turów. Już w bramie dowiedzieli się strasznych

wieści, toteż tylko zmienili konie i co tchu popędzili do Winnicy.

Trumnę kasztelana wystawiono w kościele karmelitów na ozdobnym katafalku. Dookoła paliły się setki świec, a braciszkanie zakonni i mieszkańcy miasta żarliwie się modlili. Na miejscach kolektorskich siedziały Flora Jandźwił i Cecylia Lange. Strasz nie było widać. Jan i Stanisław weszli do kościoła od zakrystii i usiedli obok zapłakanych kobiet.

– Co teraz będzie? – wyszeptał Stanisław i choć nikt mu nie odpowiedział, prawdopodobnie pomyśleli to samo. Żadne z nich nie rwało się do zajmowania się przebiegiem uroczystości. Czekali, co powie Strasz, to on o wszystkim decydował.

Posiedzieli kilka pacierzy i wyszli z kościoła, aby odpocząć. Ojcowie zakonni przyjmowali ich z wielką serdecznością. Przygotowali kolejną celę dla kasztelanów, zaprosili na wieczerzę, w której uczestniczyli też Strasz i przeor klasztoru. Atmosfera była posępna. Mimo usiłowań Strasz rozmowa się rwała.

– Jakie macie plany, mości kasztelanice? – podpytywał sekretarz.

– Cóż, chyba na to za wcześnie? – sumitował się Jan.

– Ja muszę jak najszybciej wrócić na służbę do Lewartowa!

– odrzekł Stanisław, po raz pierwszy zadowolony z tego, że jest młodszym bratem i okoliczności nie wymagają odeń zajęcia stanowiska.

Strasz spojrzął na Cecylię, ale nie powiedziała ani słowa. Gorliwie towarzysząc Florze, starała się nie przebywać z nim w jednym pomieszczeniu. Zaniepokoiła go ta zmiana.

– Waćpani mnie unikasz? – zapytał wprost. – Czemu to przypisać?

– Coś wam się ubzdurało, panie sekretarzu. Jakiż miałabym powód? Moje myśli zajęte są tylko kasztelanem, moim ojcem, oraz smutkiem, w jakim nas pogrążył jego zgon – odpowiedziała, twardo patrząc mu w oczy.

– Wszystkich nas ten zgon w boleści i smutku pogrążył – odparł Strasz, doskonale grając swą rolę.

Cecylia nie miała wątpliwości co do stanu jego uczuć ani planów, jakie teraz snuje. Dlatego późnym wieczorem zaprosiła braci i swą macochę na wspólną modlitwę. Gdy weszli, powiedziała poważnie:

– Musimy pomyśleć o przyszłości.

– Ojciec na pewno wszystkim rozporządził. Poczekamy na to, co jest zawarte w testamencie – rzekł Stanisław, czułym wzrokiem mierząc Florę.

– Głupcze! – uniosła się Cecylia. – Myślisz, że ojciec choćby i widział testament, który zostanie odczytany?! A nawet jeśli widział i podpisał własnoręcznie, czy wiedział, co podpisuje?

– Gdy skonał, Strasza przy nim nie było... – odezwała się milcząca dotąd Flora.

– To co nam pozostaje? – głośno zastanawiał się Jan.

– Już chyba tylko modlitwa – powiedziała przytomnie, bo oto we drzwiach pojawił się kasztelański sekretarz.

– Czy mogę się przyłączyć do modlitwy? – zapytał z pokorą i niby ostatni ze sług ukląkł tuż przy drzwiach.

Flora wyjęła różaniec.

– Tajemnica radosna: „Oto ja, służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego”...

LXXVII

Zofia, zajęta opieką nad rannymi zbójcami i chłopami ze wsi oraz pochówkiem zmarłych, początkowo nie zamierzała jechać do Winnicy, pani Salomea jednak stanowczo przeciwko temu zaprotestowała:

– Toż byś dopiero nam wszystkim zaszkodziła, moja Zosiu!

Oczywiście, że pojedziesz, pokażesz się w kościele, złożysz kondolencje rodzinie, jeśli zdołasz przecisnąć się przez tłum, bo pewnie wszyscy już się w ławkach u karmelitów moszczą. Teraz bardziej niż kiedy indziej pomoc nam i opieka od zamku będzie potrzebna.

– Zapomniałaś, matko, cóżemy od kasztelana wycierpiał? Pamięci ojca uwłaczasz! – buntowała się Zofia.

– Nie pouczaj mnie, o ciebie i dzieci mi chodzi. Życia cześnikowi największym nawet poświęceniem nie zwrócisz. Zresztą kasztelan też już na sądzie niebieskim. Teraz trzeba, waśni zapomniawszy, z nowym się panem na Turowie układać. Ktokolwiek nim zostanie, zatarg mus załagodzić, dając dobrej woli dowody.

– Będę wam posłuszna, matko – rzekła miecznikowa i opuściła wzrok.

Właściwie tego oczekiwała. Pragnęła, aby matka wręcz nakazała jej wyjazd do Winnicy, bo sama przed sobą nie chciała się przyznać, jak bardzo pragnie ujrzeć podstarościego. Jeśli uszedł z życiem, a zapewne tak się stało, bo przecież Kettler o jego śmierci z pewnością by napomknął, istniało prawdopodobieństwo, że spotka go gdzieś w kościele albo na rynku. Oczywiście przypadkiem, bez narzucania się. Wypada podziękować za pomoc.

– Macie słuszność. Do końca będziemy zależne od tej strasznej rodziny! Bóg nas chyba pokarał takim sąsiedztwem! – rzekła, aby ukryć swe prawdziwe myśli.

– Zda mi się, że inaczej to wyglądało, póki żyła kasztelanowa, Regina Jandźwiłł. Kiedyś na dworze służyła, nikt się kasztelana nie obawiał, nawet Strasz innym się człowiekiem wydawał. Jaka nas teraz przyszłość czeka? – westchnęła cześnikowa, nie rozumiejąc prawdziwych intencji córki.

Następnego dnia z samego rana Zofia wydała polecenia i przygotowała się do wyjazdu. Trzech zaledwie dawnych zbójców mogło jej towarzyszyć, reszta obolała, zmęczona i poraniona wymagała odpoczynku. Kettler również ostatecznie został. Bo choć rwał się do podróży, stanowczo mu zakazała.

Dzień był słoneczny i upalny. W Winnicy sporo ludzi kręciło się na rynku, z czego skwapliwie korzystali kupcy, wystawiając swe kramy, jakby to odpust był, a nie żałoba. Krzywiąc się na ten akt profanacji, Zofia wysiadła z powozu i udała się do kościoła. Mimo uchylonych drzwi było tu chłodno. Usiadła w ławce, wsparła czoło na dłoniach i żarliwie się modliła, choć nie w intencji nieboszczyka. Matka miała rację, wypadało tu przyjechać, nikt jednak Zofii nie zmuszał, by oddawała hołd zmarłemu inaczej niż tylko pozornie.

Uniosła głowę i zobaczyła Cecylię Lange i Florę Jandźwiłł zasiadające w ławkach kolatorskich. Smutne, z poszarzałymi twarzami, nie rozglądały się, tylko szybko otworzyły książeczki do nabożeństwa i zatopiły się w lekturze. Zofia grzeszyła, udając modlitwę. W rzeczywistości jednak myślała o Kacprze. Wszystko wskazywało na to, że jednak nic go nie łączy z kasztelanką. Inaczej byłby tu, towarzyszył jej lub siedział gdzieś blisko, a przecież nigdzie go nie widziała. I walczył z Kozakami o Złoty Most, o jej dwór! Czy zrobiłby to, gdyby mu zależało na Cecylii? Ach, gdybyż dał jej szansę, gdyby chciał raz jeszcze spróbować. Nagle poczuła ruch dziecięcia w swym łonie. Było to jak znak od Boga, że może powinna wziąć sprawy w swoje ręce.

Zbliżyła się do ołtarza i skinęła głową Cecylii oraz kasztelanowej. Flora Jandźwiłł uniosła oczy i ze zboląłą miną uśmiechnęła się blado. Zofia ukloniła się Najświętszemu Sakramentowi i skierowała w boczną nawę. Nie widząc nigdzie kasztelaników, ruszyła ku wyjściu.

Wyszła na rynek. Upał był niemiłosierny. Po chłodzie panującym w świątyni gorąco buchnęło jak z rozgrzanego pieca. Mrużąc oczy i wachlując się małym wachlarzykiem, miecznikowa szła wolno w kierunku swego powozu. Nagle usłyszała, że ktoś ją woła. Odwróciwszy się, spostrzegła pana Żabę.

– Pan podstoli! Choć okazja niesposobna, miło was widzieć! Jakże

zdrowie? – próbowała pokryć zmieszanie, bo czuła się, jakby pan Żaba podsłuchał jej myśli.

– Mnie to już dużo nie trzeba, dobrodziejko. Aleć zawsze smutno, kiedy umiera kto młodszy.

– Kto? – z nieoczekiwanym przestraszeniem zapytała Zofia.

– Wszak kasztelan!

– Był młodszy od was?! – zapytała z udawanym przejęciem.

– Przecież! A miecznikowa o podstarościego zdrowie nie zapyta?

– Jak ono?

– Znów biedaczek oberwał i to, zdaje się, we Złotym Moście z Kozakami bisurmanami wojując.

– Prawda to?! – wykrzyknęła z przejęciem.

– Co też oni tak was sobie upatrzyli, zmiarkować nie mogę!

– Mości podstoli, to dla mnie utrapienie, możecie mi wierzyć. Nie znam dnia ani godziny, a moi ludzie wciąż karku nadstawiają.

Podejrzewam, że pułkownik Kondyriew Kozaków nasyła, boję się, że znów dwór stracę. Tymczasem grandmuszkieter wiecznie trwał przy mnie nie będzie, raz po raz przypomina, że do Warszawy chciałby na jesieni wrócić.

– A ten, co trwać mógłby i powinien, chorobą złożony, samotnie cierpi bez nijakiej pociechy. Waćpani to już byś musiała być całkiem bez serca, nie nawiedzając rannego, co się dla was narażał.

– Powiadacie?... Cóż, skoro tak, to może się wybiorę... – rzekła cicho.

Walczyła jeszcze ze swym wstydem, krygowała się, ale wreszcie wsiadła do powozu i kazała się wieźć ku Grodowi Orłowemu.

LXXVIII

Nie oczekiwał jej, choć pewnie miał nadzieję, że zasługa nie pozostanie bez nagrody. Pan Żaba, jadąc do Winnicy, odwiedził Hadziewicza i widząc jego pokiereszowaną, smutną twarz, sam z taką propozycją wystąpił.

– Widoku miecznikowej ci trzeba, a może i co więcej niż widoku!
– Zaśmiał się rubasznie.

– A jakże mam tego dokonać, skoro wam się nie udało?

– Może właśnie w tym tkwi sekret, żem to ja był za posła? Zresztą teraz, kiedyś znowu karku za Zofię nadstawiał, wdzięczność ci winna. Jeśli zapomni, a ona nie z takich, to nie omieszkam jej przypomnieć. No i byłbyś kiep, gdybyś wtedy z okazji nie skorzystał.

– Niby co miałbym zrobić?

– Ja już tam ciebie uczył nie będę, bom stary i nawet zapomniałem tego rzemiosła, ale pamiętaj, że jeszcze na twym weselu chcę z cześnikową tańcować!

Na tę myśl Kacper uśmiechnął się kwaśno, nie bardzo wierząc w powodzenie misji pana podstolego. A nawet jeśli Zofia z grzeczności przyjedzie, to i tak już zbyt wiele złych słów padło, aby mogło być jak wiosną, kiedy największego szczęścia dostąpił. Jednak poczynił przygotowania: kazał się ostrzyc i ogolić, przebrał w strój schludny, Witek zmienił mu opatrunek na ręce, służąca izbę omiotła i posypała świeżo ściętym tatarakiem, a ochmistrzyni przygotowała posiłek wystawniejszy niż zazwyczaj, kiedy obywali się pieczystym, kaszą czy kapustą.

Wydawało mu się, że czeka w nieskończoność. Raz po raz podchodził do okna, ku bramie spoglądając, ale ruchu na drodze żadnego nie było. Wreszcie położył się i tylko w sufit popatrując, gwizdał jakąś melodię.

– Jest! Przyjechała! – krzyknął po paru pacierzach Witek.
– Wstawajcie!

Podstarości, udając obojętność, jeszcze kilka chwil zmitrężył. Słyszał ją w sieni i aż nogi się pod nim ugięły. Wstał, musiał jednak

przytrzymać się krzesła i dałby głowę, że głosu nie uda mu się wydobyć. Zofia też była skrępowana. Nieśmiało zatrzymała się w otwartych drzwiach, jakby lękając się przestąpić próg.

– Jak się macie, podstarości? – spytała wreszcie. – Znowu ranniście. Czy poważnie? – wyszeptała. – Mówił mi pan Żaba...

Patrzył na nią i nie mógł nasycić wzroku. Od kiedy widzieli się po raz ostatni, Zofia wypiękniała. Zaokrągliła się, to prawda, ale ciąża przydawała jej szczególnego powabu. Chciał podbiec do niej, porwać w ramiona, coś go jednak wstrzymywało. Może wstyd, może lęk przed odrzuceniem? Jednak skoro była tu, stała przed nim równie jak on skrępowana, budził w sobie nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone.

– Usiądźcie. Chołodziec podadzą. Upał dziś okrutny.

Zofia oparła dłoń na krzesło i z ciężkim westchnieniem siadła. Kacper wyglądał źle. Zmęczony, wychudły, smutny. Serce ją zabolalo na ten widok. Uciekła ze wzrokiem, nie potrafiąc wytrzymać jego spojrzenia.

– Zofio... Czy potraficie mi wybaczyć? – zapytał skrępowany.
– Wieleście wycierpiała. Powinienem tu być, chronić was, wspierać, a mnie się wojaczki zachciało.

– Wszak wojna... – wyszeptała i te dwa słowa, nie wiedzieć czemu, nadzieję wielką wlały w serce podstarościego. Podszedł ku niej i ukląkł, dłoń jej złapał i do ust sobie przycisnął.

– Wybaczcie, błagam! Jam nie był przy rozumie, trawiony gorączką, nie wiedziałem, co sen, co jawa, dlatego uwierzył kasztelance.

Zofia wyciągnęła dłoń i spojrzała w bok, bo łzy jej się zakręciły, które pragnęła ukryć.

– Zwiodła nas oboje. Taki los. Teraz sama cierpi.

– Ale nie my temu winni.

– Zapewne.

– Pięknie odbudowaliście dwór! – Kacper wstał z klęczek i zaklaskał, by podawali obiad.

– Nic poza bramą nie widzieliście!

– I szczyt dachu. Uwinęliście się w mig! Niejeden gospodarz by wam nie sprostął – chwalił ją, patrząc w oczy, które z wolna łagodniały.

Na stężałą twarz Zofii wypływał uśmiech.

– Trzeba było. Teraz tylko strach, czy kolejny raz nie podpałą.

– Pojadę do Radziwiłła i złożę skargę, nie ośmielą się! To była jawna napaść!

– Tak myślę, czy to nie czyja zła wola? Bo skąd by wiedzieli, że mój dwór odbudowała?

– Kasztelan świętej pamięci blisko był z pułkownikiem Kondyriewem. Ot, i rozwiązana zagadka. Byłaś pani solą w jego oku.

– Myślicie, że chciał się zemścić? Że byłby tak okrutny, żeby chcieć zgładzić mnie i moją rodzinę?

– Może tylko nastraszyć? A Kondyriew omal życiem nie przypłacił wizyty u was, czy to przypadek, że wasze szczęście mu na zawadzie?

Zofia się obruszyła.

– Co sugerujecie?!

– Że on też miał powód do zemsty.

– Wszystkim zawiniłam? – spytała i broda jej zadrżała.

– Taki los, gdy kto odważny i przy swoim zdaniu obstaje.

Weszła ochmistrzyni, przynosząc wazę z chłodnikiem. Nie nalewała jednak, bo podstarośći szybkim ruchem dłoni ją odprawił.

– Pozwólcie, że wam usłużę – rzekła miecznikowa i wzięła talerz.

– Zofio... – Kacper podszedł do niej, ale bojąc się reakcji, czekał na jakiś gest przyzwolenia, którego nie czyniła. – Zofio... Tylko ciebie mam na tym świecie. Czy zdołasz mi wybaczyć?

Stała tak, trzymając talerz w dłoni, z opuszczonymi oczyma i bała się spojrzeć na niego, bo łzy płynęły jej ciurkiem. Hadziewicz nie dbając już o nic, chwycił ją i przytulił.

– Czy zdołasz?... – wyszeptał jeszcze, a czując przyzwolenie, widząc, że zamknęła oczy, pochylił się i pocałował. – Kocham cię! Tylko ciebie. Klnę się na Boga! Nigdy nikogo tak nie kochałem!

– szeptał i całował, przytulając ją i wyczuwając jej brzuch, którego nie ścisnęła gorsetem.

– Kiedy mały podstarośćic na świat przyjdzie? – zapytał wesoło.

– Na Boże Narodzenie – odpowiedziała równie pogodnie i wyjęła chusteczkę, aby otrzeć nos.

– To damy mu na imię Adam. Po pierwszym rodzicu.

– A jeśli będzie dziewczynka?

– To Zofia, żeby była tak samo piękna i dzielna jak ty. Już zazdroścę temu szczęściarzowi, który ją weźmie za żonę! – dodał, mimowolnie ją rozśmieszając. – Zjemy coś? Kucharka bardzo się starała na twój przyjazd.

Zofia zmarszczyła brwi.

– Wiedziałaś, że przyjadę?!

– Skąd! Ale miałem nadzieję, że będziesz w Winnicy i z ciekawości zajrzysz, czy jeszcze żyję.

– Tak bardzo tęskniłam!... – wyznała wreszcie.

Usiedli do chłodnika. Jedli powoli, popatrując ku sobie z miłością.

– Musimy jak najszybciej wyprawić wesele. Dziecko nie może się urodzić bez ojca.

– Póki nie mam mebli, jest dużo miejsca w Żółtym Moście.

– O tym też musimy porozmawiać, moja pani. Tu czy tam? Kto się do kogo wprowadzi?

Zofia westchnęła. Czuła się szczęśliwa i było jej wszystko jedno. Kochała Żółty Most, ale jeśli mogła być z Kacprem, gotowa była wrócić tu, do Grodu Orłowego, skąd tak niedawno uciekała w bólu i cierpieniu. Ale on to zrozumiał. I również był gotów do poświęceń.

– Nie sprzedam dworu. Ale pójdę, dokąd każesz. I już nigdy nie wyprawię się na żadną wojnę! Będę siał zboże i doglądał krów, rznął w mariasza z panem Żabą i uczył dzieci jeździć konno. Mam dużo planów na najbliższe lata, a przede wszystkim zamierzam uczynić cię szczęśliwą, moja podstarościno. A może powinienem zostać miecznikiem albo chorążym? Jak to brzmi: starosta Kacper Hadziewicz? Podoba ci się?

– Bardzo! Tylko jedno musisz mi obiecać.

– Co takiego?

– Że nigdy w ślady kasztelana nie pójdziesz!

– Kto wie, moja pani, kto wie... *Tempora mutantur et nos mutamur in iliis...*¹

Czasy się zmieniają i my się zmieniamy wraz z nimi (łac). [wróć]

LXXIX

Egzekwie w Winnicy trwały niespełna tydzień. W niedzielę Najświętszej Maryi Panny Królowej po nabożeństwie uformował się kondukt żałobny, na czele którego jechał chorąży z proporcem, dalej rycerz w kirysie, dzierżący nagi miecz. Zawodząc pobożne pieśni, postępowali za nim zakonnicy, następnie przybrana kirem karetą wiozła trumnę. Za trumną jechali konno synowie zmarłego oraz kilkunastu szlachty, wszyscy w zbrojach, za nimi podążał powóz, a w nim Cecylia i Flora oraz Strasz. Dalej powozy, kolasy i bryki tych obywateli powiatu, którzy zdecydowali w ten sposób oddać cześć kasztelanowi.

Do zamku dotarli późnym południem. W kaplicy płonęły setki świec i wszyscy byli gotowi. Czekala już tu ozdobna cynowa trumna, sprowadzona specjalnie od najlepszego konwisarza z Brześcia, jednak trzeba było jeszcze wielu przygotowań, aby msza żałobna była godna kasztelana. Należało zbudować katafalk, zaplanować konsolację, dać czas gościom.

Cecylia oraz Jan i Stanisław nerwowo czekali na pochówek i los, jaki im Strasz zgotuje. Żadne nie miało wątpliwości, że odpowiednie papiery zostały już przygotowane i złożone w tajnej skrytce kancelarii, o której nie mieli pojęcia. Cecylia mogłaby jeszcze próbować swych sztuczek, ale od śmierci ojca wzięło ją do Strasza takie obrzydzenie, że nawet nie potrafiła nań spojrzeć, a co dopiero wpuścić do swej sypialni. Ta zmiana mogła Jandźwiłłów drogo kosztować i Jan przemyślał nad strategią, jakby tu w razie czego złu zapobiec, jednak w chwili ogromnego smutku i dezorientacji nie potrafił się zdobyć na żaden śmiały pomysł. Stanisław zwierzał się Florze, że nic go nie obchodzi losy zamku, w którym zawsze czuł się więźniem. Był gotów poślubić ją pierwszego sposobnego dnia i wyjechać, jeśli tylko jaki spadek dostanie.

Służba też chyba zaczęła sobie powoli zdawać sprawę z tego, kto jest nowym panem Turowa. Zawsze trzymana krótko, teraz rozkazy Strasza wykonywała jeszcze szybciej i z większą uniżonością. Nikt nie chciał po pogrzebie zostać odprawiony.

Sekretarz z pomocą ochmistrza dwoił się i troił. Był na tę chwilę

gotów od dawna. Przeżywał ją w swych marzeniach wielokrotnie, kształtując przebieg pogrzebu, poprawiając go, modyfikując. Spisywał potrzebne rzeczy i oceniał wydatki, przygotowywał uroczystość.

Zjeżdżali więc do Turowa, nie mieszcząc się już w zamku, coraz to liczniejsi księża i zakonnicy, docierali wielmoże z bliższych i dalszych okolic, umieszczani byle jak po okolicznych dworach. Tymczasem w kościele trwały gorączkowe przygotowania: objano świątynię pąsowym adamaszkiem, budowano olbrzymi katafalk, sprowadzony z Brześcia malarz pośpiesznie szykował portret trumienny. Wreszcie w kolejną niedzielę odbyła się msza żałobna. Takiego tłumu nie widziano tu chyba nigdy. Kaplica pomieścić mogła tylko najwyższych urzędników i duchownych, reszta oddawała hołd zmarłemu, pozostając na dziedzińcu zamkowym. Służba stała w bramie oraz poza murami.

Kolejne elementy obrządku następowały jeden za drugim. Konny rycerz w zbroi widowiskowo skruszył kopię, runąwszy wraz z wierzchowcem na ziemię, co we wszystkich wywołało strach wielki i żal.

Wreszcie przyszedł czas na mowy. Pierwszy wystąpił wysłannik księcia Radziwiłła, marszałek jego dworu, Mikołaj Szaciłło. Mówił długo, zawile, wychwalał zmarłego pod niebiosa, ale tego wszak oczekiwano. Następne mowy, a było ich kilkanaście, bo do dobrego tonu należało stworzyć i wygłosić takową, również nie wzbudziły zdziwienia. W końcu na ambonę wszedł przeor klasztoru karmelitów. Obecny dość już spowszedniały komplementy, jakie pod adresem kasztelana wygłaszali kolejni mówcy. Zmęczeni, znudzeni, zgłodnieli kręcili głowami, rozglądali się na boki, popatrując na towarzystwo.

Toteż nie wszyscy usłyszeli, gdy przeor zaczął czytać. Ale wnet słowa, które padały z ambony, przykuły ich uwagę i jeden po drugim, zdumiewając się nieoczekiwanym zdarzeniem, zwracali ku niemu oczy.

„Ja, Tadeusz Jandźwiłł, kasztelan turowski, starosta winnicki, brzeski, lusiatycki, kobryński etc. etc., dziedzic dóbr Turów, Kurzępy, Dolna Woda, Skrzeczewice, Miłogoszcz, Runiany, Pilowizna i Jarogromy, Rzeczki Duże i Małe, Karolin, Zabawa, Nowesiółki, Srebrzyn, Łozy i Rakielnica, będąc w stanie poczytalności umysłowej, spowiedź tę przed przeorem klasztoru karmelitów winnickich odbywam

eo ipso wam, bracia i siostry, z życia mego się spowiadam i przekazuję ostatnią mą wolę”.

Wszyscy się poruszyli niespokojnie, albowiem nie było w zwyczaju, aby nieboszczykowi oddawać głos podczas pogrzebu. Nikt tego nie praktykował i nikt nie dokonał. Zdziwiona Cecylia spojrzała na Jana, potem na Stanisława, bracia byli tak samo zdumieni. Kasztelanka poszukała wzrokiem Strasza, ale nie zdołała go dojrzeć.

– „Najpierw wyrażam głęboki żal i smutek – czytał dalej przeor karmelitów – że mnie Pan na sąd wieczny powołał, nim zdążyłem się z mymi dziećmi i żoną pożegnać. Niechaj mi to wybaczą i niech wybaczą mi wszystkie przewiny, jakie wobec nich kiedykolwiek mnie obciążyły. Stojąc u kresu drogi, widzę, jak wiele było w moim życiu grzechu i pychy, a jak mało skromności i miłości bliźniego. Niech mi to wybaczą wszyscy, którzy cierpieli z tego powodu”.

„Co to za sztuczka? O co tu chodzi? – gorączkowo zastanawiał się Jan. – Czy to ojciec dyktował, czy to kolejny podstęp Strasza? Dokąd on teraz zmierza?”.

Ale znajdujący się w zakrystii Strasz był nie mniej zdenerwowany. Przebieg uroczystości wymknął mu się spod kontroli. Ktoś, nie wiadomo jeszcze kto, chciał osiągnąć jakiś cel. Tylko kto? I jaki? Jak zaradzić złu, zanim będzie za późno?! Co się właściwie dzieje?

– „Niech mi wybaczą żona i dzieci oraz moje wnuki, że nie miał dla nich dość miłości i wyrozumiałości. Niech mi wybaczą przybocznicy i służba. Gdyby mi przyszło raz jeszcze życie przeżyć, umiałbym inaczej wieść mój żywot. Najbardziej cierpię, że w tajemnicy rzecz najważniejszą utrzymywałem, to mianowicie, że istnienie najstarszego syna mego utajnił, przez co on, wychowany u przybranych rodziców, nieświadom jest swego pochodzenia i rodowodu”. – Przeor zatrzymał się na chwilę, aby zaczerpnąć tchu i przełknąć ślinę.

– „Przyznaję oto przed Bogiem Wszechmogącym, że sekretarz mój, Waclaw Strasz, to syn mój pierworodny, zrodzony ze służki zamkowej, Marii Kmieć, który na wychowanie rodzinie Straszów został oddany, a ci mu nazwiska swego użyczyli. Pragnę cię błogosławić, synu, w tej ostatniej minucie życia mego”.

W kościele zawrzało. Wszyscy szukali wzrokiem Strasza, a ten,

ukryty w zakrystii, stał niczym rażony piorunem.

– Za co?! Za jakie grzechy?! – wyszeptał. – Bękart? Jestem bękartem?! To niemożliwe! To kłamstwo!

Nagle ziemia usunęła mu się spod nóg. Przecież to koniec! To pogrzeb wszystkich jego nadziei! Jak ma spojrzeć tym ludziom w oczy? Jak ma nimi rządzić jako nowy pan na Turowie, kiedy będą nań patrzeć i myśleć w duchu: „Bękart! To bękart!”. Wszak nawet służba nie będzie go traktowała poważnie! Prawda to czy fałsz? Ktoś odkrywa tajemnicę czy okrutnie go znieważa? Czyżby to kasztelan na łożu śmierci doznał nagle olśnienia? Czy rzeczywiście chciał się w chwili skonania oczyścić z grzechu, czy mścił za niewiadome zaniedbania? Co robić? Co robić?

– „Onemu synowi, Waławowi Straszowi, zapisuję wioski Miłogoszcz i Runiany z dworem i wszystkimi przyległościami i wyznaczam mu ze skarbcza mego tysiąc czerwonych złotych, aby się w tych majątnościach zagospodarował. Synowi memu Janowi wybaczam z serca jego odstępstwo i pozostawiam zamek turowski wraz z moimi wszelkimi obowiązkami i przywilejami, a także majątności: Skrzeczewice, Kurzępy, Woda Dolna i Rzeczeki. Synowi memu Stanisławowi z serca błogosławię i do służby go książęcej namawiam, aliści gdyby chciał na roli osiąść, dobra mu następujące przeznaczam...”

Cecylia wyprostowała się, czekając na zapis, a gdy usłyszała, co ojciec jej przeznaczył, szepnęła do braci:

– Kasztelan miał tęgą głowę, ale że tak podejdzie Strasza, tegom się nigdy nie spodziewała! Wiedział, że fałszywy testament gotów do odczytania pewnie w szufladzie spoczywa.

– Myślisz, że to prawda? Strasz jest naszym bratem? – zapytał Stanisław, przejęty grozą.

– Nawet jeśli, to zapewniam cię, że teraz na pewno nie będzie chciał utrzymywać z nami stosunków.

Nie omyliła się. Ośmieszony Strasz chyłkiem wymknął się z kaplicy i pognął do kancelarii. Niedługo tam zabawił, drżącymi rękoma wyjął jakieś papiery z tajnej szuflady sekretarzyka i schował je sobie za kabat. Zanim książdz dokończył mszy, już otwierał niewielkie żelazne wrota w podziemiach zamku i ściskając sporej wielkości mieszek wyjęty

z kasztelańskiego skarbcza, przez nikogo niegoniony, pędził traktem brzeskim w kierunku najbliższej wsi. Podobno widzieli go w Brześciu, Warszawie, Krakowie, na Ukrainie, w Turcji i Rosji. Do Turowa nigdy nie wrócił, nigdy też nie pojawił się w zapisanych na swoje nazwisko wsiach.

Konsolacja trwała cztery dni, po czym goście rozjechali się do domów. Tylko dwie osoby znały tajemnicę ostatniej woli kasztelana Jandźwiłła. Nikt inny nie dowiedział się, kto był jej prawdziwym autorem.

LXXX

W przeddzień świętego Wojciecha roku Pańskiego 1735 Winniccy zauważyli na rynku dziwny podest z desek, jakby kogo wieszać mieli, ale o co innego musiało tu chodzić, bo wszak od dawna już kata w mieście nie było, to i kto miałby wyrok wykonać? Do boków podestu wnet przybito dwa słupy, a po ulicach zaczął krążyć człowiek paradnie za kata przebrany, w czarnym kapeluszu z kogucimi piórami, który oznajmiał, że następnego dnia po zachodzie słońca odbędzie się *theatrum* z udziałem Komediantów Jego Królewskiej Mości. Nawet gdyby nie zadał sobie trudu obejścia wszystkich uliczek i zaułków, wieść o niezwykłym wydarzeniu i tak obiegały miasto szybciej niż w dwa pacierze. Raz, że połowa winnickich była akurat na jarmarku, dwa, że sąsiad sąsiadowi powtarzał, kumoszka kumoszce, ten owemu, a ów znowu kolejnemu. Tajemnicze słowo *theatrum* i dziwny podest działały na ludzką wyobraźnię bardziej jeszcze niż pal i stos gałęzi uszykowany dla onej dziewczki spalonej tu ongiś za czary. Niektórzy jeszcze ją pamiętali, choć już dwa roky z okładem od tamtej chwili minęły.

I kiedy słońce poczęło zachodzić, a kupcy pozamykali kramy, na rynek, jak tamtego lutowego poranka, znów wylegli niemal wszyscy mieszkańcy miasta. Przyjechało trochę szlachty z okolicy, przyszło też wielu kmieci. Ciekawi komediantów, chciwi rozrywki, którą zapowiadał ich przyjazd, popatrywali dookoła, nawołując się nawzajem. Ruch i tumult były takie, że matki gubiły dzieci, które pchały się do przodu, nie zważając na przestrogi przerażonych rodzicielek. Pomiędzy słupami rozciągnięto już sznur z materia skrywającą tył sceny. Wreszcie posłyszeli bębnienie, a gdy się uciszyli, przed kotarę wyszedł niosący cytrę, przebrany we włoski strój komediant. Szarpnął struny raz i drugi, odzywając się tymi oto słowy:

– Prześwietna publiczności miasta Winnicy! Przyjechaliśmy do was z daleka, aby pokazać znamienitej treści *theatrum* zatytułowane: *Fortuna i namiętności*. Dwie części będzie onego. W pierwszej opowiemy wam, jak to na pewne italskie miasto, Mantuą zwane, spadła straszliwa klątwa niewinnie o czary oskarżonej dziewczki i jak przestało

się wieść panu na zamku, co onę dziewczkę na stos posłał, oraz wszystkim członkom rodziny jego. Bo jako zostało postanowione w górze – tu narrator dla dodania powagi swym słowom uniósł palec wskazujący – choćbyś się ugiął przed siłą złego, kara na złoczyńców prędzej czy później przyjdzie, bo przyjść musi. W drugiej części naszego *theatrum* przedstawimy dalsze losy złego pana na zamku mantuańskim, aby was przestrzec przed zemstą niewinnie skrzywdzonych i od czynienia zła odstręczyć. To wszystko udatnie wam odda trupa Komediantów Jego Królewskiej Mości, która tu do was zjechała z samej Warszawy i jedynie dzisiaj *spectaculum* przedstawia. Teraz wysłuchajcie pieśni i hojnie obdarujcie komediantów, by kunsztu swego nie żalowali!

Przez niewielką szparę w zasłonie kat patrzył na tłoczących się głowa przy głowie mieszkańców Winnicy i wspominał spędzone tu lata. Niektóre twarze, szczególnie tych zgromadzonych bliżej, jeszcze rozpoznawał. Pamiętał imiona i nazwiska, przyglądał się ludziom, jak reagują, nie podejrzewając, że ktoś ich obserwuje. Zaintrygowani oczekiwali zabawy.

Na scenę wyszła Jagna ubrana w białą suknię, z twarzą pomalowaną na biało, mocnymi czerwonymi rumieńcami i takimiż ustami, w peruce, na której spoczywał wianek.

– Biednam ja dziewczica, krasne moje lica, pan zamku ochotę ma na moją cnotę – śpiewała z towarzyszeniem cytry, na której przygrywał narrator.

Ten i ów się zaśmiał, paru westchnęło, otwarte usta znamionowały oczekiwanie na to, co się wkrótce wydarzy. Podczas pieśni wśród widzów chodziło dwóch chłopaków z koszykami i zbierali opłatę za wstęp. Gdy pieśń wybrzmiała, zza zasłonki znów wyszedł narrator, który stanąwszy z cytrą w dłoni i uderzając w nią co jakiś czas, rozpoczął opowieść:

– Dawno, dawno temu, w italskiej ziemi, niedaleko przesławnego grodu Mantui, na wysokiej skale wznosił się potężny zamek. Każdy, kto chciał obok niego przejechać, przekraczając bród na strumieniu, musiał rzucić przed się sakiewkę ze złotem, inaczej zbójców mrowie, na pojazd napadając, znaczne szkody by mu uczyniło.

W tej chwili zza zasłonki wyskoczył Rabiński, przebrany za zbójcę

w wielkim kapeluszu i z toporem w dłoni.

– Jam jest groźny zbójca, sługa mego pana, rzucaj mi sakiewkę, bom zły jest od rana! – krzyknął, wywinął toporem, potoczył złym wzrokiem po przerażonej publiczności i znów się ukrył za zasłonką.

Widzowie zareagowali śmiechem. Poszturchując jeden drugiego, wskazywali na zbójcę, jakby go rozpoznawali. Na tył sceny weszli zbierający opłatę chłopcy. Kat spojrzął do koszyków.

– Co tak mało?!

– Mówią, że nie kupują kota w worku, a płacić będą tylko wtedy, kiedy *theatrum* im się spodoba.

– A kto wtedy będzie za nimi ganiał?!

– Mnie mówili, że za takie fiu-bździu to się nie należy i że za oglądanie tu się nigdy nie płaciło. Nawet jak czarownicę palili, to nikt nie płacił, a to przecież lepsze niż jakieś tyjatry.

Kat skrzywił się, pokiwał głową i zsypał pieniądze do sakiewki, którą przytroczył do paska. Tymczasem narrator znów uderzył dłonią o struny cytry i wyrecytował śpiewnie:

– Zamku tego panem był znany z surowości książę Caprici. Jego ziemie rozciągały się na cały powiat. Miał on żonę, córkę i dwóch synów.

Po tych słowach na scenie pojawiali się kolejno: kat przebrany za księcia, Walerka udająca księżnę, Maryna jako córka oraz Rabiński jako syn.

Kat potoczył wzrokiem po winnickich. Miał ich znów przed sobą, dziś jednak patrzyli nań z podziwem, widząc nie kata, lecz bogatego księcia. Na znak zamożności potrząsnął sakiewką i wraz z innymi odegrał pantomimę z życia arystokratów.

– Ów książę miał też sekretarza, który wszędzie za nim chodził i czyny jego spisywał. Pewnego razu książę zobaczył na zamku cud piękności służącą – kontynuował narrator.

Zza zasłonki, udając zawstydzoną, wybiegła Jagna.

– Kazał jej przyjść do swej kancelarii i tam zmienił dziewicę w ładacnicę.

Kat chwycił Walerkę za biodra i wykonał kilka sprośnych ruchów, które publiczność rozpoznała, gruchnąwszy gromkim śmiechem.

– Hola, hola! Szanowna publiczności! – wykrzyknął obraźnik.
– Zbyt wcześnie na śmiechy, bo oto panna roni łzy żalu za utraconym dziewictwem, a zły pan wygania ją ze służby! – Trącił dłonią struny, publika westchnęła, widząc, jak Jagna ociera oczy, kat zaś jako księżę, zmarszczywszy czoło i przybrawszy groźną minę, pomimo błagań wyrażonych poprzez klęczenie i chwytanie za nogi, wskazał nieszczęsnej drzwi, czyli przerwę w kotarze, za którą wnet się skryła, zwiesiwszy w pierw głowę w poczuciu bezradności.

Kat patrzył widzom prosto w oczy. Czerpał jakąś szczególną przyjemność ze świadomości, że występuje nierozpoznany. W powozie ustawionym nieopodal karczmy zauważył miecznikową Niezgodzką z dziećmi, a obok niej podstarościego winnickiego, Hadziewicza.

„Ciekawe co u nich?” – pomyślał. Potoczył wzrokiem po powozach, ale nie dostrzegł nikogo z Turowa.

– Lecz to nie wystarczyło złemu panu! – wołał już narrator, popatrując w ślad za dziewczką i dając katu znaki, aby podążył za nią. Kat opamiętał się w porę i zszedł ze sceny. – Aby prawda o jego amorach na jaw nie wyszła, zły pan kazał oskarżyć niebogę o czary!

Zza zasłony wyszedł Rabiński w przebraniu kata, prowadząc okrytą łachmanami dziewczkę ze skrępowanymi z tyłu rękoma, a za nim Walerka, jako jego pomocnik, niosąc w garncu płonące szczapy, które ustawiła u nóg skazanej. Widownia zaszemrała. Wijąc się w paroksyzmach udawanego bólu, czarownica powiodła wściekłym wzrokiem po widzach i splunęła trzy razy.

Narrator znów uderzył dłonią w cytę, a aktorzy opuścili scenę.

– Od owego dnia źle się zaczęło dziać w pięknym mieście Mantui. Straszna bieda spadła na mieszkańców, szarańcza zjadła plony, zaraza zabierała ludzi i zwierzęta. Wybuchła wojna i wielu z nich musiało opuścić swe domy.

Kat i Rabiński wpadli na scenę, odgrywając doskonale pojedynek i otrzymując zasłużone oklaski. Kiedy zmęczeni wrócili za kulisy, narrator podjął opowieść:

– Mantuańczycy zrozumieli, że klątwa również ich dopadła, bo na wojnie ginęli synowie i ojcowie, a bandy rabusiów napadały na domy, w których pozostały jedynie niewiasty i dzieci. Wiele z nich zginęło,

walcząc o dobytek. Zły książę nie pojmował, że jest winien plag, które spadają na jego lud i na niego samego. Najpierw stracił żonę, która umarła, rażona apopleksją.

Zza zasłony wyszli kat i Walerka i odegrali scenę umierania oraz rozpaczy, co niejednemu widzowi wycisnęła łzy z oczu. A obraźnik, raz po raz uderzając w struny cytry, aby wzmocnić siłę oddziaływania opowieści, ciągnął dalej:

– Synowie księcia wyjechali na wojnę, ale każdy z nich walczył po przeciwnej stronie i żaden nie powrócił na łono rodziny. Córka zaś pozbawiona posagu wyjechała do stolicy, aby tam dziwnym się zajmować procederem. Kiedy książę, pokonawszy wroga, zmęczony stanął u wrót zamkowych, nikt nie otworzył mu bram, bo oto jego dawny sekretarz sam ogłosił się panem zamku i księciem. Prawdziwy książę, chcąc odzyskać zamek, oblegał go wiele dni, ale zły sekretarz wysadził go w powietrze, obracając w ruinę. Gdy, szanowny widzu, będziesz kiedy w okolicy owego grodu, to popatrując na skałę, gdzie po dziś dzień ruiny zamku przypominają ich smutne dzieje, wspomnij tę opowieść i los niewinnej dziewczki, której krzywda doprowadziła do tragedii cały ród Capricich.

Widzowie wstrzymywali oddech, patrząc, jak aktorzy odgrywają kolejne sceny pantomimy. Na ich obliczach malowały się przeróżne uczucia: radość, litość, to znów wzruszenie i trwoga. Bili brawo, śmiali się, krzyczeli i ocierali łzy. Czy jednak zrozumieli przesłanie? Kiedy po skończonym przedstawieniu wśród braw i owacji komedianci kłaniali się zadowolonej publice, kat mruknął do obraźnika:

– Naprawdę myślą, że to się działo w Mantui? Przecież dziewczka spłonęła na tym rynku!

– A nie tyś ją spalił? – wtrącił Rabiński.

– Zapłacili i biją brawo, czego chcesz więcej? Ukłoń się i schodzimy. Wystarczy na dzisiaj.

Epilog

Jan Jandźwiłł objął urząd po swym ojcu i wkrótce poczuł ciężar władzy. Mniej więcej rok po śmierci kasztelana z niewiadomych powodów przekazał swój urząd bratu, a sam wyjechał do Królewca, gdzie uzyskał skromne stanowisko na dworze króla Stanisława Leszczyńskiego. Cecylia Lange rozwiodła się z mężem, sprzedała bratu swoje dobra i wyjechała do Rzymu, gdzie wkrótce wyszła za mąż za księcia krwi, co nie przeszkadzało jej wieść awanturniczego, pełnego erotycznych przygód i podbojów życia. Jej dzieci pozostały w Turowie. Nieświadome prawdy wychowywane były przez Stanisława i Florę Jandźwiłłów, którzy poślubieni dzięki papieskiej dyspensie nie doczekali się własnego potomstwa.

Stanisław Jandźwiłł jako starosta winnicki nigdy nie przywrócił urzędu kata w tym mieście.

Ślub Zofii i Kacpra odbył się 26 września. Państwo młodzi zamieszkali w Złotym Moście. Policja powiatowa stworzona przez Zofię została rozwiązana z końcem października, kiedy to grandmuszkieter Wilhelm Kettler oświadczył, że wraca do Warszawy. Dość długo Hadziewiczowie lękali się napaści kozackiej, nie wiedzieli bowiem, że pułkownik Kondyriew zginął bezsensownie w bitwie pod Sielcem, gdzie skosiła go zabłąkana konfederacka kula¹. Adam Hadziewicz urodził się 20 grudnia.

Mimo powołania w listopadzie 1734 roku konfederacji dzikowskiej król Stanisław Leszczyński wraz ze swymi stronnikami nie zdołał pokonać sprzymierzonych wojsk saskich i rosyjskich. Przymuszony przez sytuację 27 stycznia 1736 roku podpisał akt abdykacji. Mógł nadal używać tytułu króla polskiego oraz wielkiego księcia litewskiego. W zamian za utraconą koronę osiadł w Luneville, otrzymawszy księstwa Baru i Lotaryngii, którymi rządził do 23 lutego 1766 roku, zasługując na tytuł Króla Dobroczyńcy. Po jego śmierci księstwo jako posag królowej Marii przeszło na rzecz Francji.

August Sas objął tron Polski w listopadzie 1734 roku i rządził przez

dwadzieścia dziewięć lat, dzieląc swój czas między Drezno i Warszawę. Podczas jego panowania do skutku doszedł zaledwie jeden sejm, wszystkie inne próby reform uniemożliwiono. Następca Augusta III, Stanisław August Poniatowski, mimo usiłowań, nie zdołał zapobiec upadkowi kraju. W 1795 roku Polska ostatecznie znikła z mapy, rozebrana przez swych trzech sąsiadów.

Koniec

19 VIII 1734 r. [wróć]

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa
2016

Text © copyright by Małgorzata Gutowska-Adamczyk 2016

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Zdjęcia na okładce: © robynmac/depositphotos.com © Scol22 |
Dreamstime.com

Konsultacja historyczna *Paweł Tyszka*

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*

Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*

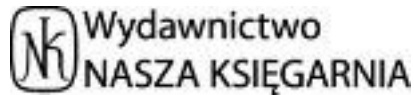
Redakcja *Anna Sidorek*

Korekta *Magda Szroeder, Ewa Mościcka, Katarzyna Nowak*

Korekta plików po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-13103-4

Plik wyprodukowany na podstawie *Fortuna i namiętności. Zemsta*,
Warszawa 2016



www.naszaksięgarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl

Konwersję wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

